

TOM CCLXXIII.

De. II 1

ROK 69.

SERYA 9.

ZESZYT 817.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

STYCZEŃ.

1909.

TOM I.--ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1909.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. Ś. p. ADAM HR. KRASIŃSKI . . . . .	1
2. Z LUDEM—DLA LUDU, — przez <i>Z. Dębickiego</i> . . . . .	7
3. STELLA (powieść),—przez <i>Antoniego Gawińskiego</i> . . . . .	36
4. SZKOŁA BATINIOLSKA W PARYŻU,—przez <i>Hel. Romer-Ochenkowską</i> . . . . .	63
5. PIERWIASTKI MORAŁNE W ŻYCIU SPOŁECZNYM,—przez <i>Władysława Borowskiego</i> . . . . .	86
6. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i> . . . . .	101
7. Z WYCIECZKI PO WYSTAWACH,—przez <i>d-ra Józefa Flacha</i> . . . . .	122
8. PRĄGNIENIA I RZECZYWISTOŚĆ,—przez <i>Wł. Bogusławskiego</i> . . . . .	149
9. PIŚMIENICTWO:	
WŁADYSŁAW MICKIEWICZ: „Emigracya polska (1860 — 1890),“ — przez <i>H. Mościckiego</i> . . . . .	174
FR. BUJAK: „Z dziejów wsi polskiej,“ — przez <i>d-ra Ignacego Baranowskiego</i> . . . . .	179
WIERZBOWSKI T.: „Protokóły posiedzeń Towarzystwa do ksiąg elementarnych 1775—1792,“ — przez <i>I. B.</i> . . . . .	181
TADEUSZ GRUŻEWSKI: „Kryzys państwowy Rosyi,“ — przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	183
D-R MICHAŁ WYROSTEK: „Urządzenia polityczne Szwajcaryi,“—przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	185
10. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Młodzież a polityka.—Rok Słowackiego.—Zamknięcie „Izraelity.“—Odezwa Towarzystwa kursów naukowych.—Projekt Instytutu higieny krajowej . . . . .	188
11. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Adam Belcikowski i ś. p. Władysław Nehring,—przez <i>Z. D.</i> . . . .	202
12. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	205

# Zaproszenie do przedpłaty.

---

W styczniu 1909 r. rozpoczyna „**Biblioteka Warszawska**“ sześćdziesiąty dziewiąty rok swego istnienia.

Zmieniały się niejednokrotnie w tym długim lat szeregu warunki pracy nad utrzymaniem naszego pisma na poziomie, odpowiadającym jego poważnym zadaniom; praca ta miewała swoje trudne i ciężkie chwile; ale wyniki jej zaświadczyć powinny wobec bezstronnego czytelnika o nieśląbnących wśród różnych przeszkód usiłowaniach redakcyi pozostawania w ciągłym umysłowym zetknięciu ze światłemi kołami społeczeństwa polskiego. To też powtarzanie na progu Nowego Roku programowych zapowiedzi wydaje nam się zbytecznem; poprzestaniemy natomiast na zapewnieniu, że redakcyja „**Biblioteki**“ wytrwa na stanowisku, gdzie dotąd towarzyszyły jej najwybitniejsze siły umysłowe z różnych dzielnic kraju i że nie poskąpi nadal zabiegów, żeby życie, nauka i sztuka wypowiadały się w studyach, wysnuwanych z pierwszorzędnego materiału historycznego, filozoficznego, społecznego, literackiego i artystycznego, zaznajamiając czytelnika z zagadnieniami, podnoszonemi we wszystkich dziedzinach zarówno stosunków społecznych, jak i ruchu umysłowego w kraju i zagranicą.

Duchowa spójnia z całemi pokoleniami czytelników była zawsze najcenniejszem poparciem usiłowań redakcyi naszego pisma, co nam pozwala żywić nadzieję, że i w przyszłości „**Biblioteka Warszawska**“ zdobywać będzie zapracowane uznanie w coraz szerszych kołach społeczeństwa polskiego.

Redakcyja „**Biblioteki Warszawskiej.**“

## PROGRAM „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“

zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
- II. **Historya.** Dzieje powszechne i własne.
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego.—  
Przegląd literatury beletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne,** oceny dzieł sztuki.
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym, artystycznym, społecznym i ekonomicznym.
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości naukowe i bibliograficzne.**

### WARUNKI PRENUMERATY.

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie . . . . .	rb. 10 kop.—
Półrocznie . . . . .	„ 5 „ —

W Warszawie zaś:

Rocznie . . . . .	rb. 9 kop.—
Półrocznie . . . . .	„ 4 „ 50
Kwartalnie . . . . .	„ 2 „ 25

**Cena pojedynczego zeszytu rb. 1.**

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do **Administracji „Biblioteki Warszawskiej,“ ulica Krakowskie, Przedmieście Nr. 5,** gdyż to zapewnia najlepiej akuratną ekspedycyę pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.


Opłata za ogłoszenia w „BIBLIOTECE WARSZAWSKIEJ“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronicę formatu „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“ rubli 5. Za ogłoszenie zapelniające pół stronicy, rubli 3, i za ogłoszenie zapelniające ¼ formatu, rubli 2.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


Ogólnego zbioru Tom 273.



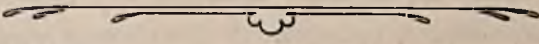
BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1909.—Tom I.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1909.



Do II 1





## ADAM hr. KRASIŃSKI.

**B**łobną, nad wyraz bolesną kartą rozpoczynamy nasz zeszyt noworoczny. W sile wieku, w rozkwicie umysłu i serca, odszedł człowiek szlachetny, obywatel najlepszej woli, wierny i gorliwy syn ojczyzny, dusza czysta, ofiarna, już dojrzałością męska, a wciąż jeszcze młodzień-  
czym pałająca ogniem: zgasł przedwcześnie redaktor-wydawca *Biblioteki Warszawskiej*, Adam ordynat hr. Krasiński.

Potomek historycznego rodu, świecącego oddawna dzielną, poważną i wzniosłą zasługą publiczną, w rozlicznych sprawy narodowej dziedzinach i potrzebach, w polu, radzie i na najgórniejszych szczytach czucia i myśli polskiej, świecącego tyłoma mile brzmiaćcami po wsze czasy dla ucha polskiego dostojnymi imionami, jak marszałka Michała i biskupa Adama, konfederatów barskich, jak przedewszystkiem nieśmiertelnego Zygmunta, wraz z zaszczytem nazwiska i tradycyi rodzinnej wziął głęboką świadomość odziedziczonych wysokich dla kraju obowiązków. To najpiękniejsze, wyższe ponad tytuł i fortunę, dziedzic-

ctwo obowiązku on od najpierwszej chwili wstąpienia do życia publicznego na młodych swych barkach z chętną dźwignął gotowością i odtąd stale, godnie, ile tylko dopuszczały niepomyślne okoliczności doby współczesnej, poniósł aż do grobu.

Ostatni po mieczu z głównej linii ordynackiej Krasińskich, prawnuk generała Wincentego, fundatora ordynacji, wnuk wielkiego poety Zygmunta, urodził się w Krakowie z Władysława i Róży z Potockich 22 listopada 1870 r. Po odbyciu pierwszych nauk w domu rodzinnym i gimnazjum krakowskiem św. Anny, udał się na prawne studia uniwersyteckie do Niemiec i Szwajcaryi, przebywał kolejno na wszechnicach w Bonn, Fryburgu, Heidelbergu, gdzie słuchając znakomitych mistrzów nauki zachodniej, prawa u Barona, Bekkera, ekonomii i polityki u Jellineka, Kniesza, filozofii u Bendersa, Kuno Fischera, historii u Alfreda Dovego, Gotheina, pracował nad sobą usilnie i wnet żywą, wrażliwą, wszechstronną umysłowością swoją stanął istotnie na poziomie kultury europejskiej. Ale ciężąc nadewszystko całą duszą ku kulturze rodzimej, ku sprawom ziemi ojczystej, już jako przedmiot inauguracyjny na wszechnicy heidelberskiej obrał sobie kwestyę włościańską w Polsce; a odwołując się w tej mierze do światłych wskazówek wybitnych badaczy polskich, ś. p. Pawińskiego, Potkańskiego, Rembowskiego, uzyskał w 1897 r. w Heidelbergu stopień doktorski za wartościową rozprawę, przedstawiającą zwięźle a rzeczowo „Zarys historyczny stosunków włościańskich w Polsce i reform prawno-gospodarczych w pierwszym dziesięcioleciu panowania Stanisława Augusta.“

Powróciwszy do kraju, osiadłszy na stałe w Warszawie, oddał się całkowicie na usługi sprawom kulturalnym, społecznym i politycznym Królestwa. Rozumiał, że tym sposobem spełnia tylko swój obowiązek, nie przez wszystkich wszakże w jego położeniu z równą wypełniany żarliwością, a dla niego właśnie cięższy niż dla innych i ofiarniejszy, gdyż utrudniony niepomiernie przez nekającą go od dzie-

ciństwa bezlitośną chorobą piersiową, która bez przerwy podkopywała jego organizm, aż wreszcie przecięła młode jego życie. Miał on też sobie nakazaną, pod ustawiczną groźbą śmierci przedwczesnej, ciągłą pamięć o własnym zdrowiu, spokój zupełny, wygodną w ciepłych krajach bezczynność; lecz wyłamywał się świadomie z tego fizycznego nakazu, idąc za serdecznym imperatywem swoich uczuć dla kraju, wołał siedzieć wśród swoich, spalać się i pracować dla swoich.

Wcześniej nawiązała się łączność pomiędzy młodym ordynatem a starem pismem naszym. W sierpniu 1900 r., za porozumieniem wzajemnym, objął zmarły po ś. p. Michale ks. Radziwille kierownictwo *Biblioteki Warszawskiej*, którą następnie, poczynając od czerwca 1901 r., jako redaktor-wydawca podpisywać zaczął. Niezawisłe od samego kierownictwa, niejedną cenną pracę własnego pióra na łamach *Biblioteki Warszawskiej* ogłaszał. Wnuk Zygmunta, z wrodzonego umiłowania i niepowszedniego talentu pociągany był do sfery piśmiennictwa i poezji. Najczulszym pietyzmem otaczając pamięć wielkiego dziada, bądź sam zajął się wydaniem, bądź przyłożył się do wydania ze zbiorów rodzinnych nieoszacowanej po nim puścizny twórczej i biograficznej.

Z wykwinłym smakiem literackim i żywym poczuciem piękna łącząc rzetelne, samorzutne uzdolnienie poetyckie, własnych również próbował skrzydeł i szczeremu zawsze natchnieniu dawał wyraz w wytwornej albo jędrnej mowie wiązanej, w subtelnych lirycznych wynurzeniach wrażliwej swej duszy, albo w energicznych strofach,—jak znane czytelnikom *Biblioteki* ogniste „Szarże,—odtworzących podniosłe, a tak blizkie sercu Polaka, momenty dziejów narodowych.

Ale na pięknej wizyi i pięknem słowie poetyckiem nie poprzestawał ten wnuk poety, sam poeta, w którym ponadto żył obywatel szlachetny, dzielny człowiek czynu, rwący się do twardej, codziennej służby publicznej. Ko-

chał on kraj nie samą jeno platoniczną czułością, lecz ofiarną troską i pracą obywatelską; rozumiał wielkie i naglące jego potrzeby, i w miarę sił swoich, inicjatywą swoją, współdziałaniem, środkami, całą osobą, na każdym polu, bez żadnych zastrzeżeń, oddawał się na jego usługi. Najpierwszem tego zaszczytnem świadectwem było gorące zajęcie się najbliższą sukcesyjnie instytucją użyteczności publicznej, Biblioteką ordynacyi hr. Krasińskich wraz z Muzeum Świdzińskiego, którą odrazu pod rozumną i hojną wzięwszy opiekę, na należytych postawił stopniu, podniósł znakomicie powagę jej szacownych wydawnictw naukowych, umożliwił jej publikacye pierwszorzędne, niekiedy wprost wspaniałe,—jak pomnikowe dzieje „Szwoleżerów;”—przyłożył się do świetnego wzbogacenia i starannego uporządkowania jej zbiorów, do uprzystępnienia ich dla świata uczonego polskiego, słowem, do udoskonalenia pod każdym względem tego wspaniałego zakładu, związanego z jego domem, a będącego dla Królestwa niejako surrogatem zbiorów uniwersytecko-akademickich i nieocenionym współczynnikiem rozwoju nauki polskiej w kraju tutejszym. A jeśli na ten cel pracowite poświęcał starania i część znaczną dochodów ordynackich, na inne również cele pożytku publicznego miał otwartą zawsze rękę, a niezmordowaną dobrą wolę i pomoc skuteczną. Obok wielu dzieł innych, dzięki jego to głównie ofiarności i zachodom powstać mogło wzorowe sanatorium dla piersiowo chorych w Zakopanem: a wzruszającym było zajęcie się jego tą rzeczą, gdzie chodziło o ulżenie bliźnim, dotkniętym tak dobrze znanem mu samemu cierpieniem. Nie było zresztą w ostatnich latach kilkunastu ani jednej sprawy ogólnej wyższego znaczenia, do której nie przykładałby się serdecznie i dzielnie poparciem materyalnym i osobistym. Co zaś poza tem na każdym kroku w cichości świadczył dobrego, pozostanie tajemnicą jego niewyczerpanej uczynności i współczucia oraz wdzięczności wspartych przez niego ludzi i instytucyj.

W ostatniej w szczególności dobie wielkiego przesilenia w państwie i kraju, nie oglądając się już zgoła na toczącą go coraz groźniej chorobę, a pochłonięty wyłącznie troską o los sprawy publicznej, poświęcił się niemal w zupełności na jej posługi. Przyłożył się czynnie do utworzenia Towarzystwa Naukowego warszawskiego. Przewodniczył w Muzeum przemysłu i rolnictwa; należał do założycieli Towarzystwa popierania przemysłu ludowego w Królestwie i do najgorliwszych opiekunów tej arcyważnej i owocnej inicjatywy społecznej. Wszedł do Rady Nadzorczej Macierzy Szkolnej, służył jej pomocą serdeczną a rozumną, zasilał ją szczodremi dary, umożliwił między innymi założenie w swoim Ursynowie seminaryum nauczycieli ludowych. Bystro rozeznał w Macierzy Szkolnej jeden z najdonioślejszych posterunków sprawy narodowej i najwალniejszych probierzy narodowej siły twórczej i dojrzałości w okresie gwałtownych przesilen, i ze szczególniejszą też służył jej troskliwością i zapałem, oddawał jej najlepsze swe siły, pomagał energicznie do rozwoju Macierzy w epoce jej organizacyi i działania, do ratowania jej w chwili zagrożenia i upadku. Należał podobnież do założycieli, opiekunów i współpracowników całego szeregu instytucyj i przedsięwzięć zbiorowych, których powstanie i akcyę umożliwiła fortunniejsza, jak się zdawało, a znowuż podobno zwodna, era losów krajowych. Uczestniczył w naradach o samorządzie Królestwa Polskiego, w rokowaniach ze stronnictwami politycznymi rosyjskimi, we wszelkich zgoła usiłowaniach i pracach, jakie zajmowały społeczeństwo nasze w minionej gorączkowej dobie. Uczestniczył w nich całym sercem, całą zwałoną już cierpieniem swoją osobą, biorąc na siebie zadania najtrudniejsze, dalekie na zabójczą dla siebie północ odbywając podróże, zawsze jednakowo chętny do pracy, gotowy do poświęcenia, jakgdyby śpiesząc się z ofiarną dla kraju swego posługą, jakgdyby przeczuwając, że nieść jej długo nie pozwoli mu śmierć.

I tak też w rzeczy samej, pośród trudów usilnych i smutków ciężkich o sprawę publiczną i ostatnie zawodne, opłakane jej koleje, zaskoczony śmiercią na obczyźnie, w Ospedaletti, 17 stycznia 1909 r., odszedł od nas ten Polak wierny, ten ostatni swego rodu godny potomek, ten duch płomienny i czysty, zostawiając po sobie ból głęboki nie tylko w sercach wszystkich, co go znali, lecz, rzecz można, w kraju i narodzie, który w osobie jego niepowetowaną ponosi stratę. Nie zapomni Adama Krasińskiego naród, zachowa w trwałej pamięci, na wzór i pociechę, krótkie a piękne, niepokalane, pracowite jego życie, i imię jego w liczbie najlepszych swoich zapisze synów.

*Redakcja.*

# Z LUDEM — DLA LUDU.

## II.

### Na drogach samopomocy.

Wiek XX zapowiada się, jako wiek *zrzeszeń* we wszystkich dziedzinach pracy ludzkiej. Hasła kooperacyi znalazły gorących wyznawców nie tylko wśród obrońców dotychczasowego ustroju i krańcowych przeciwników socjalizmu, ale równocześnie i wśród śmiałych i bezwzględnych apostołów przyszłości socjalistycznej, którzy widzą w kooperacyi warstw robotniczych i włościańskich taran, rozbijający najtwardsze twierdze kapitalizmu.

W ten sposób rozwinął się na całym świecie bardzo ożywiony ruch kooperacyjny, płynący dwoma równoległymi do siebie łożyskami, aczkolwiek do wręcz przeciwnych zmierzający celów. Jakie będą ostateczne wyniki tego ruchu, jak głęboko sięgną wywołane przezeń zmiany ekonomiczne i jakie pociągną za sobą skutki społeczne i polityczne — tego w tej chwili przesądzać nie podobna. Tak czy inaczej jednak — przeczyć nie można, że podjęta została przez obie strony — zarówno przez zwolenników kapitalizmu, jak i przez jego przeciwników — praca o olbrzymiej doniosłości kulturalnej, mająca na widoku jeżeli nie jedynie, to przede wszystkim, korzyści warstw ekonomicznie słabych, walczących z nędzą i dalekich od zdobycia trwałych podstaw dobrobytu materialnego, stanowiącego podłoże wszelkiego rozwoju i postępu.

Ruch kooperacyjny początkiem swoim sięga połowy wieku ubiegłego. Rozpoczyna go znane zrzeszenie rochdallskie, założone w r. 1844 w Anglii.

W kilka lat później, w r. 1848, pod wpływem Louis'a Blanc'a powstały pierwsze zrzeszenia wytwórcze we Francji.

W Niemczech pierwsze stowarzyszenie kredytowe typu Raiffeisen'a zawiązane zostało w r. 1869.

W Danii pierwsza spółka mleczarska powstała w r. 1882.

Pierwsze stowarzyszenie rolniczo-gospodarcze powstało we Francji w r. 1883, bezpośrednio po wejściu w życie prawa o syndykatach, przez które należy rozumieć nie tylko związki zawodowe, ale wszelkie wogóle organizacje klasy robotniczej.

Powyżej przytoczone daty świadczą, że mamy do czynienia z ruchem *młodym*, który powstał w środowiskach fabryczno-miejskich i dopiero znacznie później rozszerzył się na stosunki wiejskie.

A jednak pomimo tej „młodości,” ruch kooperacyjny wszędzie już wydał owoce, jeżeli nie wprost zdumiewające, to w każdym razie takie, z którymi poważnie liczyć się muszą jednocześnie: nauka, społeczeństwo i państwo.

Oczywiście, kooperacja rozwinęła się najwspanialej i najwszechstronniej w Anglii, jako w swojej prawej ojczyźnie, gdzie wolność obywatelska stworzyła dla niej najpomyślniejsze warunki.

Stowarzyszenia kooperacyjne liczą tam obecnie z górą 2½ miliona członków, co łącznie z rodzinami stowarzyszonych stanowi bez mała ¼ ludności.

Obrót stowarzyszeń angielskich dosięgnął w r. 1906 zdumiewającej kwoty 630 milionów rubli, przyczem zysk czysty stanowił 100,000,000 rb., które poza dywidendą, użyte zostały całkowicie na cele oświaty i kultury.

Stowarzyszenia wytwórcze w Anglii określiły w tymże roku wartość swojej produkcji na 52 mil. rb.

Ilość robotników, zatrudnionych w stowarzyszeniach, wynosi 40,000 ludzi, pracujących po 9 godzin na dobę, bez żadnych zamieszek, bez strejków, bez wrogiego nastroju i rozłamów klasowych.

Drugie miejsce pod względem rozwoju stowarzyszeń współdzielczych zajmuje Dania. Kooperatywy miejskie i wiejskie liczą tam razem 190 tys. członków. Związek stowarzyszeń obejmuje 160,000 ludzi, rozmaitych kondycyj, pracujących na rozmaitych polach. Wskutek tego kooperacja ogarnęła niezwykle szeroki zakres życia gospodarczego kraju. Na współdziałaniu oparł się cały niemal handel wywozowy Danii z najważniejszymi swymi gałęziami na czele, jak wywóz masła, mięsa wieprzowego, jajek i drobiu.

W Szwajcaryi ⅓ część ludności należy do stowarzyszeń współdzielczych.



W Niemczech  $\frac{1}{2}$  ludności włosciańskiej bierze udział w życiu kooperacyjnym, a w istniejących tam dwóch Związkach stowarzyszeń grupuje się 1,300 tysięcy członków.

We Włoszech ruch kooperacyjny rozwinął się w ostatnich czasach wprost niezwykle, dając wyniki, nieznane gdzieindziej. We wsi włoskiej połączenie towarzystwa kredytowego ze stowarzyszeniem rolniczym i spożywczym zmusiło już częściowo do odrotu falangę drobnych sklepikarzy i kładzie kres lichwie.

Nic też dziwnego, że wobec takich owoców działalności ekonomicznej stowarzyszeń współdzielczych, minister Luzzati wypowiedział niedawno znamienne słowa, które kooperatyści wszystkich krajów wypisują obecnie na swoich sztandarach. Słowa te stwierdzają, że mężowie stanu przyszli do przekonania, iż środek ciężkości polityki wewnętrznej przesuwają się obecnie z trybuny parlamentarnej i z gabinetów ministerjalnych ku samopomocy klas pracujących i obiera sobie siedlisko w kooperacji.

Można się z tem zdaniem, zbyt daleko sięgającym, nie godzić, niepodobna jednak zaprzeczyć ruchowi współdzielczemu ogromnego znaczenia, niepodobna nie widzieć w nim dźwigni, podważającej niedolę szerokich warstw społecznych i odślaniającej im perspektywy bez porównania lepszej przyszłości.

Nie jesteśmy społeczeństwem, któremoby te niezbite i jasne prawdy należało uzasadniać i tłumaczyć.

Przeciwnie, ruch kooperacyjny od samego początku swego istnienia znalazł i u nas gorących swoich rzeczników, a jeżeli nie przybrał dotychczas ani takich rozmiarów, jak gdzieindziej, ani nie wydał takich owoców, to nie dlatego, ażebyśmy niezdolni byli do zrzeszania się i wspólnej pracy, ale — z przyczyn zgoła innych, które będziemy mieli sposobność podkreślić niejednokrotnie w toku niniejszego artykułu.

Przedmiotem naszym, w związku z obchodzącą nas przedewszystkiem sprawą podniesienia przemysłu ludowego, będzie rozejrzenie się w szerokiej dziedzinie tych potrzeb wsi polskiej, jakie na drodze kooperacji mogłyby być zaspokojone, a których zaspokojenie dotychczas wiele pozostawia do życzenia.

Nasz przemysł ludowy, jak to już wiemy, istnieje raczej siłą tradycji. Nie są to podstawy trwałe, które mogłyby mu zapewnić na dłużej byt tam, gdzie do współzawodnictwa z nim staje przemysł fabryczny, oparty na nowoczesnej organizacji kapitału i pracy. Tylko w wypadku, jeżeli organizacji tej przeciwstawimy organizację inną, zdolną do podtrzymania samodzielnej wytwórczości ludowej, niepomyślne obecnie warunki pracy i ini-

cyatywy przemysłowej naszego włościanina mogą uleść zmianie i jego położenie ekonomiczne stopniowo zacznie się polepszać.

Dwa są w tym kierunku postulaty naczelne. Po pierwsze, dostarczenie ludności włościańskiej taniego kredytu wytwórczego, po drugie, stworzenie takiej organizacyi handlowej, któraby producenta wiejskiego zwolniła z pod opieki wyzyskującego pośrednictwa, a umożliwiła mu zarówno nabywanie materyałów surowych, jak i zbyt swoich wyrobów drogą najwłaściwszą, z zapewnieniem mu jaknajwiększego zysku.

I jedno i drugie jest zaledwie w zaczątku. Aby się o tem przekonać, przyjrzymy się kolejno temu, jak wygląda u nas sprawa kredytu dla włościan i jakie są pierwsze nasze kroki na polu zorganizowania ekonomicznego warstw ludowych.

Zanim jednak przejdziemy do kooperacyi, jako istotnej zapowiedzi odrodzenia, musimy zatrzymać się przez chwilę nad jedynem do niedawna źródłem kredytu, z którego mógł włościanin korzystać — nad typowym wykładnikiem naszych stosunków, normowanych przez ustawy, nie liczące się zupełnie z potrzebami kraju — nad działalnością kas gminnych pożyczkowo-oszczędnościowych.

Instytucya tych kas ma za sobą przeszłość mniej więcej znaną. Powołane do bytu na mocy ustawy z r. 1868, kasy gminne otrzymały kapitał zakładowy z *funduszu użyteczności publicznej*, zaoszczędzonego przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Fundusz ten wynosił w r. 1866—*1,730,139 rb. 35½ kop.* i był zabrany przez rząd, który uznał za stosowne przeznaczyć część procentów od zabranego kapitału na założenie kas gminnych, mianowicie: w r. 1866 wypłacił 62,640 rb., a w r. 1868 — 103,920 rb.

Na skutek tego Komitet urządzający postanowieniem z dnia 19 (31) lipca 1868 r. polecił otworzyć po jednej kasie w każdym z 85 powiatów Królestwa i przeznaczoną w tym celu sumę 62,640 rb. nakazał rozdzielić pomiędzy założone kasy w równych częściach. Następnie postanowieniem z dn. 27 marca (8 kwietnia) 1870 r. uznał za możliwe otworzyć jeszcze po dwie kasy w każdym powiecie, przeznaczając na założenie ich wspomniane powyżej 103,920 rb. Wówczas założono 170 kas. W ten sposób z funduszu użyteczności publicznej powstało w Królestwie Polskiem 255 kas z kapitałem zakładowym 166,560 rb.

Suma ta była udzielona kasom pod postacią pożyczki bezprocentowej z tym warunkiem, że gdy dochód danej kasy utworzy sumę, dorównywającą kapitałowi zakładowemu, to zapożyczony kapitał może być z obrotów kasy wycofany i użyty na założenie

kasy w innej gminie. We wszystkich założonych kasach kapitał zakładowy wzrósł w dwójnasób bardzo szybko i wskutek tego można było znacznie powiększyć liczbę kas. Niezależnie też od kas, powstałych z funduszu użyteczności publicznej, gminy i gromady zakładały kasy z własnych swoich środków.

Według danych, zebranych przez p. Bohdana Wasiutyńskiego,<sup>1)</sup> pożyczkowo-oszczędnościowych kas gminnych w Królestwie Polskiem w r. 1900 było 1320; w tem 873 z funduszu użyteczności publicznej, 6 powstałych z ofiar i 441 z funduszy gminnych i gromadzkich.

W rozkładzie na poszczególne gubernie przypadło:

	Z fund. użyt. publicznej	Z ofiar	Z fund. gmin. i gromadzkich	Ogółem
Na gub. kaliską	62	—	79	141
„ kielecką	93	2	36	131
„ lubelską	69	3	81	153
„ łomżyńską	59	—	15	73
„ piotrkowską	114	—	40	154
„ plocką	78	—	20	98
„ radomską	71	—	76	147
„ siedlecką	123	1	22	146
„ suwalską	74	—	19	93
„ warszawską	131	—	53	184
Razem	873	6	441	1320

Jest to wcale pokaźna liczba instytucyj, mających obsługiwać ludność włościańską i zaspokajać jej potrzeby kredytowe.

Czy jednak kasy gminne zadanie swoje spełniły? Czy wogóle, a w szczególności w kierunku, o który nam chodzi, pozostawiły one po sobie jakikolwiek trwały ślad w życiu ekonomicznem wsi polskiej?

Odpowiedź na to jest tylko jedna i w dodatku — odpowiedź bezwzględnie przecząca.

Zgadzają się na to bez wyjątku wszyscy, którzy kiedykolwiek tej sprawie dotknęli.

Nie możemy tu szczegółowo przedstawiać wielostronnych wad, tkwiących już w samym założeniu instytucji kas gminnych. Zaprowadziłoby to nas zbyt daleko. Dość powiedzieć, że cztero-

<sup>1)</sup> B. Wasiutyński. „Administracja lokalna Królestwa Polskiego.“

krotna zmiana ustawy nie doprowadziła do niczego i że kasy gminne do tej chwili, nawet pomimo ostatnich reform, podjętych na mocy ustawy z r. 1906, pozostały instytucjami, zupełnie chybającymi celu.

P. Maryan Grzegorzewski <sup>1)</sup>, który zebrał bardzo szczegółowe dane, dotyczące działalności kas gminnych w gub. kieleckiej, a przy tej sposobności starał się, o ile to było możliwe, ogarnąć całokształt ich zasług na terenie wszystkich 10 gubernij Królestwa Polskiego, tak formułuje swój pogląd na „jedyne“ źródła kredytu włościańskiego u nas:

Widząc w samym założeniu kas gminnych pewien anachronizm, polegający na sztucznem tworzeniu stanu włościańskiego w przeciwstawieniu do innych warstw ludności naszego kraju i na tworzeniu *specyalnych instytucyj włościańskich*, wymieniony autor oświadcza się stanowczo przeciw takiemu wyodrębnieniu ludności włościańskiej i pozbawieniu jej łączności z klasami oświeconemi.

Zdaniem jego, a i zdaniem ogromnej większości, w kasach dla ludności wiejskiej współdziałal ludzi inteligentnych i pod względem materyalnym niezależnych jest niemal konieczny, zwłaszcza przy obecnym stanie oświaty.

Tymczasem — wbrew tej konieczności, narzucającej się z żelazną logiką każdemu, kto nie ugrzązł w doktrynach demagogicznych i nie poświęca dla nich zdrowego sensu — Komitet urządzający powołał do zarządu kas urzędników gminnych, nie umiejących często ani czytać, ani pisać.

Siłą rzeczy właściwymi kierownikami kas stać się musieli pisarze gminni pod bezpośrednim nadzorem komisarzy włościańskich. Jaki zaś był ten nadzór i opieka, łatwo się domyślić. Nadużycia w kasach, pozostające do niedawna w zupełnym cieniu wobec skrępowania przez cenzurę prasy, dopiero od niedawna zaczęły się ujawniać.

Dla rządu jednak było to obojętne. Nie zmieniał on stanowiska raz zajętego, motywując je, poza widocznymi dla wszystkich względami politycznymi, tem jeszcze, że włościanin, jako niezdolny do samodzielności gospodarczej, potrzebuje nieustannej nad sobą opieki i kontroli, krępującej jego ruchy gospodarcze.

Tę opiekę i kontrolę rząd uznał za swój przywilej wyłączny i zmonopolizował ją w swych rękach.

<sup>1)</sup> Maryan Grzegorzewski. Reforma kas gminnych pożyczkowo-oszczędnościowych w Królestwie Polskiem. Kielce, 1907.

Pomimo kardynalnych zmian w warunkach ekonomicznych, społecznych i politycznych w ciągu ostatnich lat, sfery rządowe nie poszły w tym kierunku ani na krok naprzód i ciągle tych samych trzymają się poglądów.

Pod takim to patronatem pożyczkowo-oszczędnościowe kasy gminne, jedyne źródło kredytu, dostępnego dla ludności wiejskiej, rozwijały się w ciągu długich lat 40 swego istnienia, t. j. w tym samym okresie, w którym cała Europa wrzała od usiłowania rozwiązania sprawy kredytu włościańskiego na drogach najwłaściwszych.

Na organizowanie się w myśl haseł samopomocy ekonomicznej, na zakładanie towarzystw kredytowych czy to systemu Raiffeisena, czy Schulze'go z Delitzsch, rząd nie pozwalał. Jedyne w miastach i osadach można było tworzyć takie towarzystwa, z tym wszakże warunkiem, aby *okolieczna ludność wiejska nie była do nich dopuszczona*.

Nie pomogły nawet zmiany, które przyniósł z sobą powiew rewolucyi, zwiastującej pozornie nową erę.

W dniu 14 (27) września i 24 października (7 listopada) 1905 r. zatwierdzone zostały ustawy normalne towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych i towarzystw drobnego kredytu, pozostawiające stowarzyszoną względnie dużą swobodę działania.

Cóż jednak okazało się w praktyce? Oto władze miejscowe zaczęły niezwłocznie przeciwdziałać zakładaniu takich towarzystw, uważając, że na wsi powinny istnieć tylko kasy gminne i gromadzkie, pozostające w sferze wpływów komisarzy włościańskich.

W ten sposób sprawy kredytowe wsi polskiej koncentrują się dotychczas niemal wyłącznie w kasach gminnych, gdzie z biegiem czasu wytworzyć się musiał nadmiar kapitału bez możności odpowiedniej fruktyfikacji nagromadzonych zasobów.

Według danych z r. 1900, stan funduszków, znajdujących się w posiadaniu 1320 kas gminnych w Król. Polskiem, przedstawiał się, jak następuje:

Gubernia	kapitał za- kładowy	Ofiary	Czyste zyski	W kasach ogółem	Na rachunku pożyczek
kaliska	107,223	132	464,036	2,592,230	1,330,969
kielecka	127,084	96	584,312	4,647,734	2,338,606
lubelska	114,496	6,310	772,360	4,566,108	2,390,639
łomżyńska	111,423	74	334,213	3,401,347	1,762,075
piotrkowska	166,237	3,140	557,298	4,359,159	2,136,341
płocka	85,368	2	242,726	1,810,189	896,347

radomska	126,835	662	468,446	3,807,000	2,027,824
siedlecka	131,710	37	486,458	4,800,157	2,324,276
suwalska	107,536	23	411,883	2,879,536	1,386,999
warszawska	286,422	501	795,793	4,796,375	2,344,834
Razem	1,364,338	10,983	5,117,525	37,659,840	18,938,921

Liczby te są niewątpliwie imponujące, ale w oczach kompetentnych nabierają odrazu barw łudzącego pozoru. Jakoż są tylko pozorem, pod którego osłoną ukrywa się istotny stan rzeczy—jałowa działalność kas.

Dość powiedzieć, że kasy nie uwzględniają zupełnie potrzeb ludności *bezrolnej* i *matorolnej*. Najwyższa pożyczka, jaką mogą otrzymać bezrolni, wynosi 15 rb. i to *za poręczeniem* <sup>1)</sup>. Ale kasy gminne nie mogły również zaspokoić potrzeb ludności zamożniejszej. Najwyższa norma pożyczek wynosi 100 rb., a tylko w kasach bogatszych 200 rb., przyczem wysokość pożyczki nie mogła przenosić  $\frac{1}{3}$  wartości majątku nieruchomości dłużnika, określonej na mocy normalnych cen gruntu, ustanowionych czasowo przez Komitet urządzający w r. 1868. Przez lat 38 te ceny *normalne* były obowiązującymi bez względu na to, że cena ziemi niepomiernie wzrosła. Władze, zajęte „urządzaniem“ włościan, nie miały widocznie czasu zastanowić się nad tą palącą kwestyą — mówi p. Grzegorzewski. Przeciętna np. wartość jednego morgu gruntu w gub. kieleckiej podług tabeli szacunkowej z r. 1868 wynosi 27 rb. 70 kop., właściciel więc zagrody sześciomorgowej mógł pożyczyc najwyżej 41 rb. (!)

Zestawienie cen ziemi z r. 1868 z cenami teraźniejszymi, dokonane przez p. Grzegorzewskiego, uwidocznia kolosalną ich różnicę. Tak np. *normalna* cena 1 mor. ziemi podług szacunku z r. 1868 wynosiła w gm. Proszowice pow. miechowskiego 41 rb., obecnie wynosi 300 rb., w gm. Wolbrom pow. olkuskiego 17 rb., obecnie—450 rb., w gm. Bobrowniki pow. Będzińskiego 17 rb., obecnie — 205 rubli.

Udzielanie pożyczek według norm, stojących w tak jaskrawej sprzeczności z istotną wartością posiadłości włościańskiej, wyglądałoby mogło, jak bajka z tysiąca nocy i jednej, wysnuta z bogatej fantazyi, gdyby nie rzeczywistość, przemawiająca przy pomocy ścisłych i wiarogodnych cyfr.

<sup>1)</sup> Maryan Grzegorzewski: Reforma kas gminnych pożyczkowo-oszczędnościowych w Królestwie Polskiem, Str. 68 i nast.

To jedno już tłómaczy, dlaczego kasy potrafiły zgromadzić nadmiar gotówki, a nie umiały jej zużyć z korzyścią dla kraju i dla najbardziej potrzebującej warstwy jego ludności.

Jeżeli jednak, idąc dalej, uświadomimy sobie, że włościanie coraz silniej odczuwają potrzebę zwiększenia kapitału obrotowego w gospodarstwie, że w ciągu lat 40 obszar ich posiadania wzrósł o  $2\frac{1}{2}$  miliona morgów i że za same grunty, zakupione w ciągu ostatnich 15 lat przy pomocy Banku Włościańskiego, zapłacili z własnych funduszków po dzień 1 stycz. 1905 r. 16,967,383 r. 85 kop., zmniejszając o taką sumę swoje środki obrotowe, że dalej przy każdym działu spadkowym dla uniknięcia rozdrobniania gruntu, biorą na siebie uciążliwe spłaty — to przekonamy się łatwo, że krótkoterminowy, *jednoroczny* (!) termin pożyczek, udzielanych przez kasy gminne w wysokości, nie odpowiadającej zupełnie potrzebom gospodarczym włościanina, żadnej a żadnej korzyści nie przyniósł i w chwili, gdy kasy gminne cierpiały na nadmiar gotówki, ich uczestnicy *musieli* dobrowolnie iść w szpony lichwy i szukać ratunku u Żydów małomiejskich.

Tak się przedstawia strona *pożyczkowa* działalności omawianych kas. Co do strony *oszczędnościowej*—to równa się ona—zdaniem p. Grzegorzewskiego — zeru.

W wykazach kasowych figurują wprawdzie znaczne sumy, jako wkłady osób prywatnych; sumy te jednak pochodzą nie z drobnych oszczędności, lecz z większych wkładów *kapitalistów miejscowych*, którzy, mając zupełne bezpieczeństwo zwrotu i wysoki procent, chętnie lokują w kasach swoje fundusze. Natomiast ludność wiejska nie przyuczyła się wcale do korzystania z usług kas w tym zakresie. Zrażona skomplikowaną manipulacją, towarzyszącą przyjęciu wkładki oszczędnościowej, nie przestała uważać skrzynki i garnka z popiołem za najlepszą lokatę swoich drobnych oszczędności i bynajmniej nie spieszy z niemi tam, gdzie mogłaby otrzymać procent, zachęcający do dalszych oszczędności.

Jałowość i martwota kas gminnych, a jednocześnie coraz jaśkrawiej występująca na widownię życia potrzeba dostarczenia ludowi taniego kredytu długoterminowego, w końcu zwróciły uwagę rządu i wywołały ostatnią, najnowszą reformę, opartą na ustawie z r. 1906.

Reformy tej, wprowadzającej dość znaczne zmiany w porównaniu z tem co było, nie będziemy jednak omawiali szerzej. Wystarczy nam przytoczenie za p. Grzegorzewskim kompetentnego o niej zdania d-ra Kozickiego, który uważa, że „albo wszystko

zostanie po dawnemu, albo wykaże się cała nieprzydatność podobnej organizacji kredytu“ <sup>1)</sup>.

A teraz — po tej dygresyi — wróćmy do obchodzącej nas sprawy.

Rzecz oczywista, że przy podobnej organizacji kredytu włościańskiego nietylko nie mogło być mowy o zaspokojeniu potrzeb przemysłu drobnego, ale nawet o zdobyciu przez włościanina najkonieczniejszych środków na niezbędne melioracye rolne, na stosowanie ulepszonych narzędzi, nasion, nawozów sztucznych, na drenowanie łąk, irrygowanie pól, zalesianie nieużytków, zasiew łąk odpowiednimi trawami i t. d.

Wieś polska nie mogła iść naprzód, a jeżeli tu i owdzie postępowała, to działo się to w drodze wyjątków, dzięki usiłowaniom jednostek i bardziej szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Wogóle jednak budzący się ruch współdzielczy zastał na całym obszarze Królestwa Polskiego zaniedbanie, nie mające sobie równego w cywilizowanych krajach Europy. Z tem zaniedbaniem należało mu wziąć się za bary i mocować do chwili odniesienia nad niem stanowczego i walnego zwycięstwa.

Jeżeli jednak gdzieindziej kooperacya odrazu stanąć mogła na gruncie właściwym, u nas napotkała na przeszkody, które długo tamowały jej rozwój i nie pozwoliły odegrać odpowiedniej roli w życiu ekonomicznem kraju.

Ani kooperatywa kredytowa, ani spożywcza, ani wytwórcza nie zajęły też u nas dotychczas tego miejsca, jakie, w ostatniem zwłaszcza dwudziestopięcioleciu, wywalczyły sobie wszędzie podjęte w tym kierunku usiłowania całych grup społecznych, zrzeszających się w imię wspólnych interesów, dla obrony przed wyzykiem ze strony kosztownego pośrednictwa i dla budowania swojej przyszłości na nowych, o wiele zdrowszych podwalinach.

Oczywiście zostawiamy tu na uboczu stosunki, panujące w W. Ks. Poznańskiem i w Galicyi, gdyż wymagałyby one szerszego i osobnego traktowania. Na uwadze mamy i będziemy mieli tylko ruch współdzielczy w Królestwie Polskiem.

Do r. 1905 rozwijał się on bardzo powoli, gdyż dla każdego, nowopowstającego towarzystwa należało starać się o specjalne pozwolenie, pisać dla niego ustawę i kołatać o jej zatwierdzenie. Dopiero z chwilą wydania ustawy normalnej, zatwierdzonej

<sup>1)</sup> *Gazeta Polska* № 27 z dn. 27 stycznia 1907 r. i № 30 z dn. 30 stycznia 1907 r.



przez Ministra Skarbu dn. 14 (27) września 1905 r. ze zmianami, zatwierdzonemi 24 listopada (7 grudnia) tegoż roku <sup>1)</sup>, zaczęły u nas powstawać w szybkim bardzo tempie towarzystwa kredytowe i pożyczkowo-oszczędnościowe.

Według danych, które nie bez wielkiego trudu zebrał p. Stanisław Wojciechowski, a które przedstawił w referacie, wygłoszonym na Pierwszym Wszechrosyjskim Zjeździe kooperacyjnym w Moskwie (16 — 21 kwietnia 1908 r.), w dniu 1 stycznia 1908 r. było w Królestwie Polskiem 188 stowarzyszeń, w tej liczbie 157 pożyczkowo-oszczędnościowych i 31 kredytowych.

Według dat, dotyczących r. 1905, w 98 stowarzyszeniach pożyczkowo-oszczędnościowych było 63,792 członków, a w 18 kredytowych 11,750, ogółem 75,542. W tej liczbie *rolników* zaledwie 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub>.

Odsetek ten rzuca jaskrawe światło na nasze stosunki, jeżeli uwzględnimy, że w W. Ks. Poznańskiem na 88,279 członków spółek jest 51,128 rolników, w Galicyi z W. Ks. Krakowskiem na 375,032 stowarzyszonych przypada 301,563 rolników. Pozostaje to w ścisłym związku z tem, co już podkreśliliśmy poprzednio, mianowicie, że stanowiskiem, jakie zajęły wobec stowarzyszeń współdzielczych władze administracyjne, uważając udział włościan w kooperacji pieniężnej poza obrębem kas gminnych za niepożądany z państwowego punktu widzenia.

Rezultaty tej polityki ekonomicznej są aż nadto widoczne. Dobroczytna działalność stowarzyszeń mogła ogarnąć tylko ludność miast, miasteczek i osad; a ponieważ ludność ta w znacznej mierze składa się z Żydów, więc nie dziwnego, że w społeczeństwie omal nie powstało przekonanie, że stowarzyszenia współdzielcze służą wyłącznie interesom ludności żydowskiej.

Włościanie pożyczek w takich stowarzyszeniach otrzymywać nie mogą; wolno im jedynie, jak wszystkim nieczłonkom, lokować tam swoje oszczędności, z czego też dość skwapliwie korzystają, jak bowiem stwierdza statystyka, większość wkładów oszczędnościowych w stowarzyszeniach pochodzi od ludności okolicznej.

Ludność żydowska korzysta natomiast pełną ręką z udogodnień kredytowych, jakich dostarczają stowarzyszenia, i pożyczka nietylko na cele handlowe, ale nawet—jak to zaznacza p. Wojciechowski w swym referacie—z widokiem operacyj lichwiarskich.

<sup>1)</sup> Zainteresowanym bliżej tą sprawą polecamy wydane w Płocku w 1907 r. „Ustawy normalne Towarzystw kredytowego i pożyczkowo-oszczędnościowego z *wyjaśnieniami*”.

Władze zdają się taki stan rzeczy uważać za normalny i raczej współdziałają w utworzeniu się dalszych dziwołagów ekonomicznych na tem polu; kiedy bowiem wręcz odmówiono zatwierdzenia powstającemu w Grodzisku pod Warszawą stowarzyszeniu kredytowemu, jednocześnie udzielono pozwolenia na otwarcie w temże miasteczku towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, przeznaczonego wyłącznie dla Żydów.

Że jakiegokolwiek ograniczenia co do stanu lub zawodu członków, ani tembardziej nadawanie stowarzyszeniom cech instytucyj wyznaniowych nie leży w interesie kooperacyi—tego dowodzić nie potrzeba.

Dość powiedzieć, że i tu, jak w kasach gminnych, jeżeli działalność nie będzie rozszerzona na warstwy włościańskie—grozi nagromadzenie się nieprodukcyjnie leżącej gotówki.

W 95 stowarzyszeniach pożyczkowo-oszczędnościowych znajdowało się w dniu 1 stycznia 1905 r. 2,600,763 rb. w kapitale udziałowym, 5,198,542 rb. we wkładkach oszczędności i 7,463,678 rb. na pożyczkach.

W najlepiej zagospodarowanych 18 stowarzyszeniach kredytowych, rozwijających się bez przeszkód (ziemia płocka) w tymże dniu księgi wykazały: 65,565 rb. kapitału zakładowego (36,000 rb. z Banku Państwa), 601,707 rb. wkładów i 632,939 rb. pożyczek.

Ze sprawozdania za r. 1907 <sup>1)</sup> dowiadujemy się, że w dniu 1 grudnia tego roku, Stowarzyszenia ziemi płockiej w ilości 21 liczyły 16,696 członków z sumą otwartego kredytu do 249,907 rb.

Kapitał zakładowy wynosił:

własny (z zysków) . . . . .	17,343 rb. 24 k.
wypoż. z Banku Państwa . . . . .	29,011 „ 76 „
„ od osób prywatnych . . . . .	22,720 „ — „
razem . . . . .	69,075 rb. — k.
kapitał zapasowy . . . . .	26,426 „ 47 „
wkłady . . . . .	1,067,715 „ 77 „
pożyczki, udzielone członkom . . . . .	976,977 „ 44 „

Świadczy to o niewątpliwym i szybkim rozwoju kooperatywy kredytowej w tej części kraju; jednocześnie jednak z tych cyfr widać, że tamtejsze Towarzystwa drobnego kredytu posiadają już przeszło 100,000 rb. wolnego kapitału, który przy szerszej

<sup>1)</sup> Czasopismo „Społem“ № 3 z dn. 10 lutego 1908 r.

działalności Towarzystw mógłby być doskonale użyty na cele wytwórcze.

Postulatem więc *sine qua non* jest dążenie do zmiany w dotychczasowym, nieprzychylnym stanowisku władz wobec stowarzyszeń i do otwarcia szeroko ich wrót przedstawicielom stanu włościańskiego.

Przyjrzyjmy się teraz drugiemu odłamowi naszej kooperatywy — *stowarzyszeniom spożywczym*.

Pierwsza kooperatywa tego rodzaju powstała u nas w r. 1869. Było nią istniejące do dzisiaj stowarzyszenie spożywcze „Mercury,” założone przez zamożniejsze mieszczaństwo i już dla tego samego nie dość typowe.

Później rozmaitemi czasy powstawały stowarzyszenia spożywcze, zakładane przeważnie przez urzędników i pracowników wielkich instytucyj, jak koleje, magistrat m. Warszawy, fabryki znaczniejsze i t. d.

Były to jednak nieliczne deski ratunkowe, pływające na nieogarniętym oceanie wyzysku kupieckiego, panoszącego się zarówno w wielkich miastach, jak w osadach i wsiach, gdzie pachciarz lub karczmarz za swoje pośrednictwo handlowe pobierali bajeczną wprost prowizję.

Stosunki te poważniejszej ulegać zaczęły zmianie dopiero przed trzema laty. Wówczas rozpoczął się ruch ożywiony w kierunku zakładania stowarzyszeń spożywczych.

Początkowo stowarzyszenia tego rodzaju powstawały na zasadach umowy regentalnej, zawartej zgodnie z obowiązującymi w Królestwie postanowieniami Kodeksu Napoleona. W ten sposób zawiązało się około 100 stowarzyszeń. Wkrótce jednak regenci otrzymali zakaz konfirmowania takich umów, a to z powodu niedość jakoby jasnego sformułowania przez Kodeks Napoleona sposobu zawierania tego rodzaju spółek.

Dopiero w r. 1906, po wyjaśnieniu, że ustawy stowarzyszeń podlegają zatwierdzeniu przez miejscowych gubernatorów i że do nich powinny być kierowane odnośne podania, rozpoczął się iście żywiołowy pęd w kierunku zrzeszania się dla celów spożywczych. Dość powiedzieć, że w ciągu niespełna dwóch lat powstało 500 stowarzyszeń, z których około 100 *par excellence* robotniczych.

Oczywiście, nie zamierzamy twierdzić, aby zjawisko to było normalne i zdrowe, niepodobna bowiem przypuścić, żeby w kraju, nie przygotowanym zupełnie do tak bujnego rozwoju kooperatywy, znalazła się odrazu odpowiednia ilość ludzi inteligentnych, znających się na rzeczy i ożywionych chęcią pracy, a nadto roz-

porządzających doświadczeniem, niezbędnem do poprowadzenia Towarzystw bez narażenia ich na straty w samych zarządkach istnienia.

Ożywienie to świadczy jednak o jednym, a mianowicie o tej *tamie sztucznej*, jaką zagrodzone było nasze życie. Z chwilą usunięcia tej tamy, idea kooperacyi odniosła odrazu tryumf i przyparowała o zdumienie, a jednocześnie o pewne obawy, najżarliwszych swoich propagatorów.

P. St. Wojciechowski tak charakteryzuje ten moment zwrotny:

„Zjawiska takiego nie spotykamy w żadnym innym kraju, ani w Anglii po upadku ruchu chartystowskiego, ani we Francji po rewolucyi 1848 r., kiedy prąd stowarzyszania się dla celów zarobkowo-gospodarczych ogarnął szerokie koła ludności pracującej. Ten niezwykły, wprost żywiłowy sposób powstawania stowarzyszeń u nas nie pozwala jednak oddawać się złudzeniu, jakobyśmy na polu współdzielczości wyprzedzić mieli inne narody; niezaprzeczenie wśród wielu tych stowarzyszeń znajdują się takie, które nie przetrwają dnia jutrzejszego, zwłaszcza gdy się zważy na niski poziom kultury kraju, brak spokojnej energii i ducha stanowczości w przedsięwzięciach naszego ludu. Te setki stowarzyszeń każą przypuszczać, że w zarządkach ich znajduje się około 3000 ludzi, zdolnych kierować takim przedsiębiorstwem handlowym, jak stowarzyszenie spożywcze. Zkądże u nas, w Polsce, w kraju analfabetyzmu handlowego, gdzie przemysł i handel skupiły się w rękach obcych, mogłoby znaleźć się naraz aż tylu ludzi, do handlu uzdolnionych i z organizacją kooperacyi spożywczej obeznanych? Oczywiście — że olbrzymia większość ich — my wszyscy — to tylko ludzie dobrej woli, i daj Boże, żeby potomność do słów tych mogła dodać: *ludzie woli stanowczej i wytrwałej*. Jest jednak w tej nawałnicy stowarzyszeń jeden rys cenny, który pozwala serce i wolę rozgrzać nadzieją powodzenia. Oto zrzeszają się dziś ludzie niezamożni, biedni, robotnicy i chłopi — nie doktor, regent, aptekarz i kilku urzędników, jak mówiono dawniej, kiedy stowarzyszenia powstawały u nas raczej, jako wyraz mody, aniżeli piekającej ekonomicznej potrzeby. Dawne „Nadzieje“ i „Oszczędności“ ginęły nie dla tego, byśmy, jako naród, *do kooperacyi byli niezdolni*, ale dla tego, że szczepiono je na glebie najmniej do tego odpowiedniej — wśród ludzi średnio-zamożnych, o przyszłości zapewnionej i dla tego nie ceniących ani drobnych oszczędności, jakie kooperacya dać może, ani tych nadziei, jakie urzeczywistnia, fundując z nagromadzonych oszczędności trwałe instytucje przezorności i samopomocy. Dziś — stowarzyszenia

spożywcze u nas łączą tymczasem *przedewszystkiem* te zbiedzone rzesze ludowe, których usiłowania w Anglii, Belgii i Danii uwięzione zostały wspaniałem powodzeniem i to właśnie wnosi jasny promień nadziei w nasz początkowy pesymizm. Kooperacya była zawsze dobrą matką dla ludzi niezamożnych. W tych kilkuset stowarzyszeniach spożywczych mamy dla siebie nowe rozległe pole pracy, pole nieuprawione, ale żyzne, wydajne, bylebyśmy się do pracy wprzęgli wolą stanowczą i wytrwałą. Te setki stowarzyszeń mogą i powinny stać się posiadaczami milionów.“<sup>1)</sup>

Na obchodzące nas najbliższe pytanie, jaką siłę ekonomiczną przedstawiają obecnie stowarzyszenia spożywcze w kraju, najlepszą, chociaż niezupełnie ścisłą odpowiedź daje ankieta, przeprowadzona w roku ubiegłym przez czasopismo „Społem.“

Z liczby 670 stowarzyszeń spożywczych, których adresy posiadała redakcyja, 268 t. j. 40% ogólnej liczby odpowiedziało na rozesłany kwestyonyaryusz.

Przy podziale na gubernie ilość stowarzyszeń przedstawia się, jak następuje: w gub. piotrkowskiej istnieje 155 stowarzyszeń, w warszawskiej 125, w lubelskiej 79, w radomskiej 45, w kaliskiej 61, w łomżyńskiej 88, w kieleckiej 40, w płockiej 37, w siedleckiej 31 i w suwalskiej 9.

Z liczby 268 stowarzyszeń, które nadesłały odpowiedź, **100 ma siedzibę na wsi**, pozostałe 168 w osadach, miejscowościach fabrycznych i miastach. Największa liczba stowarzyszeń fabrycznych i miejskich przypada naturalnie na gub. piotrkowską, gdzie z 68 tylko 9 operuje na terenie wiejskim. Drugie miejsce z kolei pod tym względem zajmuje gub. warszawska, trzecie — radomska. W pozostałych guberniach liczby stowarzyszeń wiejskich i miejskich są prawie równoznaczne, z wyjątkiem płockiej, lubelskiej i kieleckiej, gdzie większość stanowią wiejskie.

Owe 268 stowarzyszeń, które odpowiedziały na kwestyonyaryusz, wykazują: 38,409 członków, 576,881 rb. kapitału udziałowego i sprzedają towarów za 5,924,436 rb. rocznie. Stowarzyszenia te utrzymują 73 filie, a więc razem 341 sklepów spożywczych, 6 piekarni, 2 rzeźnie, 1 masarnię, 1 warsztat krawiecki, 2 szewskie, 2 kaszarnie i 2 olejarnie.

Na podstawie tych danych p. Wojciechowski oblicza, że ogólna liczba istniejących w kraju stowarzyszeń spożywczych (670) posiada przypuszczalnie około 90,000 członków, 1,250,000 rb. ka-

<sup>1)</sup> Czasopismo „Społem“ № 21 z dn. 30 listopada 1908 r. str. 324 i nast.

piętału udziałowego, 13 milionów rubli obrotu i 750 sklepów, które dają zatrudnienie przynajmniej 1,500 ludziom.

Liczyby te pozwalają widzieć w nowym ruchu poważną siłę ekonomiczną, która może i powinna stać się ważkim czynnikiem w dziedzinie dalszego kształtowania się w kraju stosunków handlowych i przemysłowych.

Nie można jednak zamykać oczu na to, że ten sam kwestyonaaryusz stwierdza drugostronnie, iż  $\frac{1}{3}$  część stowarzyszeń nie osiąga w swej pracy wyników dodatnich, że niedomaga, a nawet ujawnia symptomy rozkładu i uwiądu.

Przyczyny takiego stanu rzeczy są jasne. Naczelne wśród nich miejsce zajmuje *nizki poziom oświaty*. P. Wojciechowski przytacza w tym kierunku rażący fakt: oto gdy w jednej ze spółek łódzkich trzeba było zrobić spis inwentarza, wśród 60 jej członków nie można było znaleźć 5 uniejących pisać! W takich warunkach całe kierownictwo przechodzi do rąk sklepowego i jego kumów. Jeżeli są oni ludźmi uczciwymi i nie skusi ich brak kontroli publicznej — sklep idzie jako tako; w przeciwnym razie po roku okazują się takie braki, że spółkę trzeba likwidować. Wyrasta z niej sklep prywatny, którego właścicielem najczęściej staje się dawny sklepowy.

Druga przyczyna upadku stowarzyszeń to sprzedaż na kredyt, oddawna potępiona przez wszystkich ekonomistów, teoretyków kooperacyi.

Trzecia wreszcie—to owa nieszczęsna *partyjność*, która wyrządziła nam już tyle krzywd na wszystkich polach naszego życia w latach ostatnich, to owo współzawodnictwo przedstawicieli dwóch różnych obozów politycznych w rwaniu się do wszelkiej władzy, a więc i do władzy w stowarzyszeniu.

Nie wchodzimy tu w dalsze szczegóły. Materiał, jaki w tym zakresie gromadzi nieustannie dwutygodnik „Społem,” jest tak obfity, że niepodobna go ogarnąć jednym rzutem. Nie kusiliśmy się też bynajmniej o to, aby dać w artykule niniejszym pełny obraz naszej kooperacyi spożywczej, szło nam jedynie o zwrócenie uwagi czytelnika na ruch, odbywający się obecnie w tej dziedzinie, na jego strony dodatnie, tudzież na najjaskrawsze jego braki, które mogłyby wskazać warstwom inteligentnym właściwe tereny dla ich pracy.

Cel ten został osiągnięty.

Z kolei przechodzimy więc do trzeciego działu kooperacyi, do stowarzyszeń handlowo-wytwórczych, wśród których przede wszystkim zwrócimy bliższą uwagę na stowarzyszenia rolnicze.

I tu od bardzo niedawna dopiero rozpoczął się zwrot ku lepszemu.

„Zalegliśmy pole—mówi p. Antoni Wieniawski z Chlewni. <sup>1)</sup> Nie z własnej wyłączenie winy, bo nie mogło być mowy o postępie tam, gdzie szerzenie światła, jako występpek, a jednocześnie się dla wspólnej pracy, jako zbrodnia prześladowane były.“

„A jednak—tenże sam autor stwierdza dalej—mimo żelazne więzy, krępujące nas na każdym kroku, zdołaliśmy i my, choć wolniej od innych, pójść naprzód. Wystarczy nam spojrzeć wstecz, porównać, jak kraj nasz wyglądał choćby dwadzieścia lat temu, a jak wygląda obecnie, a nabierzemy przekonania, że mimo wszystkie trudności — nie cofnęliśmy się. I to przekonanie doda nam wiary w siły własne i otuchy, że pójść naprzód i kraj dźwignąć zdołamy.“

Drogę, po której w tym celu iść należy, znamy. To *samo-pomoc*. Sprawy, o których gdzieindziej rządy mają pieczę, muszą być u nas prowadzone przez nas samych. Inicytywa prywatna i działanie zbiorowe są wszystkim w naszym ręku. A jednak i „to wszystko“ napotyka na przeszkody, z którymi łamać się musi.

Potrzebę solidarnej, wspólnej pracy nad podniesieniem rolnictwa, nad umożliwieniem włościaninowi korzystania z postępów wiedzy agronomicznej, podnoszącej wydajność gruntu, zrozumiano u nas oddawna. Władze rządowe jednak patrzyły nieprzychylnie na budzący się ruch w tym kierunku i paraliżowały wszelką inicytywę, zmierzającą do szerszej akcji wśród drobnych rolników.

Z chwilą dopiero, gdy stanowisko rządu uległo pewnej zmianie, zaczęły powstawać w Królestwie *Spółki rolnicze*, a następnie na zasadzie przepisów z dn. 4/17 marca 1907 r.—*Kółka rolnicze*—stowarzyszenia drobnych rolników, mających na celu poprawę gospodarstw włościańskich, a co za tem idzie i poprawę bytu ludności wiejskiej.

Spółki i kółka rolnicze powstawały w latach 1902<sup>2)</sup> do 1906 w rozmaitych okolicach kraju, ale nie miały z sobą żadnej łączno-

<sup>1)</sup> Biblioteka rolnika polskiego I. O naszych stowarzyszeniach rolniczych. Napisał Antoni Wieniawski z Chlewni. Warszawa 1906. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka.

<sup>2)</sup> Pierwsza spółka włościańska pod nazwą „Jutrzenka“ powstała w Miechowie w r. 1902. Pobudką do jej założenia była wystawa przemysłowo-rolnicza w Kielcach. W tymże roku powstała spółka „Różyce“ w Łowickiem.

ści, <sup>1)</sup> żadnej wspólnej organizacyi. Jedyłą instytucyą, której leżały na sercu sprawy kółek, była Delegacya drobnych gospodarstw przy Sekcyi rolnej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu; ale i ta, wobec przekształcenia Sekcyi rolnej w Towarzystwo rolnicze centralne — istnieć przestała.

Wobec tego ogólnie uznawano potrzebę zespolenia pracujących kółek i spółek rolniczych w jedną całość, połączenia ich w jednym stowarzyszeniu, które czuwałoby nad pomyślnym rozwojem kółek, wytwarzało ścisłą pomiędzy nimi łączność i możliwość *samopomocy* wspólnej.

W ten sposób powstał Centralny wydział kółek i spółek rolniczych w łonie C. Towarzystwa rolniczego, jako instytucyi, obejmującej kraj cały.

Po zorganizowaniu się Wydziału przystąpiło do niego 571 kółek, mianowicie:

w gub. warszawskiej . . . . .	133	w gub. kieleckiej . . . . .	30
„ kaliskiej . . . . .	148	„ radomskiej . . . . .	20
„ płockiej . . . . .	51	„ siedleckiej . . . . .	14
„ piotrkowskiej . . . . .	84	„ łomżyńskiej . . . . .	15
„ lubelskiej . . . . .	68	„ suwalskiej . . . . .	8

Z zestawienia tego widzimy, że liczba kółek w poszczególnych guberniach jest bardzo niejednakowa. Wynika to z różnorodnych okoliczności natury miejscowej.

Rozwój kółek w pierwszym roku ich istnienia, powstrzymywały liczne formalności i utrudnienia, z którymi połączona była działalność, oraz rejestrowanie i meldowanie kółek. To też za jedną z najpilniejszych spraw uznano opracowanie wzoru ustaw kółek i wskazówek, ułatwiających ich meldowanie i rejestrowanie.

Poczynając jednak od czerwca 1907 r. wskutek nowych wyjaśnień przepisów z dn. 14/17 marca 1906 r., komisye gubernialne zmieniły wymagania, a zatwierdzone poprzednio ustawy zostały *odrzucone*. Wobec bardzo różnorodnych i zmiennych wymagań w poszczególnych guberniach opracowanie nowego wzoru nastroczało duże trudności, gdyż trzeba było opracowywać nowe instrukcje i nowe ustawy kółek.

Oto typowe stosunki, jakie towarzyszą każdej pracy zbiorowej u nas!

<sup>1)</sup> I sprawozdanie z centralnego wydziału kółek i spółek rolniczych za czas od 15 maja 1907 do 1 stycznia 1908. Warszawa 1908.



Obok tych przeszkód natury zewnętrznej, niestety, zaraz w początkach rozpoczętej pracy powstał także rozłam wewnętrzny.

Wprawdzie Wydział Centralny kółek rolniczych zaraz na wstępie zaznaczył wyraźnie swój charakter bezpartyjny i sprawy polityczne i kościelne zupełnie wyłączył, mając jedynie na celu postęp gospodarczy drobnych rolników, niezależnie od dzielących ich różnic przekonaniowych, to jednak pewna część bądź już istniejących, bądź nowo powstających kółek, idąc za radą swoich przewodników i opiekunów z warstw inteligentnych, hołdujących hasłom demagogicznym i podkreślających sprzeczność interesów włościańskich z interesami t. zw. obszarników, uchyliła się od wspólnej pracy kulturalnej, do wydziału nie przystąpiła, stworzyła natomiast osobną dla siebie organizację centralną pod mianem *Związku kółek im. Staszica*, nadużywając w ten sposób imienia wielkiego patrioty i obrońcy włościan dla celów partyjnych, a ściślej biorąc, klasowych.

Nie wdając się bliżej w ocenę tego faktu, który był zjawiskiem poniekąd nieuniknionem w dobie fermentów i walk pomiędzy stronnictwami, przechodzimy do bliższego rozejrzenia się w działalności i charakterze kółek.

Oczywiście, nie możemy tu wchodzić w szczegóły i omawiać oddzielnie każdej z osobna spółki i każdego kółka.

Poprzestaniemy więc na przytoczeniu przykładów, świadczących najwymowniej o tem, co dobra wola, inicjatywa i energia jednostki uczynić może w najbardziej obchodzącej nas dziedzinie pracy ekonomicznej.

Przedewszystkiem zatrzymamy się na Spółce w Liskowie, w gub. kaliskiej, w pow. tureckim.

Do wsi tej przed 7-iu laty przybył, jako proboszcz, ks. Wacław Bliziński, który objąwszy parafię, rozpoczął w niej obok pracy czysto duchownej, także pracę obywatelską, mającą na celu kulturalne i ekonomiczne podniesienie ludu. Pomocnikami jego w tej pracy byli: wikaryusz miejscowy, ks. Wtorkiewicz i nauczyciel ludowy, p. Fr. Lipiński.

Po wspólnych naradach w d. 13 stycznia 1902 r. ci trzej ludzie zawiązali we wsi Spółkę handlowo-rolniczą i założyli sklep. Członków do spółki przystąpiło 35-iu z kapitałem zakładowym 500 rubli.

Już po upływie pierwszego roku wartość sklepu z 500 rb. podniosła się do 723 rb., a targ roczny wyniósł 4,125 rb. Członkowie od udziału 10-cio rublowego otrzymali **2 rb. 50 kop.** dywidendy!

Sklep ten rozwija się stale i w początkach r. 1907 wartość jego wynosiła już 1,110 rb., a obrót roczny doszedł do 6,000 rb., czystego zaś zysku w r. 1906 sklep dał 167 rb. Poczynając od r. 1905 czysty zysk roczny dzieli się w ten sposób, że 25% pozostaje obowiązkowo w sklepie, z pozostałych zaś pieniędzy daje się 10% członków na % od udziałów, a resztę rozdziela się pomiędzy członków w stosunku do wybranych przez nich w ciągu roku towarów.

Poza sklepem Spółka ułatwia członkom nabycie maszyn i narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych i nasion. Gdy w r. 1902 członkowie Spółki zakupili superfosfatu za 220 rb., to w r. 1907 już za 1,217 rb. Maszyn i narzędzi rolniczych zakupiono przez lat 5 za 1,800 rb. Z tej sprzedaży zyskano dla Spółki wialnię. Prócz tego Spółka posiada dwa siewniki i bronę sprężynową, ofiarowaną jej przez p. Wyganowskiego z Pietrzykowa. Pomyślnie rozwija się także i doskonałe daje wyniki dostarczanie członkom nasion doborowych do siewu.

W lipcu 1902 r. założono przy Spółce Kółko ubezpieczeń od ognia. Do Kółka tego przystąpiło 206 osób.

Następnie z funduszków, które pozostały z zysków sklepowych w r. 1904, założono kasę prywatną, udzielającą pożyczek na potrzeby rolnicze w wysokości od 5 do 50 rb. W tymże roku zakupiono na rzecz Spółki dom za 850 rb. W domu tym urządzono ochronkę i założono ulepszony warsztat tkacki przy pomocy ówczesnej sekcji przemysłu ludowego<sup>1)</sup>. Obecnie w ochronce uczy się 70 dzieci, a warsztatów tkackich jest 20, które wyrabiają płócienek za 400 rb. tygodniowo. Jeden warsztat ulepszony, wzorowy otrzymano bezpłatnie z Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Towar wyrabiany jest pod kierunkiem fachowego tkacza i odsyłany do Warszawy.

Jak widzimy, zakres działalności Spółki w Liskowie rozszerza się nieustannie. Nie koniec jednak na tem. W lutym 1906 r. postanowiono wybudować dom ludowy, któryby mieścił i salę na zebrania, i sklep, i ochronkę, i kasę, i warsztaty tkackie, i izby noclegowe dla dzieci, które z dalszych wsi na cały tydzień przyjdą do szkoły, wreszcie herbaciarnię.

Odpowiednio do tych potrzeb wypracowano projekt domu ludowego, którego koszt obliczono na 11,000 rb. Celem uzyskania funduszków na ten cel, Spółka wypożyczyła od różnych ludzi po 10 rb. od każdego, wydając na to kwity, z odpowiedniami za-

<sup>1)</sup> Porównaj artykuł *Z ludem dla ludu, I. Przemysł ludowy* w „Bibliotece Warszawskiej“ za wrzesień 1908 r.

strzeżeniami co do amortyzacji kapitału pożyczonego przez coroczne losowanie.

Dziś dom ludowy stoi już w Liskowie.

Nadto w parafii założono 7 ochronek, bibliotekę i czytelnię. Na szczególne podkreślenie zasługuje wreszcie fakt, że do Liskowa kilka lat temu przychodziły tylko 2 egzemplarze gazet ludowych, obecnie zaś przychodzi ich przeszło 100.

Nie mniej owocną, aczkolwiek z konieczności szczuplejszą, jest działalność *kółek* rolniczych.

Za przykład weźmiemy tu kółko rolnicze „Pług,” istniejące w Kampinosie, w pow. sochaczewskim.

Powstało ono w maju 1907 r. Liczy 117 członków. Posiada bibliotekę, złożoną ze 103 książek i prenumeruje 6 pism. Czterech gospodarzy, członków kółka, przeprowadza próby z tomasówką i superfosfatem pod oziminę, 10-u z żuźłami i solami potasowymi na łąkach, oraz 19 z rozmaitemi odmianami pszenicy i żyta. W ciągu roku sprawozdawczego zakupiono dla członków 2 wagony węgla za 314 rb. 50 kop. Za 3,358 rb. zakupiono w lesie rządowym działkę o 305 sztukach. Całą kwotę powyższą członkowie złożyli *jednorazowo*. Kółko posiada własny siewnik jednorzędowy. Za całodzienne użycie *dryla* członkowie płacą 40 kop., nieczłonkowie 80 kop. Członek kółka, który opiekuje się siewnikiem, ma prawo używać go za darmo. Zapobiegając zarazom, kółko pośredniczy w szczepieniach ochronnych. Zaszczepiono w pierwszym roku istnienia kółka 48 sztuk trzody chlewnej przeciwko róży z bardzo dobrym skutkiem. Pomimo panującej choroby w okolicy, ani jedna szczepiona sztuka nie padła. Jeden gospodarz posiadał 12 sztuk, z których 9 szczepił, 3-ch zaś sztuk nie szczepił. Nieszczepione sztuki padły wszystkie, 9 zaś szczepionych zostało przy życiu.

Kółko sprowadziło knura rasy  $\frac{3}{4}$  angielskiej, płacąc za niego 52 rb. 30 kop., na co wszyscy członkowie kółka złożyli *jednorazowo* 50 rb. Za użycie knura płaci członek kółka 50 kop., nieczłonek 75 kop. Utrzymującemu knura kółko płaci po 1 rb. 20 k. tygodniowo. Przez 11 miesięcy knur zarobił 23 rb. 50 kop., co jest dowodem, jak w danej okolicy był potrzebny.

W kółku w miesiącach zimowych odbywały się wieczorami kursy rolnicze. Prelegentami byli okoliczni obywatele. Powodzenie kursów było świetne.

Z całej działalności kółka widać żywe zainteresowanie i współdziałanie, oraz rzeczywistą chęć okolicznych obywateli do podniesienia kultury i oświaty wśród włościan.

Oczywiście, nie wszędzie jest tak samo, nie wszystkie spółki i kółka wykazują jednakową żywotność i jednakową ilość dobrej woli ze strony dworów sąsiednich <sup>1)</sup>).

Wybraliśmy jednak z rozmysłem przykłady najdotądniejsze, aby wskazać, co i w jakim zakresie może być zrobione na tem polu. A może być zrobione bardzo wiele. Działalność bowiem spółek, rozszerzając się stopniowo, ogarnie z czasem niewątpliwie szeroki zakres życia gospodarczego wsi polskiej, wnosząc we wszystkie jego dziedziny tyle pożądanego pierwiastek postępu.

Niedokładna uprawa roli, złe obchodzenie się z obornikiem, nie dość staranne pielęgnowanie zasiewów, brak paszy w gospodarstwie wskutek niedostatecznej uprawy roślin pastewnych, ogólne i zupełne prawie zaniedbanie łąk i pastwisk, niedostateczna siła nawozowa i brak niezbędnych pokarmów w roli, używanie złych nasion do siewu, zaniedbanie hodowli, trzymanie inwentarza w ciemnych, brudnych budynkach, niewypuszczanie zwierząt zimą na powietrze, złe karmienie i wskutek tego zbyt mały dochód z inwentarza, wadliwość gruntu i wskutek tego nadmierna wilgoć i zakwaszenie, *szachownice*, które są prawdziwą plagą rolnictwa, uniemożliwiająca w wielu wypadkach wprowadzenie wszelkich ulepszeń i zmuszająca do prowadzenia wbrew woli złego, zacoфанego gospodarstwa, zaniedbanie ogrodnictwa i pszczelnictwa, które nieraz, umiejętnie prowadzone, wielką dla gospodarza mogą być pomocą, wreszcie podniesienie wytwórczości przemysłowej każdego gospodarstwa, znajdującego się już w odpowiednich warunkach—oto najbardziej znane i najpilniejsze potrzeby <sup>2)</sup>), które zrzeczenia włościańskie mogą i powinny stopniowo zaspokajać.

Poza ogólnym typem spółki lub kółka rolniczego pożądanem byłoby tworzenie spółek bardziej specjalnych, o charakterze bądź *wytwórczym*, bądź *handlowym*, bądź *ubezpieczeniowym*, a więc zakładanie spółek mleczarskich, spółek hodowlanych, spółek nasiennych dla wspólnego wytwarzania i sprzedaży nasion ulepszonych odmian zbóż, koniczyn, traw, marchwi, buraków pastewnych i t. d.,

<sup>1)</sup> Opis działalności całego szeregu spółek włościańskich i kółek rolniczych znajdzie czytelnik w pracy p. Zenona Pietkiewicza: „Zrzeczenia wiejskie, dźwignia kultury i dobrobytu ludności wiejskiej.“ Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1907, tudzież w cytowanym już I Sprawozdaniu z Central. Wydziału kółek i spółek rolniczych.

<sup>2)</sup> Porównaj: „O naszych stowarzyszeniach rolniczych.“ Napisał Antoni Wieniawski z Chlewni. Warszawa, 1906. E. Wende i S-ka.

spółek ogrodniczych dla przerobu owoców i sprzedaży warzyw, spółek dla wspólnej sprzedaży jaj (za przykładem Danii, gdzie handel jajami rozwinął się dzięki spółkom znakomicie), wreszcie spółek melioracyjnych, tudzież spółek dla wzajemnego ubezpieczenia inwentarza od upadku.

Ta ogromna dziedzina pracy wspólnej, opartej na wzajemnem porozumieniu się drobnych rolników i dążeniu połączonemi siłami do jednego celu—leży u nas dotychczas odłogiem.

Pierwsze dopiero kroki stawia wśród włościan idea kooperacyi w dziedzinie mleczarstwa.

Początek temu ruchowi dała założona w r. 1903 w Desznie (pow. jędrzejowski) *maślarnia spółkowa*. Za tym przykładem poszli włościanie innych okolic i zawiązali dwie nowe spółki w Szkaradzie i Odechowie (pow. radomski).

Instruktor, który z ramienia dostawcy maszyn i przyborów, bezpłatnie urządził te maślarnie, podaje następujące szczegóły ciekawe <sup>1)</sup> i pouczające:

Mleczarnię w Szkaradzie założyło tylko 3-ch gospodarzy, „bo inni członkowie spółki nie chcieli zaryzykować swego grosza. Ci inni, nawet gdy już maślarnia była w ruchu, patrzali na nią z niedowierzaniem.“ Dopiero później przekonali się o jej pożytku.

Trzej wspólnicy maślarni w Szkaradzie własnego mleka mają zamało, więc biorą je od swych sąsiadów włościan i z folwarku. W Desznie już w *piątym* dniu istnienia mleczarnia przerobiła 411 kwart. Przedtem włościanie mierzyli na szkopki i nie zdawali sobie dokładnie sprawy z posiadanej ilości mleka. Zbierając śmietaną na przerób masła, potrzebowali najmniej 20 kwart na funt masła i sprzedawali je po 24 kop. najwyżej. Z chwilą zaś, gdy poszła w ruch mleczarnia, mają funt masła z 10 kwart i sprzedają go po 40 kop. Dochód zatem zwiększył się niemal w czwórnasób. Kobieta, mając mały dochód z mleka, nie wiele dbała o ilość masła wyrobionego i pozwalała na jego spożywanie w domu; obecnie zaś mniej masła używa w gospodarstwie domowym, a natomiast kupuje więcej słoniny. Stosunki się zmieniły. Dawniej posiadacz 6-iu krów miał rocznie dochodu z mleka 15 rb. dzisiaj zaś przy mleczarni, według obliczeń hr. Łosia, ma tyleż dochodu *miesięcznie*, a poza tem też samą prawie ilość mleka odłuszczonego na własną potrzebę.

---

<sup>1)</sup> Czerpiemy je z książki p. Z. Pietkiewicza „Zrzeszenia wiejskie.“  
Str. 82.

Wprawdzie dotychczas ruch w kierunku zakładania przez włościan mleczarni i maślarni udziałowych nie przybrał rozmiarów szerszych, to jednak ma on, jak to prosty rachunek wskazuje, ogromną przyszłość przed sobą.

Na razie, zanim włościanie sami zrozumieją wszechstronnie korzyści takich zrzeszeń wytwórczych, pozbędą się obaw i drobne swoje oszczędności chętniej zaczną obracać na cele kooperacyi bez lęku o poniesienie strat—poważną usługę sprawie uświadomienia ekonomicznego ludu oddają zakładane przez większych właścicieli ziemskich mleczarnie i maślarnie, które ułatwiają przynajmniej włościanom zbyt mleka po cenach bezwarunkowo lepszych, niż te, jakie chciał i mógł ofiarowywać im pachciarz.

Tego rodzaju pośrednictwo, najmniej dla włościan korzystne, a zakorzenione jeszcze głęboko w naszych stosunkach wiejskich, jest jedną z najpoważniejszych przeszkód w rozwoju kooperacyi wiejskiej, Żydzi bowiem, czy w tej czy w innej dziedzinie handlu, o ile mają wpływ na włościan, a mają go jeszcze często—starają się zniechęcić ciemny lud do „niepewnych“ eksperymentów zrzeszeniowych. Dzieje się to z łatwo zrozumiałych względów. Ludność żydowska naszych miasteczek i wsi przyzwyczaiła się uważać za swój monopol cały drobny handel i za pole do łatwych swoich zarobków cały przemysł ludowy, nie umiejący zorganizować sobie ani dostawy materiałów surowych, ani zbyt wyrobów.

To nieprzychylnie dla kooperacyi stanowisko ludności żydowskiej w kraju podkreślone było bez obsłon przez prasę żydowską z powodu zeszłorocznego Zjazdu stowarzyszeń spożywczych. Prasa ta identyfikuje poprostu ruch współdzielczy z ruchem antysemitycznym i wręcz wypowiada się przeciw zrzeszeniom ekonomicznym ludności wiejskiej i małomiasteczkowej, widząc w nich -- nie bez pewnych zresztą podstaw -- klęskę dla drobnych przedsiębiorców i handlarzy żydowskich.

Drugim, nieoczekiwanym hamulcem ruchu współdzielczego na wsi jest kobieta-włościanka.

Na ten ciekawy objaw zwrócił moją uwagę p. Antoni Wieniawski, podkreślając niechęć i obawę, z jaką gospodyni wiejska patrzy na kooperatywy nabiiałowe. Przyczyny tego szukać należy w starych tradycjach, na których mocy nabiiał należy do gospodyni. Ona nim rozporządza, jako karmicielka rodziny. Spożytkowuje znaczną jego część w domu, nadmiar zaś mleka, przerobionego na masło i ser, wynosi na jarmark. Odwieczny zwyczaj „jarmarkowania,“ wyludniający nasze wsi w pewne dni ty-

godnia, tkwi głęboko i znajduje gorące zwolenniczki wśród włościanek, które w kooperatywie widzą zamach na swoje dobre prawo odwiedzania miasta i spędzania pewnej ilości czasu w gronie okolicznych kunoszek i kmotrów.

Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na rolę, jaką jarmarki odgrywają w życiu towarzyskiem naszych włościan, pozbawionych dotąd rozrywek odpowiednich w domu; jeżeli nadto zaznaczymy fakt, że przy małym stosunkowo rozpowszechnieniu gazet i pism wśród naszego ludu, jarmark w miasteczku jest jedynym łącznikiem pomiędzy oddaloną od większych traktów wsią a szerszym światem, że zjeżdża się tam cała okolica i wzajemnie udziela sobie nowin,—to trudno nie uwzględnić w pewnym stopniu stanowiska odpornego, jaki gospodynie wiejskie zajęły wobec „nowych prądów.“

Nie ulega jednak wątpliwości, że ta odporność szybko będzie słabła w miarę szerzenia się i postępu oświaty.

Już dziś kooperatywa ma po swojej stronie włościan, którzy stanowią poważny liczebnie, a bardzo pilny zastęp słuchaczy na wszelkich odczytach, urządzanych przez Centralny wydział kółek i spółek.

Podobnie instruktorowie, delegowani przez wydział, są literalnie oblegani przez włościan i zarzucani najrozmaitszymi pytaniami, świadczącymi wymownie o rosnącym uświadczeniu ekonomicznem i gorącej chęci zwiększenia dochodów z gospodarstwa.

Z czasem więc, jeżeli w kraju powstaną szkoły rolnicze dla włościan, oświata ogólna i specjalna podniesie się choćby do skali elementarnej, nastąpi niewątpliwie zwrot stanowczy w kierunku właściwej oceny przez całą ludność wiejską doniosłego znaczenia kooperacji i rozpoczęty dzisiaj ruch nie tylko się utrwali, ale rozkwitnie i ogarnie sobą wszystkie miasta, miasteczka i wsie polskie.

Dziś jednak, przy niskim stanie oświaty, potrzebuje on pomocy w postaci nieustannej opieki ze strony warstw inteligentnych, czuwających z jednej strony nad budzeniem ducha współdzielczości wśród włościan, z drugiej przejętych rzetelną troską o rozwój normalny stowarzyszeń założonych, które nie zawsze na odpowiednich trafiają kierowników.

Gdzieindziej istnieją t. zw. *szkoły kooperatystów*, t. j. zorganizowane wykłady, na które seryami przyjeżdżają do miast włościanie z całego kraju. Po wysłuchaniu tych wykładów i złożeniu odpowiednich *colloquiów*, otrzymują świadectwa, na których mocy wchodzi dopiero do zarządów spółek.

U nas nie ma dotychczas takich kursów, a potrzeba ludzi inteligentnych i dających rękojnię jakiej takiej przynajmniej orientacji handlowej, jest daleko większa, niż gdzieindziej.

Jak więc temu radzić?

W pewnych kołach naszej opinii panuje przekonanie, że udział inteligencji niewłościańskiej i nierobotniczej nie jest w ruchu kooperacyjnym pożądany; że włościanie i robotnicy powinni sami ująć w swoje ręce sprawy własne i powoli zdobywać konieczne doświadczenie.

Przekonanie to, którego źródła łatwo się domyślić, aczkolwiek teoretycznie dałoby się uzasadnić — praktycznie wykazuje niechęć do liczenia się z prawdą, z temi stosunkami, jakie panują w naszym kraju, a jakie wytworzyły się przez długi szereg lat.

Jeżeli zastanowimy się poważniej nad znamiennymi słowami p. Stanisława Wojciechowskiego, wypowiedzianymi na I Warszawskim Zjeździe Stowarzyszeń spożywczych, dojdziemy łatwo do wniosku, że raczej, przeciwnie, cała inteligencja naszego kraju tak czy inaczej, dopomagać powinna ruchowi współdzielczemu wśród włościan i robotników, służyć im radą, wskazówkami, pomocą i opieką.

„Kooperacya—to szkoła solidarności—mówił p. Wojciechowski. Robienie oszczędności idzie tutaj w parze z kształceniem charakterów. Mamy miedziaki przerobić na złoto, a jednocześnie ludzi, nie wdrożonych do życia zrzeszonego, wychować na *obywateli, zdolnych do demokratycznego samorządu*. W tem streszcza się całe znaczenie ruchu współdzielczego, zmierzającego do podniesienia dobrobytu i kultury kraju. Droga ta nie jest łatwa. To, co zrobiono dotąd, to za ledwie kopanie fundamentów i nie można się spodziewać rychłych postępów budowania. Wiemy, z jakim materiałem ludzkim mamy do czynienia. Ludzie, wychowani w niewoli, nie znają umiarkowania; dziś zjednoczeni, jutro gotowi iść w rozsypkę dla lada powodu. Zrażać się tem jednak nie mamy prawa, nie wolno nam w siebie wmawiać, że, jako naród, nie jesteśmy zdolni do pracy współdzielczej. Zasługa nasza zacznie się dopiero wtedy, gdy ten pierwszy okres doświadczeń zwyczajko przetrwamy.

„Mamy wychować konsumenta, któryby stał się ostoją sprawiedliwości, uczciwości i porządku w przemyśle i handlu; mamy go nauczyć wzbogacać się przez rozumne użycie własnych zasobów i jednocześnie zaprawiać do samorządu w tej najniższej jego formie, jaką jest stowarzyszenie współdzielcze. Praca to żmudna, szara, a jednocześnie pełna poezji. I jeśli wolno mówić



o nowych typach ludzi, to my, kooperatyści, mamy prawo powiedzieć, że naszym *ideałem jest człowiek pełny*, łączący swą działalność praktyczną z silną, nawracającą wiarą, nowy—jeśli chcecie—typ Polaka, nie pełzający po ziemi i nie wlatujący w obłoki, ale taki, którego dewizą byłyby słowa: *naprzód ku przyszłości—wytrwałością i pracą!*<sup>4</sup>

Jak Polska szeroka i długa, niezależnie od różnic przekonańowych, od takiego lub innego pojmowania najbliższych zadań politycznych, społecznych i ekonomicznych, niezależnie od tego pryzmatu, w jakim załamuje się rzeczywistość w każdym poszczególnym umyśle—niema nikogo, ktoby się nie zgodził na tak pojęty ideał obywatela. Ale niema też nikogo, ktoby się odważył twierdzić, że jesteśmy bliżcy do osiągnięcia tych celów.

Odwrotnie, gdzie tylko zwrócimy oczy, spostrzegamy brak takich ludzi, spostrzegamy bądź dobrą wolę, połączoną z niedołęztwem i brakiem wytrwałości, bądź zupełną apatyę i obojętność, bądź, wreszcie pospolite warcholstwo, lub krańcowy egoizm, wyzykujący hasła solidarności dla swoich własnych celów. Po nad tem wszystkim jednak góruje i rozlewa się szeroko ogromne morze ciemnoty, tłum, złożony z jednostek, nie połączonych z sobą niczem, oprócz mechanicznego związku, przypominającego piasek, zsypany przypadkowo na jedną stertę.

Ten tłum przerobić, uświadomić, podnieść, zespolić drogą zaszczepienia mu pojęć o wspólnych, jego własnych interesach i wspólnych obowiązkach, w luźnie idącej gromady uczynić karne i w porządku idące hufce — stanowi zadanie pierwszorzędne, ciążące w jednakowym stopniu na wszystkich, którzy zdają sobie sprawę, że to czynić trzeba.

Terenem, na którym praca taka może się rozwinąć najlepiej, jest niewątpliwie dziedzina kooperacyi, która z istoty swojej powinna być wolna od trucizn partyjności, która nie ma widoków politycznych, nie działa w imię zwycięstwa i przewagi tego lub innego programu, tego lub innego stronnictwa, ale w imię dobra ogółu, w imię powiększenia materyalnych i moralnych zasobów narodu.

Ludzie najrozmaitszych przekonań mogą sobie na tym terenie podawać ręce i iść obok siebie, nie przeszkadzając sobie, bo jak słusznie mówi G. J. Holyoake: „Kooperacya nie pożąda niczyjego majątku, nie popełnia rabunku, nie wstępuje w żadne potajemne związki, nie posługuje się gwałtem, nie sprawia kłopotu politykom, nie wywołuje zaburzeń i zawikłań w społeczeństwie, nie żąda od nikogo łask, nie wchodzi w umowy z leniwymi, nie

zawodzi zaufania ludzi pracowitych, ale oznacza jedynie samopomoc, samozależność i zdobywa tylko to, co człowiek może osiągnąć *przez myśl i pracę.*“

Podkreśliłem wyrazy ostatnie, bo stanowią one dwa światy odmienne, dwa pierwiastki postępu, które dopiero połączone razem do pomyślnych prowadzą wyników.

W naszym społeczeństwie ani tego połączenia, ani harmonii pomiędzy myślą a pracą niema w stopniu zadowalającym.

Warstwy robotnicze i włościańskie pracują, ale świat myśli jest tylko przywilejem nielicznych, wybranych i szczęśliwszych.

To też dla zbudowania mostu pomiędzy myślą a pracą, dla scharmonizowania tych dwóch światów w jednym organizmie narodowym, niezbędną jest rzeczą, aby wszelkie poczynania warstw pracujących znajdowały nietylko oddźwięk, ale pomoc i opiekę w warstwach inteligentnych.

Przebiegliśmy pokrótce obraz całego ruchu kooperacyjnego u nas. Widzieliśmy braki i niedomagania instytucyj kredytowych, stworzonych przez rząd, poznaliśmy następnie przeszkody, z jakimi walczyć musiały pierwsze próby współdziałania, zobaczyliśmy wreszcie bogaty siew przyszłości, jaki padł w ostatnich latach.

Żywiołowy i zaiste zdumiewający pęd do zakładania stowarzyszeń ogarnął cały kraj. Zaroilo się od ludzi chętnych do pracy i praca ta rozpoczęta została z nadzieją i wiarą. Zachodząc jednak muszą poważne obawy, czy społeczeństwu, żyjącemu dotychczas w warunkach anormalnych, starczy tchu, czy siły jego nie wyczerpią się i czy nie staniemy w pół drogi?

To pytanie niepokojące nasuwa się w jednakowym stopniu wszystkim, którzy zajęli się bliżej i gorliwiej sprawami ruchu współdzielczego.

Brak ludzi. Wszędzie, gdziekolwiek się zwrócić, słyhać utyskiwania na to, słyhać wypowiedaną głośniejsz lub ciszej troskę o przyszłość stowarzyszeń, których zaledwie część nieznaczną weszła odrazu na drogę zdrowego rozwoju, a ogromna większość zaledwie wegetuje.

Otóż brak ten należy usunąć, ludzi należy stworzyć, przygotować, zaprawić do pracy.

Uczynić to może czas, jak chcą jedni i uczyni niewątpliwie, ucząc przez doświadczenie. Ale jednocześnie nierównie szybciej zaradzić może złemu dobry przykład, ofiarna wola obywatelska i gotowość sił inteligentnych w społeczeństwie do pomocy.

Nie stoimy bynajmniej na tem stanowisku, abyśmy uważali, że inteligencya powinna być inicjatorką wszelkich poczynań współ-

dzielczych, że powinna zakładać stowarzyszenia spożywcze, kredytowe, wytwórcze i inne własnymi kapitałami i prowadzić je dla włościan i robotników.

Byłoby to najzupełniej sprzeczne z istotą samopomocy ekonomicznej i wkraczałoby poniekąd w dziedzinę filantropii.

Zadaniem jednak inteligencji, i to zadaniem, które się jej narzuca z całą siłą, jest praca nad budzeniem myśli, nad popularyzowaniem haseł kooperacji, nad popieraniem jej dążeń i wyjaśnianiem jej celów.

Doprowadzić do tego, aby w danej wsi ludność włościańska zrozumiała, że założenie spółki lub kółka leży w jej interesie, żeby nie zawahała się uczynić to własnymi środkami, żeby odczuła potrzebę wspólnej pracy, a następnie, rozpoczynając ją, nie zwichnęła rzeczy w samym początku, ale wspierana dobrą radą i światłami wskazówkami, doczekała się owoców z drzewa swoich nadziei — oto wszystko, co czynić należy, a co prędzej czy później uczynią inni—może nie z tych bezinteresownych, nawskroś obywatelskich pobudek, jakie pragnęlibyśmy wszyscy widzieć na *bezpartyjnych* sztandarach pracy *współdzielczej*, jako pracy nawskroś *kulturalnej*.

Z. DĘBICKI.

# STELLA.

Adryan pamiętał doskonale: twarzyczka ta biegła przed nim wśród najzawilszych, najbardziej oderwanych wydarzeń życia... Był jeszcze bardzo małym chłopcem, kiedy to bawił u babki — w Medyolanie. Tam pokazywano mu tę śliczną, drogą dziewczynkę, która później przecież stała i wiernie królowała w jego urojonych historyach — powtarzała się jak stały, uświęcony motyw w dal idącej tkaniny...

Jakże musiała się zmienić! Tyle lat... Był teraz wprawdzie jeszcze bardzo młody — ale wówczas... Wówczas nosił jeszcze piękną krezę i długie włosy, nazywano go „odrobinką“ i powszechnie stawiano na stole, zarówno na przywitanie, jak też i w innych niemniej uroczystych celach.

A teraz miał ją znowu zobaczyć. Taki szereg długich, niepodobnych do siebie lat... Jakoby po zimie wybuchła nagle wiosna olśnień i zapachów. Ach! życie — życie!

Odetchnął całą piersią — z rozkoszą spojrzął w świat szeroki, piękny, pełen kolorów.

Od kilku lat mieszkał już we Włoszech — przeróżne okoliczności sprawiły wszakże, iż dopiero teraz, osiadłszy na dłużej we Florencyi, mógł odnowić tę dawną, zapomnianą znajomość.

Włóczęąc się kiedyś po muzeach zetknął się z poważnym starcem, którego typ zainteresował go bardzo. Zaznajomili się łatwo, a wśród rozlicznych dyalogów doszli wreszcie do wniosku, że mieli wspólnych przyjaciół: babka Adryana znała się i przyjaźniła z rodziną komandora Zecca, on zaś słyszał od niej nieraz o dalekich krewnych w Polsce. Tak nawiązała się nie wspomnień.

Kiedyś, opowiadając o przeszłości, Adryan rzekł żartobliwie, że spotykał u babki pewną czarodziejską dziewczynkę. Opisał jej wygląd i lata, kiedy to się wydarzyć mogło.

Komandor klasnął w dłonie.

— To była Stella Grani, moja chrześniaczka!

— Mnie zaś to wszystko wydaje się jak sen... Więc żyje? istnieje?

— Nawet niedaleko stąd... Rodzice jej pomarli: mieszka na wsi, pod opieką dalekiej krewnej—kochane dziecię... Ach! gdybym był wiedział wcześniej... Ale to nic. Chcesz? pojedziemy tam jutro...

I tak powstał nagle projekt tej nieco fantastycznej, niespodziewanej wizyty.

A teraz jechali już w staroświecki, pocziwy, wysoce romantyczny sposób: powozikiem wiejskim, przez *vetturina* powożonym—nie za pomocą pary, ani elektryczności, ale muła czarnego, rosłego, okrytego siecią starodawnej uprzęży, brzęczącej setką dzwoneczków i dzwoneczków.

Od nagranych już nieco krzów różanych, od mirtów przydrożnych, od sadów—poczęły płynąć silne, ożywcze wonie wsi. Wszystko było ogromnie poranne, świeże i czyste jak kryształ.

Posuwali się w pięknym pejzażu starej Toskanii podobnie do swobodnej, lekko biegnącej myśli.

Droga szła teraz silnie pod górę—muł zwolnił kroku. Przerwały się szerokie, odkryte pustkowia—drogę poczynały okalać mury sadów zarosłych zielenią. Chwilami było niemal parno, w powietrzu ważył się upał powstającego, gorącego dnia. Łaski piniowe pachniały żywicą.

Adryan uczuł wtenczas błogą, błogą tęsknotę. Przez chwilę doznał w sobie słodkiej tkliwości na myśl, że tam, daleko, za górami, leży przecież jego droga, kochana ziemia...

Zielenią się dopiero zlekka, zlekka stroi—łęklewie okrywa się runią—dzwoniące skowronki nad nią: pieśni królów świtowych...

Jakże to cudny las taki, z sosen starych, szumiących, wybudowany jak tun—wielka świątynia Boga: pieśń w nim i hymn o sile, co wszystko krzepi—wszechczasu i wszechżywota poezya... Na zboczu macierzanki bujne kępami rosna, pachnąc, jak kadzielnice: cudny las—dryady w nim mieszkają i myśli zbożne: wszelkie lekarstwo duszy... Hej, szumie ty—gędźbo wysoka, nieśmiertelna, najpierwsza, przewidziana kraso ziemi, dalekiej, jedynej ziemi!

Buchała już w nim tęsknota, rwąc jak potok.

Aliści wpadli teraz pomiędzy gęsto zarosłe ogrody, stare winnice i sady cieniste.

Toczyli się wartko, skręcając gwałtownie, ku dolinom. *Vetturino* palił z bata w szalony sposób, komandor prostował się z zadowoleniem. Adryan był coraz ciekawszy, aż wreszcie, niewiadomo czemu, poczęło się w nim zrywać i rozpierać serce, jak wzburzona głębia.

Po mistrzowsku osadził muła *vetturino*!

Tylko się mignął mur szeroki, dom stary na wyżach nierównych przyczepiony—i weranda obszerna, okryta zielenią, ochłodna, wonna od kwiatów znalazła się tuż przed wózkiem, tak przedziwnie skończenie i szybko—jak we śnie...

W powietrzu drżała jeszcze ściszona kaskada dzwoneczków: muł, kiwając łbem i opędzając się od much, strząsał z siebie nowe, dzwięczące fale.

Wpadło to wszystko w ten cichy eden, jak ogromny huczący bąk w spokojne zacisze—dom zdawał się budzić i oczy przecierać.

Wielka, stara kobieta szła teraz szybko ku nim, wydając już zdaleka radosne okrzyki.

— Oto ci radość—*ecco la sorpresa!* Nie darmo miałam sen... *O San Clemente!* w kabale miałam trzy razy: miły gość, jak wół. Och, komandorze — pozwólże, wasza łaska, wszyscy święci! jakiś cudzoziemiec! mieliśmy wczoraj hecę z Paolem, chce się gwałtu żenić z małą Margheritą... z Villa Fresca... słyszane rzeczy! Taki stary hultaj... Kucka już nie kuleje—tylko patrzeć jak przyjedziemy do miasta... Stella uszyła sobie nową suknię: cud—nie suknia, skończenie świata! Objawienie niebieskie, jak ta dziewczyna w niej wygląda... Komandorze, oszalejesz, wasza łaska! Proszę, proszę!—pozwólcie panowie, do cieniu, do ochłody... Lorenzo, ty stary łotrze, dostaniesz zaraz wina — co robi twoja Liża—zdrowa? A dzieciaki?...

— Ciotko Klemencyo—usiłował przerwać komandor—ciotko Klemencyo, opowiemy sobie wszystko w swoim czasie; chodźmy w cień, zaczyna dopiekać—gdzie Stella? To jest pan Adryan Ordeschi...

— Ordeński — poprawił tamten.

— Mój przyjaciel, Polak... Ciotka Klemencya Fulgor, najzaczniejsza kobieta na świecie...

— Miło mi poznać...

Silnie, po męsku, ucisnęła im dłonie swoją dużą, brązową od słońca ręką. Adryan poczuł niewytłómaczoną sympatyę dla tej kobiety. Patrzał w jej wielką, energiczną twarz z śladami

urody; czarne, nasycone błyskami oczy, herkulesowe, potężne kształty — i uśmiechał się, jak do dawnej odnalezionej znajomej.

Ona tymczasem krzątała się żwawo, biegła jak fryga, co przy takim ogromie wyglądało przedziwnie. Opowieści poplątane i zgniatające jedna drugą sypały się z jej ust w szalonym tempie. Gestykulacja, błysk czarnych oczu, wspaniała sylweta, zdania cięte, lapidarne, w stylu Boccaccia...

— Co za typ! — myślał Adryan. Był oczarowany.

Duży, owalny stół w łodzi okrył się momentalnie białym obrusem, pojawiły się na nim talerze, szklanki, pękata „fieska“ w opłatankach i kwiaty świeże, nazęte w pęk, osadzone w wielkim, prostym garncu, do starej amfory podobnym.

— Czy *ona* wie, żeśmy przyjechali? — pytał komandor.

— Słyszała, a jakże... jakżeby nie słyszała — dalekoż to była, na tarasie — koło swoich róż... oho — stroi się pewnie, zaraz tam wpadnę... Steella! Steelliina!

I nawołując, furcząc spódnicami, wykrochmalonym, białym fartuchem, gestykulując i tłómacząc, znikła ciotka Klemencya we drzwiach i głębi.

Komandor rozparł się w krzesło rozkoszując się słodyczą wiejskiego zacisza. Adryan zaś przechadzał się niecierpliwie spoglądając na okolicę i co chwila patrząc we drzwi.

Piękny, upalny dzień rozżłacał się coraz potężniej — różowe wzgórza zamykające horyzont topiły się w turkusach niebios, jak słodkie sny. Coś tak zbawczego, jak sama miłość, zdawało się wypełniać powietrze. Krótkie chwile płyną tak wolno... Adryan doznawał teraz wrażenia, że stoi w łodzi wieki całe, jak stary posąg.

Rozmarzył się ciszą, oderwał od miejsca — płynął gdzieś duszą...

Lecz wtem otworzyły się drzwi i ukazała się w nich młoda dziewczyna w krótkiej, białej sukience.

Jakaż była piękna! Ach, jakaż piękna!...

Zaraz spostrzegła obcego przybysza; prześliczną twarz przesłonił rumieniec.

— O cudzie! przed którym wszystko klęka — myślał Adryan i pozostał bez ruchu. Natura jego, wrażliwa na piękno, otrzymała cios zupełnie nieoczekiwany.

Tymczasem komandor porwał się z krzesła, wydając okrzyk radosny.

Pobiegłszy ku niemu, ucałowała go serdecznie, objawszy ramionami za szyję.

Opamiętał się Adryan; ruszył z miejsca, usuwając się w cień— odwrócił się nawet zupełnie, patrząc chciwie w daleki krajobraz. Nie widział go wcale, jeno błękitne mgły swych myśli skłóconych... Objął silnie dłońmi balustradę lodżyi, usiłował otrząsnąć się z czegoś, co, jak mocne wino, szło mu do głowy.

Ktoś ujął go pod ramię. Przed nim stał komandor promieniejący humorem:

— Cudzoziemiec się stropił — pozwól, *carina*: pan Adryan Ordeschi...

— Ordeński.

— *Si, fa niente...* Mój kochany przyjaciel — Stella Grani, moja córka chrzestna i radość mojego życia. Spotykaliście się, pamiętasz małego Polaka u zacnej *signory* Ercolani?...

Spojrzała lekko zdumiona i cała różowa; on zaś skłonił się nisko i uściśnął maleńką, życzliwie podaną dłoń.

Wtem weszła z szumem ciotka Klemencya, zapraszając do stołu. Zasiedli wszyscy wokoło.

Rozlano w duże szklanki purpurowe, pienne wino, chłodne, jak woda potoczna z gór. U stóp lodżyi zjawił się Lorenzo, stary *vetturino*. Zaproszono go dalej—a Stella, przechyliwszy opłataną „fieskę,“ naląła mu pełną po brzegi ogromną szklanicę i, upiwszy odrobinę, podała.

— Niech żyje panienka!—zawołał *vetturino* wznosząc kryształ, i pił chciwie aż do dna; a Stella śmiała się doń wesoło, rozchyliwszy swe cudne, poróżowione słodkim rubinem usta.

— W Poggio-Reale napije się człek ochoty do życia—skoro się was napatrzy, panienko! — rzekł poważnie Lorenzo.

— Ejże, piękny świat Bóg stworzył!—dodał ruchem dawnego wdzięku nadstawiając szklanicę.

— Spije się — krzyknęła ciotka — on ma słabą głowę!

— Nic mu nie będzie — przeczył komandor.

— *Evviva!*—wołała Stella, przechylając „fieskę“ i wtóry raz wypełniając *bicchierone* po brzegi.

Adryan patrzył na to wszystko, jak na sen. To jest owa malutka Stella, owa dziewczyneczka z cudownemi oczami, mówiąca kiedyś — już tak dawno — słodkim, nieznanym wtenczas językiem?... Nieuchwytnie, niezgruntowane nigdy dotąd marzenia tyłu, tyłu ubiegłych lat... Żywa, prześliczna, wdzięczna, stokrotnie piękniejsza i miłsza niż tamta, która już stała się tylko obrazem, jakby mgłą kolorową — dziwną bajką.



— Więc to ta sama, nieprawdaż—rzekł komandor—ta, którą widywałeś u babki Ercolani; widzisz jak wyrosła, lata biegną—dzieci stały się ludźmi—pamiętasz go, Stello?

— Jak przez mgłę: widzę ogród, drzewa, huśtawkę, jakiś mur stary...

— Nic więcej?...

— O nie: widzę też chłopca—był mały, drobny, jasny, mówił nieznanym językiem, śmiano się, że ma imię cesarskie...

— To był on.

Patrzała weń głęboko swemi czarnemi oczyma.

— Pamiętam, że był dobry—bardzo dla mnie dobry.

— Ufam, że lata nie uczyniły go złym—żartował stary pan.

Adryan pokraśniał i rzekł:

— A ja, jeżeli można tak powiedzieć, pamiętam panią coraz więcej... Po powrocie do kraju, chociaż tak mały, byłem bardzo nieszczęśliwy—ach, stare, drogie wspomnienia!

Odczuwał teraz coraz wyraźniej, że stało się coś takiego—jakby powrócił—przyłgnął do niej oczyma i duszą.

Śniadanie było znakomite. Komandor sączył zwolna swoje wino, słuchając tysięcznych opowiadań ciotki Klemency. Lorenzo przysiadł też u podnóża łodży i spożywał kopiąsty talerz, naładowany przez Stellę.

Adryan patrzył na dziewczynę; miała nieopisany wdzięk w każdym ruchu; była to wytworna prostota, właściwa ludom o prastarej kulturze; prostota, którą się spotyka w antyku. Przebiegł myślą znane sobie kobiety z eleganckiego świata i czuł, że wyglądałyby przy tej nędznie i pociesznie. Otrząsnąwszy się z pierwszego olśnienia, patrzył na nią teraz spokojnie i z rozważką wrażeń; lecz zachwyt jego wzrastał się wciąż—uczuwał w sobie zawsze duże zdolności do kultu dla podobnie doskonałej całości.

— Czy pani jest Florentynką?—zapytał wreszcie.

— O nie. Urodziłam się w Cadore, wie pan: Pieve di Cadore—ojczyzna naszego Tycyana; zna pan cudowny pejzaż w „Amore sacro e profano?” Był pan w Rzymie, w willi Borghese?

— Krótko, niezmiernie krótko. Tak, któżby nie znał: krajobraz przesycony złotem, trochę dziwny, góry...

— Tak, góry. Już nie Alpy, a jeszcze nie morze—nasze góry Cadore! Stamtąd jestem, panie.

— A więc Cadore jest ojczyzną nie tylko Tycyana i pani, ale i piękna wogóle.

— Ach! tak... rozumiem pana, wszyscy mi to ciągle mówią. Wie pan—powinno być zepsuta i bardzo zła; ale, zdaje mi się, że tak nie jest.

— Czy panu się tu podoba, u nas? — dodała szybko, zmieniając rozmowę—czy pan podróżuje dla mody, dla *spleenu*, z musu—prawda, że nie? Pan kocha nasz śliczny kraj, prawda? jakżeby go nie kochać... trzebaby poprostu nie mieć wcale serca...

— Ja zaś je mam i jestem szczerze rad z tego.

— Ach, serce — mówiła teraz dziwnie poważnie, prawie ze smutkiem — serce... Wie pan, zdaje się, że coraz mniej ludzi je ma—dodała wspierając cudowną twarzyczkę na rękach, złożonych dłońmi ku sobie (był to gest wielkiego wdzięku)—spotyka się je w poezjach, ale poeci i autorowie są tam prawie zawsze nie-szczerzy.

Te ostatnie słowa powiedziała już niemal żałośnie, patrząc ze smutkiem w jakąś dal.

Komandor wniósł się.

— Stellina, bądź dziecię wesołą — rzekł — młodym i bogom smutek nie przystoi.

— Signorina Stella ubolewała właśnie nad zanikiem serca u ludzi — objaśnił go Adryan.

— Ach, si—jej go zawsze zamało i odmawia go wszystkim; a jednak, *carina*, ja je mam, czuję dobrze, o! — mówił, przyciskając lewy bok—bije zawsze nierówno, pęknie kiedyś, kiedy się tego najmniej spodziewę, sama zostaniesz, biedaczko...

— Nie mów tak, *padre*, nie mów, przestań! — Rzuciła mu się na szyję, okrywając głośnymi pocałunkami wielką, ogorzałą twarz o rysach z brązu (komandor przypominał patrycyuszowski typ z fresków Ghirlandaja) — kocham cię, nie mogłabym żyć... Dobry! Kochany!...

— Ach, wierz mi: z tobą i dla ciebie chciałbym żyć wiecznie!

Trzymał ją w objęciach silnie, przytuloną do siebie, piękną nad wyraz, wzruszoną, z operlonemi rzęsami przepysznych oczu...

— Stellina, jesteś dzieciak! — zawołała ciotka Fulgor—dzięki Bogu, żyjemy wszyscy i zdrowi jesteśmy, a ty, komandorze, wyglądasz, wasza łaska, jak ówik i niepotrzebnie straszysz nasze kochanie — błogosławmy Boga za to, co nam dał i chodźmy pokazać ogród naszemu gościowi.

— Tak, niech żyje ciotka! — rzekł komandor, ucałował w czoło Stellę, i wszyscy powstali.

Śniadanie w łodzi skończyło się. Uściskano się za ręce.

— Chodźmy!—powiedziała miękko Stella. I pobiegła przodem, wskazując drogę.

Adryan podążył za nią ochoczo.

Szła teraz przed nim lekka, zwinna, o precudnych liniach torsu młodego i gibkiego; nie mógł oderwać oczu... Ścieżynką, okalającą dom, zbiegła szybko w dół, ku ogrodowi, rozłożonym wdzięcznie i bogato. Zdała słycać było potężny głos ciotki Klemency i śmiech komandora — zblizali się powoli.

Adryan łatwo podlegał wrażeniom, z których zaraz układał historye... To spotkanie z najpierwszym, dziecinnym jeszcze, zachwytem swej duszy, żywym, realnym, rzeczywistym, na tle pejzażu cudownego, wśród typów wprost nadzwyczajnych, wprawiło go w stan dziwny wielkiej prostoty, swobody i zupełnego, tkliwego oddania się urokom chwili.

Wtem śliczna panienska zatrzymała się przy zakręcie muru obrośniętego różami.

— Patrz pan—wołała z przejęciem—patrz pan, co za widok! Jak tu pięknie! prawda?!...

Szerokim ruchem objęła krajobraz.

Adryan zbiegł szybko, przesadzając jednym susem kamienne schodki, po chwili był już przy niej i patrzył.

Stali tak blisko, że przy każdym oddechu ramiona ich stykały się leciuchno, niedostrzeżenie.

Długą chwilę milczeli, bo widok był rzeczywiście niesłychany.

Wtem Adryan rzekł, nim pomyślał:

— Raj.

— *Si*—powiedziała tak cicho, że niemal bez dźwięku, on zaś mówił dalej, nie patrząc na nią, lecz w krajobraz.

— Przypomina się babki mojej dom, i stary mur i huśtawka i dziewczyneczka mała: kiedyś opowiem pani może więcej, jakie to były piękne chwile; ale teraz wydaje mi się już to, niby malowany jakiś sen, *fresco* stare, w którym złoto czasem błysnie...

Obróciła ku niemu spojrzenie jasne i rzekła:

— Tak, nie robi pan wrażenia obcego: jak przez mgłę daleką przypominam sobie panią Ercolani, staruszkę, ten wielki dom i ogród... Więc pan poprostu powraca. Witam pana w kraju przodków!

Podążyła mu rękę i uścisnęła z całej mocy.

Zatrzymał ją nieco dłużej w swej dłoni i, patrząc w oczy, mówił:

— Dziękuję z głębi duszy!

— A więc: niech żyje powrót!

— Niech żyje!

Było samo południe. Daleki, przytłumiony odległością huk rozpląnął się w powietrzu.

— Armata. Słyszysz pan?

— Skąd to?

— Z Florencji. Na pańską cześć. Żałuję, że nasza willa nie jest zamkiem obronnym, kazałabym walić z wszystkich dział, osobiście przykładałabym płomieniste lonty... *Evviva! Evviva!* hucałoby w dolinach.

— I to wszystko na moją cześć?

— Potroszę tak, a potroszę na cześć mego dobrego humoru. Powrót jest piękną rzeczą i warto ją uczcić. Chodźmy stąd, bo ciotka Klemencya już od dziesięciu minut kiwa na mnie ręką...

Pobiegła śpiesznie, a roztrącone jej suknią różane gałązki zdawały się silniej pachnieć. Adryan sunął za nią posłusznie. Dawno już nie czuł się tak lekkim, swobodnym, pełnym wiary w życie...

Tymczasem zbliżała się ogromna pani Fulgor, gestykulując:

— *San Clemente!* Jak można nudzić tyle czasu. Nie słyszałaś nawet, jak signor Zecca wołał, że przywiózł nowe nuty. Ach, ty *farfallina*, zawsze cię można znaleźć wśród tych róż... Jakże się tu panu podoba? Pięknie, prawda? Kocham Toskanię za te cuda, choć nie stąd jestem; piękna ziemia, nie ma co mówić; mieli rację ci wszyscy, co się tu porodzili i umarli... *Gran Dio!* spać na tych błogich wzgórzach, wiecznym snem! W pańskim kraju pewnie śnieg leży, jak rok długi; jeżdżą te, jakże to—te, ach tak: sanie, widziałam to raz, będąc w Tyrolu... Przeklęte Austryjaki, pomyśleć, że cały Piemont, boska Wenecja. Pozwólcie państwo, komandor jest już w salonie, kręci się koło fortepianu — tedy, tedy...

Weszli obszerną sienią. Czerwoną, wypolerowaną podłogę z kamienia w części okrywały maty, w części szerokie, pąsowe chodniki z białym płótnem pośrodku. Na jednej ze ścian wisiał kolosalny zegar z przepysznie cyzelowaną tarczą; miarowy szmer jego wahadła działał bardzo przyjemnie. Pod ścianami, malowanymi na kolor pompejański, stały rzędem długie ławki rzeźbione z poręczami. Groteski starorzymskie pokrywały wysoki sufit. Drzwi w głębi były uchylone, lecz widok zasłaniała ciężka portjera z pluszu. Z po za niej słychać było fortepian.

Stella weszła szybko w ten cały mrok, jak promień słoneczny.

Teraz między Adryanem i panią Fulgor nastąpił krótki spór, kto powinien wejść pierwszy—galanterya odniosła zwycięstwo.

Idąc ostatni, widział za rąbkiem portyery białą sylwetkę Stelli biegnącej w smudze światła przed nimi.

— *Farfallina*—pomyślał—rzeczywiście: ona jest jak motyl...

Z prawdziwą rozkoszą patrzył na tę drobną, znikającą postać—z wielką przykrością ujrzał, że mu ją znowu zasłoniła firanka.

Roztargniony, przebył gabinet, pełen małych obrazków w złotych ramkach — poznał starych Holendrów... Wchodził do ogromnego, wspaniale zastawionego salonu.

Piękny dywan okrywał posadzkę. Na ścianach wisiały dwa pyszne arrasy, wielkie jak żagle. Staroflorenckie, rzeźbione meble stały pod ścianami i koło stołu zarzuconego książkami i tekami..

Stella grała już.

Musiła to być jakaś stara, morska piosenka. Miała swój typ i nieopisaną słodycz dali, a Stella grała ją tak, że widziało się niemal barkę mknącą na falach... Niewiedomo dlaczego Adryanowi przypominał się teraz wielki sosnowy las, w którym spędził dzieciństwo.

A w lesie bajka o dalekiej, ślicznej dziewczynce... Zadumał się, nagle muzyka urwała się niespodzianie.

Stary pan kładł na pulpicie przyniesiony zeszyt, mówiąc coś głosem zniżonym. Nagle Stella roześmiała się serdecznie, biorąc pierwsze akordy...

Popłynęła *Cavatina*, wdzięczna jak zapomniany jakiś, uroczy sztych, dobyty z pyłu na słońce.

Stella śmiała się, śpiewając.

Adryan podszedł bliżej do fortepianu i, oparłszy na nim obie ręce, patrzył na grającą.

„O róże wy z mojej altany  
drzwi chaty ja wami ustroję,  
próg domu, gdzie mieszka kochany,  
okienko, gdzie szczęście jest moje...“

— O, dobry maestro—co za dedykacja przytem—podziękuj mu, *babbo*, najczulej, że tak o mnie pamięta:

„Próg domu, gdzie mieszka kochany,  
okienko, gdzie szczęście jest moje...“

— Jakże cudnie, pogodnie rozumie miłość... Wie pan—mówiła dalej, zwracając się do Adryana—Maestro Carnena, który to napisał, ma siedemdziesiąt trzy lat i taką duszę... Postanowił stworzyć jeszcze operę—przyjeżdża tu czasem, lubi mnie bardzo—

ta *Cavatina*, to właśnie cząstka nowego dzieła... Maestro mi to przysłał...

„...Okienko, gdzie szczęście jest moje...“

Zanuciła raz jeszcze, odjęła ręce od klawiatury, przechyliła się w tył, pytając:

— O czym pan myślał, kiedy grałam starą barkarolę?

— Ach, czy ja wiem... O dawno minionych latach... o szumie drzew... — odrzekł.

— Tak, to możliwe — ciągnęła poważnie, utkwivszy w dal cudowne oczy—na morzu nieraz wspomina się las, w lesie wspomina się morze. Widzi pan, to się kojarzy przez nieskończoność szumu...

I poczęła grać znów starą, żeglarską pieśń.

Komandor, pogwizdywał, mrużąc oczy, ciotka Klemencya kręciła się koło kwiatów, których było pełno u okien, Adryan słuchał z rozkoszą...

— Dosyć!...—zawołała nagle. Wstała szybko, spojrzała mu w oczy śmiało i głęboko.

— Pan ma duszę miękka, jak kobieta. Chcąc ją wymalować, trzeba być Burne-Jonesem—robi pan wrażenie jego rycerzy z twarzą dziewicy, ale zakutych w stal. Jakie ja naiwne robię uwagi, prawda?... Przepraszam pana.

Nim zdołał odpowiedzieć, już pierzchnęła daleko.

Drżała jeszcze lekko firanka we drzwiach, w powietrzu wibrował szelest szybkich, biegnących kroków.

— Co się stało? — zapytał komandor, tocząc roztargnionym wzrokiem z pośród akwafort, które oglądał przez małą lupę—dlaczego Stella uciekła?

— Dowiem się zaraz. Widziałam, że była wzruszoną, już kiedy siadła do fortepianu, muzyka zrobiła resztę... — objaśniła pani Fulgor—ho, ho, ja wszystko widzę—wszystko!

I wypadła temi samymi drzwiami, w których znikła panienka.

Pan Zecca wstał, odsunął akwaforty, począł z precyzją wycierać szkielecko i mówić:

— Drogie dziecko... wiesz, Adryanie, ona niema nikogo, prócz mnie. Ten wielki oryginał w spódnicy, Klemencya, jest zacną kobietą, nawet tkliwą, ona ją wychowała; nigdy jej tego nie zapomnę... Wszak wiesz kim był Astorre Grani, ojciec Stelli? Młody poeta, zapaleniec, namiętny marzyciel o jedności Włoch, ukochanej ojczyzny... Oboje pomarli tak młodo, on i matka. Ja jestem już stary — lecz...

Tu machnął ręką, ujął Adryana pod ramię, przechadzając się po sali.

Znali się, właściwie, od niedawna, ale już znali się dobrze. Mimo znacznej różnicy wieku, charakterów, rasy, rozumieli się nieraz znakomicie. Stary pan był człowiekiem bystrym, wyrobionym życiowo: spojrzeniem swych szarych, głębokich oczu zdawał się na wylot duszę przenikać; przyłgnęli ku sobie odrazu, pociągnięci przez sam typ... W obu krył się esteta wyrafinowany, całkowicie oddany pięknu.

Komandor ród swój wiódł aż od Rzymian, świadczyła o tem wymownie jego patrycyuszowska, pięknie sklepiona głowa, brązowy, wspaniały profil, oblicze bez zarostu, klasyczne, jakby z medalu antycznego wyjęte — Adryan szczupły, smukły, o włosach jasnych, a cerze smagłej, pąsowych, wezbranych wargach i ciemnych, melancholijnie biegnących brwiach, podobny był raczej do owych Celtów, których Grzegorz Wielki podziwiał na rynku Rzymskim. I tak w osobach tych dwóch ludzi—dwie rasy zdawały sobie dłonie podawać.

I stary Rzymianin mówił:

— Widzisz, ona tu mieszka, rządzi (bo wojownicza Klemencya nader słusznie nosi swoje imię...)—tu przechodzi jej czas na ustawicznej, cichej pracy: cała okolica ją zna, wszyscy ją kochają, jak własne dziecko. Ma duszę otwartą, marzącą, bardzo szczytną i prostą jak prastara, najczystsza poezya tego kraju. Dziewczyneczka, którą spotykałeś w dzieciństwie, tutaj króluje, istnieje w rzeczywistości, jest żywym, najrealniejszym poematem...

A młody Celt odrzekł:

— Wiedziałem, że ją kiedyś odnajdę.

Wtem rozsunęły się zasłony u drzwi i ukazała się ogromna pani Fulgor, wołając:

— Panowie! Niespodzianka... Widzę, że jesteście nastroszeni, jak mnichy w czasie wielkiego postu. Ucieszcie się! Nasza Stellina zaprasza was na wspólną wycieczkę do Bosco San Giovanni... Powozik już czeka przed wschodnią lodżyą, naturalnie, kucki nie dałam, niech biedactwo jeszcze wypocznie, oto wachlarz...

Każdy dostał wyschnięty liść palmy.

— Chociaż droga jest gęsto sadzona drzewami, że was bardzo nie dopiecze kochane słońce, oko Boże nad światem... W San Giovanni też cień i chłodek aż miło... Wstąpcie do ojca Paolego, napijcie się wina białego, lub limonady... Stella pokaże wam kaplicę i „Giovannina.“

Zupełnie taki sam śnił mi się wtenczas, kiedy miałam wypadek z loteryą i kiedy było w mieście trzęsienie ziemi...

Mój biedny Salvatore żył jeszcze wtedy... Anioł — nie człowiek! Spotkamy się kiedyś w niebie, bo nasz Ojciec Przedwieczny jest miłościwy i nagradza wierną miłość serca... Gdybyż nie grzechy... — *San Clemente!*

Szli teraz wszyscy troje wąskim korytarzem nawpół oszkłonym i okrytym zielenią — kroki tłumił gruby, czerwony, miękki chodnik. Ciotka Klemencya sunęła przodem, podobna do wielkiej korwety wojennej, z szumem i potęgą swej niesłychanej statury, z tysiącem słów wyrzucanych głosem niskim, basowym, jak kule z dział... Szła, zostawiając za sobą w zamkniętym, ciasnym paśażu, podatnym dla echa, miarowo rozbrzmiałe akordy rozigranego, nieskończenie bogatego monologu. Płynęła jak karawela: grzmiąc, szumiąc, wypełniając sobą wszystko...

Wielka fala złotego światła trysnęła im w oczy, skoro skrę cili na prawo — słońce zalewało rozkosznie dziedzińczyk mały i wdzięczny, z cysterną kamienną pośrodku, z grzędami róż i fiołków, z placykiem wyłożonym płytami tak białymi, że robiły wrażenie śniegu w górach. Przez wschodnią lodżycę po niewielu stopniach zeszli wreszcie obaj, komandor i gość — obaj w jasnych, prawie białych ubraniach, w słomianych, lekkich kapeluszach, z wachlarzami w rękę — zaskoczeni pożogą światła, mrużący oczy z zabawnym grymasem.

Pani Fulgor stała już przy leciuchnym, koszowym powoziku — jej wielka czarna spódnica, jasny fartuch ze skrzydłami, olbrzymie barki, obciśnięte w białą pikę, wycinały się potężną plamą na jasnym, delikatnym, filigranowym tle wózka i prześlicznej Stelli, której główkę, nakrytą pąsową, sportową czapczką, widać było co chwila z po za ciotki, pochylającą się i unoszącą w wesołej rozmowie.

Zaprzęg stanowił muł zupełnie czarny, rosły, cały okryty lśniąca od mosiądzu i brząkadła, iskrząca się czerwienią sznurów, pomponów i naszywań uprzęży. Co chwila wstrząsał dużym łbem o sterczących uszach i opędzając się od owadów, dzwonił kopą dzwoneczków i kulek, których dźwięki opadały zeń wciąż w jasnym słońcu, niby krople srebrnej, rozbrzęczanej rosy.

Lorenzo, stary *vetturino* komandora, stał przy uździe, patrząc pod słońce w ukochaną panienkę.

— Gdzie to porywasz nas, malutka? — pytał komandor, podchodząc do wózka.



— Do San Giovanni, *babbo*—odparła z błyszczącymi oczyma—wiesz, że lubię to nad wszystko... Chcę zrobić panom przyjemność i popisać się, jak umiem powozić!

— Ach, i dlatego zaprzęgliście Zanzarina zamiast kucki? Piękna zamiana—poniesie, wywróci przy moście, ani chybi!

— *Ma che!* kucka jeszcze gorsza, kiedy weźmie na kieł. Zanzarino, jako starszy, ma więcej powagi i bardziej jest posłuszny, zwłaszcza mnie!...—dodała, śmiejąc się—Niech panowie siadają.

Usłuchali wezwania, zajmując tylne siedzenie — na koziołku została sama Stella.

Drobne, zwinne dłonie, obciśnięte w matowe rękawiczki, zebrały lejce—Zanzarino ruszył.

— *Buon viaggio! Buona passeggiata!*—zawołała pani Fulgor—wstąpcie do Paola! Zanzarino niech stanie za murem...

— To z powrotem — odparła dziewczyna, kiedy cały pojazd znikł już prawie w otwartej na rozcież bramie—z powrotem, teraz pojedziemy przez Torre del Duca!

Wyrzuciwszy z siebie to zdanie, zaśmiała się jak szalona.

Pani Fulgor krzyknęła i obie ręce wzniosła do góry na znak zgrozy, Lorenzo rozdziawił gębę i drapał się po uchu, chłopak stajenny oniemiał...

Podróźni wylecieli tymczasem już na drogę, muł biegł pięknego kłusa, gościniec był równy, olśniewająco biały i pochyły. Zjeżdżali szybko ku dolinie.

— Po co straszysz ciotkę — strofował komandor — skąd ci przyszło do głowy mówić o Torre del Duca?

— Bo tam pojedziemy, *babbo*, już tak postanowiłam—odrzekła, nie odwracając głowy, tylko silniej zbierając rzemień w dłoni, albowiem droga chyliła się coraz gwałtowniej, a Zanzarino wpadał już w ochoczy galop.

Na lewo mignęła wielka aleja cyprysowa. Pędzili dalej.

— Stellina, skręcaj! — wołał starzec.

Huk z bata był całą odpowiedzią. Zanzarino galopował, wózek mknął jak strzała. Adryan przechylił się ku Stelli, będąc w pogotowiu...

— Pozwoli pani zatrzymać?...

— *Ma che, signore, mai!*—odkrzyknęła mu w samo ucho niemal ze złością, w oczach miała błyskawice, jej pełne usta wezbrały pąsem, zdawały się pękać, policzki przybladły, twarz zinarmurowiała, znarszczyły się niewysłowionej piękności czarne brwi, rozwiął się, rwany wiatrem i pędem szalonym włos, furcząc koło skroni i uszu...

Czerwona czapeczka wznosiła się i opadała jak fala, przepięta i trzymana mocno przez dwie srebrne, weneckie szpilki. Szary, płócienny paltocik wydymał wicher, który zerwał się nagle, rzeźwiąc i budząc omdlałe od gorąca powietrze. Adryan widział jak pod szarą, grubą tkaniną prężyły się drobne muskuły jej ramion, jak zwinnie osadzał się młodzieńczy, gibki, stalowy tors, kiedy kierowała mułem, który już teraz gnał jak obłok burzą pędzony.

Droga spadała w dolinę, okręcała się wężowo około skalistej góry, biegła nad szczeliną przepaści, przerzucała się przez wązki, kamienny most i znikwała tuż pod starą, zazębioną w średniowieczne blanki, wieżą, którą było teraz widać całą topiącą się w słońcu i jasną, jak perła.

Odwrociła twarz; w źrenicach miała czarodziejskie brylanty, rzuciła im dumnie i z emfazą:

— *Ecco il Torre!*

Komandor przybladł, lecz uśmiechał się. Adryan czuł, że dzieje się jakieś szaleństwo. Stella, przechylona wtył, ściągała wodze. Zanzarino pienił się i gnał galopa. Wypadli na most jak pocisk, jeden ruch nierozważny przy kierowaniu mógł ich rozbić w drzazgi o starą ścianę, ale Stella miała w oku szaloną pewność siebie i odwagę.

Mignął się most i został daleko.

Teraz brzezkiem stromej ściany skręcali ku baszcie. Wózek latał jak piłka — jedna sekunda, i stoczą się w otchłań... Gdyby zwolnili szalony bieg! Lecz muł oszalał, dzwonki nie wydawały już prawie rytmicznych, strząsanych brzęczeń, ale szumiały...

Adryan czuł młoty w skroniach, widział już dziewczynę lejącą w przepaść, drżał i usiłował nie myśleć, a jednocześnie wychylała się ku niemu z chaosu skłębionych uczuć zawrotna i pełna rozkoszy świadomość, że zginęliby razem...

Olbrzymi cień zamajaczył tuż przed nimi — stało się nagle ciemno, objęła ich ściana kamienna, zamknęło się nad nimi sklepienie.

Tu nastąpił najwspanialszy *coup de maitre* całej podróży.

Huk z bata, szalone skręcenie lejców w drobnych dłoniach, okrzyk:

— *Sta fermo, Zanzarino!!!*

I wszystko zatrzymało się jak wryte.

— Jesteśmy w baszcie del Duca — rzekła wtedy zdyszczanym głosem — czy umiem powozić?

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo należało już do przeszłości, kiedy wiedzieli, że nic już nie grozi tej ślicznej i kochanej istocie, zdawało im się, że się śmieją sami z siebie i swych obaw. Stella była jeszcze nieco wzruszona i blada. Wyskoczyła z wózka, aby popieścić muła, który stał bez ruchu, strzygąc jedynie długimi uszami i niedostrzegalnie drżąc całym ciałem. Przyłożyła twarzyczkę do wielkiego, czarnego, poczciwego łba, głaszcząc go i szepcząc miękko, wezbrany czułością głosem:

— *Brao Zanzarino! Zanzarinino carino!...*

Dzwoneczki na szyi muła dźwięczały cicho i wdzięcznie.

Oprzytomnieli wtenczas zupełnie, wysiedli i, ściskając jej drobne rączki, poczęli wieszować...

— Bardzo jestem rada z siebie, że mi się udało, a z was, panowie, żeście we mnie uwierzyli i zachowali spokój! — rzekła radośnie; poróżnowiała już i odzyskała zwykły swój wygląd.

— Nic dziwnego: powoziła sama Eos!—zawołał z galanterią komandor — patrz Adryanie, czy nie podobna do jutrzeńki?..

— Och, *babbo*, prędzej do świeżego pomidora — przerażające tu gorąco!

Zgrabnym ruchem ściągnęła płaszczyk z ramion. Adryan śpieszył z pomocą.

— O tak, komandor ma słuszość, pani ma rzeczywiście bardzo stosowne i dobre imię. Zdaje mi się, że siostrzyczki pani, gdyby zeszyły z nieba i stały się istotami, wyglądałyby tak samo!

— Panowie! czyż jesteśmy w salonie? Innym razem zostawcie sobie w mieście waszą wdzięczną frazeologię — tu, na wsi, u nas, trzeba być prostym i szczerym... Patrzcie, po drugiej stronie wieży...

— Upewniam panią, że nigdy nie byłem szczerzym, jak właśnie teraz, kiedy...

— Ach, *basta!* Dość. Jeżeli pan nie chce mnie znudzić śmiertelnie, niech pan przestanie podziwiać moją urodę!... a przede wszystkim, niech mi pan nie przerywa: tam, widzicie, kończy się karkołomny spacer; za wieżą droga biegnie jak po stole — równa i szeroka. Te białe, długie mury, to ogrody ojca Paolego... (Pan nie wie, kto to? To taki stary winiarz, ogrodnik, trochę kronika okolicy—nasz dawny znajomy...) otóż, pejedziemy trochę pod górę, tędy. Zanzarino uspokoi się, usatkuje; potem skrećimy w lewo, zatrzymamy się według życzenia ciotki Klemencyi. Paolo nam co opowie, odpoczniemy i wrócimy do domu na obiad. Czy dobrze?

— Doskonale! ale gdzie jest właściwie nasz cel, Bosco di San Giovanni?

— Gdzie?! ach, cudzoziemcze—tam, gdzie mieszka padre Paolo; to przecież jasne jak słońce!

Wszystko to działo się pod basztą, w bramie długiej i ciemnej, podobnej do tunelu. Za nimi błyszczał osłepiający, słoneczny krajobraz z węzłem białej, wijącej się w górę drogi, obcięty łukiem kamiennego sklepienia, ujęty rysunkiem półkolistego wylotu, jak w ramę. Naprzeciwko, przy drugim końcu tunelu otwierał się widok rozległy na piękne, okryte zielenią wzgórza.

Po kwandransie siedzieli już w dobrze ocienionem miejscu malowniczej *locandy* wiejskiego zakątka. Stare drzewa oliwne szemrały czule nad ich głowami, kilka przesłicznych, sinukłych cyprysów stanowiło kulisy, z po za których rysował się biały domek z oknami osłoniętymi przez zielone żaluzje—po za nim, na zboczu góry, rosła wielka, wachlarzowa pinią, wycinając się ciemną sylwetą konarów i jasnym, czerwonym, niemal różowym w górze pnem na tle bezgranicznego lazuru doliny, liliowych gór, okrytych kropeczkami wyperlonych słonecznie domków i błękitu niebios, czystego jak lza.

Niewypowiedziana błogość zdawała się płynąć przez ciche, pachnące powietrze, łagodne wzgórza, sady stare; winnice, w słońcu wygrzane otaczały ich dokoła...

Odпочywali z rozkoszą.

Padre Paolo, gruby, przysadkowaty, lecz fertyczny, zwinny, lotny—istna fryga—biegał, podskakiwał, gestykulował, krążąc koło nich jak rozbrzęczany owad.

Kazali sobie dać wina i wody.

— Jak na godach w Kanie—zauważył Paolo, wykonał piruet pełen wdzięku i pomknął do *locandy* wydać rozkazy.

— Brakuje tylko cudu — rzekła poważnie Stella, patrząc na cudzoziemca, który zdawał się marzyć. A mówiąc to, czuła, że cud ten stał się właśnie teraz, kiedy jej jasna, kryształowa, przeczna do dzisiaj dusza wypełniła się ognistym wołaniem życia.

— O signorina — podjął miękko Adryan — nie brakuje tam cudu, gdzie jesteś ty sama; przyniosłaś go tu z sobą i w sobie...

Stare oliwy szemrały nad nimi jakąś cichą, melodyjną pieśń.

Niewiadomo czy Adryan dosłyszał, jak odpowiedziała: *si...*—wpatrzoną w dal z dziwnym wyrazem.

— Cud—odezwał się zamyślony komandor—cud... Tak, to jest właśnie to, na co patrzę teraz: kochana ziemia, zalana blaskiem słońca, żywne, słodkie powietrze i takich dwoje, jak wy—

młodość na tle wiosny... Tak, to jest największy, jedyny cud... on drży w powietrzu, czyż go nie czujecie?...

Na ścieżynce, biegnącej od drzwi *locandy*, ukazali się chłopcy z wodą i winem. Paolo szedł za nimi w białej czapeczce i jaśniejącym fartuchu, niosąc tacę a na niej szklanki i chleb.

— Gody w Kanie — powtórzył Adryan, patrząc w Stellę, która wsparta o ciemny, szeroki pień drzewa, wyglądała jak widzenie piękna i rozkoszy.

Nagle pochyliła się ku opiekunowi i, objawszy go cudownymi ramionami za szyję, wyszeptwała:

— Byłam szalona, *labbo*, pędząc przez Torre del Duca, ale czułam w sobie jakąś burzę, która kazała mi to uczynić...

## II.

Już drugi dzień w mieście padał drobny, nikiący co chwilę deszcz. Niebo było chmurne, płacziwe, nasycone wilgocią, przez którą sączyło się wiosenne, zuchwałe słońce. Wezbrane wody Arna, spienione i żółte, z szumem rozbijały się o arkady starych mostów, otaczając je rąbkiem białawej piany. Zwarte szeregi spiętrzonych, starożytnych domostw, fascynujące zazwyczaj tak bardzo, sterczały teraz groźnie, niemal ponuro, w potężnych, zazębionych sylwetach, na tle zagastych na poły niebios i hucznie pędzącej rzeki.

Adryan w dniu takie nie wychodził wcale z domu. Siedział teraz w swoim zacisznym pokoju z listem w ręku. Kartka była krótka, niedomówiona:

„Wenecya... Bawię tu chwilowo: może przyjedziesz? odpowiedz dziś — uścisk dłoni H. Klinecki.“

Tych kilka słów, nakreślonych pośpiesznie, piśmem niewyraźnym, porwanem w dziwne strzępki liter i wyrazów—najbardziej fantastycznym w świecie—sprawiły, że Adryan wszedł momentalnie w świat naskroś odmienny od tego, w którym przebywał od jakiegoś czasu; świat miniony już i daleki.

Cofnął się teraz po za siebie, wstecz—w epokę, którą wspólnie przeżyli—tak bliscy i tak od siebie dalecy.

On i Klinecki! Ha, ha!... Zdawało mu się, że widzi tę piękną, rasową głowę: białą, matową twarz, magiczne, wspaniałe oczy z rzęsami kobiety, czarny, wijący się z lekka włos, gęsty i puszysty — cienkie, jedwabne wąsy nad pasowemi, drobnymi

usty—ten zadzierzysty, zwarty, mający coś z charakteru sprężystej klingi toledańskiej, przedziwnie dociągnięty w stylu walezyjski typ, proszący się o biel wyrurkowanej krezy i tok z kitką białych czapli—a skazany na vegetację w banalności modnie skrojonego ubrania...

Klinecki! Ten pozytywista, doktryner; twardy, zapracowujący się technik; dziwny człowiek, który przy całej swojej trzeźwości, miał przecież chwile... Tak... wtenczas zdawało się, że odchyła ciasną, duszącą maskę.

Byli do siebie dość przywiązani, choć się nigdy zrozumieć nie mogli. Adryanowi przypominał się teraz cały ten długi okres tam, u niego spędzony—bezpośrednio przed podróżą...

Klinecki otrzymał w spadku po dalekim krewnym kolosalną bibliotekę. Adryan został jej chwilowym kustoszem; z rozkoszą pogrążał się w te stopy starej, kochanej bibuły.

Widywali się tylko przy obiadach krótkich, milczących, spożywanych z pośpiechem. Ciszę przerywał brzęk noży i naczyń—czasem tamten rzucił dwa, trzy słowa, wymówione tak spiesznie i takim tonem, jakby prosił o bilet kolejowy przy okienku kasjera... Czasem nie mówiono absolutnie nic; dania następowały po sobie w niewzruszonym porządku wykwintnego *menu*—cichy, wymustrowany służący automatycznie zmieniał talerze i nakrycia, za oknami huczały młoty, hałasowały rytmicznie maszyny fabryczne—pod koniec rozlegał się gwizd ostry, świdrujący, a później przeciągły ryk syreny rozdzierał powietrze i ogłuszał chwilowo.

Wtenczas Klinecki wypijał duszkiem resztę przestudzonej herbaty z małej szklaneczki od piwa, ocierał nerwowo usta—podawał Adryanowi rękę i wypadał z powrotem do przerwanej pracy w kantorze, lub samych warsztatach. Był duszą całej stalowni, która była jego dumą i troską, a także własnością. Fabryka szła świetnie dzięki jego talentowi i energii; Klinecki był już bardzo bogaty, przy zwartej pracy umiał używać świata—czoło jego było jednak zawsze okryte chmurą...

Adryan czuł, że myśl, która jest tego powodem, tkwi w duszy przyjaciela głęboko, jak ciężar zatopiony raz na zawsze w niedostępnej głębinie—podczas gdy góra, wysoko ponad nią wartkie, spienione fale zdają się gonić obojętnie, podobnie i rytmicznie...

Wieczorem Klinecki powracał mniej lub więcej zmęczony pracą, lecz przebierał się natychmiast, nie tracąc jednej chwili, w sportowe ubranie, siadał na ulubionego kasztana, zwanego zawile: Aide-de-Camp, i wyruszał galopem na swój spacer wieczorny, który był mu całą i największą nagrodą po znojnym dniu.

Przejażdżka ograniczała się czasem do objechania małego lasku, zarośli raczej podmiejskiego zakątka, czasem obejmowała spory kawał szosy, często zaś rozpoczynała się na niej odrazu, z wytkniętym jasno i dobitnie celem... Wówczas, po kwadransie szybkiej jazdy, Klinecki skręcał w bok, na tak zwaną: Jarocińską drogę—galopował pod aleją z dzikich wiśni i niebawem docierał do Jarocinka. Tam mieszkali państwo Orszańscy w dość wytwornym *ad hoc* wystawionym pałacyku. Adryan słyszał o nich nieraz: wiedział, że zbiera się tam dobór towarzystwa—że ludzie ci mają jakieś niezwykle i urodziwe córki, lecz ilekroć usiłował dowiedzieć się czegoś od Klineckiego, otrzymywał suchą, krótką i zawsze tę samą odpowiedź:

— Tak, bardzo niezwykle. Miły dom. Jedź. Przedstawię cię.

Adryan poprzestawał na samej wiadomości—przyjaciel zbyt nie nastawał i skończyło się na tem, że Adryan porzucił kraj, nie poznawszy wcale ani miłego domu, ani niezwyklej panny, ani Jarocinka, kresu farysowskich fantazji dyrektora Klineckiego.

Wszystko to przyszło mu teraz na myśl, przesunęło się szeregiem obrazów przed oczyma duszy... Jakież odmienne, to dawne, minione życie! Co za śmieszne szczegóły... Widzi siebie, stojącego w oknie tonącej w mroku biblioteki; właśnie zachodzi słońce, widać wielkie, jarząco pomarańczowe tło nieba, na niem czarną koronkę przezroczych drzew odartych z liści, aleją do podjazdu wyrusza jakowyś smukły, zgrabny cień rycerza na roślącym, pięknym, złotą lamówką słońca objętym wierzchowcu... Klinecki jedzie do Jarocinka—Adryan wie dobrze, że kolację będzie dziś jadł samotny.

— Panny Orszańskie! Ha, ha!... Co się też z niemi stało?...

Zadumał się—lubił myśleć o nieznanym, niewidzianym nigdy kobietach. Skąd Klinecki o tej porze w Wenecyi?... Zastanawiał się, co ma właściwie odpowiedzieć. Nęciło go spędzenie kilku dni z człowiekiem, który grał dużą rolę w jego ostatnich wspomnieniach, który go zaciekał zawsze i do którego czuł dziwne, mimo pozornych różnic, przywiązanie. Wiedział doskonale, że pod twardym typem Walezyjczyka ukrywa się miękkie, kobiece, tkliwe serce; rozumiał też i wiedział więcej jeszcze, że serce to usuwa się w tajemny jakiś i nie dający się zwalczyć dramat. W obecnej podróży przyjaciela wyczuwał go wyraźnie: było to jakieś stanowczo ważne posunięcie... Próba, czy pogoń za czemś, ucieczka może przed łamiącą wszystko grozą...

Adryan pracował wyobraźnią; był pewny, że Klinecki go potrzebuje—wyraża się oschle, bo to jest jego zwykła forma. Postanowił dziś jeszcze odpisać, że przyjedzie.

Tymczasem, wbrew zwyczajowi, wyszedł.

Owiało go świeże, ożywcze powietrze. W białości dżdżystego nieba poczyniły się dziury, przez które widać było jasny, cudowny błękit. Rzeka szumiała jeszcze groźnie, ale w spienionych brzdach pędzącej wody toczyły się już w miriadach iskier złote, wesołe smugi słoneczne...

Wyszedłszy na wdzięczny łuk mostu Santa Trinita, patrzył radosnem, ciekawem, niesytem jeszcze okiem na piękny świat—to miasto dziwne w dolinie słodkiej jak sen, który się marzy raz i do którego się tęskni potem długo, długo, aż do wyczerpania pamięci... Patrzył i jednocześnie płynęła mu przez duszę przeszłość w zamglonych, zmiennych obrazach. Ileż razy zdawał się być już u celu! Lecz nigdy jeszcze nie doznał zupełnej ulgi, nigdy nie zaczerpnął jeszcze choć przez krótką i niezwróconą już chwilę u źródła, o którym marzył przez całe swe młode życie. Nie—nie... Nieznane, a drogie nad wszystko blaski przeszywały mu nieraz duszę jak płomieniste, przenikliwe igły piorunów; lecz błakał się tylko wśród złudzeń, a książeczka mała, którą zdołał nareszcie wydać, przed opuszczeniem kraju, była doskonałym wyrazem tego stanu ducha: mieściła w sobie proste, brzmiące jak wołania, psalmy wielkiej tęsknoty—nazywała się „Trzy hymny“—dzięki niej zyskał sobie odrobinę imienia, był czemś... Czuł w sobie serce gorące i tkliwe, lecz tak spokojne w smutku, wśród którego wzrastało, że odbijało się w niem wszystko, jak w zwierciadle. Ufnie, niemal niedbale szedł przez życie, które mijało go jak zmienna melodia przy jednym, zasadniczym wtórze. Czynił nieraz na sobie samym wrażenie poszukiwacza czegoś, co wcale nie istnieje... Kochał świat i cuda życia, lubił nawet ludzi, ale wszelka większa gromada raziła go; nie należał nigdy do żadnego klubu, ani stowarzyszenia—wspomnienie epoki szkół było dlań wprost straszne; w społeczeństwie, w literaturze, w swojej twórczości, nawet w prywatnych stosunkach towarzyskich uczuwał wyraźnie, niemal na każdym kroku swoją „nieprzynależność do żadnej gminy.“ Czuł się wiecznie sam—tylko tęsknota, jak drogie nad wszystko wspomnienie, szła wszędzie, płynęła ponad nim, otaczała go jak niewidzialny obłok, była mu towarzyszką wierną i jedyną.

— *Santa Maria! Signor Polacco* — rzekł niski, lecz aksamitnie miękki, niewieści głos.



Adryan spojrział leniwie; wielka pani Klemencya zasłoniła mu świat jak wieża. Uśmiechnął się szczerze, ściskając podaną dłoń.

— Pani w mieście? Czy na długo?

— Ach, jesteśmy tu od wczesnego ranka, moc spraw: i panna też szukamy...

Usunęła się nieco na bok—teraz dopiero zobaczył Stellę.

— *Signorina!*

— Dzień dobry panu. Miałam słuszość mówiąc, że mnie pan w mieście nie zauważy.

— Dopomaga pani losom, chowając się umyślnie przed okiem, które właśnie było bardzo zdumione i...

— Czyż? Ach, wy cudzoziemcy, nosicie przy sobie zapas wytwornych odpowiedzi, istne karty wizytowe. Nieprawdaż?

Mówiąc to, była piękna jak obłok wiosenny. Adryan patrzył na jej uśmiech podobnie człowiekowi znużonemu długą i przewlekłą zimą, kiedy napotka pierwsze kwiaty na łąkach w dolinie.

Nie widział jej tak dawno, od czasu pamiętnej wycieczki z komandorem—teraz dopiero uczuł, że mu było bez jej widoku źle.

Przyłgnał do niej wdzięcznym, spragnionym wzrokiem, stał się zupełnie oddany i posłuszny każdej jej myśli.

— Niestety. Moje wytworności wyczerpały się w jednej chwili. Tak; błądy wdzięczek salonowy zawsze jest w istocie swej śmieszny... Tutaj—bezczelnie nędzny. Idę pokorny i służbę wierność prostocie.

Słodko i łaskawie uśmiechnęły się usta różane.

Szybko, gwarnemi ulicami, przez wesołe śródmieście szli teraz obok siebie, ramię w ramię, zamieniając już bez trwogi spojrzenia konieczne, wysuwające się jeden z drugich jak wdzięczny rym w wierszu. Nie zwracając wielkiej uwagi na dobrą ciotkę Fulgor, czynili pod jej wodzą moc wstępów do przeróżnych sklepów, sprawunków, zapytań i zamówień, rozmawiając przy tej okazji tak dużo i łatwo, że zdawali się chwilami dziwić, słysząc swe młode, dzwięczne głosy zmieszane razem, łączące się ciągle bez śladu znużenia, rozkwitające raz po raz całymi bukietami słów, kolorowych i świeżych, jak kwiaty.

Obeszli już dobre pół miasta. Wypogodziło się zupełnie, niebo było całe lazurowe i pełne radości; przekupnie fiołków krzyżeli w niebogłasy, zachwalając pachnące wiązanki; nad Florencyą huknęła armata południa, a dzień począł się zinieniać gwałtownie w szczerze gorący, kiedy wreszcie na pięknej Via Tornabuoni spotkali się z komandorem.

Na kawie u Donneya, gdzie urządzono wypoczynek ogólny, dowiedział się Adryan, że pan Zecca, który nosił poetyczne imię Fidelia, obchodzi jutro uroczyste w Poggio Reale dzień swego patrona—co więcej, że on *signor Ordeschi*—jest gorąco proszony, aby przybył tam również—może zaś być pewnym, że się nie znuży, albowiem znajdzie się tam garstka osób z wytworniejszego świata, a sam *maestro* Carmena urozmaici te krótkie chwile piękną muzyką. Komandor i Stella poczęli wyliczać nazwiska zaproszonych: przeważał żywioł artystyczny i cudzoziemczy. Ciotka Klemencya sapała z utrudzenia, popijając kawę, przeglądając rachunki; czyniąc krótkie, niskim basem wydawane uwagi. Adryan słuchał uprzejmych opowieści, patrząc z zajęciem w niebieskawy, wijący się dymek swej długiej cygaretki, aż wreszcie, uśmiechając się, rzekł:

— Niestety. Nie będę mógł państwu służyć.

Stary pan o brązowej twarzy spojrział zdumiony. Stella zmarszczyła lekko cudowne brwi.

— Dlaczego?!

— Muszę wyjechać do Wenecyi.

— Co ci się stało, przyjacielu — dostałeś jakąś wiadomość? A może zwykła, poetyczna fantazya?... W takim razie odważę się ją usunąć...

— Ani jedno, ani drugie — kochany komandorze — jest tam mój stary przyjaciel, który się musi ze mną widzieć. Ot i wszystko.

— Ależ on może poczekać! Jedź sobie pojutrze.

— Niestety. Nie mogę... *Signor* Fidelio, pozwól, że dzisiaj złożę ci moje najlepsze, szczere życzenia!

Komandor podziękował—ale rysy jego dziwnie stwardniały, a promienny dotychczas humor momentalnie począł się psuć. Stella też posmutniała—wsparłszy główkę na dłoni, patrzyła zadumana na piękny, słoneczny świat za oknem kawiarni. Niebawem osnuło wszystkich ciężkie, zimne milczenie.

— Pański przyjaciel—zagrzmiała nagle ciotka Fulgor—musi mieć oczy piękne i ogniste... Jestem tego pewna — i nie dziwię się — w Wenecyi zawsze o tej porze, dzieją się takie tajemnicze spotkania u cudzoziemców. Prawda?

— O tak, pani—odpowiedział z dyabło uświadomionym wyrazem—mój przyjaciel ma oczy piękne i ogniste, jak mało kto, a w Wenecyi o tej porze dzieją się nieraz spotkania z cudzoziemcami.

— Zdaje się, że nasz poeta zadrwił z ciotki — mruknął pan Zecca w stronę Stelli, lecz ta potrafiła mu odrzec znużonymi ustami zaledwie krótkie i niedbałe:

— *Non so.*

Po jakiejś chwili panie jechały z komandorem w powozie ku Cascinom, aby wypocząć po trudach dnia.

Adryan szedł Lungarnem w przeciwną stronę, ku miastu. Rozstanie było bardzo uprzejme, ale nie miało cech serdeczności. Czuć było po jednej stronie lekką obrazę — po drugiej złośliwy, tryumfujący upór. Adryan szedł lekkim, młodzieńczym krokiem, nucąc jakąś przypominającą się melodyę. Myślał ciągle o Klineckim i pragnął go nareszcie zobaczyć — po drodze kupił sobie *orario* i wynalazł najlepszy dla siebie pociąg do Wenecyi—a w tejże chwili przypomniało mu się, że powracająca melodia jest pieśnią żeglarską, którą grała Stella w czasie jego pierwszej bytności w Poggio.

Śpiewając dalej pełnym głosem, szedł wazką, ciemną uliczką starej Florencyi. Po chwili wdzierał się już na srodze starożytne, kamienne stopnie swego mieszkania.

### III.

Pogodny, złocisty wieczór opływał świat, kiedy pociąg stanął w Ferrarze. Adryan, w pół drzemiac, wpatrywał się pobłażliwie w kłótniwą parę Francuzów, siedzących na przeciwległej ławce. Ich małżeńskie sprzeczki, rozsypane dyalogi, kręcące się ustawicznie około jedzenia, spania i wymyślań na hotele, nie robiły mu najmniejszej różnicy i nie przeszkadzały snuć własnych myśli. Im bardziej oddalał się od Florencyi, tem silniej zmniejszały się i zacieraly postacie znajome i świeżo poznane—komandor, Stella, nawet wielka ciotka Fulgor wydawali mu się teraz jak maleńkie, ledwo dojrzone laleczki. Uczucie to było dziwne — dość nieoczekiwane i prawie żalosne.

Adryan obserwował grę swej własnej duszy z ciekawością artysty; zajmował go ten proces, jak wogóle każdy przejaw życia; z nonszalancją młodego, żądnego wrażeń chłopca pędził teraz w pośpiesznym pociągu ku Wenecyi, mając dziwne i nie dające się uciszyć przeświadczenie, że mu ich tam nie zbraknie.

Małżeństwo francuskie, wyjadłszy wreszcie wszystkie istniejące zapasy, i posprzeczawszy się aż do zaniemówienia, ułożyło się do snu w dwóch przeciwnych kątach wagonu. Zapanowała monotonna, rwana turkotem, cisza w ciemnościach. Wśród wlokącej się, turystycznej, obojętnej drzemki; leciuchnych, z najprze-

różniejszych bezwolnie zbudzonych źródeł, wybiegłych marzeń — powtarzań jakichś słyszanych zdań i wyrazów, wśród tego wszystkiego, z czego się składają sny podróżnych lub zmęczonych ludzi, uparcie i coraz potężniej wyrastała w nim myśl, że jedzie wstecz — że się wycofuje z każdą chwilą ze szlaków swojej bohaterkiej ongi wyprawy, że każde stajanie, każde hałaśliwe przeszliżgnięcie się sunących wartko kół po spojeniach relsów przenosi, bliżej, bliżej, bliżej... W ślad za tem poczęła się tworzyć idea zgoła nieznaną, obcą, inną: już nie wracać — jechać potem dalej — *minąć Alpy*... Sady pewno już kwitną — ślicznie jest na ziemi naszej; gdzież takie ugory wiosną rozpachnę teraz?... Poczęły się snuć najpoufniejsze, przesłodka wizye dzieciństwa i polskiej wsi. Hej! wróci z Klineckim do kraju — zgodzi się na wszystko: pojedzie z nim do Jarocinka, ile tylko razy zechce — (wszystkie wiśnie na drodze muszą być osypane kwiatem)... Aide-de-Camp, piękny kasztan, niema co mówić; Ali, którym go częstował Klinecki, jest cały kary; ma tam jakieś wady przy braniu przeszkód — no, ale przecież, można tylko tak, spacerem... Panny Orszańskie! Pozna je i będzie tam bywał. Kobieta-Polka — jakże to cudowna rzecz... Takie wdzięczne stworzenie, mówiące bez trudu tym kochanym, tak dawno już niesłyszczanym językiem! Uczuł się dyabło obcym i samym w pociągu, lecącym wśród ciemności przez cudzy kraj.

Minęli już dawno Mestre. Niebawem opadło z hukiem okno, a przez czarny otwór wionął przedziwny chłód i szum morza.

Golfo!

Adryan stanął w oknie patrząc w ciemne, tajemnicze obszary. Pociąg biegł, jakby po falach.

Północ wydzwoniły olbrzymy spiżowe na Torre dell' Orologgio, kiedy wysunął się z bocznej, śpiącej oddawna uliczki na cichy i pusty plac Świętego Marka.

Zdawało mu się, że śni.

Jakaż ogromna cisza i spokój! Na mroczne, zupełnie ciemne dotychczas niebo wypłynął księżyc majestatyczny, poważny, zadumany. Zdala, gdzieś — za Piazzetta, lśniło się tkliwie szepczące morze. Plac był zupełnie pusty — dziwnie znajomy i naskrós obcy widzeniom rzeczywistości; była to jakaś ogromna, wspaniale piękna scena o cudownej dekoracyi — pozbawiona złudzeń i wszelkiego

udania, ale cała śniona... Zielonawe promienie łagodną topielą spowinęły już wszystko, kiedy wyszedł wreszcie na Molo, patrząc na daleką, z morza wyrosłą wieżyczkę San Giorgio, na jeszcze dalszą, jak fantastyczny ląd wyglądającą Giudeccę, na majaczące wśród fal spiętrzone, baniaste szczyty della Salute...

Od Riva degli Schiavoni ktoś szedł; morze szumiało zcicha, a kroki idącego było słycać wyraźnie, jak w mieszkaniu. Adryan zapragnął gwałtownie jakiegolwiek spotkania — odwróciwszy się, wracał teraz zwolna ku miastu. Wytwornie ubrany mężczyzna zmierzał tą samą drogą. Koło Pałacu Dożów minęli się i nieznanomy wyprzedził Adryana, lecz ten podskoczył nagle... Dogoniwszy samotnika, wsunął mu lekko pod ramię swą rękę i rzekł po polsku:

— Jak to dobrze, że cię znalazłem.

Klinecki odwrócił się zdumiony.

— Adryan! Skąd? Cóż to?!...

Uścisnęli się, całując z dziwną czułością. Wenecya spała, na placu było pusto. Czuli, że jest im teraz z tem spotkaniem bardzo dobrze.

— Dopiero przyjechałem, myślałem, że cię już nie zastanę. Jak się to pięknie stało... Pisałeś — jestem...

-- Dziękuję ci, jesteś prawdziwy dżentlmen. Zostanę tu jeszcze parę dni. Od miesiąca się już tłukę, powiadam ci. Tu przynajmniej jest spokój... Zostaniesz ze mną przez tę trochę czasu — prawda?

— Ależ naturalnie, po to tylko...

— Dziękuję ci jeszcze raz, mój poeto, powiedz mi, cóż ty robisz? Żyjesz, piszesz, bawisz się? Dobrze ci tutaj?

— Tak, chwilami doskonale — czasem inaczej... Prześliczny kraj.

— Nie... nie tego — nie zakochałeś się?

— Zdaje mi się, że nie.

— Ee! No — jestem dyskretny, co tam. Poeta powinien się kochać i pisać *ex re* tego wypadku piękne wiersze. Dużo piszesz?

— Nie zbyt. Tyle wrażeń, blisko. Widzisz, na to trzeba czasu.

— To już trzy lata, co? Jak wyjechałeś?

— O tak, przeszło nawet. Cóż tam u nas — w rodzinie, u znajomych? Tak, coś nie coś wiem z listów. Ale bliższe szczegóły? Jakże twoja fabryka? Aide-de-Camp?

— O! To mnie wzrusza najwięcej, taka pamięć. Dziękuję ci w jego imieniu — zdrów jest i cały. Wyobraź sobie, że musia-

łem się poświęcić i dać pokój przeszkodom—biedak miał już odrobinę poderwane nogi... Teraz wystoi się długo, wydobrzeje. Ali, powiadam ci, wypiękniał do niepoznania, kiedyś na nim jeździłem...

— Do Jarocinka?

— Tak. Wiesz — tam było wesele.

— Wesele?

— Jedna z panien wyszła za męża.

— Nic nie wiedziałem. Któraż?

— Starsza, Laura.

— Dawno?

— Prawie pół roku.

— Za kogo?

— Za pana Kraskowskiego, obywatela.

— Cóż to za pan?

— Phi, czy ja wiem, taki pan. Zdaje się, że dość głupi, ale poczciwy. Nie zastanawiałem się nad nim nigdy dłużej. Zresztą, poznasz go.

— Ja?

— Są tutaj. Ja właśnie z nimi, to jest właściwie nie z nimi... Spotkaliśmy się tutaj i kwita. Oni nawet jadą dalej—chcą być w Rzymie i papieża widzieć. Będiesz ich pewnie po Florencyi oprowadzał — szczęśliwy rodaku.

Wyszli z pod portyku na pełne światło księżyca. Adryan przyjrzał się Klineckiemu uważnie. Zdawało mu się, że jest nieco wymizerowany; cudowne, olbrzymie oczy patrzyły w dal z dziwnym wyrazem na poły bolesnego, na poły zdumionego uśmiechu.

— Śliczne, ciche, błogosławione miasto—mówił tamten—choć na dłużej nie wytrzymałbym tutaj. Zanadto nawykł już człowiek do huku i hałasu. Wenecya! Cóż, Adryanku, spacerujemy sobie po Piazza San Marco po nocy i jest nam dobrze, nieprawdaż?

— Naturalnie. Mnie — jest doskonale; lubię bardzo życie i wszystko, co mi przynosi.

— W twoim wieku powiedziałbym to mniej filozoficznie, ale tak lepiej... Tak, ma się rozumieć, że trzeba je lubić, póki się go używa — ale, mój drogi, chwilami ono jest bardzo dziwne i ogromnie złe. Wtenczas, poeto, można je tylko z całej duszy nienawidzić...

Zasepił się i umilkł. Tak przeszli całe Prokuracye aż ku lewej stronie placu. Tu Klinecki skreślił w bok, mówiąc:

— Chodź-że do mnie, będziemy gadali.

# SZKOŁA BATINIOLSKA

## w Paryżu.

W odległej dzielnicy Paryża, zamieszkałej przez ludność robotniczą i fabryczną, wśród ulic zatracających charakter stołeczny, w labiryncie zaśmieconych zaułków, odnajduje wreszcie wędrowny Polak cichą uliczkę, gdzie za wysoką bramą mieszczą się szczupłe dzisiaj zabudowania *Szkoły batiniolskiej*. Dziwny, smutny bardzo sentyment i jakieś rzewne wspomnienie polskiego romantyzmu wieje z tej nazwy.

Jest w niej pewien styl, taka zagrobowa literatura, nie mająca z realnym życiowym biegiem już nic wspólnego.

Wejźmy.

Dwa schludne domki, w nich mieszkanie dyrektora, salon ozdobiony portretami poetów polskich i dobrodziejów zakładu, mała jasna biblioteka, a w niej, dawne jak wspomnienie dziecinne, książki: Rzewuskiego, Kraszewskiego, Jeża.

U wejścia pomnik Gałęzowskiego dłuta Godebskiego, a u stóp długoletniego dyrektora zakładu, tuli się nagie chłopię, symbol polskich, zrodzonych na obczyźnie dzieci.

W głębi, za małym dziedzińcem, który w godzinach rekreacji rozbrzmiewa francuskimi lub angielskimi okrzykami wesołych chłopaków, — szkoła.

Na ścianach gmachu dwie tablice, a na nich kilkadziesiąt nazwisk polskich. To wspomnienie na cześć dawnych uczniów szkoły, zmarłych w boju za niepodległość w 63—64 r. i zmarli za Francję w 70—71 r. bohaterowie Polacy, spłacający krwią po raz Bóg wie który, zaciągnięty dług wobec gościnnej ziemi francuskiej. W szkolnym budynku mieszczą się schludne i porządne

sypialnie i klasy takie, jak mniej więcej wszystkie na świecie. W jednej z nich widzę na czarnej tablicy wypisane piekielne do wymówienia nie polskim gardłem ż, cz, sz, rz.

Jakże się nad niemi muszą biedzić te małe Francuziki o żywych buziach, o łobuzowskim typie paryskich *gaminów*, w których płynie trochę krwi dawnych bohaterów, dających czasami jednemu z nich w spadku, jasne oczy lub rozmarzone rysy Słowianina.

Nad całym zakładem unosi się atmosfera czegoś zapomnianego przez czas, trochę zamarłego, trochę muzealnego, a ponieważ jest to nie tylko pamiątka dawnych czasów, ale też być ma instytucja żywa, więc konieczne wtargnięcie w jej mury ruchu współczesnego i mus zastosowania się do chwili obecnej, czynią wrażenie dysonansu, przykrej niezgody.

Szkoła batiniolska dzisiaj sprawia takie smutne wrażenie, jest takim zgrzytem dla duszy polskiej, albo dla bardziej obojętnych ironiczną obserwacją.

A tym, co poznają historię tej szkoły dzieci emigranckich, rodzi się w myśli poczucie odwiecznego, dziejowego tragizmu narodu, którego najszczęśliwym statutem duchowym są Księgi Pielgrzymstwa.

Tragizm ten, tak u nas pospolity, że sami dopiero w zetknięciu z cudzoziemcami spostrzedz możemy, jak nim przesiąknięta nasza literatura i nasz podkład duchowy, ten tragizm rzeczy przeżytych, wypisał na murach szkoły emigranckiej jedną z boleśniej ironiczných kart.

Pomyślmy o zasadzie i o historii tej polskiej idei.

Oto rok 1831 — kończy się w morzu krwi i łez powstanie, wygnani z rodzinnych pieleszy mężni synowie boleśnej ojczyzny. Ona im była ukochaniem największym i najświętszym, dla niej poświęcili życie i mienie. I z niej iść precz za to właśnie ukochanie zmuszają obce potęce.

Więc z tą miłością, podniesioną bólem do egzaltacji, idą w świat krwawi bohaterowie; sypią się na nich w ich rozpaczliwym pochodzie wieńce i kwiaty, jak na dobrze umiających umierać gladyatorów. Miasta niemieckie, belgijskie, francuskie, owacyjnie przyjmują powstańców; Polak-tułacz staje się w literaturze romantycznej owych czasów typem z tkliwego romansu. Powstaje na ich cześć cała literatura, zrzadka błyskająca iskrami talentu lub szczerego uczucia, na ogół niesmacznie egzaltowana i sztucznie entuzjastyczna. Balzac pisze: *il etait Polonais donc noble et triste* i rzuca na rynek mody typ tragicznego wygnańca, otoczonego aureolą męczeństwa, typ, z którego wyradzał się czasami



pospolity *chevalier d'industrie*, wyzyskujący swoją niedolę, by w tkliwych sercach kobiet znaleźć pociechę, a kosztem łzawych opowieści, zasiłek wiecznie pustych kieszeni brukowca.

Obce kobiety chętnie brały w kojące dłonie blade, zorane troską czoła polskich szlachciców, każdy salon miał swego emigranta, a domy mieszczańskie rade witały u swego stołu szlachetnie urodzonego cudzoziemca, przynoszącego w prozaiczną sferę interesów kupieckich, urok romantyczny walki o niepodległość, ruiny wielkich dóbr i obowiązku wdzięczności dla tych, których Napoleon z chytrą dobroduszością nazywał, w nagrodę krwi dla niego przelanej: *Ces braves Polonais!*

Powoli układały się stosunki emigracyjne w jakiś system i ład, powstawały gazety, stowarzyszenia, obozy, spory i partye. Okropna tragedia, żywa rana serca, echo strzałów i jęków rzezi, szaleństwo czynów rozpaczliwych i nadludzkich porywów, ucicha, zamienia się na drobną monetę osobistych spraw. Nie może być inaczej; organizm ludzki pojedynczy czy zbiorowy, opiera się cierpieniu instynktem żywotności.

Powoli więc tragedia zamienia się na romans, tęsknota do kraju na tęsknotę ogniska domowego, szlacheckie uczucie gościnnego dziedzica o domu otwartym, na chęć przyjmowania u siebie „emigranckim obiadkiem.“ Smutne serca Emigrantów łatwo znajdują chętne pocieszycielki w egzaltowanych naówczas mieszkankach gościnniej, przyjaznej Francji.

Wyjść za Polaka było na ów czas czemś romantyzmem, trochę bohaterskiem nawet, ze szlachetną nutą bezinteresowności wobec biedy wygnańców, co w oczach praktycznych „burżujskich“ ojców stanowiło przeszkodę nielada, zwyciężaną jednak urokiem szlacheckiego herbu, oraz zdolnościami cudzoziemców, którzy często przygarnięci do francuskiej rodziny, wchodzili w nią, łącząc się z jej interesami i pomagając takowym z całym oddaniem się.

Kojarzyły się więc pary i wzrastały dzieci.

Zajęci utrzymaniem rodziny, pracą na chleb powszedni, w wolnych godzinach rojeniami co raz to mglistszymi o powrocie, przewrotach w kraju lub organizowaniu sił narodowych na obczyźnie, ojcowie usłyszeli pewnego dnia z boleśnym zdumieniem dzieci, swe dzieci tęsknoty i pogrobowych nadziei ojczyzny, mówiące obcą mową.

Mową matek.

Nic dziwnego — a jaki ból...

Co, więc cudzoziemcy mają wzrastać z tego właśnie pokolenia, które miłość ojczyzny rozwinęło do bohaterstwa?

Więc jeśli kraj wezwie synów, wnuków, okrzykiem „na pomoc!” Nie odpowiedzą? Nie zrozumieją? Tak być nie mogło.

22 maja 1841 r. został spisany w Paryżu akt założenia „Stowarzyszenia Ojców rodzin polskich na wychodźstwie;“ podpisują się generał Dwernicki, A. Biernacki, gen. Sznejde, Wincenty Tyszkiewicz, W. Chełmicki, M. H. Nakwaski, Stempowski, Słowaczyński, A. Gorecki, Kraiński, Stef. Niezabitowski i Michalski. Ludzie ci, widząc grożące już w pierwszym pokoleniu wynarodowienie Polaków na obczyźnie, wydają odezwę do rodaków, powiadając ich o celach i zamiarach stowarzyszonych.

„Rodacy!

„Dziesiąty rok upływa, jak jesteśmy po za Ojczyzną, na obcej ziemi, a między nami młodsze nasze pokolenie albo dziećmi przybyło do Francji, albo na ziemi francuskiej zrodzone. Pokolenie to jest jak my polskie, ma zasilić przyszłość naszej Ojczyzny, powinno być całkiem narodowe: ono tymczasem zmuszone w braku szkoły właściwej, korzystać ze szkół francuskich, uczyć się w języku obcym, wzrasta pod wpływem nienarodowych wyobrażeń, odwyka od rodzinnego języka, nabywa cudzoziemskiego ducha, utracą swą polskość właśnie ze strony, która jest najżywniejszą wszelkiej narodowości, słowem ginie dla Polski.

„Podobna szkoła nie może być obojętną dla Polaków, poświęconych ratowaniu swej Ojczyzny; sądzimy nawet, że zapobieżenie jej zamienia się w powinność dla nich tem świętszą, im położenie kraju staje się coraz bardziej zagrożone zamachami wrogów, im większej nabierają ceny żywy jej bytu, będące głównym celem nienawiści prześladowców.

„Pod tą myślą utworzone *Towarzystwo wychowania dzieci wychodźców polskich*, urzeczywistniając przyjęte przez siebie powołanie, zamierzyło założyć w Paryżu Instytucję dla dzieci polskich, mianowicie we Francji będących, pod nazwiskiem Szkoły narodowej wychodźstwa polskiego, w którejby młodzież, oddalona od Ojczyzny, mogła się wychowywać w duchu zupełnie narodowym i ukształcić się na obywateli użytecznych swojemu krajowi, w każdym jego położeniu.

„Rzeczzone Towarzystwo, ożywione tym celem, urządziwszy się stosownie, ułożyło następny program i śpieszy podać go do wiadomości powszechnej. Przez to ogłoszenie zamiarów Towarzystwa i planu przyjętej szkoły, spodziewa się znaleźć u rodaków potwierdzenie swego narodowego przedsięwzięcia, oraz uzyskać ich wsparcie i współdziałanie.

„Nie tajne są Towarzystwu zawady i trudności, podobnemu dziełu towarzyszące; mimo to, silne ma postanowienie wytrwać w pracy, aż do wyczerpania wszystkich środków w jego mocy będących i ma wiarę, że ją do skutku przyprowadzi, byleby rodacy szczerze wesprzeć je chcieli.

„Nie jego będzie wina jeżeli upadnie, pozostanie mu przeświadczenie, że myślało o dobru Polski i robiło dla niej co tylko czynić było w stanie.“

W ślad za tą odezwą, przygotowującą opinie publiczną do projektu założenia szkoły, wydaje Tow. wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich, 22/IX 1841 drugą odezwę, obejmującą szczegóły programu szkoły i zwracającą się do rodaków w kraju i za granicą z prośbą o poparcie. Dla tych ludzi oddalonych od ziemi ojczystej, tęskniących do niej z całym entuzjazmem poświęcenia, myśl stworzenia na obczyźnie ogniska, z którego nowe dla Polski mogłyby rosnąć siły, z dalekich krańców kędy niemi los rzucił możliwość wysyłania ku ojczyźnie jednostek ożywionych tym samym co oni duchem, to stało się dla emigrantów z 31-go roku hasłem do pracy w ściśle określonym kierunku: ochronić od wynarodowienia dzieci bohaterów i powrócić je, jako dojrzały do czynu materyał—„na Ojczyzny łono.“

O potrzebie wychowania narodowego tak się wyraża odezwa Towarzystwa: „Wychowanie dzieci wychodźców we Francji jest całkiem cudzoziemskie, konieczna ich przyszłość wynarodowienie się. Tymczasem są one także Polakami i należą do przyszłości naszego narodu. Mała to wprawdzie jego cząstka, ale i najmniejsza powinna być dzisiaj drogim skarbem, a my będziemy kiedyś powołani zdać sprawę z jego użycia.“

Chcąc urzeczywistnić projekt szkoły polskiej, zbierają członkowie Towarzystwa fundusze, a zarazem robią starania u władz odpowiednich o zatwierdzenie projektu i oddanie zakładu pod opiekę rządu francuskiego.

Niebawem też Rouselle, inspektor i administrator Akademii paryskiej zawiadomił oficjalnie, że minister oświecenia projekt szkoły dla Polaków zatwierdził, oraz zapomogę obiecał. Finansowo popierają szkołę Dwerniccy, urządzają się koncerty na dochód nowego zakładu, a wreszcie Ledóchowski Jan, jeden z Emigrantów, ofiarowuje na założenie szkoły 50,000 fr., z tem można było zacząć.

Nie mogąc atoli, dla braku odpowiednich funduszków, umieścić się we własnym lokalu—polska szkoła zamieszkuje Instytut p. Chapusot w Châtillon sous Bagneux, o pół mili od Paryża,

i tam, korzystając z francuskich wykładów na równi z uczniami francuskimi, tworzy swój osobny oddział, złożony z początku z 18, potem z 27 uczniów. Mają oni osobne swoje locum, nauczyciela i dozorcę, Polaków, obowiązującą rozmowę polską przy stole i w czasie rekreacji, oraz wykłady polskie. Program nauk dość obszerny, ze szczególnem uwzględnieniem nauk przyrodniczych i połączonych z nimi wycieczek naukowych.

Nie zaniedbują też ćwiczeń wojskowych, oraz nauki strategii, poświęcając tydzień wakacyjny miernictwu i zdejmowaniu planów w jednej z okolic Paryża. Wykład przedmiotów polskich obejmuje 8 godzin, co pół roku obowiązujący popis przed ciałem pedagogicznym.

Kary cielesne są wyłączone, co zważywszy, że były w powszechnem użyciu, stanowi objaw uczuć postępowych ze strony Polaków; wiek przyjęcia nie mniejszy jak lat 8 i obowiązująca umiejętność czytania i pisania po polsku, lub po francusku. Czas trwania nauki 3 lata, opłata roczna najmniej 100 fr., całe bowiem utrzymanie kosztuje 700 fr. Dla przyjęcia trzeba wymienić służbę krajową ojca i jaki stan rodziny na tułactwie?

Niektóre szczegóły programu, dążące do przypomniania na każdym kroku tym dzieciom, zrodzonym na obczyźnie, ich Ojczyzny, której może mieli nigdy nie ujrzeć, niektóre przepisy są wprost rozrzewniające: np. strój ucznia szkoły polskiej ma się składać z całkowitego ubioru, t. j. z tak zwanej *kościuszkowskiej*, narodowej sukmanki i pantalonów do ubioru i wyjścia na miasto, czapka polska z daszkiem do wyjścia, a furażerki do powszedniego użytku, wreszcie: *le pain de seigle étant habituel en Pologne, sera cuit dans la maison.*

W 1842 r. 29 listopada następuje uroczyste otwarcie szkoły w Châtillon—Andrzej Słowaczyński zostaje jej sekretarzem, Dwer-nicki, Ledóchowski, Biernacki i Kraiński są w Radzie pedagogicznej. Rozpoczynają się nauki z 18-tu uczniami, u których po pierwszym kwartale sprawozdanie szkolne stwierdza, że „przybyli z zupełnym prawie brakiem dobrego wymawiania po polsku.“

Nauki polskie obejmują więc wymawianie, czytanie, pisownię, gramatykę, geografję narodową i historję, a co czwartek religję. Z rozmaitych miast Francji przysyłają swych synów Polacy do narodowej szkoły polskiej. Z Tours, Poitiers, Besançon, Angoulême, z Havru i Orleanu, gdzie tylko burza polityczna zaniosła rozbitki rewolucyi, płynęły prośby; płynęły też i ofiary.

Już w roku 1844 przenosi się szkoła w liczbie 35 uczniów (30 internów i 5 bezpłatnych eksternów) do własnego lokalu

w Paryżu przy ulicy Fosses S-t Jacques № 13. Wszystko w nim jest polskie, nawet usługa. Dyrektorem zostaje Ksawery Bronikowski, vice-prezydent miasta Warszawy w 1831 roku, nauczycielami miejscowymi Biliński i Domański. Szkoła dzieli się na dwie klasy, wyższa, w liczbie 21 uczniów, chodzi na nauki francuskie do College Henry IV, rozproszona tam w trzech klasach. Z darów i zakupów tworzy się dla szkoły biblioteka, do której Lelewel ofiarowuje 12 egzemplarzy dzieła swego: *Dzieje Polski potocznie opowiadane*, oraz atlas historyczny Polski. Z kraju nadsyłają wciąż pieniądze ofiary, zamożniejsi rodacy płacą wpisy za synów emigranckich i rozwój internatu polskiego zaczyna się zapowiadać pomyślnie, a mimo szczupłych funduszków działać prawidłowo, oraz w duchu założenia.

Jednocześnie jednak z rozwojem jego działalności rozpoczynają się swary i głosy nieprzyjacielskie, prywatne plotki i gazetarskie kłótnie. Całe zastępy ludzi bez zajęcia, zgorzkniałych, szukających zarobku lub upustu swej żółci w jaki bądź sposób, rzuciły się na młodą instytucję z niepowołaną krytyką. Szpałty „Echa miast“ i „Trzeci maj,“ pisma, zostającego pod redakcją niejakiego Czyńskiego, używającego bardzo złej opinii, zapełniają się skargami ojców, nauczycieli, dobrodziejów etc. osób interesowanych w losach zakładu. Rozwodzono się w drobiazgowych kłótniach, cytując słowa tych lub owych, zaprzeczano sobie i tworzono z dziwnem amatorstwem burzę w szklance wody.

Inne pismo emigracyjne, demokratyczny „Orzeł biały“ całą winę tych waśni zrzuca na „Czartoryszczyków,“ na intrygi i zezdrości tego widma czy pantominy dworu, która mieściła się w Hotel Lambert z „królem polskim,“ jak nazywano Adama Czartoryskiego, na czele.

Przypisywano niechęć klientów domu Czartoryskich tej okoliczności, że nie z Hotelu Lambert wyszła inicjatywa założenia szkoły i nie pod jego możnowładczą powstawała egida. Już więc z zasady patrzano na nią z murów pałacu na Quai d'Orléans krytycznie. Zresztą żywiły intryganckie posługiwały się tu, jak nieraz w czasie Emigracji, firmą domu Czartoryskich, kompromitując osobę ks. Adama i jego dobre intencje.

Zatargi i matactwa dochodzą do tego stopnia, że przeciwnicy szkoły wydają oddzielną broszurkę, mieszczącą różne skargi i napaści na szkołę, listy, przedruki z „Echa miast,“ krytykujące zakład pod względem porządku i higieny, a nawet rzucające cień na dokładność rachunków zarządzających funduszem publicznym. Na ten paszkwil Rada szkolna odpowiada protestem, sy-

pią się polemiki po gazetach polskich, których naówczas wychodziło trzy: *Echa miast*, zdające sprawę z losów wygnańców we wszystkich zakątkach Francji; *Orzeł biały*, organ demokratyczny oraz zaprzysiężony tegoż przeciwnik — *Trzeci maj*. Prócz tego wychodziły peryodyczne sprawozdania z czynności szkoły polskiej i naturalnie niezliczona moc broszur, odezw, ulotnych świstków, służących prywatnym niechęciom.

Wreszcie po mglistych pogrózkach przeciwnicy szkoły doprowadzają swój zamiar do skutku: mianowicie udają się ze skargą do francuskiego ministra oświaty, uświadamiając o rzekomym złym stanie higienicznym, naukowym i moralnym szkoły. Minister zwrócił się listownie do J. Dwernickiego, prosząc go o udzielenie mu objaśnień co do stanu zakładu, będącego przecie pod protektorem i subwencją rządu francuskiego. Na to wezwanie dziesięciu członków Rady z prezesem Dwernickim na czele przesłało Ministerjum obszerną odpowiedź, odpierając zarzuty, czynione im przez rodaków, zaznaczając, że autorowie broszury mają swych synów w szkole i mimo tak ostrej krytyki jej systemu wychowawczego, nie objawili chęci zabrania ztamtąd dzieci.

Na prośbę Rady, pragnącej i w oczach rządu francuskiego i w oczach rodaków oczyścić się z zarzutów, przysłano z Ministerjum p. Demayencourt, członka Komitetu szkół elementarnych w Paryżu, dla dokonania rewizyi.

Ta wypadła tylko na korzyść szkoły i delegat zupełnie pochlebne wyraził o niej zdanie w komunikacie do Ministra zwróconym. Niebawem też nadszedł z Ministerjum list do Dwernickiego, oddający hołd zabiegom Polaków w utrwaleniu ducha polskiego w swych dzieciach, utrzymując ich narodowość. Dodaje zaś minister, że polecił prefektowi policyi, upoważnionemu do wypłacania zapomogi rządowej (dla 50 uczniów po 450 fr. rocznie) by „najsurowiej napomniał indywidua, które położyły swój podpis na tak nadzwyczaj nagannej publikacyi.“

Tem się zakończyły te niesmaczne i gorszące polemiki.

Zdawało się, że teraz losy szkoły mniej więcej zabezpieczone materyalnie, ustalą się i wejdą w fazę spokojnego rozwoju. Przeprowadzono różne szczęśliwe reformy, lokal przeniesiono na Boulev. Monceau i powiększono program nauk polskich, do czego wezwano nowe siły pedagogiczne w osobach Mierosławskiego do historii polskiej, Pfeifera do historii powszechnej i geografii. Utrwała się systematyczność w przeprowadzeniu zasad założenia, liczba uczniów wzrasta i szkoła wchodzi na drogę rozkwitu swej działalności.

Uznaje to rząd francuski, posyłający delegata na każde popisy szkoły, i popierając szlachetne usiłowania Polaków podwyższa swą subwencyę do hojnej kwoty 45,000 fr. rocznie.

Intrygi jednak przeciwników ucichły tylko na czas krótki i znów we francuskich i polskich pismach zjawiają się uwagi tyjące się tym razem moralnego kierunku szkoły. Zarzucano ludziom, stojącym na czele Instytucyi, zbyt demagogiczne oraz bezreligijne dążenia, denuncyowano wprost, że działającym żywiołem w zakładzie jest rewolucyjne Tow. Demokratyczne i ostrzegano przed tak zgubną propagandą Polaków i rząd francuski. Dążenia zaś tego ostatniego były zbyt konserwatywne, by mógł popierać instytucyę, mającą rzekomo hodować przyszłych Jakobinów.

Organ monarchiczny *Trzeci maj* występuje znów z zarzutami i osobistemi wycieczkami przeciw dyrektorowi szkoły, Malinowskiemu, nazywając go wprost komunistą, przeciw Dwernickiemu i członkom Rady, oskarżając ich, że protegują Tow. Demokratyczne, co było tak dalece fałszywem, że wyż wspomniane osoby należały właśnie do „Zjednoczenia,” towarzystwa, będącego przeciwnikiem Tow. Demokratycznego.

Wszystkie te zarzuty, wynikłe raczej z nieustannej pasyi do „konerażów,” będących plagą emigracyi, niż z istotnej racyi, potrafiło Tow. Wychowania Narod. odeprzeć szczęśliwie wobec ich bezzasadności i spory nie przeszły poza dziennikarskie szpalty.

Jestto obecnie (lata 1845—47) epoka prawdziwej świetności szkoły i naogół Emigracyi. Pełne goryczy chaotyczne właśnie początkowej epoki, ciągle, namiętne a bezcelowe sejnikowania ustają, by przybrać realne kształty szczęśliwie rozwijających się Towarzystw naukowych, jednoczących swe działy pod ogólną nazwą Towarzystwa literackiego, zajmującego się historyczną przeszłością Polski, oraz utrzymującego stałe biura, informujące obce rządy o obecnym jej stanie.

Mimo burzących się i ciągle gotujących do wybuchu fermentów rewolucyjnych, Francya cała zdaje się rozkwitać i wzrastać finansowo, dzięki wzmożonemu rozwojowi handlu z powodu przeprowadzonych sieci kolei żelaznych, jako też zaprowadzenia świeżo wynalezione go telegrafu. Dobrobyt i bogactwo kraju koncentruje się w stolicy, jaśniejącej blaskiem zabaw, rozkwitem sztuk pięknych, teatrów etc. W tych ostatnich nie grano już co prawda, jak przed dziesięciu laty, pantomin-féeries „Les Polonais“ z apoteozą obarczonoj kajdanami Polski, gdyż burżuazyjny rząd Ludwika Filipa niezbyt chętnym spoglądał okiem na wieczyście fermentujący element, o którym Talleyrand powiedział, że wszę-

dzie wnosi nieporządek, ale mimo, że moda na Polaków trochę przeszła, życzliwość, szczególnie żywiołów młodszych i postępowszych, nie ustaje. Wyraz tej sympatii daje młodzież francuska, składając w r. 1845 na ręce ks. A. Czartoryskiego adres współczucia z powodu prześladowań religijnych pod zaborem rosyjskim. Obecność naówczas w Paryżu męczeńskiej Makryny Mieczysławskiej rozplómiła umysły i literaturę, która wydaje broszury i wiersze na cześć „polskiej męczennicy.“

Szkoła batiniolska zjednywa sobie coraz większe sympatyje. Aloizy Biernacki, jeden z członków Rady, proponuje udzielanie tytułu członka honorowego Towarzystwa wychowania narodowego, by tem zjednać sobie życzliwość, poparcie i pomoc pieniężną w osobach przychylnych Polakom cudzoziemców.

Pierwszym zostaje poeta Beranger, za ofiarowanie do zbiorów szkoły motyki pamiątkowej po Kościuszcze, której wódz używał, mieszkając w okolicach Fontainebleau. Później dostali ten tytuł: Adillon, Barrot, Lamartine, Guimard, Mikołaj Turgieniew i inni.

Liczba uczniów dochodzi do 140, postęp w naukach dobry, a dwaj po sobie następujący dyrektorowie, z których każdy był duszą całą oddany zakładowi, choć każdy w inny sposób, nie mało się przyczyniają do rozwoju szkoły w kierunku przez program określonym.

Stanisław Malnowski, zostający na stanowisku dyrektora przez rok 1846, potem zaś od 1855 do 1890 r., wywarł odrazu silny wpływ na otoczenie. Był to duch wojskowy w całym znaczeniu tego wyrazu. Rodem z Kieleckiego, z uniwersytetu idzie w 1831 r. do powstania, w pułku strzelców Szembeka zawiaduje kasą wojskową; po bitwie pod Ostrołęką i wzięciu Warszawy przechodzi z Rybińskim granice Prus, a ztamtąd rusza do Galicyi, gdzie przebywa do 1837 r. ciągle spiskując. Bierze gorący udział we wszystkich stowarzyszeniach, mających na celu zmartwychwstanie Polski i jest wodzem terrorystycznej (w ówczesnem pojęciu) partyi, *Konfederacya*.

Zbytńia ruchliwość młodych spiskowców zwraca na nich uwagę rządu austriackiego i liczne aresztowania oraz więzienie w Kufsteinie kładą kres ich nadziejom. Po zmienianiu miejsca pobytu, ukrywaniu się i bronieniu wszelkiemi siłami przeciw ekspatryacyi, Malinowski widzi się zmuszonym wyjechać do Francyi i tu dzielić dolę i niedolę braci emigrantów.

W owym czasie (1839 r.) było Polaków we Francyi 5,000. Rozmieszczeni w miastach zwanych *Dépôts* (w Besançon, Bourges,



Chateauroux, Avignon) pobierali od wdzięcznej Francji, lubiącej się wówczas nazywać drugą Matką, lub starszą siostrą męczeńskiej Polski, żołd, t. j. zapomogę, jako kompensatę za... niedotrzymane obietnice Napoleońskie.

Zapomoga ta była tak mała (od 22 — 250 fr. dla oficerów wyższej rangi), że każdy z emigrantów, o ile się nie oddawał absorbującemu zajęciu warcholstwa, szukał zarobku w gałęzi dla siebie stosownej.

Malinowskiego wezwano do szkoły z powodu surowej karności jego charakteru; zadaniu temu odpowiadał zupełnie. Oddaje się całą duszą powierzonym obowiązkom, bierze uczniów w twardą rękę systemu i surowej dyscypliny. Sam żyje, jak asceta i wertuje w chwilach wolnych od zajęć z uczniami dzieła teologiczne, robiąc z nich liczne i nieustanne notatki.

Uczniowie nie lubili tej postaci drobnej, suchej, o długiej brodzie i niemodnym surducie, która wisała nad nimi o każdej porze; przezywali go „Żydek.“ Malinowski więcej budził w nich strachu niż miłości.

Rzecz się miała zupełnie inaczej z Hipolitem Klimaszewskim, w którego ręce „godniejsze,“ jak się sam wyraził, złożył po roku swój urząd Malinowski, zatrzymując sobie miejsce zarządzającego.

Klimaszewski stanowił zupełną antytezę poprzednika; mniej rozumny i mniej wykształcony, mimo pewnych czysto polskich wad bezładu i nietaktu, potrafił, dzięki dobroduszości i umiejętności w zjednywaniu serc młodzieży, zyskać sobie niebawem niezmierną między nią popularność i, jak nikt przedtem, ani potem, wlać w sfrancuziałe serca wychowawców szkoły batiniolskiej ducha istotnie polskiego, nie sztucznie zaszczerpionego, ale żywotnego.

Urodzony w Pińszczyźnie, nauki pobierał Klimaszewski w liceum Krzemienieckim i czas jakiś zajmował się nauczycielstwem w Lubarze na Wołyniu, z ramienia ks.ks. Bazylianów, do których zakonu miał wstąpić, wreszcie udaje się do Wilna i tam przenika go nawskroś cudowna atmosfera filarecka. Ta epoka miała na całe jego życie wywrzeć wpływ niezapomniany i głęboki, oraz dać mu tę bezwzględna miłość Polski, patryotyzm bezkrytyczny i idealizm, z którym się nie rozstał do końca życia i mocą gorącego uczucia umiał to samo umiłowanie wpajać w uczniów na obczyźnie.

Za czasów wileńskich pisywał liczne artykuły literackie, umieszczane w „Dzienniku wileńskim“ i tworzył piosnki o nastro-

ju patryotycznym, znane i śpiewane w całej Litwie, np. „Dosyć bracia w kącie siedzieć“ i innych wiele.

Wypadki 1831 roku wypędzają go z kraju, znajduje się w Paryżu z wizją ojczyzny w oczach, a miłością bez skazy w sercu.

Taki człowiek, zostawszy kierownikiem szkoły, mającej za cel *narodowe* wychowanie młodzieży, za najgorętsze sobie stawia zadanie wlać w chłopaków cały ogień zapału, jaki mu w sercu płonie. Za jego dyrektorstwa poczuła dopiero ta młodź sfrancuziała polską w sobie krew, zrozumiała, że jest tylko chwilowo na ziemi francuskiej, że ich ojczyzna jest tam het na północ, w kraju mniej pięknym, mniej bogatym, ale godnym miłości i uwielbienia bezgranic za mękę i bohaterstwo.

Potrafił „Klimasz,“ ukochany wnet przez uczniów profesor, dający bezinteresownie po kilka godzin języka polskiego dziennie, wpoić im to poczucie czuwania i bycia zawsze na pogotowiu, na wylocie niejako.

Hodował ich na Polaków i dla Polski tylko. Nie miał na celu utylitarnego ich kształcenia lub zastosowywania do obcych warunków, ale ideowe ukochanie dalekiego kraju.

I ten zakamieniały w bólu i miłości Litwin, jak go we wspomnieniu nazywa wileński jego uczeń, Kraszewski, potrafił tym dzieciom z matek obcych najczęściej, ale o krwi bohaterów, dać pojęcie Polski żywe, codzienne niejako.

Czytywał im „Pana Tadeusza“ i gotował kołduny, śpiewał „Pieśni o ziemi naszej“ i o każdej dzielnicy Polski opowiadał żywe, barwne anegdoty. Polska wyszła dla tych dzieci z kartek książek i kart geograficznych i zamieszkała wśród nich żywa, swojska, własna. Poczuli się jej przynależni duchem.

Postępy w ogólnych naukach są zadawalniające, a uroczyście odbywane popisy, okraszone zawsze mową któregoś z poważniejszych emigrantów i obecnością delegata rządu francuskiego, wykazują dobre postępy nie tylko w szkole polskiej, ale i w naukach francuskich.

Szkoła więc w stanie moralnego i materalnego rozkwitu dochodzi do roku 1848. Rozpoczynają się zaburzenia w Polsce, cała środkowa Europa podminowana spiskami, przejęta w szerokich warstwach ludowych i inteligencji zasadami wolności, gotuje się do wybuchu. W lutym następuje w Paryżu wybuch rewolucyi, rozchodzącej się jak hasło do rozszerzenia praw ludu po całym świecie. W Polsce na nowo świtają nadzieje, ufność w poparcie mas ludowych, będących w całej Europie w zatargu z własnymi rządami, podnieca nadzieje polskie. We Francyi mamy przy-

jaciół gotowych walczyć w szeregach polskiej partyzantki, formują się komitety, wezwania do formowania oddziałów wolontaryuszy na pomoc powstaniu polskiemu. Pierwszego dnia zapisuje się 5,000, drugiego 15,000 — wyruszają pod wodzą Chojeckiego, Charles Edmonda, inni unykają pojedynczo.

Szkoła batiniolska przejmuje się patryotycznym duchem, ale też pustoszeje: kolejno opuszczają klasy profesorowie Kwaskowski, Jaroszewski i inni, potem ulatują chłopaki lat 16-stu 17-stu. Cała prawie klasa 4-ta: Fijałkowski Bol., Rosiorowski Ant., Morawski Szym., Płauszewski Walery, Strzembosz Michał, Szypowski Karol, Wrotnowski Stanisław, Ziemecki Ignacy, porzucają szkołę i wracają do kraju „zwyciężyć lub zginąć.“ Reszta zabiera się gorliwiej jeszcze do nauki polskiego języka, teraz, kiedy powrót do kraju jest już tak pewny i bliski!..

„Malinowski, nawet surowy Malinowski, wpadł w gorączkę rewolucyjną i pono śpiewał na całe gardło marsylianekę w dziedzińcach szkoły“ — mówi W. Gasztowtt we wspomnieniach szkolnych, ogłaszanych w „Bulletin polonais“ 1 oct. 1891.

Ze wzmagającym się nastrojem podniecenia następują manifestacje uliczne, kilku nadzorców szkoły bierze udział w rozruchach. „Weszli z ludem do Tuilleries i tam widzieli, jak publicysta i poeta Krystyn hr. Ostrowski, autor „Łez wygnañców“ i „Listów słowiańskich,“ a późniejszy hojny ofiarodawca szkoły, grał na fortepianie królowej Maryi Amelii marsylianekę przy okrzykach: „Niech żyje Polska, Francya i Republika.“<sup>1)</sup>

Przy uroczystym pogrzebie ofiar rewolucyi, szkoła polska bierze udział w pochodzie w strojach narodowych i ze swoim sztandarem, na którego widok sympatyzujące, przyjazne okrzyki *Vive la Pologne* wybuchają w tłumie. Robotnicy paryscy urządzą młodzieży polskiej owacye i wydając okrzyki na cześć braterstwa ludów, odprowadzają uczniów do szkoły śpiewając *Delavigne'a Il est levé, voici ce jour sanglant* (oto dziś dzień krwi i chwały).

Na dziedzińcu szkoły zasadzają drzewo wolności, a dyrektor, poczciwy „Klimasz,“ wierny zasadzie polskiej gościnności, traktuje winem przyjaciół Francuzów.

Polityka, gorączkowe nadzieje, rychło coraz gorsze i bez nadziejne wieści z kraju, to wszystko czyni przerwę w naukach. Powoli jednak wracają rzeczy do normalnego stanu i w 1851 r., gdy Adam Mickiewicz zostaje prezesem Rady szkolnej, znów stan

<sup>1)</sup> Wspomn. Gasztowtta.

jej naukowy i finansowy jest bardzo dobry. Za poradą Adama Mickiewicza, który synów swoich też w szkole umieszcza, wprowadzonym zostaje zwyczaj uczestniczenia „batiniolczyków“ na wszystkich nabożeństwach za poległych generałów wojsk polskich, oraz na obchodach narodowych, co się do dzisiaj utrzymało. Klaczko zostaje profesorem literatury polskiej, wykłada jednak raczej jak poeta, niż jak uczony profesor. Pod zarządem skarbnika Seweryna Gałęzowskiego i Rady, w której się znajdowali ludzie jak Bohdan Zaleski i Mickiewicz, losy szkoły zdawały się zapewnione. Atoli rząd francuski, mimo republikańskiej formy, niechętny wszelkim, zbyt postępowym ruchom społeczeństwa, cofa raz po raz, pod pozorem ciężkich przejść finansowych, subwencję udzielaną szkole; najprzód częściowo, a w roku 1851 zupełnie.

Silne podejrzania za poduszczanie rządu przeciw rzekomo rewolucyjnym prądom szkoły, padają na J. B. Ostrowskiego, znanego w Emigracji pod nazwą „Żybusia,“ mającego wpływ i czynne stanowisko w prefekturze policji i na ogół przez lat kilkanaście sięjącego wśród Emigracji paszkwile, dotyczące takich nawet ludzi jak Adama Mickiewicza, oraz insynuacje, lotne odezwy, artykuły w „Nowej Polsce,“ bałamucące opinię publiczną i wadzące i tak łatwych do niezgody i sporów Polaków.

Kłęska ta materyalna nie długo nęka szkołę polską, gdyż wraz z ogłoszeniem cesarstwa, Napoleon III przywraca subwencję, za staraniem Ks. Branickiego, a dzięki pomysłowi Gałęzowskiego, by zaprosić wstępującego na tron monarchę na opiekuna szkoły.

Ani ta opieka, ani bardziej jeszcze wstawiennictwo Branickiego, nie podobały się czystym patriotom, widzącym w tem początek wprowadzania w kierownictwo szkoły elementów obojętnych polskości.

W tym czasie jednak szkoła dostaje się w ręce człowieka, który przez lat kilkadziesiąt będzie odtąd kierował bezspornie jej losami. Człowiekiem tym jest d-r Seweryn Gałęzowski, wprowadzony do Rady szkolnej z polecenia Mickiewicza; niebawem zostaje on prezesem Rady. Był to emigrant z 1831 roku, w którym pełnił służbę chirurga, a zrobiwszy olbrzymią fortunę w Meksyku przybył do Paryża, by, jak sam opowiadał, majątek i osobę oddać na usługi rodaków.

Zdania o Gałęzowskim są tak rozmaite i sprzeczne, że właściwego pojęcia trudno sobie wyrobić. Można się zgodzić na jedno, że był ambitny i, wzięwszy w opiekę szkołę, bardziej troszczył się o jej świetny wygląd, ilość uczniów (liczba ich doszła

w 1867 r. do 310), ich postępy i tryumfy w liceach francuskich w Sorbonie, gdzie na konkursowych egzaminach zdobywali nagrody, niż o istotnego ducha szkoły, która miała być polską, hodojącą dla Polski — Polaków.

Jednak trudno zupełnie potępić, albo się dziwić temu utilitaryzmowi: lata szły, powrót do kraju dla wszystkich odsuwał się coraz w mgłę marzenia, a więzy rodzinne, otoczenie, zajęcia, wchłaniały powoli rozproszone rodziny pół polskie, pół francuskie, wynaradawiając je coraz zupełniej.

Stało się wobec zadania: czy hodować dzieci w sztucznej atmosferze nadziei, może nie mających się ziścić i duszę ich utrzymywać w dalekim od otoczenia świecie, czy wychowywać je na dobrze uzbrojonych naukowo obywateli kraju, będącego właściwie ich krajem rodzinnym, aczkolwiek powtarzano im wciąż, że nie był ich ojczyzną.

Gałęzowski wybrał kierunek, który uważał za praktyczniejszy i bardziej zgodny z okolicznościami, nie zważając, że w ten sposób zbacza z drogi, zakreślonej niegdyś programem Szkoły polskiej.

Już w r. 1853 J. Jedliński, jeden z profesorów szkoły, w broszurze *O wychowaniu dzieci wychodźców polskich*, poświęconej Zamoyskiemu, w tonie łagodnego ubolewania stwierdza, że dzieci opornie się stawiają co do nauki polskości i „aby wstręt dzisiejszy do języka polskiego od uczniów szkoły batiniolskiej oddalić i pociągnąć ich ku mowie ojczystej,“ radzi różne oryginalne środki ojcom rodzin, np. wymaganie, aby dziecko żądało potraw tylko po polsku, a w przeciwnym razie aby ich nie otrzymywało. Poza tem w Szkole proponuje ordery, oznaki honorowe za język polski, miejsca honorowe u stołu, poleca założenie dla uczniów *Bractwa języka polskiego*, z całym nadzwyczaj skomplikowanym systemem hierarchicznym, pilnowaniem rozmowy po polsku, łapaniem na gorącym uczynku nie mówienia językiem, który sfrancuziali chłopcy powinni byli uważać za rodzinny, wreszcie szeregiem śmiesznych kar, jako to czapka papierowa z napisem: *Pamiętaj, żeś Polak* i t. p.

Ale dzieciom ani się śniło iść za prądem, który im narzucano.

Natomiast broszura, acz bardzo spokojnie i raczej w tonie ubolewania, niż potępienia mówiąca o zatracającym się duchu narodowym w Szkole batiniolskiej, wywołuje protesty ze strony party Gałęzowskiego i podejrzenia, że jest „inspirowana“ przez hr. Zamoyskiego, który protektorat i wpływy w Szkole dla siebie chce zagarnąć.

Jednocześnie prawie, bo w tym samym roku, ukazuje się broszura, odsądzająca od czci, od wiary Gałęzowskiego, a będąca dziełem „Żybusia“ Ostrowskiego. Zarzuca on opiekunowi Szkoły szereg przestępstw w kierunku antypolskim, podniesienie opłaty wstępu z 200 fr. na 500, szafowanie groszem emigracyjnym samowolnie, nawet używanie na cele osobiste składek, płynących z kraju, o które ciągle zabiega, podawanie się przytem za dobrodzieja i ofiarodawcę Szkoły, właściwie zaś podnoszenie bez kontroli pensyi swoim ulubieńcom, nie nagradzając prawdziwych zasług.

Nie dość na tem, wyraźnie wskazuje na rychłą ruinę szkoły z powodu rozrzutnej gospodarki i w tym względzie bodaj największą miał słuszność. Gałęzowski dokupywał grunta, budował gmachy szkolne i choć wzrastała i liczba uczniów i świetny wygląd zakładu, ale długi też rosły.

Zjadliwa broszura Ostrowskiego nie mogła mieć dostatecznej powagi wśród emigrantów, dla mocno skompromitowanej osoby autora, na którym leżało, stwierdzone potem, podejrzenie, że był szpiegiem na francuskim żołdzie; piśmidło jego miało jednak ten skutek, że Gałęzowski nabrał przekonania, iż posiada w szkole nieprzyjaciela w osobie Klimaszewskiego. Było to poniekąd prawdą, gdyż utylitarny i lojalny kierunek Gałęzowskiego był wprost przeciwny idealistycznym, prawie fanatycznym ideom polskości Klimaszewskiego i zatargi były między nimi ciągłe o szczegóły i kierunek.

Przytem „Klimasz,“ przy zacności nie odznaczający się wielkim taktem, rozdał uczniom broszurę Ostrowskiego — Gałęzowski więc korzystał z tej sposobności, by usunąć go z zajmowanego od lat 6-ściu stanowiska. Klimaszewski broni się jak może i umie — zaprzecza solidarności z Ostrowskim, protestuje przeciw zarzutom czynionym sobie i wylicza swoje niepoślednie istotnie zasługi, oraz kolosalną pracę, której dokonywał, dając po 600 — 800 godzin lekcyj rocznie bez żadnego wynagrodzenia, załatwiając korespondencję i pracując całą duszą nad wzbudzaniem uczuć patriotycznych w powierzony sobie młodzieży.

Zarzuca Gałęzowskiemu, że dla materyjalnej strony szkoły poświęca, „co jest gruntem i podstawą wychowania młodzieży polskiej,“ oraz stawia poważniejsze zarzuty: chęć trzymania u siebie księgi kwitów, robienie wydatków bez wiedzy i zezwolenia Rady, ciągnięcie dla siebie korzyści ze szkoły, a nadewszystko kierunek coraz bardziej rządowy, francuski z zacieraniem cech polskości. O ile i w jakim stopniu miały te zarzuty słuszność, tru-

dno docieć, gdyż Gałęzowski nie odpowiedział na nie wcale, a Klimaszewski został usunięty.

Stary profesor udał się do Marsylii i tam żył z pracy biurowej. Gdy w 1858 r. odwiedzał go dawny uczeń wileński J. J. Kraszewski, z żalem we wspomnieniu unieszczonem w „Kraju“ (rok VII, t. 12) opisuje, że znalazł człowieka złamanego i spaczzonego kolejami życia, mającego myśl skierowaną tylko ku przeszłości, a w teraźniejszości zajmującego się poziomymi drobnostkami biurowego życia. Umarł w 1875 r. na południu Francji, w bardzo skromnych warunkach materialnych.

Od owej chwili aż do swojej śmierci w 1878 r. Gałęzowski staje się Panem sytuacji i dyktatorem szkoły. Nauki zresztą, trzeba oddać tę sprawiedliwość, idą dobrze i zakłady francuskie rządowe, do których zdają uczniowie polscy egzamina, wystawiają im chlubne świadectwa.

W 1855 r. nadchodzi wstrząsająca wieść o nagłej śmierci Adama Mickiewicza w Konstantynopolu; uczniowie przywdziewają żałobę narodową i udają się *in corpore* na pogrzeb, podczas którego Bohdan Zaleski wygłasza natchnioną mowę, wzruszającą wszystkich obecnych.

Dyrektorem jest znów Malinowski, zawsze pełen skrupułów i niepewności, czy zdoła spełnić powierzone sobie obowiązki; Karol Sienkiewicz wykłada historię polską, B. Zaleski i Poniński gramatykę i literaturę.

Nie brak więc działwie batiniolskiej zachęty do ukochania dalekiej ojczyzny i to z niepoślednich ust.

W latach 1859 — 1860 uczniowie odnoszą świetne tryumfy na konkursowych egzaminach w Sorbonie: Mękarski otrzymuje złoty, Gasztowt srebrny medal jako też Piliński, brązowy Ratajski.

W roku 1861 dwa po sobie następujące pogrzeby ks. A. Czartoryskiego i Lelewela dają Emigracji sposobność do obchodów i manifestacyj, których znaczenie wzmacniają wieści z kraju o przygotowaniach do nowego wybuchu. Wszystko napręża się w powtórnem oczekiwaniu, uczniowie przejęci bądź co bądź atmosferą niepokoju i wzruszenia starszych, bardziej skłaniają się ku nauce polskiego języka. „Najgorętsi nie mówili inaczej, jak po polsku poza klasą“ — wspomina jeden ze współczesnych uczniów, Gasztowt. Nauki francuskie idą jednak dobrze: Klaczko wygłasza na uroczystości rozdania nagród mowę piękną i wzniosłą, w której mówi o doli sieroczej Polaków-Emigrantów i o konieczności wyrabiania w sobie mocy ducha, odpowiedniej losom tułaczym.

Dnia 23 stycznia przychodzi telegraficzna wiadomość o wybuchu powstania i wnet powtarza się to samo, co w 1848 r. Profesorowie: Bohdanowicz, Krosnowski, Sosnowski i Waligórski wyruszają do kraju. Niebawem wyruszają, żegnani zachwytem młodszych, uczniowie starszych klas.

Niewielu ich wróciło.

Lasy litewskie lub pola mazowieckie przyjęły te dzieci swoje, urodzone na obczyźnie i wrócone Polsce, po to, by jej oddać życie—nie by w niej żyć—ale tylko, by w niej umrzeć. Nic już więcej zrobić nie byli w stanie.

Powtórnie garstka dzieci emigranckich oddała się ojczyźnie, poznanej dopiero w chwili walki i katastrofy, nie wrócił nikt: żywych zamknął grób Syberyi, umarłych uczcili rodacy wspomnieniem krótkotrwałem.

Pozostali uczniowie zadawalniające mimo rozstroju czynią postępy w naukach. Patryotyczne śpiewy, musztra, opowieści o walkach zapełniają im rekreacje.

W 1863 r. Wołowski na popisie dorocznym w natchnionej mowie wielbi Rząd Narodowy i ogłoszone przez niego zrównanie stanów i religii. „Wolność osobista i narodowa — woła — pozostanie aureolą chwały tego momentu naszej historii.“

Nadchodzą wieści z Warszawy o klęskach krajowych, budząc na nowo współczucie i łzawy zachwyty... w literaturze. Uczniowie batiniolscy dostają napisany dla siebie patetyczny, długi a nudny poemat *Maximilienne du Laulchoy née de Montbar*, będący wyrazem uczuć wyższych sfer, w których egzaltowane damy starają się wyrzucić nacisk u dworu i przez cesarzową Eugenję wpłynąć na Napoleona III, by śpieszył na pomoc Polakom. Piękna cesarzowa przy kontredansie spiskuje z Metternichem na korzyść „tego bohaterskiego kraju,“ ulubionego konia nazywa Langiewiczem i wspiera składki. Jaques Fernand kliwie pisze wiersze, pełne okrzyków na cześć Polski, w pamiętnikach ówczesnych czytamy wyrazy istotnego żalu i litości nad ofiarami przemocy.

Jesteśmy znów modni i to nietylko we Francyi, w żurnalach mód i na deskach teatrzyków, ale także w gabinetach ministeryalnych i królewskich. Od moralnego jednak zadośćuczynienia poczuciu sprawiedliwości i ludzkości, do poparcia tych uczuć orężem — daleka droga.

Wyczekująca garść rozbitków nad Sekwaną, gotująca się lada dzień niemal do powrotu „na ojczyzny łono,“ zamiast spodziewanej interwencji koalicji europejskiej i ogłoszonej w kraju



swobody, widzi nadpływające nowe fale Emigracyi, gorzej złamanej, bardziej beznadziejnej, niż kiedy.

Nadzieja gromadnego powrotu staje się jakąś mglistą legendą, którą wszyscy szanują, choć w nią nikt już nie wierzy. Od bicie tych wrażeń na szkole batiniolskiej daje się uczuć może mimowoli kierowników.

Gałęzowski czyni starania u rządu i owocem ich jest dekret, podpisany przez Napoleona III, uznający szkołę za „zakład użytku publicznego,” t. j. dający mu prawomocną sankcję. Program jej istotnie nie różnił się w niczem od liceów francuskich, prócz wykładów języka polskiego, który coraz bardziej stawał się dla wychowawców zakładu językiem naukowym sztucznym.

Pod innemi względami atoli, interesa szkoły i jej rozwój postępują pomyślnie; przez pięć lat następnych Gałęzowski ratuje się w wydatkach składkami, zbieranemi w kraju i niemi *tant bien que mal* zażęgnywa materyalne niedobory.

Uroczyste rozdawanie nagród z nauk polskich odbywa się zwykłym trybem przy akompaniamencie mniej lub więcej wzniosłych zdań o miłości ojczyzny polskiej i francuskiej.

Wybuch wojna 70 roku.

Uczniowie zbierają składki na rannych, obiecują sobie w razie zbliżenia się nieprzyjaciela stanąć w szeregach i bronić Paryża od wspólnego wroga Prusaka.

Kto żyw z Emigracyi, ulegając rycerskim instyngtom Polaka, rzuca się w wir wojny, pragnąc pokazać Francuzom, jak się za przyjaciół walczy.

Układa się samodzielny, emigrancki batalion pod wodzą generała Kruka, Trochu jednak nie chce go zatwierdzić i wlicza Polaków do gwardyi narodowej (garde nationale). Inni rozpraszają się w korpusy *frantirerów* i biją się ramię w ramię z Francuzami, przelewając za nich krew poraż który?!... Część powstańców z 63 r., pod wodzą swego generała z polskiego powstania Rochebrun, padają z nim co do jednego na wałach fortu Montretout. Dąbrowski Jarosław wiezie do boju cudzoziemców i rodaków i wstawia się na barykadach nieustraszonem męstwem.

Wśród bohaterskich walk, złączonych w braterskiem uczuciu przeciw wspólnemu wrogowi, rozchodzi się straszna wiadomość o kapitulacyi Paryża. Zawrzało. Nie po to zniesli tyle dni głodu i chłodu, nie po to marły kobiety i dzieci z niedostatku, by, mogąc się bronić jeszcze, oddać miasto na hańbę.

Paryżanie, wściekli, rzucają się do walk ulicznych. Polacy z nimi, wszędzie ich pełno. Niestety, bratobójcza walka Francu-

zów staje się taką i dla Polaków, oni też, łącząc się stosownie do swych przekonań politycznych i pojęć o obowiązku, zostają to w korpusach wojska regularnego, t. j. wersalczyków, to rzucają się do bitwy na ulicach, na barykady, mordując się wzajem.

W morzu krwi utonęła Komuna. Wystrzeliwano setkami komunardów, ilu ich zginęło z ręki rodaków, tego oficjalna lista nie podała nigdy. Struga francuskiego złota popłynęła ku tryumfującej Brandenburgii, by wzbogacić państwo „bojaźni bożej.“

Jakież przez tę epokę zawichrzeń, pożarów i krwi, są losy szkoły batiniolskiej?

Przebywa ona epokę obłączenia, przymierając z głodu, jedząc koty, upolowane na własnych strychach, chorując po trochu, nie ucząc się oczywiście prawie nic, ratowana od napaści Komuny i represyj wersalczyków przez stoicznego zawsze i pełnego zimnej krwi Malinowskiego. Ale po zawarciu pokoju sytuacja zakładu okazuje się rozpaczliwa.

Dochody urwały się zewsząd: z Polski, zubożałej ostatniem powstaniem, nie nadchodziło nic prawie. Rząd francuski pod pozorem, że Polacy należeli do Komuny, w gruncie z powodu złego stanu finansów, odmówił dawnej zapomogi. Długi wskutek ryzykownych zakupów i powiększeń, zrobionych przez Gałęzowskiego, wzrosły do 200,000 przeszło. Uczniów zaś było coraz mniej, w r. 1871 jest ich 95, w następnym już tylko 75-ciu.

Narazie wydaje się, że niema innej rady, tylko zamknąć szkołę, której byt zaczynał się stawać bezcelowy, bowiem fala emigracyjna ustała, pojedyncze jednostki przybywały do Paryża na czas krótszy, bez zamiaru zakładania ogniska domowego, zaś te rodziny, które się za trzema napływami wychodźców utworzyły, o ile nie wysyłały swych dzieci do kraju, francuziały bez ratunku, ulegając naturalnym wpływom otoczenia.

Przez lat 30 (od 1842 — 1872) wyszło ze szkoły owej 1261 uczni, rozeszli się oni w różne kategorie zajęć, mało wróciło do kraju i to ci tylko, których tam uniosła burza polityczna. Reszta dała Francji 73 inżynierów, 31 profesorów, 36 doktorów, 12 adwokatów, 127 wojskowych, 234 urzędników kolejowych, 247 handlowców.

Grono jednak ludzi, zarządzających szkołą batiniolską, a mianowicie Gałęzowski, nie chciał przez ambycję, czy poszanowanie widma tradycyi, zlikwidować zupełnie jej istnienie. Po wielu zabiegach i kłopotliwych staraniach u zarządu miasta, sprzedano mu wreszcie gmachy szkolne i grunta za 700,000 fr., co było za bezcen, lecz nie było sposobu czekać na lepszego kupca.

Szkołę, zredukowaną do szczuplejszych rozmiarów, przeniesiono na Lanandé, gdzie się i teraz znajduje. Bibliotekę, zbyt wielką na szczupły lokal, zabrał hr. Działyński, jako depozyt do Kórnika.

Otwarto więc w r. 1872 szkołę polską w bardzo zmniejszonym personelu nauczycieli i uczniów i przy zastosowaniu różnych środków oszczędności, rozpoczęła ona nowy okres swego istnienia. Dyrektorem i duszą zakładu był Malinowski. Surowa i sucha rutyna, którą się kierował, nie mogła się przyczynić do wielkiego rozwoju szkoły, powoli schodziła ona do rzędu zakładu dobroczynnego, rodzaj przytułku, gdzie przyjmowano dzieci od lat 6-ciu, oddawane przez rodziców pod firmę polską, by im w ten sposób bezpłatnie lub bardzo tanie zapewnić wychowanie i utrzymanie.

Ogromne oszczędności, wprowadzone przez Malinowskiego (pozbawienie gimnastyki i spaceru, zniesienie uroczystego rozdawania nagród), coraz bardziej zacieśniały zakres programu szkolnego. Egzamina w liceach francuskich przechodzą jednak nieźle, powoli też wracają uroczystości szkolne, mowy na zakończenie roku etc. W r. 1877 wmurowują w gmach szkoły dwie tablice pamiątkowe na cześć uczniów, zmarłych w boju za Polskę i za Francję.

Odbywają się kolejno wręczenie Malinowskiemu oznak wraz z tytułem oficera akademii za 35 lat służby w dziedzinie pedagogii, następnie na dziedzińcu szkoły staje pomnik dla Gałęzowskiego, przez byłego ucznia szkoły Godebskiego robiony, a mający wyrażać wdzięczność dzieci emigranckich temu, który przez tyle lat zajmował się ich losami.

Powoli umierają dobrodzieje szkoły i jej opiekunowie: Bronisław Zaleski, Malinowski w r. 1890, żegnany uroczystym pogrzebem pragnących uczcić tyloletnią pracę starca. Obecnie więc szkoła batiniolska, rzec można, zakończyła już swoje istnienie. Oddała ona te usługi, jakie oddać mogła, i z biegiem czasu, jak wszystkie rzeczy, powstałe wskutek pewnych okoliczności, przżyła się, gdy znikły powody, dla których była utworzoną, i zmieniły się pod wpływem lat warunki, będące podstawą działania. Nie może już sobie robić złudzeń nikt, znający te stosunki: szkoła batiniolska dzieci polskich już nie wychowa i wychować nie może.

Procent Emigracyi, trwający przy polskości, powrócił do kraju bodaj w drugim pokoleniu, starsze wymarło, pozostali potomkowie musieli, z natury rzeczy, zasymilować się z otoczeniem

i, przyjąwszy obywatelstwo zamieszkanego kraju, stać się także duchem obywatelami Francji. Szkoła więc stała się istotnie zakładem dobroczynnym, gdzie przez uszanowanie tradycji, wychowują dzieci związkami krwi lub wspomnieniem złączone z dawną Emigracją, ale z polskością nie mające już nic wspólnego, prócz może w nielicznych wypadkach zachowania znajomości języka polskiego i pewnych sympatyj polskich.

Zachodzi obecnie pytanie, czy należy fundusze, których cel był „wychowanie na obczyźnie Polaków dla Polski,“ obracać na taką szkołę, jaką jest obecnie zakład przy ulicy Lamandé?

Już przed laty 10 wyszła broszura Choromańskiego, ostro powstając przeciw takiemu zбочzeniu celów zakładu polskiego na obczyźnie. Autor, którego pseudonim kryje podobno jednego z lwowskich literatów, trzyma się tonu polemiczno-agresywnego w całej broszurce, a w końcu wzywa społeczeństwo do wystąpienia energicznie przeciw nadużyciom, popełnianym przez opiekunów i zarządzających szkołą.

Rozbieranie w szczegółach, o ile są słuszne, należałoby do jakiejś komisji kontrolującej czy likwidacyjnej, a rzecz jest tego rodzaju, że właściwie niewiadomo, kto ma o losach szkoły decydować?

Spółczeństwo? Prasa? Wyrazy to zbyt ogólnikowe. Właściwemby mi się zdało, że kompetentne w tej mierze mogłyby być Towarzystwa naukowe polskie, w porozumieniu z miejscowymi ludźmi, wybranymi z pośród starszego pokolenia zamieszkałych w Paryżu Polaków.

Kto jednak ma wybrać taką komisję i upoważnić ją do działania? Sądę, że ci właśnie, do których po dziś dzień zarząd i kierunek szkoły należą. Nie powinni oni ze względów osobistych, materialnych korzyści, pozwolić na dalsze trwanie instytucji, naturalnym biegiem wypadków spaczonych w swych celach. Podczas, gdy, jak powiadam, szkoła batiniolska stała się przeżytkiem, nie przynoszącym polskości żadnej korzyści, inna natomiast potrzeba dla *obecnych* wychodźców polskich w Paryżu gorąco czuje się daje i na nią mogłyby pójść fundusze, przeznaczone „na utrzymanie w Polakach na obczyźnie ducha narodowego.“

Obecne wychodźstwo polskie w Paryżu obejmuje, 1-o sferę inteligentów, potrzebujących oczywiście nieraz zapomogi w różnych formach i mogących korzystać z licznych (nie dość licznych) stypendyów, przysługujących im, oraz 2-o z robotników, przybywających już to dla zarobku, już to dla udoskonalenia się w fachu (głównie krawieckim, kapeluszniczym i ornamentacyjnym).

Obie te fale polskie są w Paryżu żywiołem krótko bytującym, tak, że nawet emigracyjnym nazwać go niemożna.

Ucząca się młodzież, przyjeżdżająca po skończonych niższych, a często i wyższych studiach w kraju, strawy duchowej polskiej nie potrzebuje, gdyż nie po to tu przyjeżdża. Wreszcie odnaleźć takową może ile razy chce w Bibliotece Polskiej.

Inaczej się rzecz ma atoli z żywiołem robotniczym, który, przybywając do stolicy Francji bez znajomości języka miejscowego, a ze słabą na ogół kulturą, traci na tem materyalnie, w stosunku do bardziej wykształconych sfer robotniczych francuskich, umysłowo zaś nie rozwija się tak, jakby mógł lub chciał, popularne bowiem wykłady np. w U. P. (Université Populaire) są mu niedostępne aż do czasu opanowania języka, a polskiej instytucji tego rodzaju niema.

Parę razy czyniono próby organizowania rodzaju wolnego uniwersytetu polskiego o programie popularnym, a niejednokrotnie odzywano się o potrzebie posiadania stałego lokalu, przeznaczanego na polskie wiece, odczyty, teatry, koncerty albo i bale nawet. Zamiast wynajmowania przeróżnych sal kawiarnianych, nie zawsze charakterem i miejscem odpowiadających zadaniu, wszystkie Towarzystwa polskie w Paryżu, a jest ich obecnie, o ile wiem, z dziesięć, mogłyby opłacać lokal we własnym *Domu polskim*, któryby, prócz podobnej sali używalności przygodnej, łączył w sobie stowarzyszenie w typie uniwersytetu dla wszystkich o stałych, popularnych wykładach wieczorami, lekcyach francuskiego i polskiego i odpowiedniej bibliotece polsko-francuskiej.

Sądzę, że utworzenie takiej instytucji odpowiadałoby najlepiej jeśli nie w formie, to w treści, idei, założycieli szkoły polskiej i dlatego na ten cel pozostałe jej fundusze pójść powinny.

Do prasy należy zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na tę okoliczność i wpłynąć na uprawomocnionych opiekunów szkoły, by zmienili jej program w zastosowaniu do dzisiejszych potrzeb żywiołu polskiego na obczyźnie.<sup>1)</sup>

HEL. ROMER-OCHENKOWSKA.

<sup>1)</sup> Stan obecny szkoły przedstawia się, jak następuje: uczniów 34 (24 internes, 10 externes) zapomoga od rządu 20,000 fr.—fundusz żelazny 300,000—są też zapisy stypendyalne i biblioteka 22,000 tomów, znajdująca się przeważnie w Kórniku, zabudowania i place szkolne przedstawiają wartość kilkuset tysięcy franków.

# PIERWIASTKI MORALNE

## *w życiu społecznem.*

Nazwą etyki społecznej oznaczamy te pierwiastki życia gromadnego, które w formie pewnych norm, nakazów i sądów w najszerszych granicach regulują życie członków każdego społeczeństwa, określają ich wzajemne względem siebie obowiązki i tym sposobem koordynują stosunek każdego pojedynczego osobnika do reszty członków współżycia. Ponieważ ta koordynacja indywidualnych interesów może mieć miejsce tylko w warunkach współistnienia i współdziałania, więc też owe pierwiastki etyczne mogą wykwitać jedynie na gruncie życia społecznego. Im wyższe formy ono przybiera, im bardziej się rozrasta, im silniej spaja swych członków wzajemną wymianą usług, tem wyżej rozwija się również pierwiastek etyczny, tem gęstszą siecią norm, obyczajów, opinij i sądów oplątuje życie każdego osobnika.

Sfera bowiem działania etyki zawsze z natury rzeczy ściśle stosuje się do granic współżycia.

Dopóki związek ogarnia niewielką liczbę jednostek, stosunki między niemi układają się w prosty, nieskomplikowany sposób, a przeto nie potrzebują szerokiej reglamentacyi. Gdy jednak związek ten się rozszerza a stosunki się komplikują, reglamentacya ta musi wzrastać, bo tylko dzięki niej staje się możliwe współżycie oraz urzeczywistnienie porządku społecznego.

Zawiązkiem społeczeństwa była rodzina.

Na gruncie życia rodzinnego wyrasta też załazek etycznego postępowania. Nawet wśród ras ludzkich, żyjących na najniższych stopniach kulturalnego rozwoju, łatwo dostrzedz pierwiastki etyki rodzinnej. „Odnajdujemy je—mówi Tylor—w cierpliwiej czułości

matki i rozpaczliwym męstwem ojca przy obronie domowego ogniska, w ich codziennej trosce o małe dzieci, w przywiązaniu braci i sióstr, w zobopólnej wyrozumiałości, pomocy i ogólnem zaufaniu.“<sup>1)</sup>

W obrębie rodziny człowiek pierwotny pędził życie i zdobywał sobie środki istnienia, więc też poczuwał się do obowiązków moralnych jedynie względem członków swej rodziny. Ale z biegiem czasu współżycie się rozrasta, rozwija, zatem i pierwiastki etyczne od rodziny rozciągają się na szersze koło.

Wspólne cele, wspólna praca, wzajemna wymiana usług coraz silniej łączą coraz większą liczbę jednostek. Z początku główną spójnię między nimi (jak np. w rodach) stanowią węzły pokrewieństwa, potem warunki kooperacji. Z coraz większą siłą występuje konieczność określenia wzajemnych praw i obowiązków, ujęcia w pewne stałe formy stosunku każdego z członków społeczeństwa do reszty. Konieczność ta stopniowo powoduje do życia coraz liczniejszy zakres pierwiastków etycznych, które pod względem formy ściśle są przystosowane do rozwijających się form życia.

W historycznym rozwoju ludzkości łatwo dostrzedz, iż zasady etyczne, szczególnie sprzyjające w pewnej epoce interesom danej gromady, utrwalają się oraz stają się obowiązujące dla wszystkich członków danego współżycia. Taką naprzykład konsolidację pierwiastków etycznych u wszystkich ludów napotykaemy w kultach religijnych.

Z początku etyka—twierdzi Spencer—zupełnie się nawet nie wyodrębnia od religii, a porządek moralny, przypisywany bywa nadprzyrodzonym rządóm nad światem bądź przodków, bądź wodzów-bohaterów, którzy za życia kierują postępowaniem swych podwładnych, a po śmierci przechodzą do podań, stają się przedmiotem boskiej czci i tym sposobem długo nieraz z za grobu jeszcze normują życie swych ziomków. Nawet na wyższych stopniach kulturalnego rozwoju, poczynając od cywilizowanych narodów starego świata aż do ostatnich czasów, kult religijny ciągle łączy się z etyką, religia zaś, jako siła moralna, panuje nad społeczeństwem.

Ponieważ człowiek posłuszny jest nakazom tylko wtedy, gdy one pochodzą od jakiejś zasady, którą on uważa za wyższą od siebie, więc też kult religijny ze swą aureolą nadprzyrodzoności,

---

<sup>1)</sup> „Antropologia,” str. 412.

ze swym skończonym światopoglądem stanowi właśnie autorytet, który panuje nad umysłami i skłania je do uległości.

Wysokie znaczenie kultu religijnego, jako podstawy etycznego rozwoju ludzkości, niezmiernie silnie uwydatnia się w chrześcijaństwie, które się stało moralnym podłożem całej współczesnej cywilizacji. Nauka Chrystusa zasadniczo zmieniła stosunek człowieka względem Boga, opierając go na pierwiastku miłości, wynikającej z upodobnienia Boga do ojca, a rodzaj ludzki do Jego dzieci. Przedtem starożytne kultury świata starożytnego, oraz religie pierwotne opierały ten stosunek względem bóstw głównie na uczuciu strachu.

Idea chrześcijańska spotęgowała pierwiastek altruistyczny również w stosunkach między ludźmi, jako dziećmi jednego ojca: odmówiła sankcji etycznej wszelkim antagonizmom oraz pozbawiła moralnej racji bytu wszelkie objawy zarówno indywidualnej jak i zbiorowej nienawiści.

Nie zastanawiając się dłużej nad tą kwestią, stanowiącą przedmiot specjalnych zagadnień historii etyki, musimy zaznaczyć, że pierwiastek religijny wrasta tak silnie w życie społeczne, iż z niego wyłania się druga forma trwałych, skonsolidowanych pierwiastków etycznych, mianowicie przepisy prawa. W najwcześniejszych okresach swego rozwoju uchodzą one w oczach ogółu za nakaz boski, nadprzyrodzony, co nadaje im wielką moc i niewzruszoność, która pozwala ujmować ludzkie postępowanie w silniejsze kluby, niż jakiegokolwiek inne nakazy, uznawane za wytwór ludzki, przyrodzony. Z biegiem czasu jednak prawo ulega tak zwanej sekularyzacji czyli zdobywa sobie egzystencję, niezależną od kultu religijnego. Stanowi ono wówczas drugi i z kolei skonsolidowany objaw a zarazem miernik etycznego rozwoju ludzkości.

Przepisy prawa określają te warunki życia społecznego, które są niezbędne do urzeczywistnienia moralnych ideałów i pożytecznego modus vivendi członków współżycia. Moralność zawsze wskazuje ideał ludzkiego postępowania, prawo zaś jest próbą urzeczywistnienia tego ideału. Jako taka próba stanowi ono (według trafnej uwagi Jellinka) etyczne minimum, czyli możliwie najmniejszy zakres zasad etycznych, których zachowanie w danym stadium rozwoju społecznego uznane jest za bezwarunkowo konieczne. Stąd też płyną różnice między prawem, jako zbiorem ściśle sformułowanych i powszechnie obowiązujących norm etycznych, a tak zwaną moralnością.

Obowiązki, wypływające z moralności, nie znają przymusu. Sankcję ich stanowi jedynie sumienie własne oraz głos opinii



publicznej, natomiast obowiązki, nakazywane przez prawo, oparte są na przymusie, który z całą bezwzględnością bywa stosowany do każdego, kto się od nich uchyla.

Obok form wymienionych każde społeczeństwo wytwarza tak zwaną moralność pozytywną, która żyje w obyczajach, opinii publicznej, oraz w indywidualnem poczuciu poszczególnych jednostek. Skoro tylko jakiegokolwiek środowisko wyczuwa szkodliwość lub pożytek dla siebie pewnych objawów życia społecznego, to zwykle wydaje swój sąd o nich, bądź potępiający, bądź wyrażający uznanie i tym sposobem stwarza krytykę oraz ocenę etyczną nawet takich czynów, które nie są karane przez prawo, ani też potępiane przez religię. Dla jednostek wysoce uspołecznionych, odczuwających głęboko swą solidarność z otoczeniem, ta sankcja opinii publicznej jest tak doniosłą, że działa nawet silniej, niż obawa kary za pogwałcenie prawa. W najwyższym stopniu przeto skłania je do etycznego postępowania. „Wystarczy jeno spojrzeć dookoła siebie — mówi Tomasz Huxley — aby zobaczyć, że największym hamulcem dla antyspołecznych dążeń człowieka jest: nie obawa następstw prawnych, lecz opinii bliźnich. Konwencyonalne więzy honoru krępują ludzi, rwących węzły prawne, moralne i religijne, a chociaż wolą oni znosić najwyższe cierpienia fizyczne, niż rozstać się z życiem, wstyd popycha najsłabszego do samobójstwa.“<sup>1)</sup>

Charakter i poziom moralny opinii publicznej, rozumie się, zależy od stopnia kulturalnego a więc i etycznego rozwoju środowiska, które ją wytwarza. Dlatego też nie jest ona ani jednolitą, ani jednakową, lecz przeciwnie rozbieżną i zmienną zarówno pod względem czasu, jak i miejsca, w którym się urabia. A wahania jej pod tym względem są bardzo silne, tak iż nieraz w najwyższym stopniu potępia to, co niegdyś uświęcała i odwrotnie.

Jeszcze większą rozbieżność pod względem treści wykazują te sądy etyczne, które nie posiadają sankcyi ani w nakazach religii, ani prawa, ani nawet opinii publicznej, lecz stanowią wytwór indywidualny pojedynczych osobników i jako taki pozostają jedynie w ich wewnętrznem poczuciu i przekonaniu. Sądy takie nabierają wielkiego znaczenia, jeżeli są wygłaszane przez t. zw. moralne autorytety. Nazwą tą oznaczamy osobistość, której zalety wywołują szacunek, zaufanie lub miłość i której nie chcemy poddawać żadnej krytyce. Działalność wyjątkowo pod względem

<sup>1)</sup> Tomasz Huxley: „Ewolucja i etyka,“ str. 20.

etycznym rozwiniętych jednostek, tak zwanych „geniuszów moralności,“ będących wcieleniem i wypadkową wszystkich dążeń w tym kierunku swej epoki, stanowi nieraz zwrotny punkt w rozwoju społeczeństw na tej drodze, a w każdym razie pozostawia głębokie ślady w duszach narodów i wpływ ich trwa czasem przez całe wieki. Takimi byli na przykład hebrajscy prorocy, założyciele niektórych kultów religijnych, wielcy poeci, myśliciele.

Jeżeli te indywidualne przekonania i poczucia moralne nie objawiają się konkretnie na tak szerokiem podłożu, lecz noszą charakter zwykłej, codziennej walki o pewien ideał, o jakieś lepsze uczucie, to albo przenikają do świadomości mniej lub więcej szerokiego ogółu i, znajdując wśród niego zwolenników, stają się opinią publiczną, albo też, pozbawione uznania, pozostają jedynie w indywidualnem poczuciu rzeczonych osobników. Tu właśnie zachodzi kres, poza którym kończy się wszelka ocena i krytyka moralna postępowania.

\*

\*

\*

Najbardziej powierzchowny rzut oka na historię i etnologię ludzkości uczy, że sądy o tem, co jest złem lub dobrem, co godne potępienia lub pochwały w różnych czasach oraz w różnych miejscach brzmiały bardzo rozmaicie. Fakt ten zrodził powątpiewanie, czy wogóle istnieją uniwersalne normy oraz wspólny ideał etyczny u wszystkich ludów i po wszystkie czasy?

Badania naukowe indukcyjnie stwierdziły, że tak nie jest. Doprowadzają one do wniosku, że istnienie uniwersalnych, powszechnych zasad etycznych jest nawet niemożliwe.

Współżycie różnych odłamów rodzaju ludzkiego powstaje i rozwija się wśród bardzo odmiennych warunków. Te ostatnie wytwarzają społeczne, duchowe nawet biologiczne różnice między szczepami i narodami.

Jeżeli zatem charakter i formy życia społecznego są rozmaite, to nieuniknionem jest także działanie wśród nich różnych norm postępowania, jako wytworów życia gromadnego. Istotnie też, liczne rozgałęzienia rodzaju ludzkiego wytwarzają swą odrębną etykę.

„Podobnie, jak Anglik — mówi Paulsen<sup>1)</sup> — odmienny jest od Negra lub Chińczyka i musi się od nich różnić, tak też działają wśród nich odrębne zasady moralności.“

Ludożerca uważa zjadanie ludzi za coś bardzo moralnego, natomiast nasze cywilizowane społeczeństwa traktują kanibalizm jako jedną z najcięższych zbrodni.

Moralnem było dla Greków i Rzymian niewolnictwo, dla pa-na feudalnego średnich wieków poddaństwo; dziś wszystkie te zjawiska społeczne uważane są za krzyczącą niesprawiedliwość. Słowem, zarówno pod względem czasu, jak i miejsca, panuje zmienność zasad etycznych. Zawsze bowiem są one przystosowane do całokształtu warunków życia społecznego, muszą rozwijać się oraz ulegać modyfikacji razem z niem, bo wyrastają na jego gruncie, jako integralny, nierozłączny pierwiastek.

Ogólno-ludzka moralność, dla wszystkich rozumnych istot jednakowa, może być jedynie teoretycznie pomyślana, może być wytworem umysłowej spekulacji, ale niema takiego, kto by ją zdołał wprowadzić w życie. W rzeczywistości przeto napotykaemy tak wielkie bogactwo kryteriów, stanowisk w sądach moralnych, jak nieskończoną różnorodność warunków istnienia przedstawia życie społeczne. Różniczkowanie się jego momentów stanowi niezbędny, z żelazną koniecznością praw rozwoju przeprowadzany objaw ewolucji. Występuje ono w formie, naprzykład, tworzenia się odrębnych stanów, klas, zawodów, z których każdy nakłada specjalne obowiązki oraz stwarza pewne odrębności w zasadach postępowania.

Czyniąc jeszcze jeden krok dalej, winniśmy zaznaczyć, że nawet wśród członków tej samej grupy społecznej zachodzą nieraz indywidualne różnice i odcienie nie tylko w stosowaniu zasad etyki, ale i odpowiedzialności moralnej. Podobnie, jak odmienne cechy ich organizacji fizycznej oraz warunków życiowych wymagają pewnych różnic co do fizycznej diety, tak też odmienne stanowiska społeczne, różne stopnie wykształcenia, wychowania moralnego i t. d. stwarzają odmienną skalę obowiązków oraz odpowiedzialności moralnej za postępowanie. Co ganimy w jednym, to tolerujemy u innego, co wybaczymy maluczkemu i ciemnemu, to stanowczo nieraz potępiamy wśród możnych i oświeconych. Słowem, w tych dziedzinach życia, gdzie członkowie społeczeństwa są zróżniczkowani, zachodzi również dyfferencyacja pod względem etycznym.

<sup>1)</sup> „System der Ethik“ str. 10.

Cecha, która zespala wszystkie tryby moralnego postępowania oraz jednoczy je pod względem społecznym, jest pierwiastek altruistyczny. Ponieważ cała nieskończona różnorodność form życia gromadnego posiada pewne wspólne znamiona oraz podlega jednakim prawom rozwoju, więc też w dziedzinie etyki, jako jednym z wytworów tego procesu, który nazywamy życiem zbiorowym, musi zachodzić zgodność i zbieżność niektórych pierwiastków. Tak samo, jak podobieństwo pod względem budowy fizycznej pociąga za sobą konieczność zachowywania niektórych jednakich przepisów dyetetycznych (naprzykład—odżywiania się za pomocą białka, tłuszczu i węglowodanów, konieczności spoczynku po pracy)—tak też i etyka wszystkich ludów i po wszystkie czasy musi posiadać momenty wspólne, uniwersalne.

Jakież to są?

Te, które stanowią niezbędny warunek związku społecznego wogóle, w jakiegokolwiek formie takowy się objawia. Do nich, jakżeśmy już zaznaczyli, należy konieczność powściągnięcia popędów czysto egoistycznych bądź na korzyść pojedynczego osobnika, bądź też dla dobra całego ogółu, t. j. pierwiastek altruistyczny. Ten ostatni łączy wszystkie odrębne znamiona zróżniczkowanych odłamów etyki w jedną integralną całość, która ma na celu dobro ogółu, szczęście społeczne.

Zespalając różne tryby postępowania, pierwiastek altruistyczny tem samem przyczynia się do integracji rozmaitych grup społecznych, które, pomimo sprzecznych nieraz konkretnych interesów, pomimo rozdziału w innych sferach życia, łączą się i jednoczą w imię wspólnie umiłowanego ideału dobra. Weźmy na przykład sferę etyki zawodowej, która rozciąga swą kompetencję tylko na te stosunki, wzajemne prawa i obowiązki członków społeczeństwa, które zachodzą między nimi dzięki podziałowi pracy. Podział ten, jak wiadomo, pociąga za sobą wyodrębnianie się pewnych grup społecznych w poszczególne zawody, które, w miarę rozwoju, podlegają coraz większemu różniczkowaniu.

Cóż je zespala, co je łączy w całość, zwaną społeczeństwem?

Bez wątpienia jednym z czynników, który spaja wszystkie, nawet najbardziej zróżniczkowane zawody, jest właśnie ich etyka—ona bowiem wprowadza w sferę pracy pierwiastek altruistyczny, który, będąc najwyższym wytworem życia społecznego, przyczynia się do integracji różnych grup społecznych tak samo jak i pojedynczych osobników w całość, zwaną społeczeństwem.

Jakże się objawia ten pierwiastek altruistyczny w etyce zawodowej?

Otóż wprowadza on całkiem nowe pojęcia o celu i zadaniach pracy, pojęcia odmienne od tych, które nasuwa nam na każdym kroku tak zwana walka o byt. W całej ożywionej naturze, jak wiadomo, toczy się ta walka z bezwzględną zaciętością, zwycięzca przeżywa zwyciężonego i w ten sposób odbywa się dobór naturalny istot, najlepiej przystosowanych do warunków życia. Przeżytki tej walki, wprawdzie nie zawsze już krwawej, niemniej jednak bolesnej, wytwarzają największe zło w życiu współczesnych społeczeństw: wtrącają je w stan wzajemnej nienawiści, w stan, że człowiek wilkiem się człowiekowi staje, że słabszy musi uleść silniejszemu, a możny panuje nad biedakiem.

I oto gdy socjologowie, ekonomiści i filozofowie nam dowodzą, że ta walka człowieka z człowiekiem, narodu z narodem, że te instynkta niszczycielskie, które do dziś dnia trapią ludzkość, nie ustaną dopóki istnieć będzie nieograniczone rozmnażanie się, że żaden ustrój społeczny, żadne próby podziału bogactw na to nie pomogą... to wówczas zwykle ze smutkiem spoglądamy w dal przyszłą i pytamy: czyż niema wyjścia, zali musi być tyle zła, tyle cierpień zawsze na świecie?

Jednakże dzieje życia społecznego nam wskazują, że postęp i rozwój na tym fakcie walki wszystkich przeciw wszystkim nie poprzestaje. Szuka z niej wyjścia i jeżeli nie usuwa całkowicie, to przynajmniej niweluje ostre jej kontury.

Jako współczynnik tego życia społecznego występuje etyka, występuje, jako odmienny, wręcz przeciwny walce o byt pierwiastek, który z nieprzepartą siłą się rozwija, potęguje i stopniowo zamienia zażartą walkę o kęs chleba w zgodne wszystkich współdziałanie.

Jaką drogą?

Oto wprowadza biegunowo przeciwległy pogląd na cel pracy i głosi hasło, że praca dla niej samej, że działanie dla działania jest głównym zadaniem życia ludzkiego, że wszelkie korzyści osobiste mogą być skutkiem trudów i tylko wynagrodzeniem za nie, ale nigdy celem wyłącznym, że praca nasza nie powinna stać się jedynie środkiem osiągnięcia zysków i korzyści. Naturalnie podobna zasada stanowi ideał, który w życiu może znaleźć jedynie względne urzeczywistnienie. Niemniej jednak rozwój społeczny musi być połączony z rozszerzeniem się tych haseł etycznych w różnych sferach pracy. Hasła te nie odrazu zyskują sobie całkowitą przewagę i panowanie: najpierw objawiają się z większą lub mniejszą domieszką egoizmu, później coraz bardziej są od niego wolne, z początku kiełkują w jednych zawodach, po-

tem przenikają do innych, zrazu znajdują niewielką liczbę wyznawców, potem coraz większą.

W naszych czasach, które są owocem długiej ewolucji, napotykamy jeszcze olbrzymią różnicę pod względem poziomu etycznego zarówno jednostek, jak i odrębnych zawodów. Jedne z nich, jak na przykład lekarski, są wysoce przejęte duchem humanitarnego altruizmu, inne, jak np. kupiecki, noszą wybitną cechę służenia sobie. To samo wśród jednostek: niektóre z nich pracują z głębokiem zamiłowaniem swego zawodu, dla innych zaś jedyną gwiazdą przewodnią w życiu, jedynym przedmiotem marzeń i dążeń jest zrobienie majątku. A jednak tylko niwelacja tych różnic w kierunku przewagi czynnika altruistycznego nad egoistycznym może być połączona z doskonaleniem się życia społecznego, czyli ze wzmaganiem się dobra poszczególnych grup społecznych i jednostek. Tylko bowiem życie, oparte na tym pierwiastku humanitarnego altruizmu, może sprzyjać tak zwanemu szczęściu powszechnemu, czyli szczęściu największej liczby jednostek.

Nie wynika stąd bynajmniej, aby drugi czynnik życia społecznego, mianowicie egoistyczny, miał być całkiem wyparty przez pierwszy, t. j. altruistyczny. Wszelkie humanitarne dążenia wcale nie wyłączają dbałości o dobro osobiste. Przeciwnie, względem ten, tak naturalny i tak potężny w każdej jednostce, musi odgrywać nawet przy najwyższym stanie etycznej kultury swą doniosłą rolę. W sferze na przykład pracy zawodowej stwarza on właśnie prawo do wynagrodzenia, które zawsze będzie sankcjonowała etyka, posunięta nawet do najwyższego idealizmu. W przeciwnym razie praca w ścisłym tego słowa znaczeniu przestałaby być tem, czem jest i czem musi pozostać, lecz stałaby się jedynie szeregiem poświęceń. Życie społeczne zaś nie może być oparte na samem poświęceniu. Gdyby wszyscy członkowie społeczeństwa przestali dbać o interesy własne, lecz jedynie chcieli się poświęcać dla innych, wówczas społeczeństwo przestałoby istnieć. Szczęście ogółu powstaje ze szczęścia wszystkich jednostek go składających, a przeto czynniki, które sprzyjają doskonaleniu się osobników, mają wysokie znaczenie moralne. Kto grzeszy przeciw samemu sobie — ten grzeszy również przeciw potomstwu, gdyż na mocy praw dziedziczności przenosi na nie swe wady duchowe i cielesne.

Człowiek tedy, jako istota, żyjąca społecznie, ma dwa rodzaje obowiązków: popierwsze względem siebie, powtóre zaś względem społeczeństwa, do którego należy. Pierwsze dyktuje mu miłość własna, drugie — miłość bliźniego. „Obydwa te rzędy naka-

zów—mówi Haeckel<sup>1)</sup>—są jednakowo uprawnione, jednakowo normalne, jednakowo konieczne.“ Zrównoważenie tych dwóch popełdów naszej natury: egoizmu i altruizmu, miłości własnej i miłości bliźniego jest najpierwszą podstawą wszelkiej moralności.

Zachodzi teraz pytanie, jak skoordynować i pogodzić te dwa przeciwległe pierwiastki?

Emmanuel Kant odpowiada na nie kategorycznym rozkazem, który brzmi: „Handle so, dass die Maxime deines Willens jederzeit zugleich als Prinzip einer allgemeinen Gesetzgebung gelten könne“<sup>2)</sup> („czyń tak, żeby reguła twojej woli mogła być jednocześnie zasadą prawodawstwa ogólnego“). O ile na niższych stopniach kultury, kiedy przeważa jeszcze egoizm, stosowanie w życiu tego imperatywu wymagałoby zapewne ofiar ze strony osoby działającej, to z postępem cywilizacji konieczność takowej ofiary stopniowo zanika. Dzięki bowiem potęgowaniu się i wzrastającej przewadze czynnika altruistycznego, rozbieżność w dążeniach jednostek słabnie, sprzeczność ich interesów się zmniejsza. A to wzmaganie się miłości bliźniego, to rozszerzanie się pierwiastków altruistycznych rośnie we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Weźmy np. dziedzinę, w której może najtrudniej szerzą się popędy altruistyczne, mianowicie sferę solidarności gromadnej. Jeżeli wyobrazimy sobie najpierwszy zaród tej solidarności, mianowicie rodzinę, wokoło której—jak mówi Wundt<sup>3)</sup>—nakształt kręgów koncentrycznych zjawiają się coraz to wyższe formacje, to z niezmierną plastyką dostrzeżemy rozszerzanie się na coraz szersze koła tych pierwiastków altruistycznych. Egoizm indywidualny, będący na najniższych stopniach społecznego rozwoju podstawą postępowania jednostki względem drugiej, przedzierzga się w altruizm względem członków jednej rodziny; stąd wytwarza się solidarność pewnej małej grupy, która jednakże względem innych takich samych grup zachowuje egoizm rodzinny. Gdy rodzina rozrasta się w ród, obejmujący większą lub mniejszą liczbę rodzin, występuje pierwiastek altruistyczny na tle życia członków całego rodu. I oto wytwarza się etyka rodowa, która nie uwzględnia wcale członków innych rodów. Widzimy tedy, jak egoizm

1) Ernst Haeckel: „Die Welträtsel“ rozdz. XIX.

2) Immanuel Kant: „Kritik der praktischen Vernunft“ str. 36, wydanie Reclama.

3) Wilhelm Wundt: „Ethik“ t. I, rozdz. III, § 4.

rodzinny przedzierzgnął się w rodowy, zatem pierwiastek altruistyczny już zakreślił szersze koło.

Wstępując w nowy krąg, spostrzegamy, iż solidarność rodowa rozszerza się na całe plemię: zasady postępowania etycznego zaczynają obowiązywać wszystkich członków danego plemienia; względem innych plemion egoizm stanowi obowiązek. „Cnoty towarzyskie—mówi Darwin w dziele swem „The Descent of Man“<sup>1)</sup>—stosowane są u dzikich wyłącznie tylko do członków tego samego plemienia; najbardziej zaś niehumanitarne postępowanie z ludźmi, należącymi do innych plemion, nie jest bynajmniej uważane jako zbrodnia.“

Egoizm rodowy rozszerzył się tedy na całe plemię. W porównaniu z egoizmem rodzinnym jednak spostrzegamy tu już znaczne rozszerzenie się pierwiastku altruistycznego.

Wyższą formację społeczną od plemienia, opartą już nie na przyrodzonym, lecz socjalno-historycznym czynniku, stanowi naród. Warunkiem, niezbędnym do utworzenia się takiej wyższej formacji jest to, aby wśród pewnej, szerokiej grupy społecznej rozpowszechniło się silne poczucie jedności wskutek jednakich cech kulturalnych oraz dzięki wspólnym losom historycznym. Istotnie, w każdym narodzie wykwita tak zwany patriotyzm, jako specyficzny objaw solidarności społecznej, którego hasłem jest absolutne zrzeczenie się egoizmu indywidualnego, rodzinnego i t. d. dla dobra całego narodu. Jeżeli te uczucia altruistyczne, działające w obrębie jednego narodu, nie wychodzą poza jego granicę, to wytwarza się egoizm narodowy, zwany szowinizmem.

Szowinizm najpotężniej działa podczas wczesnych okresów rozwoju narodowego. Wówczas naprzykład nietylko moralność pozytywna, ale nawet prawo nie zabezpiecza istnienia cudzoziemca. „Wśród narodów mało cywilizowanych — mówi wspomniany autor<sup>2)</sup> — okradanie i wyzyskiwanie cudzoziemców uważane jest jako czyn szlachetny, a conajmniej patriotyczny.“

Z postępem jednak cywilizacji, kultury i uczuć humanitarnych tego rodzaju punkt widzenia ustępuje innemu. Już dziś w każdym ucywilizowanym narodzie prawo jednakowo zabezpiecza życie i najważniejsze interesy cudzoziemców, a szerokie prądy społeczne, nauka i niektóre nawet kultury religijne nawołują do uczuć altruistycznych, rozciągających się na całą ludzkość. Je-

1) Ch. Darwin: „The Descent of Man“ London, 187 l. p. 93.

2) Darwin: loco cit. str. 94.



dnem słowem, widzimy, że pierwiastek altruistyczny z biegiem ewolucji społecznej zakreśla coraz większe koła oraz ściśle zawsze odpowiada granicom współżycia i współdziałania.

Nietylko w tym jednym kierunku odbywa się postęp etyczny ludzkości. Równocześnie wewnątrz każdej formacji zachodzi coraz większe potęgowanie się czynnika altruistycznego, zaciągają się węzły rodzinne, potężnieją uczucia narodowe, zjawiają się nowe, nieznane przedtem względy etyczne, które coraz doskonalej zabezpieczają istnienie każdego osobnika, gwarantują mu nienaruszalność jego dóbr i interesów.

Nawet powierzchowny rzut oka na dzieje ludzkości oraz porównanie różnych epok przekonywa nas, że takie uczucia, jak: litość, sympatya, miłość, życzliwość, szacunek i t. p. nastroje altruistyczne, rozszerzają się i potężnieją. Wzmaganie się tego nastroju wśród nowoczesnych społeczeństw widzimy w wykwiecie humanitarnych uczuć, w powstawaniu i mnożeniu się instytucyj dobroczynnych, w nadzwyczajnym rozwoju wrażliwości społecznej na wszelkie nieszczęścia i cierpienia. Odgłosy jego dają się ciągle słyszeć w prasie. Gdy naprzykład jakikolwiek dziennik doniesie o wypadku śmierci głodowej, natychmiast powtarzają to inne, a dreszcz przerażenia przenika cywilizowany ogół całego świata. Staliśmy się wrażliwi nietylko na cierpienia fizyczne, ale i na moralne bliźniego. Powiedzmy więcej, sfera współczucia i litości na widok cierpień przekracza nawet rodzaj ludzki i rozszerza się na cały świat żyjący; nie znosimy widoku bólu i u zwierząt; stwarzamy towarzystwa, ochrony, a takie widowiska, jak: walki byków, niedźwiedzi, kogutów z zaniłowaniem uprawiane w dawnych czasach, znikają powoli, powstrzymywane raczej przez uczucia ogółu, niż przez prawo.

Najlepsze warunki dla rozwoju tego altruizmu społecznego stwarza życie przemysłowe. Główną podstawą jego jest wzajemna wymiana usług, która najmniej wymaga dawania jednych na ofiarę innym, do czego zmusza, zdaniem Spencera, egoizm czynności wojowniczych.

Dzięki stosunkom handlowym, oświacie, sztukom, które coraz silniej wiążą i łączą z sobą wszystkie cywilizowane społeczeństwa, altruistyczny pierwiastek sięga poza granicę pojedynczych narodów i dąży stale ku rozszerzeniu się na całą ludzkość. Skoro tylko wzrasta wzajemna zależność między narodami, to i wewnętrzna pomyślność każdego z nich staje się doniosłą dla innych.

Pod wpływem czynników, które stwarza życie przemysłowe, ludzka natura coraz doskonalej przystosowuje się do warunków

współżycia, wojownicze instynkty, napotymane w stanie natury i połączone z walką wszystkich przeciw wszystkim z postępem kultury obumierają, natomiast społeczne instynkta rozpowszechniają się na ich miejsce.

W mózgach i sercach ludzkich coraz silniej utrwała się przekonanie, iż całkowite zaspokojenie indywidualnych, egoistycznych dążeń wymaga uwzględnienia dobra i zadosyćuczynienia interesom bliźniego. Każdy bowiem z nas jest tylko cząstką całości, której pomyślność przyczynia się do jego własnej pomyślności, a jej cierpienia spadają również na jego głowę. Jasno zrozumieli to Anglicy, głosząc zasadę: „He best serves himself who serveth others well“ (ten najlepiej sobie samemu służy, kto innym dobrze wygadza).

Możnaby tu przytoczyć analogię, może zbyt zużyta, ale prawdziwą i dobitną, mianowicie między organizmem a społeczeństwem. Każda grupa społeczna odpowiada w takim razie pojedynczemu narządowi w organizmie fizycznym, każda jednostka — komórce pojedynczego organu. Skoro wszystkie narządy działają w ten sposób, iż przede wszystkim mają dobro całości na względzie, wtedy całość ta kwitnie, każdy z organów, każda nawet komórka pojedynczego narządu czerpie swe zdrowie i swą pomyślność z dobra całości. Przeciwnie zaś, następują i tu i tam objawy niepomyślne z chwilą, gdy bądź organ pojedynczy, bądź odłam społeczny, zaczną wyłącznie działać na własną korzyść. Dlatego też, jeżeli higiena w sferze życia organicznego potępia wszelkie jednostronne i nadmierne zadawanie jednego ze zmysłów, respective jednego z narządów organizmu, to etyka w dziedzinie życia społecznego zawsze będzie potępiała czysto egoistyczne dążenia, stawiając natomiast nakazy w duchu rozumnego altruizmu.

Człowiek zaś wraz z postępem kultury, jako istota coraz lepiej przystosowana do warunków życia społecznego, w coraz mniejszym stopniu staje się skłonny do poświęcania dobra ogółu lub bliźniego na rzecz dążeń samolubnych. Dzięki temu zyskuje on większą rękojmię zachowania swych własnych interesów, gdyż również obowiązuje innych do podobnego altruizmu względem siebie. A gdy tego rodzaju tryb postępowania się utrwała i rozszerza na coraz większą liczbę jednostek, altruizm stopniowo zaczyna panować nad egoizmem, a w życiu społecznym wyrabia się typ istot, które w postępowaniu altruistycznym doznają największego zadowolenia i które Spencer nazywa „altruistami organicznymi.“

Aczkolwiek dziś ciągle jeszcze napotykamy wiele osobników, stojących pod tym względem na poziomie ludów barbarzyńskich,

to jednak typy te maleją i powoli znikają. Spencer przewiduje, iż z postępem cywilizacji, zwłaszcza, gdy militarny typ ustroju społecznego całkowicie ustąpi przemysłowemu, altruizm osiągnie takich wyżyn, że troska o szczęście innych stanie się codzienną potrzebą, i że niższe, egoistyczne popędy będą podporządkowane wyższym altruistycznym dążeniom.<sup>1)</sup>

Ponieważ zaś dzięki postępowi kultury urządzenia społeczne muszą się doskonalić i stopniowo wytwarzać warunki, wśród których zostaje umożliwiony rozwój, dobrobyt, szczęście coraz większej liczby członków społeczeństwa, więc z czasem musi ustać rozdzźwięk i dysharmonia między jednostką a ustrojem społecznym. Zapanuje wówczas między nimi zgodność, odpowiedniość. A gdy natura człowieka dorosnie do zupełnej jedności, choćby z temi tylko wymaganiami etyki, które już dziś stanowią jasno uświadomiony ideał cywilizowanej ludzkości, wówczas zniknie z widowni życia mnóstwo objawów zła, które kaleczą i psują szczęście ludzkie; wówczas zapewne nie będzie nawet potrzeby zabraniać zabójstw, kradzieży oraz innych zbrodni, podobnie jak dzisiaj niema potrzeby karać nas za ludożerstwo albo fetysyzm.

Naturalnie ludzkość nieustannie, do końca swego istnienia, będzie wytwarzała nowe ideały, zmierzające do coraz szerszego i powszechniejszego urzeczywistnienia szczęścia na ziemi. O ideały te będzie się również ciągle toczyć walka, ale coraz mniej krwawa i bolesna. Nabierze ona cech stopniowego drogą metod wychowawczych i oświaty przekształcania natury ludzkiej, przystosowywania jej do warunków współżycia, zatem bardziej będzie przekonywać, niż przymuszać. Naturalnie, urzeczywistnienie takiego rozkwitu życia społecznego jest bardzo dalekie i czeka nas długa droga krwawych cierpień, zanim choćby zbliżymy się do tej mety, którą już dziś wyraźnie zakreślają nasze ideały. Pochód nasz jednak w tym a nie w innym kierunku odbywa się nieustannie, ogarnia coraz szersze dziedziny życia i żelazną koniecznością praw rozwoju prowadzi ludzkość ku coraz większej szczęśliwości. Naturalnie, w tym ewolucyjnym procesie napotykamy objawy dysolucyjne, nie tylko bowiem jednostki, ale całe warstwy społeczne, nawet narody, przenikają w pewnych okresach czasu bezwzględne dążenia samolubne. Wówczas z niezmierną siłą występuje na widownię dziejową zażarta walka, wykwitają nienawiści klasowe, narodowe i t. p.

<sup>1)</sup> Herbert Spencer: „The data of ethics,“ rozdz. XIV, § 97.

Po ciężkich doświadczeniach i wielu przebytych bólach człowiek zwraca się jednak znów ku ideałowi miłości bliźniego i w coraz szerszem jego urzeczywistnieniu szuka poprawy swego zbiorowego istnienia. Słowem, żelazne prawa ewolucyi etycznej zmuszają ludzkość do powrotu na drogę, którą cechuje przewaga czynnika altruistycznego nad popędami bezwzględneho egoizmu.

Jakąż rolę w tym pochodzie rozwojowym ma odegrać każdy z nas, jako skromny jego uczestnik i krótko przemijające zjawisko? Naturalnie, przedewszystkiem winien sobie uświadomić, że ten bezmiar zła, który dostrzegamy naokoło siebie, który jest przyczyną wielu bólów, ran i nędz naszego życia, ma siedlisko swe w ciasnocie uczuć, w różnych postaciach samolubstwa: bądź w indywidualnym, bądź w rodzinnym, bądź w klasowym, nawet w narodowym egoizmie. Zatem w chwilach, gdy w duszach naszych nurtują chęci i pragnienia usunięcia tego zła, a w umysłach świtają myśli o spokoju, o szczęściu ludzkim, o ustaniu walk i wylewów nienawiści, wówczas paniętajmy, że jedynem lekarstwem nietylko na „zatomowanie krwi ze świętej rany niezaspokojonego ideału,“ ale i na największe cierpienia ludzkości, jest rozszerzenie się serc naszych.

WŁADYSŁAW BOROWSKI.

## Ruch literacki we Francyi.

Hrabina de Noailles. — Lucya Delarue-Mardrus. — Renée Vivien. — Henrykowa de Régnier. — Marcelle Tinayre.

Kobiety w literaturze francuskiej nie są nowością, to rzecz nadto znana, by się nad nią rozwodzić. Ale gdy dawniej autorka była zjawiskiem bądź co bądź rzadkiem, wyjątkowem, anormalnem, to w ostatnich czasach położenie to uległo zmianie bardzo znacznej. Dziś kobiet-autorów, idących w zawody z mężczyznami i często nie ustępujących im wartością swej pracy, jest cały zastęp. Nikt się już temu nie dziwi, uważając ten najazd amazoнок na terytoryum literatury, jako jeden z pierwszych i najsilniejszych objawów ruchu feministycznego. W rzeczy samej atak przeciw wszechwładzy męskiej w działalności publicznej skierowały kobiety najpierw do tej dziedziny, z początku nieznacznie i nieśmiało, jakoby ukradkiem, pod osłoną pojęć i form, żywcem od mężczyzny zapożyczonych i z zupełnem poddaniem się ich dyscyplinie, zachowując z właściwości swej płci jedynie płytkość i ckliwość. Tak było, począwszy od wieku XIII, gdzie po raz pierwszy spotykamy imię kobiety, Marie de France, autorki poematów na tle legend armorykańskich, oraz bajek podług Ezopa, z których niejedną odnaleźć można u Lafontaine'a, aż do romantyzmu pierwszej połowy XIX w., w którym tak ważną rolę odegrały panie de Staël i George Sand. Ze literatura piękna, t. j. poezya i romans, pociągnęła kobietę najpierw, dając jej grunt dla pierwszych kroków i prób jej twórczości, jestto bardzo zrozumiałe, ten bowiem rodzaj, w którym przeważa uczucie i wyobrażenia nad ścisłą logiką i myślą głębszą, odpowiada najlepiej wrodzonym zdolnościom i skłonnościom natury kobiecej i urobionej przez wieki, za pośrednictwem wychowania, jej umysłowości. Takież zajęcie pozycyi przez kobietę, choć znacznie później, widzimy też obecnie w dziedzinie

sztuk plastycznych. Te to dziedziny stanowią rzeczywiście sferę, w której duch kobiecy, jeżeli nie panować, to przynajmniej dosięgnąć może najwyższej sumy swego rozwoju. Wiemy, iż odtąd feminizm, z dążności nieśmiałej, pobudzonej zresztą przeważnie przez mężczyzn, przemienił się z wolna w rodzaj rewolucyjnego fermentu, który swe wyznawczynię popchnął aż do krańcowych ekscesów.

Niema już obecnie takiej sfery w zakresie myśli lub czynu, do której w swej dziecinnej zarozumiałości nie dobijałaby się kobieta, z ambycją usunięcia, zastąpienia i przewyższenia mężczyzny. Powiedzmy zaraz, że poza literaturą i sztuką, zdobycze dążności feministycznych są dotąd raczej problematyczne, co niewątpliwie jest skutkiem usposobienia kobiety, które jej każe przywiązywać więcej wagi do pozorów, niż do gruntu rzeczy, a także wypływa stąd, że większość tych profesyj, o które się kusi, stoi w sprzeczności z jej ustrojem organicznym i naturalnem przeznaczeniem. Stąd dziwactwo w powierzchowności i obejściu tych istnych karykatur męskich, ich zanik wrodzonego zmysłu estetycznego, który u prawdziwej kobiety objawia się w jej guście i umiejętności uwydatnienia wdzięku; stąd ich oschłość i arogancja, które czynią z nich istoty wysoce antypatyczne; stąd wreszcie aberracja, prowadząca do moralnego nihilizmu, do propagowania „idei“ uchylenia się kobiety od macierzyństwa, które ją ujarzmia i oddaje na pastwę mężczyzny (!).

Jeżeli w kierunku społecznym feminizm doszedł do tak przeciwnych naturze wyników, to przekonamy się w dalszym ciągu, że i w literaturze, wyszedłszy z odwrotnego założenia, pod innymi hasłami i innymi drogami, wiedzie on do tego samego punktu. O ile feminizm pierwszej kategorii ma w sobie coś odstręczającego zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet, o tyle ostatni przedstawia się powabnie, pociąga syrenim głosem, sławi i egzaltuje wdzięki kobiece, stroi się w formy artystyczne, kokietuje wyrafinowaną estetyką i podporządkowuje wszystko namiętności (a więc instynktowi), stawiając ją ponad prawem i obowiązkiem, jako jedyną pobudkę działalności, jako wyłączny cel życia ludzkiego wogóle, a w szczególności—życia kobiety. Widzimy stąd, że feminizm ten kobiet-autorek ma wszelkie cechy romantyzmu, zwłaszcza cechy ujemne—wybujały indywidualizm, temperament burzycielski, egzaltację fantazyi, sztuczną przesadę w wyszukaniu formy, predylekcyę do wszystkiego, co anormalne, niezwykłe, nadzwyczajne, co wyłamuje się z pod praw ogólnych. Dodajmy do tego neo-pogański sensualizm na tle jakiegoś niewyraźnego panteizmu, a bę-

dziemy mieli obraz twórczości kobiecej w literaturze francuskiej lat ostatnich. Ale i pierwszy rodzaj feminizmu, choć mniej liczne i mniej głośnie, ma jednak swoje przedstawicielki w literaturze. Te uprawiają przeważnie romans naukowy o charakterze realistycznym, starają się wyrazić w nim aspiracye kobiety współczesnej w duchu idei społecznych feminizmu i przeładowują go w tym celu teoryami i doktrynami.

Autorki typu romantycznego, jako obecnie najwybitniejsze i najgłośniejsze, zajmować nas tu będą przedewszystkiem. Romantyzmu tego jednak nie bierzemy w znaczeniu zbyt dosłownem, jeżeli bowiem duch romantyczny, który leży wogóle w temperamencie kobiecym, u tych pań przeważa, to niemniej znać w ich twórczości wpływy mniej lub więcej wyraźne ostatnich prądów literackich, a mianowicie: realizmu, naturyzmu i klasycyzmu. Podobnie, jak to widzieliśmy u symbolistów, daje się tu zauważyć fenomen szczególnie — pierwszy impuls do najnowszego rozkwitu literatury kobiecej wyszedł od elementów obcych, które, zajmawszy w niej stanowisko naczelne, najwięcej przyczyniły się do powstania obecnego jej kierunku. Dotyczy to zwłaszcza poezyi zarania XX wieku, gdzie w liczbie czterech jej pierwszorzędnych przedstawicielek, trzy są pochodzenia obcego: pani *de Noailles* jest Rumunką, pani *de Régnier*, córka poety José-Maria de Hérédia ma krew hiszpańsko-kreolską, panna *Renée Vivien*<sup>1)</sup> jest Amerykanką rasy anglo-saskiej. Czwarta, pani *Delarue-Mardrus* jest prawdziwą Francuzką, ale i u niej, jako u Normandki, przeciwnicy romantyzmu dopatrzeć się mogą wpływu krwi najeźdźców norweskich, czego, rzecz prosta, nie bierze się na seryo.

Hrabina Anna Mateuszowa *de Noailles*, z domu księżniczka Bassaraba de Brancovan-Bibesco, jest wnuczką hospodara wołoskiego, Jerzego Bibesco. Przez babkę i matkę spokrewniona z rodami Mavrocordato i Musurus, ma ona też krew grecką, na którą powołuje się niejednokrotnie w swych poezyach („*Prière à Pallas-Athéné*“). Zresztą, wychowana we Francyi, której przez małżeństwo stała się obywatelką, obrała sobie kraj ten za prawdziwą ojczyznę. To przywiązanie do Francyi stara się pani de Noailles wyraźnie zaznaczyć w swoich utworach, poczynawszy od dedykacyi pierwszego tomu poezyi „*Le Coeur inimmuable*“, poświęconego „*aux paysages de l'Île de France*“, a szczerocść tego przywiązania stwierdza tem najlepiej, że myśl swą i uczucie wyraża jedynie w języku francuskim.

<sup>1)</sup> Pseudonim.

Związki krwi, właściwie dość luźne z ziemią helleńską, a bardziej jeszcze budzące się w literaturze francuskiej prądy, każą jej dążyć do form klasycznych, do których wszakże duch jej, z predylekcyi i kultury romantyczny, nie nagina się z łatwością.

To romantyczne sformowanie jej umysłu widocznem jest u pani de Noailles na każdym kroku. Na mistrzów, u których zapożycza myśli, ducha lub wyrazu, powołuje się ona nieustannie w powtarzających się co chwila aluzyach do potentatów romantyzmu, począwszy od Shekespeare'a, J. J. Rousseau, Byrona, Chateaubriand'a, Lamartine'a i Wiktora Hugo, a skończywszy na Mussecie i Baudelairze, odślaniając w ten sposób dość naiwnie pochodzenie swego natchnienia. Pani de Noailles niewątpliwie kocha i odczuwa naturę bardzo silnie i szczerze, ale widzi ją, a zwłaszcza opiewa zawsze poprzez wspomnienia romantyzmu, od których nie jest wolną, nawet gdy sławi wdzięki ogrodów warzywnych, gdy w panteistycznej egzaltacyi pragnie wszechświat uchwycić w dłonie i przycisnąć do gorejącego serca, lub gdy w paroksyzmie pogańskiego mistycyzmu wzywa starożytnych bogów. Jest u niej szczególne pomieszanie szczerości prawdziwej, żywego natchnienia ze sztuczną afektacją (*préciosité*) wyrazu i uczucia, idącą w zawody z wyrafinowaniem elegantek XVII wieku, uwiecznionych przez Molière'a w „*Les précieuses ridicules*.“ Ale sztuczność ta wydaje się tak właściwą jej naturze, że nie sprawia wrażenia pozy, lecz staje się jakoby odmienną i bądź co bądź nader oryginalną formą szczerości. Nerwy jej są w nieustannej wibracyi, natchnienie, podobne do wybuchu, unosi ją na niesłychane wyżyny, aż do utraty zmysłów lub ją pogrąża w ekstazy melancholię. Pani de Noailles czuje się rzeczywiście kapłanką tajemniczego kultu, na którego ołtarzu, obok Apollina w orszaku muz, króluje Pan na równi z Erosem. Jak nowa Pitya, upaja się ona odurzającymi dymami, buchającymi z odmętów jej duszy, której płomiennie zachwyty wypowiada w nieporównanych majaczeniach. Bardzo często wprawdzie ta wysokość naprężonego tonu znajduje się w rażącej dysproporcji do przedmiotu, który, działając na wibrującą wrażliwość poetki, wywołuje tak nadzwyczajne wylewy liryzmu. Zdaje się ona ulegać pewnej sztucznej autosuggestyi, gdy np. widok warzyw, dla których ma szczególną predylekcyę,<sup>1)</sup> wystarcza, by pobudzić jej panteistyczną

<sup>1)</sup> Wskutek tego to zamiłowania do warzyw, powiedziano o niej, że „jeżeli kiedykolwiek dziecko urodziło się w kapuscie, to musiało się to trafić pani de Noailles.“



egzaltację. Przytem nie waha się ona nigdy w użyciu wysokich epitetów i superlatywów, stosując je bez różnicy do przedmiotów i wrażeń najpoważniejszych, jak i do najbliższych.

Bo też właściwie źródłem jej porywów jest nie tyle uczucie, ile wyobraźnia, wyhodowana na romantykach i skłaniająca poetkę przy łada sposobności do wyrażania się w formie nieumiarkowanej. Ten to nadmiar egzaltacji doprowadza ją niekiedy do natchnionego majaczenia, które wszakże niema nic wspólnego z majaczeniami symbolistów. Pani de Noailles nawet w największym szale wyraża swą myśl wprawdzie przesadnie, ale wyraźnie, bez dwuznaczności, bez ukrytego symbolu. Romantyzm jej zresztą różni się też od romantyzmu właściwego przede wszystkim zupełnym brakiem aspiracji idealnych. Jest u niej zapewne coś w rodzaju mistycyzmu lub przynajmniej zewnętrzne jego oznaki, ale przedstawia się on w formie materyalistycznej, zwraca się ku ziemi, w ziemi bowiem tylko, do której schodzi się przez drzwi poziome, widzi poetka przyszłe przeznaczenie człowieka. Myśl o śmierci, o nieistnieniu niepokoi ją i zasmuca, choć nie przeraża, towarzysząc prawie zawsze, jak ptak złowróźbny, polotom jej natchnienia, lub jak cień nieumkniętej nocy, przyćmiewając chwile radości, a w godzinie smutku, rozpościerając się tryumfalnie. Myśl ta jest dla niej tem przykrzejszą, że żadne wierzenia religijne nie przynoszą jej pociechy.

Jedynem jej pozagrobowem pragnieniem i nadzieją, któremi sama stara się ukoić w tragicznej konieczności utraty życia, jest zostać białą brzozą lub drzewem wiśniowem, w przekonaniu, że, jako cząstka przyrody, istnieć będzie dalej w zmienionej postaci. W samem życiu pierwiastki idealne, moralne, zastępuje pani de Noailles estetyzmem. Pozatem, dla niej, panuje w niem absolutnie czysty sensualizm, jedynem prawem jest zadowolenie potrzeb zmysłowych, a obowiązkiem—folgowanie instynktownym namiętnościom. Wśród tych ostatnich miłość, w znaczeniu wyłącznie zmysłowem, zajmuje pierwsze miejsce. Erotyzm pani de Noailles jest rodzajem religii. Erosa czci ona na równi z Panem. Ale tu poetka staje w sprzeczności ze swą czią dla przyrody, która instynkt miłosny uczyniła środkiem uwiecznienia gatunku, gdy miłość u niej, pojęta jako indywidualna, egoistyczna rozkosz, jest sama dla siebie jedynym i najwyższym celem.

W tem wszystkim jest trochę pozy i kokieteryi, trochę „mise-en-scène,” dużo literatury, ale i bujność wyobraźni, i talent prawdziwy, i nieznaną dotąd u kobiety szczerłość. Szczerłość ta, z początku trochę mimowolna, bo wypływająca z właściwego na-

turze kobiecej subiektywizmu i odnosząca się przedewszystkiem do stosunku kobiety względem mężczyzny w uczuciu, które jest ich najsilniejszym łącznikiem, t. j. w miłości, staje się z czasem wyzywającą aż do bezwstydu.

Lubieżność, z której te poetki i autorki, słusznie dlatego nazywane menadami lub bachantkami, czynią sobie aureolę, przechodzi wszystko, co dotychczas potrafili wyobrazić w tym kierunku mężczyźni; ale, pomimo absolutnej zmysłowości, wrodzona subtelność w odczuwaniu odcieni, nie pozwala im popaść w brutalność lub pornografię. Wbrew feministkom-doktrynerkom, głoszą one niewolnictwo kobiety w sferze miłości, jej zupełną podległość wybranemu mężczyźnie, a właściwie własnej namiętności, bo panowanie mężczyzny, który, ściśle mówiąc, odgrywa tylko rolę narzędzia, kończy się z chwilą, gdy skutek przyzwyczajenia i braku wrażeń nowych, przestanie dostarczać ich nerwom silniejszych i niespodziewanych wstrząśnień. Z tej wszakże uległości popędem instynktu, podrażnionym prerafinowaną w tym kierunku wyobraźnią, wynika jednocześnie niezależność kobiety od wszelkich praw i obowiązków moralnych, oraz tradycyjnych zasad, stanowiących o jej cnocie i honorze. Te pani de Noailles, a z nią jej współtowarzyszki, odrzucają bez ceremonii, wraz z konwencyonalną maską pruderyi.

Akcenty szczerze, choć przygłuszone nieco ekstatycznymi wykrzyknikami, sztucznością stylowych ornamentacyj i literackimi wspomnieniami, odzywają się też dość wyraźnie w jej istotnem zaniżowaniu do natury. O ileżby zyskał na wyrazie i wdzięku niejeden z jej doskonale odczutyeh sielskich nastrojów, gdyby przy zachwycie nad delikatną zielenią listków sałaty lub świeżością kwiecia jabłonki, nie poruszała w isticie artystycznym nieładzie, Akropolu i Partenonu, w których cieniu śpią starożytni bogowie Hellady; wagnerowskich Niebelungów; ukwieconego balkonu Julii; Wenecyi z jej lagunami i gondolą Musset'a i t. p. i t. p. Te wycieczki po natchnienie do krainy wspomnień książkowych, to wspomaganie się tworamii wyobraźni cudzej pozbawia do pewnego stopnia twórczość jej własną cech świeżości i bezpośredniości uczucia, na którym jej samej bynajmniej nie zbywa. Postępując w ten sposób, pani de Noailles zdaje się korzystać z czaru, który wywołuje samo przypomnienie pewnych imion, pewnych arcydzieł i skojarzonych z niemi idei, uczuć i obrazów, dla podniesienia uroku tworów własnych. Być może, ale czyni to ona z pewnością mimowolnie, naiwnie, gdyż będąc sama pod ich wrażeniem, posługuje się temi czynnikami estetycznymi tak samo,

jakgdyby je zaczerpnęła wprost z natury. Bądź co bądź efektów tego rodzaju zarówno w swej poezyi, jak i prozie, pani de Noailles nadużywa aż do zbytku i to jest jednym z wielkich jej błędów.

Pani de Noailles wydała dotąd trzy zbiory poezyj: „Le Coeur innombrable“, „L'Ombre des Jours“ i „Les Eblouissements“, oraz trzy romanse: „La Nouvelle Espérance“, „Le Visage émerveillé“ i „La Domination.“

Jeżeli w swych poeziach wyraża i roztacza autorka wszystkie właściwości swego tryskającego temperamentu, wszystkie porwy swego „niezliczonego“ serca, wszystkie zachwycenia swej mistyczno-pogańskiej duszy, to powieści jej służą do egzaltacji jednego przeważnie uczucia, które, ze zwykłą sobie skłonnością do ostateczności, podnosi do znaczenia namiętności fatalnej, nieuniknionej. Tem uczuciem jest oczywiście miłość, która do tego stopnia wyłącznie utwory te wypełnia, że wszystko, co jej wprost nie dotyczy, jest w nich zaledwie wskazane. To też romanse jej nie mają żadnej ściślejszej budowy, żadnej jedności i ciągłości w opowiadaniu, ale za to płyną nie gasnącym ani na chwilę ogniem, który trawi serca bohaterów a szczególnie bohatererek. Tutaj Eros panuje bezpodzielnie, ale swą grecką nagość przyodziewa fałdzistym płaszczem romantyków, ukazując na miejsce twarzy, jaśniejszej promienną młodością, ponure oblicze z wyrazem wizyonerskiej melancholii w oczach, w których głębi tlą się złowrogie blaski szatańskiej żądz. Tak się on przedstawia zwłaszcza w „La Nouvelle Espérance“ i w „La Domination.“ W pierwszej z tych powieści, młoda mężatka, Sabina, jest istotą przeznaczoną do romantycznych tortur miłości, która ani jej serca, ani jej zmysłów nasycić nie może. Po licznych próbach w poszukiwaniu serca, o wibracjach dostrajających się do jej diapazonu, zawsze z rozczarowaniem w skutku, Sabina znajduje wreszcie upragnionego i przeznaczonego jej mistrza, którego chce i musi być niewolnicą. Niestety, okoliczności życiowe nie pozwalają jej stopić swej wątlej, ale gorącej istoty we wszechpotędze ubóstwianego władcy jej serca, a nie mogąc odtąd żyć poza obrębem przechodzącej siły namiętności, kończy, jak skończyć się musi nieugaszony pożar w zimnym popiele, w unicestwieniu śmierci. Zobaczmyż, jakim jest to wyrastające ponad miarę ludzką uczucie w jej własnym pojęciu. Oto najpierw, by je zadowolić, nie wystarcza jej miłość wybranego, musi mieć jeszcze „możliwość posiadania miłości wszystkich innych.“ Jak widzimy stąd, uczucie jej przewyższa swój przedmiot, pomimo, iż jest on mu równie niezbędnym, jak materyał palny dla płomienia.

Nie dość na tem; uczucie to ma wartość samo dla siebie, wznosi się do absolutu i uniezależnia prawie od przedmiotu, bez którego wszakże nie może się objawić. Wynika to z następujących słów Sabiny: „Ja nie kocham ciebie samego, lecz uczucie, którem ciebie kocham. Nie spodziewam się w życiu niczego innego, nie chcę od ciebie niczego innego, tylko mej miłości dla ciebie.“<sup>1)</sup>

Takie uczucie, rozumie się, nie może być trwałem, dlatego nie trafia się ono w związkach uznanych i uświęconych—w małżeństwie, albo gdy się przypadkiem trafi, to po to tylko, by po krótkich chwilach nadmiernych uniesień, rozłączyć małżonków w nienawiści, jeśli namiętny żar nie strąci ich do grobu, nim zdoła się wypalić i ostudzić

Pamiętajmy przecież, że miłość romantyczna potrzebuje, jak roślina cieplarniana, atmosfery niezwykłej, bez którejby zwiędła; potrzeba jej tajemnicy, niebezpieczeństwa, występku, świętokradztwa, ba—nawet kazirodztwa, a bezwzględnie i zawsze—przeszkód, by wskutek ciągłości nie stała się uczuciem powszedniem. W takich jedynie warunkach miłość rozwinąć się może w potężne drzewo namiętności, głęboko wrastające w serce.

W „La Domination“ wszystkie postacie są naznaczone tem fatalnem piętnem instynktownej namiętności, która niemi władnie, dla której jedynie żyją, poza którą nie miałyby żadnej racyi istnienia. Takimi są Dona Marie i Emilia—jednoczesne kochanki Antoniego Arnaut, a później Elżbieta.

Arnaut panuje nad sercami tych tak różnych istot, ale moc, która mu je ciska pod nogi, jak korne niewolnice, nie z niego samego pochodzi, lecz z pożerającej je namiętności. Arnaut łączy w sobie charakter wszystkich romantycznych bohaterów. Posiada cechy Don-Juana i Manfreda, a jednocześnie coś z nowoczesnych bohaterów d'Annunzia. W pogoni za wrażeniem i doświadczeniem—Arnaut jest bowiem romansopisarzem i autorem dramatycznym, a także politykiem—zmienia on niezliczone kochanki, wśród których idealna Dona Marie była pasyą, Emilia—chwilową rozpustą, a dopiero Elżbieta, ta, którą posiadał tylko duchem, całą, bezwzględną, wyłączną, nieograniczoną namiętnością, ta przeznaczoną mu, której instynktem szukał przez całe życie i którą znalazł zapóźno.

<sup>1)</sup> Ce n'est pas vous que j'aime; j'aime aimer comme je vous aime. Je ne compte sur vous pour rien dans la vie, mon bien aimé. Je n'attends de vous que mon amour pour vous.

Dona Marie, według określenia Arnauta, to „królowa i niewolnica, która żąda poważania dla swej dumy i znosi wstyd dla swej przyjemności.“ Emilia, lektorka Maryi, jest jej przeciwieństwem. Jest ona pospolicie zmysłową, ale i namiętną aż do zapamiętania. Gdy u Maryi namiętność, grająca na wyczulonych nerwach, pobudzająca jej wyobraźnię, ma charakter mistycznych porywów, to u Emilii jest ona czysto realistyczną i pochodzi z nadmiaru zdrowia i życia. Z amantką romantyczną ma ona tylko to wspólnego, że jest tak samo niewolnicą instynktu, który ją popycha w ramiona mężczyzny. Arnaut uczynił z niej swą kochankę głównie dlatego, by mieć sposobność obserwacyi wrażenia, jakie to sprawi na Maryi i jego objawów. Elżbieta natomiast to uosobienie tej namiętności najwyższej, pozostającej w stanie absolutnym, t. j. nie zrealizowanej w miłości zmysłowej, umiera ona bowiem w wiosnie życia, nie zaznawszy innych wrażeń miłosnych, jak tylko te, które, rozpierając jej dziewicze serce, dały jej „przeczuć, że gwałtowna żądza ludzi jest tajemnicą życia i jego rzeczywistym przeznaczeniem.“ Gdzieindziej uogólnia autorka tę zależność kobiety od rządzącego nią instynktu, — „kobiety, wszystkie kobiety, czyż nie posiadają delikatnych ciał, które chylą się i posuwają do rąk mężczyzny? Palce się dotykają, kolana się dotykają: cała istota przyciąga drugą istotę, a w porę gorącą kobiety smutne, albo lekkie, czyż nie upadają, jak pada w trawę zmęczony owoc?“

Będąc zależną od instynktu, kobieta jest też w miłości poddaną mężczyzny: „...mężczyzna mówi, a kobieta słucha, przejmuje się i odmienia.“

Oto są myśli, których cała oryginalność polega na tem, że są wypowiedziane przez kobietę.

Jeżeli dwie powyższe powieści grzeszą brakiem budowy i logiki w ciągłości opowiadania, to w „Le Visage émerveillé“ te zasadnicze warunki nikną zupełnie. Jest to dzienniczek, bardzo szczególny dzienniczek młodej zakonnicy, która, będąc kobietą, ulega tym samom prawom, co wszystkie kobiety, choć nie zdaje sobie z tego sprawy tak wyraźnie, jak bohaterki poprzednich powieści. Jest u niej jakieś szczególnie pomieszanie naiwności, mistycyzmu religijnego i erotyzmu. Zresztą postać ta jest równie nierzeczywistą, jak nieprawdopodobne są okoliczności, o których dowiadujemy się z owego dzienniczka. Siostra owa podniosła przeznaczony dla niej bilecik, który porzucił w kaplicy klasztornej pewien młody malarz, Julian Violette, i następnej nocy przyjmuje go: pod otwartem oknem swej celi, do której ten, na przyszłej schadzce dostaje się po sznurze. Odtąd wiązuje się między nimi jakiś

dziwny romans, trwający parę miesięcy, z którego dzienniczek siostry daje sprawozdanie. Oboje mówią sobie przytem rzeczy nadzwyczajne. Pewnego razu Julian uściskał siostrę X., innym razem pocałował ją w usta i t. d. Dokąd romans ten zaszedł, trudno wymiarkować. Autorka pozostawia czytelnika na tym punkcie w niepewności. W każdym razie naiwność siostry X. nie uległa wielkiej zmianie, dowiedziała się ona tylko, czego się nie domyślała dotąd, że „pod prostą suknią ma ciało delikatne, nogi, które się poruszają.“ „Nigdy się nad tem nie zastanawiała—mówi siostra X.—myślałam, że zakonnice są zawsze tylko zakonicami, ale teraz wiem, że gdy zdejmą suknię i bieliznę, to są nagie“ (!?). Takich uwag w dzienniczku siostry X. jest pełno. Gdy Julian po raz pierwszy nazwał ją „moje kochanie“ (mon amour), uczuła się tem trochę zmieszana, ale uspokoiła się zaraz, bo przypomniała sobie, że natchniona siostra Katarzyna, która pisze modlitwy w rodzaju tej: „Boski Jezu, którego uwielbiam i który wzbudzasz we mnie współczucie, boś jest chudy, krwawiący i jasnowłosy“ (!), zakończyła ją temi słowy: „kochanie moje, kochanie, Tyś jest moje kochanie!“

I to wszystko godzi się jakoś dziwnie z mistyczną pobożnością i, co więcej, z regułą klaszorną, a przynajmniej nie wiele jej przeszkadza, bo przełożona i spowiednik, gdy im siostra X. wyznała swą niezwykłą awanturkę, zdają się raczej prosić ją, by zaprzestała widywać młodego człowieka!

Utwór ten jest napisany w tonie mocno lirycznym i przepętniony, równie jak i poprzednie, wspomnieniami książkowemi wszelkiego rodzaju, o których nadmieniliśmy powyżej. Odrzuciwszy, co tu jest zbyt sztuczne, a w takim razie pozostaje nie wiele, przyznać trzeba, że udało się pani de Noailles w „Visage émergeillé,“ wywołać pewien nastrój świeżości w tym białym klasztorze, pomimo jego nieprawdopodobieństwa, oraz młodzieńczej naiwności i niewinności nieświadomie budzących się uczuć zmysłowych, tak dziwnie wyrażonych w tym dzienniczku. Gdyby bohaterką tą była, zamiast zakonnicy, piętnastoletnia pensyonarka, utwór ten, stając się bliższym prawdy, zyskałby bardzo wiele na wrażeniu.

U pani *Lucyi Delarue-Mardrus* znajdzie się nie mniej śladów wpływów literackich i więcej jeszcze różnolitych, aniżeli u pani de Noailles, tylko u niej objawiają się one w innej postaci. Zamiast wywoływać nazwiska swych mistrzów, tytuły ich dzieł, zamiast alluzyj do ich bohaterów, pani Delarue-Mardrus korzysta z rodzaju ich natchnienia, postępuje się ich formą i czyni to z ta-

kiem wczuciem się w ich ducha, iż może z łatwością wprowadzić czytelnika w błąd, co do osoby autora.

Niektórzy krytycy (p. Ernest-Charles) zabawili się nawet wyborem całego szeregu ustępów ze zbioru jej poezyi p. t. „Occident,” które do złudzenia przypominają pewnych poetów z ubiegłych okresów—romantyzmu, parnasu i symbolizmu. Tak więc sąsiadują w tych utworach Baudelair, Mallarmé, Maeterlinck, Verlaine, Richepin, Leconte de Lisle, Hérédia i t. p. Taka nadzwyczajna zdolność wyrażania się za pomocą myśli i form cudzych i tak różnorodnych, dowodzi conajmniej szczególnej giętkości umysłu i uczucia, która pozwala jej przystosować się z taką dokładnością i przyswoić sobie odmienne środki tych bardzo rozmaitych organizacyj poetyckich. To nie przeszkadza jednak pani Delarue-Mardrus być w swoim rodzaju oryginalną, a w każdym razie wybitnie indywidualną, pominąwszy bowiem ustępy, na których zbyt silnie odbiło się piętno mistrza, ukazuje się ona taką zawsze, gdy zwraca się po natchnienie tam, gdzie ją prowadzą właściwe jej naturze skłonności atawistyczne, a więc gdy poddaje się urokowi swej rodzinnej Normandyi. Wtedy realizm rodzinny, chłopski realizm bierze w niej górę nad nabytym romantyzmem, lub łączy się z tem, co w jej romantyzmie jest też wrodzonym rasie, pochodzącej od piratów i Wikingów. Wtedy staje się ona poetką życia i natury zwłaszcza w krótkich wierszykach, dając prawdziwie po malarsku odczute obrazki wiejskie, charakteryzujące jej kraj rodzinny w drobnych, swojskich szczegółach życia wiejskiego, w widokach pól i ogrodów, w nastrojach, wywołanych przez głosy i zjawiska natury, jak noc letnia i śpiew słowika i t. p. Morze tylko, potęgą swego żywiołu budząc w niej ducha romantycznego i wspomnienia symbolizmu, skłania ją do metafor więcej zawiłych i zwrotów szczególnych. W ustępach, poświęconych kobiecie i jej losowi (p. t. Femmes), wkłada poetka wiele uczucia, które nawet nabiera u niej znaczenia ogólnego — jest to dobywający się z serca krzyk współczucia dla cierpień kobiety, jej siostry, jej samej. Tu akcenty jej są zupełnie oryginalne, takie, jakich mężczyzna wywołaćby nie potrafił, bo ich odczuwać nie może; tu jest ona zupełnie szczerą, czasami może za szczerą, nawet rażącą, gdy ulegając realistycznej stronie swego temperamentu zapuszcza się zbyt daleko w szczegóły fizjologiczne, lub uczucia swoje własne, na których pobudki tego rodzaju kładzie zanadto wyraźny nacisk (Les Voix de la Mer). Odczuwa ona głęboko wielką tragedję efemerycznego życia kobiety — koniec młodości, po której utracie dalsze jej istnienie jest już tylko smutną,

bezcelową wegetacyą. Tak przynajmniej twierdzi pani Delarue-Mardrus i jest to u niej zrozumiałem, bo, jeżeli całe życie kobiety, t. j. jej młodość przeznaczają dla miłości, to jednak odrzuca ze wstrętem skutki tejże—macierzyństwo, jej rzeczywiste przeznaczenie. W ten sposób, zwracając się przeciw zasadniczemu prawu natury, skądinąd przez nią uwielbianej, pozbawia tem samem kobietę pociechy po krótkich chwilach miłosnych uniesień i celu, wypełniającego jej życie do ostatka—wychowania nowych pokoleń. Z drugiej strony, odbiera też kobiecie pociechę wiary, zapewniając ją, że „niema imiej ziemi obiecanej, prócz tej, gdzie twa miła młodość czuje swe ciało owianem wonnościami powietrza i liści.“ W takich warunkach koniec młodości jest naprawdę dla kobiety beznadziejną tragedya.

Rażącą też nieco jest szczerłość, z jaką wywnętrza się z najtajniejszych swych uczuć dla narzeczonego i męża, przyczem wyraża się w obrazach mocno realistycznych. I ona też stwierdza poddaństwo kobiety w miłości w stosunku do mężczyzny. Poezya pani Delarue-Mardrus ma bądź co bądź dużo siły w wyrazie, zwłaszcza tam, gdzie jest poetka naprawdę sobą, gdzie pod wpływem natchnienia bezpośredniego wyzbywa się sztuczności i naleciałości obcych, chociaż, ściśle mówiąc, od tej sztuczności nie jest ona prawie nigdy zupełnie wolną, bo w tonie jej, nawet gdy się wyraża najprościej, jest coś nadętego, coś z odstręczającego feminizmu, coś nieprzyjemnie narzucającego się. Zbiory jej poezyj zowią się: „Occident,“ „Ferveur,“ „Horizons,“ „Nouveaux Horizons.“

W najświeższej swej pracy — powieści p. t. „Marie, fille-mère,“ posiadającej duże zalety uczucia i szczerości, autorka, przekraczając w wielu ustępach dozwolone granice realizmu, popada w przesadę o charakterze wstrętnym, w której ugrzązł zwyrodniały naturalizm.

Nieskończenie delikatniejszą od obu poprzednich w uczuciu, wyrazie i formie jest panna *Renée Vivien*. Przy wyjątkowej, jak na kobietę, kulturze klasycznej i predylekcyi do świata starożytnego, przy formie wiersza płynnej, równej, wyraźnie zarysowanej, rzecz można parnasyjskiej, natchnienie jej jest romantyczne. Jeżeli niektóre jej wiersze przypominają pełną klasyczną czystość Andrzeja Chénier, to jednak poezyę jej ożywia przedewszystkiem duch Baudelaire'a i Alfreda de Vigny. Niema u niej ani nadużycia nieumiarkowanej mowy, szalonych skoków pani de Noailles, ani twardości stylu i realizmu pani Delarue-Mardrus, niema ich sztucznych i często rażących ekscesów w wyrażeniu, mających



zastąpić lub dopełnić braki głębszego zapachu, rzeczywiście namiętności, z którą za wszelką cenę chcą się popisywać, ale jest za to prawdziwy, nie gasnący ogień wewnętrzny. Jak westalka podtrzymuje ona ten ogień zawsze w równym płomieniu, nie przeznaczonym do wzniesienia pożarów, które wybuchają, trawią, niszczą i gasną, lecz do wiecznego spalania delikatnych wonności na cześć rozkoszy dziwnych i tajnych.

Miłość jest też i u niej głównym motywem uczucia, ale ona jedna z pośród dosiadających pegaza towarzyszek jest prawdziwą amazonką, bo gdy tamte dają się chętnie porwać hippocentaurom, których potężny tors męski nęci pobudzone ich zmysły, ona jedna dumnym ruchem, ze wstrętem odtrąca pożądlivość mężczyzny, ona jedna nie uznaje w miłości jego panowania, któremu jej siostry z taką niewolniczą poddają się uległością. Brutalna zmysłowość tych związków przejmuje ją zgrozą. I ona śpiewa pochwalny hymn na cześć Afrodyty, ale dźwięki jej liry wtórują pniom lesbijskich dziewic...

Nic więc dziwnego, że pod wpływem takich wrodzonych skłonności niezwykłego temperamentu, myśl jej, na skrzydłach odorzających marzeń, popłynęła daleko wstecz, do promiennego Archipelagu, by, spoczawszy na tej pełnej tajemniczego uroku wyspie Mitilene, gdzie niegdyś, dwadzieścia kilka wieków temu, śpiewała natchniona kapłanka Psappha (Safo), nastroić do jej strof nieporównanych struny własnego uczucia. I rzeczywiście, dziewica z Lesbos udzieliła jej swego natchnienia. Tłómaczenie, a właściwie interpretacja przechowanych aż do naszych czasów cząstek poezyj saficznych, której dokonała panna Renée Vivien, jest w swoim rodzaju arcydziełem zupełnie wyjątkowym. Nie jest to ściśle ani dosłowne tłumaczenie, ani też interpretacja zbyt dowolna, osnuta na jakimś ułamku myśli, na jakimś obrazie lub figurze poetyckiej, wyjętych z oryginału, ani improwizacja osobista przez oryginał podszeptą, ale związana z nim zaledwie, lecz wierna jego transpozycya od form poezyi starogreckiej do form dzisiejszej poetyki języka francuskiego. Nie odstąpić ani na chwilę od oryginału, a zarazem wyrazić jego myśl i uczucie w postaci niezmiernego wdzięku, w rytmie rzadkiej piękności, ożywić to uczucie wyrazem prawdziwego i głębokiego przejęcia i dać je pojąć i odczuć pokoleniom dzisiejszym, na to trzeba było nietylko wysokiego artysty, jakiego dowody złożyła tutaj poetka XX wieku, ale nadto—identycznego odczuwania przez nią, podobnych uniesień, takichże namiętności, trawiących serce jej starożytnej protoplastki i mistrzyni. Te warunki szczególne posiada panna Renée Vivien, wol-

no nam to powiedzieć, gdyż ona sama głośno to objawia, nikt więc, tak jak ona, nie był więcej powołanym do dokonania z tak świetnym rezultatem równie niepospolitego dzieła. Jeżeli jednak panna Vivien wamnie się trzyma motywów oryginału, to niemniej, obok charakteru greckiego, przybiera ton przeważający, właściwy już jej osobiście duch romantyzmu, który odmienia może nieco i do pewnego stopnia fałszuje klasyczne natchnienie Safony, ale, pomimo to, wartości wewnętrznej pięknego dzieła jej nowożytnej interpretatorki bynajmniej nie zmniejsza.

Tematy starożytnego tekstu rozwija i dopełnia ona w bogatych metaforach, w języku dziwnej piękności, dziwnie giętkim i subtelnym, niezmiernie muzykalnym, a ze strof jej płynie podobne do jęku niewidzialnych skrzypiec uczucie głębokiego liryzmu, wzbierające szczególną, bolejącą aż do goryczy melancholią, z pod której dają się słyszeć tłumione krzyki tajnej, zawsze wewnętrznej namiętności, nienaruszającej nigdy opętanym wraskiem cudnej harmonii wiersza, jego cichego nastroju, kryjącego się jakoby w lekkich fioleciech letniego wieczoru, w przezroczytych mrokach księżycowej nocy, w której cieniu oczy szalonej androginy, podobne do oczu czatującego na omdlewającą ofiarę tygrysa, żarzą się ogniem żących pożądliwości. Tą samą pięknnością harmonijnego wiersza, tym samym gorzkim i smętnym liryzmem, znamionującym wyjątkową namiętność, zmysłowość szczególnego rodzaju — odznaczają się poprzedzające powyższy utwór jej poezye „Etudes et Préludes“ i „Cendres et poussières.“

Pomimo zatrutych pocałunków, złowrogich kwiatów, w których odzywa się Baudelaire, dziwnej siły uczucie przenika nawskroś poezye panny Vivien, ujawnia jej szczerą prawdziwą i niezwykłą, rzeczywistą oryginalność. Jako czynnik nowy, jej wyrafinowana zmysłowość wprowadza do poezyi „sztukę“ dotykania (L'art du toucher), którą egzaltuje na swój sposób, podobnie jak pani de Noailles wyegzaltowała cenione już przez romantyków rozkosze powonienia. Z wymienionemi wyżej towarzyszkami swemi schodzi się panna Vivien w pojęciu, że przeznaczenie kobiety kończy się wraz ze schyłkiem jej młodości, z pierwszą zmarszczką zapowiadającą nieuniknione zniszczenie jej wdzięków. Obawa nadejścia tej tragicznej chwili objawia się nieustannie w jej wierszach, rzucając na nie chmurny cień żalu:

„Tu te flétriras un jour, ah! mon lys!  
Et le déshonneur hideux de la ride  
Marquera ton front de ce mot: Jadis!“

wyrzeka rozpaczliwie poetka.

Miłość sama dla siebie, „miłość miłości“ (*l'amour de l'amour*) jest dla niej wszystkim, a przecież, gdy minie młodość, gdy zginą piękne kształty, przepaść musi i to uczucie jedyne, bez którego życie jej stanie się nieznośną męczarnią wśród nocy bez jutra. Ach! biedne, godne pożałowania poetki, które cały swój ideał umieściły w efemerycznych uniesieniach zmysłów! Ale skarg ich nie bierzmy zbyt do serca. Bunt przeciw naturze jest równie próżny, jak krótkotrwałym jest żal, który wywołują skutki jej praw nieuniknionych. Pocieszmy się więc nadzieją, że, gdy przyjdzie na nie fatalna chwila przywdziania żałoby po utraconych wdziękach, gdy ujrzą świat i życie w nieznanem im dotąd świetle, znajdą i one w nieprzebranym skarbcu natury i własnego serca nowe i może czystsze źródła poetyckiego natchnienia, których się nie domysłały.

Prócz wymienionych już utworów, panna Renée Vivien jest autorką poezyi „*Evocations*“ i „*La Vénus des Aveugles*“, oraz nowelek i powieści — „*Brumes des Fjords*“, „*Du Vert au violet*“, „*Une Femme m'apparat*“, „*La Dame à la louve*“, „*Les Kitharèdes*.“

Natchnienie wysokiego liryzmu, które wydziela się ze wszystkich jej utworów, szczerłość i głębia uczucia (nie wchodząc w jego pobudki), jej niezwykły artyzm w poczuciu najsubtelniejszych odcieni wyrazu i harmonii, w czem żadna z kobiet jej nie dorównała, jej prawdziwy temperament poetycki, dają jej w literaturze kobiecej lat ostatnich miejsce, jeżeli nie pierwsze, bo to rzecz bardzo względna, to w każdym razie odrębne i nader zaszczytne.

Pani *Henrykowa de Régnier*, ukrywająca się pod pseudonimem *Gérard d'Houville*, dała się poznać dotychczas przedewszystkiem przez swoje powieści, ale i ona zaczęła od poezyi. Wbrew powadze ojca <sup>1)</sup> i męża, mistrzów w tej sztuce, których wpływem mógł zupełnie naturalnie uledez umysł młodej kobiety, poezya pani de Régnier ma charakter klasyczny w czystości i trzeźwości formy, nie samej dla siebie, jak w sonetach jej ojca, ani przeznaczonej dla wywołania pewnego nastroju przy pomocy suggestywnego symbolu, którego poszukuje jej mąż, lecz użytej w celu wyrażenia myśli i uczucia wprost i bezpośrednio.

Wiersze jej (*Le Souhait*, *L'Automne*, *Le Sommeil*, *L'Ombre*), które ukazywały się częściowo w *Revue des Deux Mondes*, wskazują prawdziwą zdolność poetycką autorki. Wywołały one od razu wiele podziwu, ale stanowią jeszcze zbyt drobną próbkę, by na nich pewniejszy sąd opierać.

1) José-Maria de Hérédia.

Dlatego też wypadnie nam na ten raz zająć się wyłącznie jej powieściami.

Jest ich dotąd trzy: „L'Inconstante“, „L'Esclave“ i „Le Temps d'aimer.“

Klasyczny kierunek umysłu, który tak niespodzianie objawił się w pierwszych jej utworach poetyckich, tutaj, chociaż daje się jeszcze uczuć, to jednak widocznie ustępuje przed wpływami romantycznymi. Przykład towarzyszek po piórze, odgrywa tu niewątpliwie nie najmniejszą rolę. W powieściach pani de Régnier, podobnie jak to widziliśmy u pani de Noailles, autorka nie liczy się prawie wcale z zasadniczymi warunkami, jakich wymaga ten rodzaj. Nie ma w nich ani planu, ani konsekwencji, ani lepiej scharakteryzowanych postaci, prócz jednej tylko bohaterki głównej, w którą autorka wkłada przeważnie rysy, myśli i uczucia własne, rzeczywiste lub urojone, i dla odnalowania tej jedynej postaci używa wszystkich zasobów swego talentu. Reszta figur nie ma wogóle ani życia, ani prawdziwego charakteru. Tak samo rzecz się ma z ciągiem opowiadania; autorka wypełnia luki wstawionymi epizodami lub artystycznymi fantasmagoryami na jakikolwiek bądź temat, niemający związku z całością. Jak we wszystkich powieściach, a szczególnie w powieściach kobiecych, przedmiotem głównym, a raczej jedynym, wyłącznym, jest tutaj miłość.

Ale u pani de Régnier, zwłaszcza w „L'Inconstante“ miłość nie jest tą siłą fatalną, żywiołową, lecz właściwie rodzajem rozrywki i zmysłowej przyjemności, naturalnie, zawsze po za obrębem warunków normalnych, t. j. małżeństwa. Rozrywka, przyjemność, użycie nie godzi się z powszedniością małżeństwa, gdzie miłość szybko zamienia się w ten chleb codzienny, którego się nie umie cenić, gdy się go ma wbród, tak jak nie ceni się zdrowia, gdy się nie chorowało. Bohaterka tej powieści Gillette Verroy, owa „Inconstante“, jest właśnie w tem położeniu. Znudzona, bo syta powszednim chlebem małżeńskim, pomimo iż mąż jej jest człowiekiem najlepszym w świecie, choćby dlatego, że w jej eskapadach nie stanowi najmniejszej przeszkody i to do tego stopnia, że nawet autorka nie zadała sobie trudu bliżej go nam przedstawić, Gillette szuka deseru po za domem i znajduje go w osobie romansopisarza (naturalnie!), p. Walentego de Verovre, dla którego, równie jak dla niej, ich stosunek miłosny jest tą właśnie grą przyjemną i lekką, upajającą przez chwilę zmysły, bez zaciągania głębszych zobowiązań sentymentalnych; zabawą bez konsekwencji. Po pewnym czasie, Walenty de Verovre wyjeżdża do Włoch i wtedy czarująca i niestała Gillette rzuca się natychmiast

w objęcia jego przyjaciela Michała de Nergy. Ale Michał nie jest odpowiednim w tej grze partnerem, bierze miłość na seryo, czem miłą Gilletkę wkrótce odstręcza. Szczęściem Walenty powraca w porę, by odzyskać jej względy i uczucia, nim jeszcze zdążyła oddać się trzeciemu. Tym razem jednak Gillette, z niestałej, przemienia się w niekonsekwentną. Gdy Michał de Nergy, opuszczony i zdradzony, popełnia samobójstwo, miłość jej dla Walentego, która dotąd była tylko miłością, zgodnie z jej charakterem, staje się obecnie wielką namiętnością. Dla czego? Na to pytanie, odpowiedzi próżnobyśmy szukali. Bohaterka „L'Esclave“, Gracya Mirbel jest konsekwentniejszą — zaczyna od namiętności, której jest niewolnicą, i na niej kończy. O ile pierwsza jest zmienna, o tyle ta jest stałą, aż do zaparcia, gdyby można użyć tu tego wyrażenia, nasuwającego myśl o poświęceniu. Zaparcie u Gracyi jest najzupełniej egoistyczne, nawet mimowolne i bezwiedne, jeżeli bowiem rzeczywiście czyni ona poświęcenie ze swej godności, niezależności, spokoju, szczęścia nawet, jednym słowem — ze wszystkiego, co stanowi jej osobę moralną i fizyczną, to poświęca to wszystko zmysłowej namiętności, fatalnemu instynktowi, który ją wiąże na śmierć i życie i obezwładnioną oddaje w ręce przeznaczonego kochanka. W założeniu „L'Esclave“ zachodzi widoczne i bliskie podobieństwo z „Domination“ pani de Noailles. Temat jest ten sam, tylko sposób traktowania bardzo różny. Antoni Ferlier, kochanek Gracyi i Antoni Arnaut z „Domination“ — przedstawiają jeden i ten sam typ romantycznego kochanka, Don-Juana, który znajduje rozkosz szczególną w męczarniach, zadawanych swym ofiarom.

Gracya Mirbel ma te same uczucia, co Dona Marie; symptomy ich mniej więcej zmodyfikowane, znajdujemy też u guwernantki Emilii i u erotycznej wizjonerki Elżbiety. Antoni Ferlier dręczy do niemożliwości nieszczęśliwą Gracyę i czyni to rozmyślnie, by widokiem jej bólu i łez, wylewanych z miłości dla niego, podtrzymać ogień własnej namiętności, zaostriżyć czucie własnych zmysłów; panuje nad nią despotycznie nawet na odległość, gdy ją opuszcza i przez kilka lat nie daje znaku życia, by, powróciwszy i po zranieniu w pojedynku jej zakochanego i pełnego poświęcenia kuzynka Charlie, objąć na nowo w posiadanie jej zaprzędaną mu duszę i ciało, pomimo bezskutecznej próby oporu. W „Le Temps d'aimer“ Laurette ma jeszcze te same zasadnicze rysy charakteru, ale panuje nieco więcej nad swemi instynktami. Prócz miłości zmysłowej, mają niekiedy przystęp do jej serca i inne uczucia, jak przywiązanie do matki, której zgon oplakuje.

Zdobywa się nawet na wyrzeczenie się swej pierwszej wielkiej miłości, którą poświęca uczuciu przyjaźni. Czasem, o dziwo, zdarza jej się myśleć! W gruncie rzeczy jest to jednak zawsze ta sama istota impulsywna, żyjąca wrażeniem chwili, kierująca się kaprysem, dopóki nie ujarzmi jej zwycięska i despotyczna namiętność, której, jak Łódź pozbawiona steru, da się unieść i wstrząsać bez oporu.

Oto jak pojmują i charakteryzują same siebie kobiety w literaturze. Widzimy stąd, że nie starają się one wcale o podniesienie swej opinii w oczach męskich, przeciwnie stwierdzają i czynią to z lubością, wyrażone przez mężczyzn najniekorzystniejsze dla nich przekonania. Czenże bowiem są te niewiasty, które one nam pokazują, jeżeli nie tym „puchem marnym,” przeznaczonym jedynie dla rozrywki mężczyzny, dla zadowolenia jego niższych instynktów, godnych po za tem jego pogardy, bo, stojąc na tym punkcie niżej samicy, nie służą one nawet do przedłużenia rodzaju, gdyż uwalniają się od macierzyństwa? Ale nie tryumfujemy przedwcześnie. Jeżeli kobieta widzi sama siebie w tak niepochlebnem świetle, to nie idzie zatem, by mężczyzna w jej przekonaniu stał moralnie wyżej. Bynajmniej tak nie jest. Przypatrzmy się tylko tym ich bohaterom, których raczyły określić nieco bliżej, a zobaczymy, że nie są oni więcej warci od swoich kochanek i towarzyszek. Jak one, podlegają oni tym samym fatalnym instynktom, jak one, widzą oni cały cel życia w zadowoleniu namiętności, jak one, nie mają woli, ani charakteru, a wyższość ich nad niemi jest tylko wyższością samca w hierarchii płciowej. Skądże u tych autorek z wysoką kulturą, dotąd wśród kobiet wyjątkową, tak niskie pojęcie o życiu, o człowieku, o świecie? Czy to pesymizm? Nie. Nie znajdujemy u nich ani satyry, ani wogóle żadnego znaku niezadowolenia z tego, co same uważają za prawo natury. Przeciwnie, egzaltują tę zależność człowieka, a w szczególności kobiety, od instynktu, ciągną stąd jakoby chwałę i starają się podnieść do znaczenia ogólnego wnioski z wypadków i komplikacyj szczególnych, z rysów indywidualnych, mniej lub więcej prawdopodobnych, które posłużyły za temat ich utworów. Widzimy u nich zupełne zapoznanie wszelkich praw moralności, o których zdają się nie mieć żadnego pojęcia, i wynikające stąd pierwiastki jakiegś zapewne trochę bezwiednej i bezmyślnej anarchii. Świat, z którym one zapoznają czytelnika, jest przedewszystkiem nierzeczywisty, jednostronny, jak i ich postacie, pomimo pewnych rysów żywo uchwyconych lub przesadzonych, są przeważnie nikłe, jak chińskie cienie.

Brak prawdziwego ideału pokrywają te panie estetyzmem, niekiedy wątpliwej wartości i formą artystyczną, która o ile u pani de Noailles zasada się często na przesadzie epitetów i ozdobach zapożyczonych, o tyle u pani de Régnier jest osobistą i ma wszelkie cechy piękna stylu klasycznego, co stanowi jedną z najpięrszych jej zalet.

W grupie powieściopisarek odrębne miejsce zajmuje pani *Marcelle Tinayre*. Talent tej autorki jest o wiele solidniejszy, więcej męski. Pisze ona prawdziwe powieści, nie zaś, jak poprzednie, utwory liryczne prozą, wysnute wprost tylko z własnej ich fantazyi, bez względu na rzeczywistość. Pani Tinayre przeciwnie, kontroluje swą wyobraźnię przy pomocy obserwacyi — powieści jej są realistyczne, postacie, zwłaszcza kobiece, nie są to urojeńia, lecz istoty żywe. Twórczość pań de Noailles i de Régnier jest przedewszystkiem artystyczną — w ich powieściach względy moralne są usunięte. Miłość-namiętność, miłość-instynkt, pierwiastek, zajmujący je wyłącznie jest w gruncie rzeczy tylko pretekstem do rozwinięcia tego arcyzmu. Po za tem twórczość ich jest *amoralną*, co znaczy, że prawa moralności są im obojętne, jeżeli nie zupełnie nieznanne.

Pani Tinayre nie zadawalnia się obojętnością na tym punkcie, prawa moralne, szczególnie dotyczące stosunków miłosnych, są dla niej złem, które zwalczą z całą namiętnością „nowożytną“ duszy. Powieści jej odznaczają się kierunkiem wybitnie *antymoralnym*. Motywem ich głównym jest także miłość w znaczeniu instynktu. Instynkt ten w jej przekonaniu jest jedynem najwyższem prawem naturalnem, które rządzi ludźmi. Wszystkie zaś prawa moralne, wymyślone przez ludzi dla ograniczenia tegoż, jako przeciwne naturze, są złe i szkodliwe, trzeba więc odrzucić je precz, by uwolnić ludzką istotę z więzów krępujących niesłusznie jej popędy. Stąd nienawiść tej autorki do chrześcijaństwa, w którem widzi najpoważniejszego przeciwnika swych ideałów. To też piętnuje ona, jak może, ideę chrześcijańską i jej przedstawicieli zwłaszcza w powieści „La Maison du péché,“ gdzie talent jej objawił się najsilniej, a także w powieści p. t. „Hellé.“

W pierwszej, niejaka Fanny Manolé, młoda wdowa, znająca życie ze wszystkich stron, uwodzi młodego człowieka, Augustyna de Chanteprie, wychowanego przez matkę i nauczyciela w surowych aż do przesady zasadach moralności chrześcijańskiej, któremu miłość do tej chwili nie była znana. Ale fanatyzm religijny matki Augustyna i zasady, wszczepione za młodu, stają w poprzek zaledwie ujawniającej się ich miłości, przyczyniają obojgu mnó-

stwa cierpień i powodują wreszcie śmierć nieszczęśliwego kochanka. W „Helló“ prezentuje autorka typ „nowożytniej“ młodej dziewczyny, wychowanej bez religii i zabezpieczonej przeciwko wszystkim „konwencyjonalnym kłanstwom.“ W „Rebelle“ Josanne zdradza mężą z przekonaniem o słuszności swego postępowania i zrodzone stąd dziecko przypisuje mu bez skrupułu. Później, zostawszy wdową i opuszczona przez dawnego kochanka, poznaje feministycznego filozofa Noëla Delysle, zachwyca się jego ideami, zawiązuje z nim stosunek z początku intelektualny, który naturalnie zamienia się bardzo szybko w uczuciowy; zostaje z kolei jego kochanką, spowiada mu się ze swej przeszłości i, chociaż te rewelacye mocno nie smakują zacnemu feminiście, pomimo, iż stoją się do wyznawanych przezeń teoryj, bo przecież takich teoryj nie tworzy się z celem realizowania ich w praktyce, zwłaszcza w swoim własnym otoczeniu, to jednak kończy się na małżeństwie. Josanne jest szczęśliwą, bo w Noëlu znalazła mistrza i władcę, którego wola jest jej wola, „w którego rękach jest drobnutką rzeczą... Zbuntowała się ona przeciw społecznej niesprawiedliwości, ale nie przeciw naturze; nie zbuntowała się przeciw odwiecznemu prawu miłości.“ I to zapewne potrwa aż do przyszłego kochanka, o czem niestety już się nie dowiemy, bo powieść kończy się na tej szczęśliwości, która w życiu kobiety zbuntowanej i wyzwolonej od „konwencyjonalnego kłanstwa“ jest dopiero trzecim epizodem. Nie mamy żadnych danych wierzyć, że nie zechce ona nadal korzystać z tego odwiecznego prawa, gdyż „nowa“ kobieta, „nie uważa się za upadłą dlatego, że kochała kilka razy.“ To zresztą jest obojętne. Co zaś tu zwraca uwagę, to to, że wychodząc z tych zasad i idei, pani Tinayre, która pragnie zwolnienia kobiety od „przesądów,“ wynisłonych przez mężczyznę dla jej „ujarzmienia,“ prowadzi ją wspólnie z towarzyszkami swemi, choć nieco innemi drogami, do stokroć gorszej niewoli, od której nie można już uwolnić się z taką łatwością, jak od owych „przesądów,“ ponieważ wypływa z „odwiecznych praw natury.“ A któż znowu pełni władzę w imieniu tych praw odwiecznych, jeżeli nie mężczyzna?

Jest to błędne koło, z którego biedne feministki, z doktryną, czy bez doktryny, nie mogą się wydobyć. Jeżeli z jednej strony uda im się zrzucić „jarzino,“ to po to tylko, aby z drugiej doń powrócić. Jak ómy około świecy, kręcą się one około „niewoli,“ do której prędzej czy później wpaść muszą, bo jej pragną, bo czują, że jest im przeznaczoną. Jakaż to, wszystko razem, próżna strata słów!



Wszystko polega tu właściwie na nieporozumieniu, na fałszywym stosowaniu wyrazów. Bo gdyby szanowne feministki zechciały odrzucić pustą frazeologię i zastanowić się nad samą kwestyą, toby się przekonały, że większość tych „przesądów,” które zwalczają, jest niczem innym, jak tylko rzeczywistym wynikiem owych „praw natury,” którym same chcą się poddać.

Jeżeli Josanne, zostawszy żoną Delysle'a i założywszy z nim rodzinę, zechce pozostać mu wierną, to tem samem, jakkolwiek to nazwie, zastosuje się do tych właśnie „przesądów,” od których jakoby miała się uwolnić.

W powiastce (conte) „La Vie amoureuse de François Barbazange,” oraz w ostatnio wydanym zbiorze nowelek p. t. „L'Amour qui pleure” pani Tinayre przeprowadza, w tonie więcej romantycznym (szczególniej w nowelce p. t. „La Consolatrice”), tę samą myśl fatalizmu miłości i jej wszechwładzy, przed którą ustąpić muszą nawet uczucia rodzicielskie.

Pominąwszy różnicę w sposobach, jakich używają wymienione tu autorki dla wyrażenia swych myśli i uczuć, oraz właściwy każdej z nich charakter indywidualny, wszystkie zgadzają się przynajmniej na tym jednym punkcie, gdy pośrednio lub bezpośrednio przedstawiają kobietę, jako istotę, przeznaczoną wyłącznie do miłości zmysłowej („femmes d'amour”), że instynktowny popęd w tym kierunku jest jedyną pobudką, jego zaspokojenie, bez względu na żadne prawa lub obowiązki,—jedynym celem jej życia. Po za tem nie ma dla niej nic innego na świecie i dlatego, z przekwitem młodości, życie jej traci wszelką wartość.

„Belles, belles, plutôt pleurez sur votre mort Que de voir s'effeuiller vos quarantaines pâles” — woła pani Łucya Delarue-Mardrus.

Jakiż największy wróg rodzaju żeńskiego wśród mężczyzn, jakiż najgorszy libertyn mógłby zdobyć się na pogardliwsze określenie roli kobiety, niż to, którem ona, przez usta swych natchnionych wieszczek sama się piętnuje?

ORWID.

## *Z wycieczki po wystawach.*

Spisując wrażenia i spostrzeżenia z odbytej w lecie r. 1908 wycieczki po kilku wybitniejszych wystawach europejskich, dwa mamy cele na oku. Chodzi naprzód nie o szczegółowy opis tych przeglądów współczesnej kultury, ale o zapisanie i ocenienie tego, co w nich było nowym dobytkiem cywilizacyjnym, czasem zapewne drobnym, ale i wtedy na lekceważenie nie zasługującym. Ponadto—i to dla nas było ważniejszym nawet celem—należało z porównawczego zestawienia kilku wystaw wydobyć wspólne właściwości tego rodzaju przedsięwzięć, będących mimo częstej i ostrej krytyki niewątpliwie wybitnym i pożytecznym objawem życia społecznego, istniejącym już od więcej niż stu lat, dzisiaj przechodzącym ważną fazę rozwoju. Dążąc do tego drugiego celu, mieliśmy świadomość tego, że materiał, zebrany w ciągu jednego lata, daje wprawdzie już pewną podstawę spostrzeżeń i sądu, mimo to jednak wymaga niejednokrotnie rozszerzenia, wciągnięcia bodaj chwilowego także i przeszłości i nieoglądanej przez nas różnorodności. Stąd poszło, że mówiąc głównie o wystawach, zwiedzanych przez nas w r. 1908, tu i ówdzie korzystamy z wyniku także i innych, dawniejszych jak i nowszych.

\*

\*

\*

Z większych zeszłorocznych wystaw, dostępnych w letnich miesiącach, nie widziałem francusko-angielskiej w Londynie. Ale z tego, co się o niej czytało i słyszało, wnosić wolno, że miała

ona przedewszystkiem polityczne znaczenie. Prawda, połączenie i zestawienie wytwórczości dwóch narodów było pouczającym, szczególnie podobno w dziedzinie malarstwa; w gruncie rzeczy jednak londyńska wystawa była polityczną manifestacją, stwierdzeniem jednego z najwybitniejszych procesów politycznych: zbliżenie się Albionu do Rzeczypospolitej. Zapewne i dawniejszym wystawom polityczne zamiary nie były całkowicie obce, tak np. wyraźną taką cechą miały paryskie z r. 1867 i 1878, pierwsza, jako dunna fanfara świetności drugiego cesarstwa, ściślej mówiąc uroku Napoleona III, druga, jako manifest trzeciej Republiki, że mimo niedawnego miliardowego haraczu wojennego jest nadal bogatą i żywotną. Ale potem osłabła z biegiem lat polityczna tendencyjność wszechświatowych wystaw. Ich punktem wyjścia były wprawdzie i teraz niejednokrotnie jakieś bieżące polityczne wydarzenia, albo jeszcze częściej pamiątka minionych wypadków, były to jednak tylko zewnętrzne okoliczności, tłómaczące, czemu ów popis właśnie w tym a nie innym roku urządzono, ale nie ich wewnętrzna cecha i celowość. Odnosi to się zarówno do paryskich wystaw z r. 1889 i 1900, jak i do hiszpańskiej w Barcelonie lub zamorskich w Chicago i Filadelfii; a jeśli kilka czy też kilkanaście stopni na dół zejdziemy, to stwierdzimy ten sam fakt i w „jubileuszowej“ wystawie w Pradze w r. 1891 i w „Kościuszkowskiej“ we Lwowie w r. 1894.

W ostatnich latach da się zauważyć powrotna fala politycznego znaczenia wystaw, może nawet w stosunku do dawniejszej wzmożona. Z jednej strony jesteśmy świadkami zmateryalizowania się polityki, w której coraz mniej znaczą dawniejsze dynastyczne i nowsze ideowe interesy, coraz więcej zaś handlowe i przemysłowe: wystarczy wskazać tylko na sprawę marokańską. Z drugiej jednak strony dziedzina kulturalna, nawet w zakresie czysto intelektualnym, coraz bardziej staje się także polem bądź sojuszów, bądź walk pomiędzy narodami i państwami. Uniwersytety czy wystawy sztuki, przedstawienia teatralne czy zjazdy naukowe są dzisiaj nieraz bądź świętem zbratania się zaprzyjaźnionych narodów i państw, bądź pokojowem współzawodnictwem albo też nawet ostrą walką zwaśnionych. W sferze wystaw objaw ten nie najsłabiej występuje, a w dalszym ciągu, przy omawianiu tych, które osobiście mieliśmy sposobność zwiedzić, nieraz się z nim spotkamy.

I z innym jeszcze charakterystycznym zjawiskiem. Oto dawniejsze wystawy były prawie zawsze ogólnemi, to znaczy obejmowały całokształt cywilizacyjnego dorobku, nieraz — w teoryi

przynajmniej—całego świata, czasem danego kraju. Zwiedzający taki „jarmark światowy“ ma przed sobą wszystko, co mózg i ręka człowieka wytworzyły, bo chociaż sztuki piękne wcześniej już wyemancypowały się i urządziły swoje własne popisy, to mimo to zazwyczaj i one wtedy w całość wciągano, nawet tam, gdzie wystawa zwała się „przemysłową“ tylko. Oczywiście i tam, gdzie sztukę poza nawias usuwano, panowało jeszcze bogactwo przedmiotów najrozmaitszego rodzaju. A wzrastało ono w niesłychanym postępie w miarę rozwoju wytwórczości cywilizowanego świata. Tak np. paryska wystawa z r. 1867 miała dziesięć „grup“ a 97 „klas“, ostatnia zaś, mimo łączenia kilku mniejszych oddziałów w większe, wykazywała 18 grup i 121 klas. Równoległe z tem szło naturalnie powiększenie rozmiarów terenu wystawowego, liczby wystawców, kosztów i t. p.

Postęp musiał wreszcie się skończyć, a zdaje się, że się już skończył. Prawdopodobnie wystawa paryska w r. 1900 jest na długo, jeśli nie na zawsze, ostatnią „światową“ w wielkiem mieście europejskiem. Ani stolica Francyi, ani Wiedeń, ani Londyn, ani Berlin (ten ostatni z żalem, że się tego wyrzec musi) nie myślą o takim przedsięwzięciu; podejmują się go albo ambitne drugorzędne miasta europejskie (np. na rok 1910 zapowiada się Bruksella), albo jeszcze ambitniejsze amerykańskie, za któremi pójdą inni dorobkiewiczze z Australii, Azji lub Afryki. Europa przesycała się już powszechnymi wystawami, bo naprzód dzisiaj one, nawet przy największych rozmiarach, całości objąć nie zdołają, powtórę, nadmiar szczegółów robi wrażenie chaosu, choćby w rzeczywistości panował tam przejrzysty ład, potrzebie wreszcie, kolosalność już naszemu nowoczesnemu smakowi estetycznemu niepodoba się. Na ten ostatni punkt zwracamy szczególniejszą uwagę naszych czytelników, by pamiętali o nim przez cały ciąg niniejszego artykułu. W sferze sztuki widocznym jest dzisiaj zwrot od ogromu do małości: już nie tylko szpetna wieża Eiffel, ale nawet ładny Grand Palais nie podoba nam się w dawnym stopniu; my wolimy drobniejsze rozmiary (może w trafnem rozumowaniu, że na wielkie piękno już nas absolutnie nie stać), chcemy przede wszystkim harmonii wszystkich szczegółów a tej na przestrzeni kilkuset hektarów (w Chicago w r. 1893 było ich... 269!) zachować niepodobna.

W następstwie tych różnorodnych przyczyn dokonywa się „specjalizacya“ wystaw. Idzie ona w dwóch kierunkach: zakreśliła ścisłe granice bądź lokalne, bądź przedmiotowe. Więc albo z góry przyjmuje się do popisu wytwórczość pewnego tylko pań-

stwa lub okręgu, czasem nawet jednego tylko miasta, albo też daje się przegląd jednej tylko dziedziny cywilizacji. Oba typy wystaw ujrzymy niebawem. Co więcej, specjalizacja staje się tak dalece potrzebą, że wobec niej nie ostoi się zapewne na długo przestarzała instytucja sporadycznych, ale przedmiotowo ogólnych wystaw sztuki. Odłączywszy się jako pierwsze od głównego pnia i rozwijając się samoistnie, rozrosły się one tak bujnie, że dzisiaj stały się same przez się monstrualnym „jarmarkiem światowym,” a jeśli muzea nazwano z pewną słuszością grobami sztuki, to coroczne „salony“ w Paryżu, Monachium lub Berlinie najłagodniej, jako miejsca tortury osądzić trzeba.

Połączmy zatem osiągnięte dotąd kryteria: polityczny charakter i specjalizację i z tego punktu widzenia przypatrzmy się kilku wybitnym tegorocznym wystawom w środkowej Europie.

\*

\*

\*

Polska wystawa przemysłowa w Poznaniu w tych ramach doskonale się mieści. I czyż może być inaczej? Czyż może być ona niepolityczną w mieście, gdzie zewsząd przemawia do tubylca, jak i do przybysza, myśl o walce dwóch narodów, dwóch ras? Gdzie wznosi się dumna i groźna, prawie dzika budowla zamku królewskiego, prawdziwe „Zwing-Uri,” tak niepodobna do innych, spokojniejszych rezydencji monarszych, nawet w niedawno, po krwawej walce, odzyskanym Strassburgu; gdzie w środku miasta stoi dumny i sponiewierany, jakby umyślnie na zagładę przeznaczony ratusz, polski ratusz. Gdzie nawet wzorowo urządzona niemiecka biblioteka jest częścią *Germaniae militantis i triumphantis* zarazem, a budujący się także niepośledni gmach Towarzystwa Przyjaciół nauk jest wcieleniem męskiej zasady *quand-même*, wytrwałości w oporze. Gdzie chodząc po ulicach i tyle polskich napisów nad sklepami czytając, radujemy się zrazu, by za chwilę pytać się z niepokojem, czy wśród ich właścicieli niema może wielu za „hańbę“ polskiego nazwiska zwiększoną teutońską zaciekłością płacących. Więc polityczną musi być ta wystawa, jako dowód, że polskość w Poznaniu nie poddaje się. A wskutek tego musi ona być także i specjalną, ograniczoną nie przedmiotowo—owszem, tutaj możliwie najszersze ogarniającą widnokreśli, ale

narodowościowo i lokalnie: jest wystawą polskiej wytwórczości Księstwa.

Zdajemy sobie z tego sprawę od samego przyjazdu do Poznania. Ogłoszeń oczywiście niema: rząd ani miasto na polskie nie pozwoliłyby ani na dworcach kolejowych, ani na ulicach i placach publicznych; zresztą i nie potrzeba ich, bo i tak każdy Polak tam pójdzie, a Niemiec, przynajmniej poznańczyk, nie poszedłby, bo bałby się donosu i... własnego narodowego sumienia. Niema napisów nawet w wagonach jadącej prawie aż pod plac wystawowy kolei elektrycznej: mówiono nam, że zarząd tramwaju chciał takie napisy dać „naturalnie“ w języku niemieckim, ale miasto mu zabroniło, więc tylko woźnica na miejscu woła: „Ausstellung!“ Ale tragicomicznem stwierdzeniem politycznego środowiska są powiewające u wejścia do wystawy chorągwie barwy... białej; na barwy polskie nie pozwolono, niemieckich oczywiście znowu Polacy nie chcieli, więc wywiesili białe. Zwiedzałem tę wystawę w skwarny dzień lipcowy, naprzemian to żarem słońca oslepiający, to zalewający strumieniami ulewy, więc dla poznańczyków pora to była zapewne nie najstosowniejsza. A jednak ludzi było i w parku i w budynkach bardzo wiele, że zaś prowadzili przeważnie głośno rozmowy, więc można było spostrzedz, że są to prawie sami Polacy z Księstwa, rodaków z innych dzielnic Polski bardzo mało, obcych nic. Ta głośna rozmowa zrazu wydała się turyście najcharakterystyczniejszą cechą wystawy: znać, że to sami swoi, znać, że się radują, iż swobodnie mogą na publicznem miejscu mówić po polsku, chociaż i tu co prawda pogawędka milkła, gdy się zbliżał podejrzliwy policyant niemiecki. Jędrna i męska polska mowa poznańczyków mile wpadała w ucho polskiego z Galicyi przybysza, ale tem boleśniej wzrok jego widział wszędzie w jakimś niemiecko-polskim żargonie ułożone napisy: „Uprasza się przedmiotów *nie chwytac* rękami.“

Jaką jest ta wystawa? Oczywiście skromną. Już przez to samo, że na szczupłej przestrzeni obejmuje wszystkie gałęzie wytwórczości, dowodzi, że produkcya ta obraca się w ciasnych granicach. A jednak i ta jej bezwzględna skromność stosunkowo przedstawia się pokaźnie, i jeśli nie może współzawodniczyć ze świetnością szczęśliwszych narodów, to w granicach Polski równać się zapewne może z galicyjską, która przecież miała, a tembardziej ma bądź co bądź daleko lepsze warunki rozwoju. O ile nie fachowy i przelotny tylko przybysz zdoła stwierdzić, Poznańskie poza wyjątkowemi zjawiskami wielkiego przemysłu, jak np. znaną fabryka maszyn Cegielskiego, dochodzi już dzisiaj do poważ-

nych wyników w dziedzinie mniejszego przemysłu, czy to domowego, czy fabrycznego. Polskie wyroby z drzewa, polskie artykuły perfumeryi, wytwory skórzane, a nie na ostatniem miejscu hafty i roboty kobiece (np. panny Kościelskiej) mogą i powinny zdobyć sobie cały rynek Księstwa, a w innych dzielnicach Polski również na poparcie zasługują. Od społeczeństwa, tak walką z silniejszym wrogiem nękanego, jak poznańskie, więcej wymagać nie wolno, zwłaszcza, gdy się pragnie, by ono na ekonomiczny rozwój kładąc główny nacisk, nie zapominało także i o intelektualnem podniesieniu się, bo wszak bój i na tem polu się tam rozgrywa. Na wystawie ta niesłychanie ważna strona cywilizacyi albo wcale nie występuje, albo tylko bardzo niepokaznie. Oddziału sztuki niema (jest wprawdzie w jednym miejscu tablica wskazująca, że w tym kierunku idzie się do „malarstwa,“ ale co się na końcu drogi widzi, o tem lepiej zamilczeć); nie można się także i w urzędzeniu całości dopatrzeć jakiejś myśli artystycznej. Brak to przykry, chociaż łatwo wytłómaczyć się da, a zresztą za niego wynagradza inny, bardzo miły brak: oto ze znanych mi wystaw ta jedna nie posiada żadnych „przyjemności,“ prócz koniecznych restauracyj i koncertów muzyki. Widocznie pojęto ją jako poważną sprawę, nie jako zabawę.

Do większych wymagań czujemy się uprawnionymi wobec wystawy w Pradze, choćby dlatego, że żadne miasto na kontynencie europejskim niema dłuższej tradycyi wystaw od pięknej nadweltańskiej stolicy. Jeżeli bowiem już w r. 1756 odbył się w Londynie taki popis staraniem tamtejszej *Society for the promotion of arts, manufactures and commerce*, to w Europie środkowej początek dała dopiero Praga w r. 1791, wyprzedzając nawet o kilka lat Paryż. Pozatem wymagania sprawiedliwie dadzą się tutaj zwiększyć, bo przecież czeska wystawa dokonywała się za silnem poparciem władz rządowych, krajowych i miejskich, podczas gdy w Poznaniu komitet na każdym kroku napotykał na jawne i ukryte trudności ze strony tych trzech czynników.

Pozornie wystawa praska jest apolityczną i zaliczoną być powinna do owej wczorajszej niejako kategorii, gdzie rocznica pewnego ważnego wydarzenia historycznego jest tylko punktem wyjścia przedsięwzięcia, ale nie nadaje mu wewnętrzznego charakteru. Oficjalnie bowiem jest ona uświetnieniem jubileuszu panowania cesarza Franciszka Józefa I, który przed sześćdziesięcioma laty wstąpił na tron austriacki. Miała więc być manifestacją austriacką, nie czeską i nie niemiecką, owszem niemiecko-czeską, zadokumentowaniem pokojowego współzawodnictwa obu,

w Czechach mieszkających narodów na polu kultury materialnej, tak, jak skład austriackiego ministerium bar. Becka miał świadczyć o ich politycznej koalicji. Tak być miało, ale tak nie jest. Jak bowiem w rządzie zasiadali wprawdzie przedstawiciele i Czechów i Niemców, ale te narodowości wtedy właśnie zawzięciej jeszcze, niż dawniej, się z sobą kłóciły (np. w Sejmie praskim), tak i na placu wystawowym rychło zapanowała niezgoda, nawet zupełny rozdział, rozpanoszenie się jednych, abstynencya drugich. Pewne oficjalne i kulturalne instytucje zdołały wprawdzie powstrzymać się od skakania sobie do oczu, ale prywatni wystawcy i ich przemysłowe związki rozpoczęły walkę, a jej wynikiem jest prawie zupełne usunięcie się Niemców, i wybitnie narodowo-czeski charakter wystawy. Odzwierciedliło się to naturalnie, jak zawsze w Austrii, przede wszystkim w sferze językowej. Są i niemieckie i czeskie katalogi urzędowe, są w niektórych pawilonach dwujęzyczne napisy, ale większość jest wyłącznie czeską. Obcy, ani nie czeski, ani nie niemiecki turysta, niema powodu gniewania się na czeszczyznę, ani ubolewania nad brakiem niemieczyny, tylko wobec tego, że czeski język bądź co bądź na razie przynajmniej... nie jest językiem światowym, pragnęłoby się widzieć napisy w jakimś powszechniejszym także języku np. francuskim (jak jest zresztą z katalogami). Bo ta wystawa czeska, jak każde ich narodowe przedsięwzięcie, ma ambicję zwrócenia na siebie uwagi zagranicy (dlatego zaproszono np. paryską radę miejską). Co prawda, o ile podczas dwukrotnych odwiedzin mogliśmy dostrzedz, wystawa zwiedzana jest tłumnie przez Czechów, przez dość częste sporadyczne wycieczki z krajów słowiańskich, a bardzo nieliczne z obcych, ale poszczególni turyści rzadko się tu zjawiają, może w części z powodu niedołączonej reklamy (zagranicą naprzykład w Niemczech, Belgii i Francji czytaliśmy tu i ówdzie ogłoszenia w czasopiśmie, nie oglądaliśmy jednak prawie nigdzie afiszów, które nawet w Krakowie zaledwie w jednym egzemplarzu widzieliśmy).

Wystawa obejmuje całą wytwórczość praskiej Izby handlowo-przemysłowej. Cyfry statystyczne, odnoszące się do tego okręgu, są zaiste imponujące. Oto kilka z nich, wyjętych z oficjalnego Przewodnika: przeszło 2 miliony mieszkańców, t. j. trzecia część ludności całego czeskiego królestwa, przeszło 110 tysięcy samoistnych zakładów przemysłowych i handlowych, opłacających tytułem podatku zarobkowego 12 milionów koron, wartość rocznej produkcji przemysłowej 1.2 miliardów koron. Nic dziwnego, że w takich warunkach wystawa w stosunku do lokalnego ograni-



czenia zadziwia ogromem: jest niemal dwa razy większą od swej poprzedniczki z r. 1891, mimo, że tamta obejmowała całe Czechy, i rozpiera się na przestrzeni 75 tysięcy metrów kwadratowych, zabudowanej dwudziestoma wielkimi pawilonami (z tych Główny pałac o powierzchni 13,000 m.<sup>2</sup>, a Hala maszyn 9,000 m.<sup>2</sup>) i mnóstwem mniejszych. To samo bogactwo we wnętrzu; niema poprostu gałęzi przemysłu, w którejby pracowitość i energia czeskiego narodu nie występowała pokaźnie, czasem nawet świetnie, od kołnierzyków płóciennych do samochodów, od domowych warsztatów do wielkich walcowni żelaza. Polak, chodząc po tych budynkach, schyla w duchu kornie czoło przed rzutkością pobratymczego narodu, zwłaszcza gdy odwiedziny pawilonu banków i kas oszczędności nauczą go, ile grosza Czech na czarną godzinę odkłada.

Ale też tutaj jest już kres naszego zachwytu. Imponująca rozmiarami i bogactwem przedmiotów wystawa praska jest pod względem estetycznym brzydka, drażniąco nawet brzydka. Ogólny plan jest dziełem architektury prof. Křiženečky'ego, komitet jednak oddał budowę poszczególnych pawilonów nie jemu tylko, lecz ogółem jedenastu budowniczym, „z których każdy—cytujemy urzędowy Przewodnik — jest silną indywidualnością,“ a zrobił to dlatego, że jego zdaniem „właśnie w architekturze jednostronność jest równoznaczną z monotonią.“ Oczywiście niema tutaj miejsca na krytyczny rozbiór tych estetycznych przekonań komitetu, ale jeżeli on twierdzi, że przedsięwzięcie, które sam za „śmiałość“ uważa, „udało się nad wszelkie spodziewanie,“ to doprawdy trzeba chyba przyjść do wniosku, że nad Wełtawą panuje inny smak artystyczny, niż w reszcie Europy, a raczej, że panuje tam jeszcze gust, w reszcie Europy od lat conajmniej kilkunastu na szczęście zupełnie już wyparty. „Jednostronności“ niema, to prawda, ale też nikt nie dojrzy tu owej harmonii koniecznej przecież, jeśli wystawa ma być całością a nie aglomeratem przypadkowym mnóstwa pawilonów.

A teraz słówko o nich, przyczem pomijamy pozostałe z roku 1891, stwierdzając tylko, że już to samo, iż do dawnych dostawiano nowe, dowodzi, jak lekceważono jednolitość wrażenia. Czy te nowe są ładne lub brzydkie, nie rozstrzygamy, bo komitet z podziwienia godnym dowcipem odrazu zabezpieczył się arcywygodnym twierdzeniem, że „krytyka artystyczna jest zawsze subiektywną, a więc jednostronną.“ Ale gdzież w tych budowlach przebija owa „silna indywidualność każdego z jedenastu architektów?“ Nie mamy ani jednego pawilonu „indywidualnego,“ wszystkie są takie podobne do oglądanych już na tyłu innych

wystawach. Dodajmy do tego rażący nieraz brak smaku, a nawet zwykłego ładu w wewnętrznym urządzeniu budynków, dodajmy niezgrabność ogrodu, tem dotkliwszą, że on pozuje na nowoczesność, dodajmy banalność iluminacji wieczorem, a brzydotę widocznych jej instalacyj za dnia (drzewa w odległości jednego metra od ziemi obwieszane lampkami, wybornie... naśladowującymi małe garnuszki)—a będziemy mieli nad wyraz smutny artystyczny bilans wystawy. Albo jeszcze nie: bo jest jeszcze ogromna część terenu poświęcona „rozrywkom.“ Bajeczna ilość restauracyj (z nich ani jedna bodaj elegancka, jeśli już nie piękna), *Wies abissyńska*, *Trottoir roulant* i t. p. i t. p. Że to wszystko jest nieodzownie potrzebnem na nowoczesnej wystawie, wiemy dobrze, tylko w XX wieku i tutaj żąda się bodaj przyzwoitości estetycznej, a nie przenosi się żywcem z wiedeńskiego Volksprateru lub brukselskiej Foire lipcowej niemożliwie pstrych karuzeli, ordynarnych panoptików, ohydnych restauracyj w kształcie potwornego słonia (nie chcemy wierzyć, choć nas na miejscu o tem zapewniano, jakoby prążanie to ostatnie monstrum uważali za *clou* rozrywkowej części wystawy). Że to nie tylko martwa doktryna estetyczna, ale rzecz możliwa w praktyce do przeprowadzenia, to się niebawem okaże.

Wystawa, w oddziale szkół przemysłowych bardzo chlubnie świadcząca o artystycznym wyrobieniu sztuki stosowanej, sama przez się zdawałaby się uprawniać do wniosku, że wśród Czechów nie tylko niema wyrobionego smaku i poczucia piękna, ale jest szkodliwsze jeszcze upodobanie w brzydocie i banalności. Uderza brak śladów udziału czeskich artystów (z wyjątkiem modeli zamierzonych pomników) i jedno jest tylko miejsce na wystawie, gdzie prawdziwa sztuka chociaż od czasu do czasu króluje: budynek koncertowy. Tu — już po moim pobycie, bo 19 września — wykonano po raz pierwszy siódmą symfonię Gustawa Mahlera, a może jest szczypta prawdy w paradoksalnym zdaniu jednego z krytyków, że to będzie jedyna trwała pamiątka praskiej wystawy z r. 1908. W każdym razie w istniejącej już dzisiaj „sztuce wystawowej“ nie oznacza ona postępu naprzód, ale przeciwnie cofnięcie się wstecz.

Z całą gotowością przyznaję, że mniej surowy sąd byłbym wydał o estetycznej stronie wystawy praskiej, gdybym nie był jej zwiedzał po uprzednim poznaniu wystawy monachijskiej. „Ateny nad Izarą,“ znane dawniej tylko z piwa i Pinakoteki (w tym porządku trzeba wymieniać główne osobliwości tego miasta), od kilku dziesiątków lat stały się jednym z najwybitniejszych miejsc turystycznych w Europie, a bez zaprzeczenia najwybitniejszym

w Niemczech. Składa się na to, obok dawniejszych atrakcyj, wiele innych, bądź nowych, bądź starych, ale coraz żywszych: więć bliskość i cudownej Norymbergi, i wspaniałych zamków króla Ludwika II bawarskiego, i pięknej górskiej przyrody, i sławnego teatru wagnerowskiego w Bayreuth, i wreszcie dobroczynnych zdrojowisk czeskich, w samem zaś Monachium wzorowe wagnerowskie i mozartowskie przedstawienia cykliczne, oblegane przez turystów z całego świata. W tym roku Monachium tembardziej roilo się od obcych, dzięki właśnie swej wystawie. Był to skutek świadomego dążenia: podczas gdy Praga swą wystawę, mimo bardzo daleko idących ambicyj, słabo reklamowała, Monachium zrobiło wszystko, by do swojej szeroki ogół zaciekawić. W Pradze można było chodzić po całym mieście i nie natknąć się na nic, coby wskazywało, że dokonywa się tu coś niezwykłego—w Monachium chyba ślepy nie dostrzegłby rozmaitych ogłoszeń. W Pradze w czasie najżywszego ruchu turystycznego przebudowywano główny dworzec kolejowy, witając przybyłych kurzem i hałasem, prowadząc ich na wystawę przez dzielnicę zupełnie nieuporządkowaną—w Monachium całe miasto przybrało odświętny wygląd.

Pozornie to przedsięwzięcie niema bynajmniej charakteru politycznego, który—jak powyżej zaznaczyliśmy—jest cechą prawie wszystkich dzisiejszych wystaw. Wejrzawszy w rzecz głębiej, dojdziemy jednak do odmiennego przekonania. Najprzód już sam ten brak politycznego charakteru ociera się zblizka o sferę polityki. Wystawa monachijska nie może być polityczną wskutek politycznego charakteru teraźniejszego państwa niemieckiego. Rada miejska w Pradze może właśnie podczas trwania wystawy, teoretycznie przynajmniej łączącej obie narodowości, zamieszkujące kraj, oddawać dostawę rur wodociągowych nie austriackiemu, ale francuskiemu przedsiębiorstwu; ona może także spraszać przedstawicieli paryskiej Komuny, by, z narażeniem się na zarzut manii wielkości, w starym ratuszu układać międzynarodowe sojusze przy bankiecie—Monachium, jak i całej Bawaryi wara od polityki na wielką skalę, którą wolno od r. 1871 w Niemczech tylko Berlinowi uprawiać. Kraj i jego stolica znoszą to spokojnie: właśnie w czasie wystawy, przy sposobności jednego zjazdu ogólnoniemieckiego, domniemany następca tronu bawarskiego, nieraz oskarżany o separatystyczne zamysły, wypowiedział mowę z zapewnieniem wierności niezłomnej dla cesarstwa, żądając tylko wydawniejszego ekonomicznego poparcia południowo-wschodnich krajów. Z podziwienia godną mądrością Monachium szuka zadośćuczynienia swym ambicyjom na innem polu, jak to także i obecna

wystawa stwierdziła. Oto bez przechwałek, bo ze sprawiedliwą dumą, urzędowy jej przewodnik tak między innymi o niej mówi: „Druga jej strona polega na indywidualności Monachium, która wycisnęła swe piętno na całej wystawie: Monachium, miasto *sztuki*. Nigdy jeszcze nie próbowano wystawę ogólnego charakteru tak całkowicie oprzeć o sztukę. Nigdzie, jak tylko w Monachium, można było tego próbować.“ Nigdzie, jak tylko w Monachium—mówi się, myśląc przedewszystkiem: w Berlinie tego próbować nie można. I oto mamy polityczne znaczenie tej wystawy.

Przytoczyliśmy już jedno zdanie z oficjalnego katalogu. Na chlubę, może największą, tej wystawy, należy stwierdzić, że to, co przed jej otwarciem jako cel zapowiedziano, to rzeczywiście się dokonało. I dlatego, chcąc dać ogólny obraz wystawy na „wzgórzu Teresy,“ można znowu posługiwać się słowami przewodnika: „*Monachium w r. 1908* (urzędowa nazwa wystawy)—wielki przegląd działalności Monachium. Wystawa, która nie obcego nie zawiera, chyba że była w tem monachijska praca czynna. Wystawa, która chce pokazać wszystko, co Monachium dzisiaj wytwarza. A więc wystawa miejska w najprawdziwszem znaczeniu słowa. I to stanowi jedną stronę jej znaczenia: że ona pokazuje wszystkie funkcje zawilego organizmu miasta. Przechadzka po wystawie ma dać sposobność do gruntowniejszego poznania Monachium, niżby to było możliwem podczas pobytu w mieście: bo pobudzające siły miejskiego życia, działające poza zewnątrzniemi objawami, na wystawie jawne są i widoczne. Cokolwiek sprowadza zwiedzającego na wystawę, znajdzie on, czego szuka: może poznać, jak Monachium urządza swe szkoły, jak Monachium dba o ochronę zdrowia, może poznać stan monachijskiego handlu i rozwój monachijskiego przemysłu; będzie miał obraz monachijskiego smaku, monachijskiej sztuki i rzemiosła, może uczestniczyć w monachijskiem życiu towarzyskiem i w monachijskich uroczystościach.“ Nie potrzeba od tych słów komitetu wystawowego ani jednego odjąć, nie potrzeba żadnego ograniczyć zastrzeżeniem, przeciwnie, wypada raczej podkreślić je i dodać kilka szczegółowszych objaśnień.

W sześciu wielkich halach i kilku mniejszych pawilonach jest tu, zawsze przejrzyście, ugrupowana cała wytwórczość Monachium, od farb do malowania aż do potężnych maszyn, od pierników aż do nowoczesnego kościoła i cementarza. Przypominając ponownie swą niefachowość w dziale przemysłu, sądziśmy jednak, że najpokaźniej przedstawiają się dwie jego gałęzie: grafika wraz z drukarstwem, reprezentowane przez najwybitniejsze firmy nie-

mieckie, i wewnętrzne urządzenia mieszkań, o czym jednak przy sposobności innej wystawy niebawem pomówimy.

To jest więc jedna strona omawianej wystawy monachijskiej, bardzo poważna, ale ostatecznie nie zadziwiająca, przyczem, co-prawda, pamiętać należy o tem, że jest to wystawa produktów jednego tylko miasta, średniej wielkości. Drugą jej stroną jest, jak już wiadomo, artystyczny charakter, i to stroną od tamtej bez porównania ważniejszą. Na czym ona polega? Na artystycznym smaku różnych budowli i na zharmonizowaniu całości. Nie-ma tu najprzód ani jednej budowli brzydkiej, bez względu na to, czy to jest poważna hala przemysłowa, czy pawilon urzędu pocztowego, budynek teatralny, czy kiosk dziennikarski. Zadziwi mocno w ich architekturze brak wszelkiego szablonu z jednej, dziwacznej ekscentryczności z drugiej strony: „secesya,“ grasująca jeszcze np. w Wiedniu, tutaj nigdzie nie razi, spokojna harmonia linii, dostojność w praktyczności, oto oznaka stylu tych budowli, przeważnie na stałe stawianych. I ten artystyczny charakter mają nie tylko pawilony w ścisłym tego słowa znaczeniu wystawowe, mają go także i restauracye i nawet „budy“ oddziału rozrywkowego: w Monachium np. można oglądać pierwszą chyba ładną, a dla zabawy tłumowi przeznaczoną karuzelę. Tak samo jest i z wnętrzem pawilonów. Nie darmo przy opisie każdego z nich, choćby nawet poświęconego najpospolitszym rzeczom, jak np. masarnia, znajduje się wymienione nazwisko artysty, który dał pomysł. Gdzie było stosowne miejsce, umieszczono bądź obrazy, bądź rzeźby, a i tam, gdzie ich niema, zwykły jarmark z pomocą najskromniejszych środków przemieniono w miłą dla oka grupę pokrewnych przedmiotów, starannie strzegąc się chaosu i przeładowania. Wreszcie każdy niemal z wystawionych obiektów nosi na sobie znamię artystyczne: czy to będą śliczne pier-niki według wzorów monachijskich malarzy, tak piękne, że chyba barbarzyńceby je jadł, czy wytworne meble, czy wreszcie model cmentarza, gdzie pomniki nie mają ogrodzenia, aby nie psuć wrażenia swobodnie rosnącego lasu, a kształt i materiał grobowców jest zawsze w zgodzie z charakterem roślinności w danym miejscu. W końcu zaś i przedewszystkiem prawdziwą rozkosz sprawia zharmonizowanie całości. Od stylizowanych szpalerów ogrodowych do wesołego wnętrza głównej restauracyi, od barwnego ułożenia krawatów na wystawie konfekcyj do wzorowego szpitala—wszędzie widać artystę myślącego i czującego, żyjącego jednak wśród współczesnych ludzi, a nie teoretycznych książek tylko. Prawie możnaby rzec, że i ludzie tutaj w ten sam rytm się

poruszają: takiego wrażenia przynajmniej doznałiśmy, przypatrując się przez godzinę zgoła tańczącym parom pod dachem zwykłej altany.

Dodajmy do tego jeszcze dwa szczegóły. Najprzód mieszczą się na gruncie wystawowym teatr artystyczny w poważnej części, a teatr marynetek i teatr cieni w oddziale rozrywkowym. W pierwszym przychodzi do głosu to, co jest jedną z charakterystyczniejszych cech dzisiejszego ruchu artystycznego w Monachium: dążenie do reformy teatru, zwłaszcza jego techniki. Już nie renesans prymitywnej sceny szekspirowskiej ani Lautenschlägera obracająca się scena jest ostatnim etapem, ale malownicze i nastrojowe zarazem zespolenie, zlanie w jeden akord dekoracyj z kostyumami drogą uproszczenia dawnego skomplikowanego aparatu, a nadaniu za to prospektom i szatom charakterystyczności. Widziałem tu granych przez artystów królewskiego teatru *Matomieszczan* starego Kotzebue'go i stwierdzić mogę, że tutaj przynajmniej, gdzie chodziło o wydobyć na jaw łagodnej karykaturalności, sztuka T. T. Heinego, artystycznego kierownika teatru, znakomicie się popisała. W teatrze marynetek zaś i cieni, również wytrawną ręką prowadzonych, ma się wcielenie tej pięknej zasady schillerowskiej, że „życie jest poważnem, sztuka wesołą“ — zasady, której teatry, operujące grubszym materiałem ludzkim, uprawdopodobnić nigdy nie zdołają. Ze „sztuka jest wesołą,“ o tem przekonywamy się zresztą, zwiędzając najcharakterystyczniejszy niewątpliwie zakątek rozrywkowego oddziału wystawy, jedyny w swoim rodzaju: t. zw. parodystyczną wystawę sztuki, u której wejścia stoi zabawny pseudogrek z fajką w ustach, a olbrzymim pendzlem jako laską w rękę. Karykaturalne kopie sławnych starych i nowoczesnych obrazów i rzeźb „ekscelencyi Van Dycka,“ „profesora Tycyana,“ „tajnego radcy Velasqueza“ pobudzą do śmiechu chyba najsmętniejszego hypokondryka, również jak groteskowe próbki „secesyi“, którą, niestety, gdzieś indziej jako poważną sztukę podają. Szczytem dowcipu jest atoli ostatni pokój, przedstawiający „mieszkanie pana Crysostemosa Nudelmeyera“: dziewięćdziesiąt procent zwiedzających nie spostrzeżga, że to także parodya „modernistycznego“ mieszkania współczesnego z dziwacznym pomieszaniem stylów, banalności z ekscentrycznością; ileż takich samych salonów uchodzi i w Niemczech i u nas za dowód wykwińskiego smaku! Ze zaś takie rozrywki, jak ta parodystyczna wystawa sztuki lub teatr marynetek, nadają ton temu oddziałowi, przeznaczonemu przecież dla zabawy tłumów, to dowodzi, jak wysokim jest poziom „Monachium w r. 1908.“

Żegnamy je z żalem. Po dokładnem, kilkakrotnem zwiedzeniu za dnia, patrzemy na wystawę w wieczornem oświetleniu. W dzień nie było widać ukrytych wśród liści drzew lampek elektrycznych; teraz żarzą się one uroczem fioletowym, karmazynowym, zielonkawem światłem, wysoko strzelają w górę tężzowe wody wielkiej fontanny, jak w zaklętym ogrodzie budzą się do życia figlarne, choć z kamienia kute, postaci faunów i ninf—i po raz ostatni spoglądamy na tę piękną wystawę, ze znanych nam najpiękniejszą, a niewątpliwie oznaczającą epokę w technice i stylu wystawowym. Czy u nas byłaby ona możliwą? Chyba w Krakowie. Tam nie zabrakłoby tej samej wytwornej, a świadomej celu ręki artystycznej. Tylko zapewne tam, w biednej Galicyi, zabrakłoby pieniędzy, a co gorsza przemysł nie poddałby się tak zapewne łagodnemu, ale stanowczemu kierownictwu artystycznemu.

\*

\*

\*

Po trzech wystawach, w Poznaniu, Pradze i Monachium, ograniczonych lokalnie, ale obejmujących całkowitą wytwórczość, przechodzimy z kolei do ściślejszych, bo zamkniętych także w ramach pewnej, z góry określonej grupy przedmiotów. Tu na początku zwiedzimy stuttgarcką „Wystawę budowlaną i artystycznych mieszkań,” jak brzmi jej trochę przydługi tytuł urzędowy. A ponieważ nietylko o nią nam chodzi, ale i o zdanie sprawy z obecnego stanu rozwoju tej gałęzi sztuki stosowanej, więc dla porównania przypomnimy dawniejszą tego samego rodzaju wystawę, o ile wiemy, pierwszą na tem polu.

W r. 1901 urządzono w Darmstademie na niewielkim terenie w pobliżu rosyjskiej kaplicy „Wystawę kolonii artystycznej,” której duszą był zmarły właśnie świeżo w Karlsruhe profesor Józef Olbrich, najzarliwszy propagator nowych idei w zakresie „sztuki mieszkaniowej.” Wystawa dawała kilkanaście trwale zbudowanych i całkowicie umeblowanych domów w odpowiednim ugrupowaniu wśród drzew i kwiatów. Jej ogólny kolorystyczny efekt był bardzo miły i zapewne nietylko dla mnie pozostał w duchu najtrwalszą jej pamiątką. Po za tem wystawa miała artystyczno-pedagogiczne znaczenie z tem, niestety, zastrzeżeniem, że najprzód była obrazem ideału, dostępnego tylko dla bardzo nielicznych wy-

brańców losu, powtórę była zbyt subiektywna, aby mogła uchodzić bądź za wzór, bądź za wskazówkę. Czasem z poważnej, częściej z lekko komicznej strony przypominała owe nastrojowe opisy wnętrz, znane nam ze zgodnych pod tym względem, tak naturalistycznych, jak i neoromantycznych, poetów dzisiejszej doby, z Hauptmanna jak i z Maeterlincka. Więc np. „zielony pokój gościnnie“ miał być „podobnym do świeżego poranka,“ więc „rubinowo-czerwony pokój ku zachodowi zwrócony“ miał przeznaczenie „zatrzymania w rubinowo-czerwonych kolorach czaru znikającego słońca;“ więc w innym pokoju panowały dlatego barwy czarna i biała, bo tu ma się odczuwać „urozyste godziny wieczorne i świętość samotności;“ więc pokój do muzykowania leżał o kilka stopni wyżej od stołowego, by „przechodzeniu z jednego do drugiego nadać rytmiczny ruch. Schodzenie na dół daje nam psychiczne uczucie gotowości do czegoś, wstępowanie w górę natomiast przejmując świadomością wznoszenia się do czegoś i w tych uczuciach objawiają się bardzo istotne nastroje człowieka“ (wszystkie cytaty wyjęte są z urzędowego przewodnika ówczesnej wystawy). Nic więc dziwnego, że w tych warunkach wystawa wyglądała na trochę miłą, trochę dziwaczną ideologię. Że jednak tkwiło w niej ziarno zdrowe, tego dowodzi rozwój zasadniczej myśli od r. 1901 do 1908, od Darmstadt do Stuttgartu.

Geograficznie oba te miasta daleko są bliższe sobie wzajem, niż... Berlinowi. I nie tylko geograficznie. Jak w Monachium widzieliśmy polityczny odruch w apolitycznej zresztą sferze, tak podobny objaw dostrzeżemy i tutaj. Oto właśnie w tym zakątku Niemiec, między górnym Renem, Menem i górnym Dunajem, rozwija się w naszych oczach żywy ruch artystyczny odmienny, często umyślnie odmienny od berlińskiego, tak w treści, jak i w zewnętrznych okolicznościach. Tu jest najprzód dzisiaj ognisko niemieckiej nowoczesnej sztuki stosowanej, szczególnie sztuki artystycznego zabudowywania miast i urządzania mieszkań. Powtórę zaś czysto nowoczesny ten ruch nie tylko nie musi staczać, jak w Berlinie, walki z rządzącymi czynnikami, lecz owszem, cieszy się ich życzliwym i skutecznym poparciem (podobny objaw jest i w polityce tych krajów południowo-niemieckich: w Badeni np. i w Wirtembergii socjaliści w ostatnim roku swemi głosami przyczynili się do uchwalenia budżetu państwowego, co, jak wiadomo, wywołało oburzenie... bezowocne wśród ich północnych, a przede wszystkim wśród berlińskich towarzyszy). Tak było już dawniej: gdy się zwiedza ulice miasta Karlsruhe w promieniach wachlarzowatych rozchodzące się od książęcej rezydencji, gdy



w Mannheimie z tegoż punktu wychodzi linia w formie konturu areny kolistej, w środku zabudowana kwadratami: to można spierać się, czy to jest najpiękniejszy z możliwych planów miasta, ale niepodobna nie dopatrzeć się w tem artystycznego współdziałania dworu z fachowcami. Tak samo jest i dzisiaj: wspomniana wystawa darmstadzka odbyła się pod protektoratem wielkiego księcia, gdy w Berlinie z królewskiego zamku rzuconoby na nią niewątpliwie anatemę; ten sam panujący powołał Olbricha i Thomę na profesorów akademii (w Berlinie profesorem jest za to oficyalista sztuki Werner), bawarski książę-rejent Luitpold jest protektorem nowej sztuki—choć sam jest dwa razy prawie starszy od pruskiego króla — w Stuttgarcie także jest zupełna zgoda artystów z panującym.

Dwie zasadnicze różnice są widoczne tutaj w zestawieniu z dawniejszą wystawą darmstadzką. Po pierwsze terazniejsza ma charakter daleko praktyczniejszy. Zaznaczonym on jest już w samym początku wystawy. Przed laty inicjatorami było kilku artystów, którzy naturalnie musieli dopuścić do współdziałania rzemieślników, lecz jedynie jako wykonawców pomysłów tamtych. Tutaj natomiast przedsięwzięciem kierował „Centralny urząd dla handlu i przemysłu“ wraz z „Kolegium doradcem dla przemysłu budowlanego,“ w którym, jako równorzędni członkowie, zasiadają, obok architektów, także skromni rzemieślnicy, jak malarz pokojowy, ślusarz, szklarz. Praktyczność kazała umieścić na wystawie nieliczną tylko grupę budowli kosztowniejszych, przeważającą zaś ilość dostępiejszych i dla mniej zamożnych (zwykle są podane przypuszczalne ceny); są także domy, służące do pewnego, ściśle określonego celu, np. domy robotnicze, pawilony szkolne i najciekawszy z nich dom małej gminy miejskiej, posiadający i salę obrad, będącą zarazem izbą szkolną dla małych dzieci, i sale czytelniane, i biurowe, i wreszcie osobne oddziały dla towarzystwa gimnastycznego i doraźnego szpitala: całość ogromnie zajmująca, godna osobnego studyum. Nie brak na wystawie również demonstracyj nowych wynalazków w przemyśle budowlanym, np. dom z „tektonu,“ ze sztucznej masy, umożliwiającej postawienie domu w przeciągu trzech dni roboczych i natychmiastowe zamieszkanie go; dalej nowy układ konstrukcyjny betonu z żelazem lub t. zw. duro-płyty do jednolitego pokrywania ścian, sufitów, podłóg i t. p.

Z drugiej strony wystawa sztutgarcka w przeciwieństwie do darmstadzkiej „nie ma zamiaru — jak to przyznaje przewodnik — stwarzania jakichś zupełnie nowych wartości, lecz ogranicza się

zasadniczo do pokazania wyrównanych już, zdrowych, przez praktykę stwierdzonych form i konstrukcyj.“ Zapewne, że w ten sposób ma ona pod względem pomysłowości skromniejsze znacznie, lecz zato staje się obrazem tego, co w Niemczech dzisiaj w sferze budowania domów i urzędzenia mieszkań nietylko w teorii się planuje, lecz i istotnie w życie wciela. Przechadzając się zaś po nowożytnych dzielnicach starych miast niemieckich, jak na przykład Kolonia lub Norymberga, dostrzeże się łatwo, że o ile domy powstałe mniej więcej w latach 1870 — 1890 są przeważnie brzydkie, o tyle budynki najnowszej doby przedstawiają się już znośnie, często całkiem ładnie. I dlatego łącząc tutaj wrażenia sztutgarckie z monachijskimi, pragniemy nie z fachowego stanowiska, ale z obserwacji kulturalnego człowieka dać wyobrażenie o tych najnowszych prądach.

Oczywiście na obu tych wystawach nie było modeli monumentalnych budowli: tych trzeba szukać na ulicach miast, zwłaszcza wśród gmachów publicznych, jak np. dworce kolei żelaznej lub domy instytucyj finansowych i przemysłowych. Pierwsze noszą na sobie ślady świadomej siebie myśli, z którą jednakże nie każdy estetyk zdoła się pogodzić. Oto bowiem w wielu niemieckich miastach najnowsze budynki stacyjne stawiane są w stylach historycznych, w tym mianowicie, który w danem mieście w przeszłości najwyraźniej panował. Stąd powstaje na pozór harmonia stylowa, przybierając jednak kształt zgoła niezgodny z zasadniczymi dzisiejszemi pojęciami estetycznymi, wymagającymi przede wszystkim zgody formy z treścią, wyglądu tamtej z przeznaczeniem tej ostatniej. Jeżeli np. w Hildesheimie, tej mojem zdaniem jeszcze piękniejszej niż Norymberga perle dawnego mieszczańskiego budownictwa niemieckiego, mamy dworzec kolejowy w dokładnym stylu romańskim, to wzrokowo zlewa się on harmonijnie z ogólnym charakterem miasta, kłóci się natomiast niemożliwie z praktycznym swoim przeznaczeniem tak, że pod tym względem bezstylowa stacya monachijska budzi spokojniejsze wrażenia. Wielkie budowle nowych ratuszów miejskich, jak np. najwspanialszy obecnie w Niemczech ratusz monachijski w zbytkowo ozdobnym stylu gotyckim wykonany, do takich skarg nie dają powodów: z pojęciem i praktycznym celem tych siedzib miejskiego magistratu łączy się bowiem wybornie wspomnienie dawnych czasów, dawnych stylów. To skojarzenie pojęć jest tak silne, że równoległe z pragnieniem wytworzenia jakiegoś nowoczesnego stylu dworców kolejowych idzie niechęć ku nowoczesnym w swych kształtach ratuszom, jakim jest np. miejski budynek w Kassel. Przy-

patrzmy się teraz typowym nowym budowlom dla pomieszczenia instytucyj finansowych i przemysłowych. Ich materiałem jest prawie zawsze kamień, w środkowych i południowych Niemczech czerwonawy (ten sam, który niektórym ludziom mimo patyny tyłu wieków psuje piękność przepysznej katedry strasburskiej). Materiał na ogół trafnie zastosowany: odrazu odczuwa się potęgę tych nowoczesnych twierdz, które póki stoją, silniejsze są od dawnych zamków rycerskich, gdy się wała, więcej niż tamte ofiar grzebią pod swojemi gruzami. Pewna surowość i oschłość form również godzi się z charakterem ich treści, a dające się od kilku lat spostrzegać odstępowanie od szablonowo powtarzanej przedtem wyłączności pionowych linii fasady, jest dla oka miłym urozmaicheniem. Gorzej jest z wielkimi domami czynszowemi, wzorowanemi na tych twierdzach kapitalizmu. Bo tutaj, gdzie w większym stopniu chodzi o osiągnięcie jak największego efektu kosztem jak najskromniejszym, kamień naturalny gęsto zastąpiony jest sztucznym, czasem do tego polerowanym (natomiast rzadko tylko widzi się te ohydne cegły glazurkowe, szpecące, niestety, tyle domów, a nawet całe ulice nowoczesnego Krakowa), tutaj także pomysłowy budowniczy w poczuciu własnej bezsilności ucieka się nie raz do ozdób ze stiuku, gipsu i lichej polichromii, w Niemczech rażącej tem bardziej, że jest tam przecież tyle pomników przepięknego starego malarstwa fasadowego. I tylko jedno ratuje te domy od zupełnej wzgardy wrażliwego obserwatora: to ich liczne ukwiecione balkony. Ani w Belgii, ani we Francyi, ani—niestety!—u nas nie widzi się tyle bluszczu i kwiecica na fasadach domów czynszowych, co w Niemczech. Od Wrocławia i Poznania (np. przedmieście świętomarcińskie) do Stutgartu i Monachium te kwiaty zakrywają brzydotę, wyraziściej uwydatniają piękność domów czynszowych, surowości dodają wdzięku, banalność w świeżość przemieniają.

Ale jak się już rzekło, modeli takich wielkich budowli nie było na owych dwóch wystawach. Zamiast nich były mniejsze domy, przeważnie dla jednej lub dwóch rodzin przeznaczone. Mniejszość ich polega nie na samych tylko skromnych rozmiarach ogólnych. Wszedłszy do wnętrza, spostrzeżemy natychmiast mniejszą powierzchnię poszczególnych części, jak np. pokoje, mniejszą także ich wysokość. Jedno z drugim pozostaje naturalnie w ścisłym związku: z chwilą, gdy powierzchnia jednej ubikacji jest mniejszą, wzgląd na harmonię wymiarów wymaga i zmniejszenia wysokości ścian. Ale domyślać się można i innych przyczyn. Ograniczenie powierzchni tłómaczy się ważnym względem prakty-

cznym: wysoką ceną gruntów; równocześnie jednak umotywowane jest one dążeniem do stworzenia tego, co w Anglii *hume* w Niemczech *Heim* się nazywa, a co w polskim języku niedostatecznie da się na „ognisko domowe“ przełożyć. Niewątpliwą jest rzeczą, że mały i niezbyt wysoki pokój wygląda zaciszniej, familijniej, tak samo jak przyjąwszy za podstawę skalę obecnych stosunków średnio zamożnych warstw, a więc trzy pokoje na rodzinę złożoną z 2—4 osób, zaś 4—6 na liczniejszą, dojdziemy do przekonania, że dyktowana rzekomo przez higienę nadmierna odległość podłogi od sufitu bez szkody dla zdrowia mieszkańców, a z korzyścią dla wspomnianych powyżej względów, może być skróconą. Podobną tendencją wykazują także rozmiary obwodu otworów wpuszczających światło, zwłaszcza okien. Są one w nowoczesnych budowlach, pokazanych na obu wystawach, mniejsze od znajdujących się powszechnie, zbliżają się natomiast rozmiarami do starych okien lub też do dzisiejszych chat i dworców włościańskich. I tutaj znajdzie się łatwo uzasadnienie faktu, oznaczającego na pozór cofnięcie się wstecz. Wystarcza wskazać choćby tylko na okoliczność, że w dzisiejszych mieszkaniach są wprawdzie większe okna, ale niemal w połowie zasłonięte firankami, a często i w całości zakryte storami; tutaj mamy okna mniejsze, lecz też w całości słońcu i światłu stojące otworem, bo zasuwalne po obu stronach firanki wolnej przestrzeni nie uszczuplają. Ważną przytem jest rzeczą przypuszczenie, że domy te, z zasady parterowe lub jednopiętrowe, stać będą w dzielnicy ogrodowej, że więc światło będzie do nich łatwiejszy miało przystęp niż w dzisiejszych wąwozach, zabudowanych wysokimi „drapaczami nieba.“

W wewnętrznem urządzeniu mieszkań porównanie tegorocznych wystaw w Monachium i Stuttgarcie z dawniejszą w Darmstadzie wykazuje jedną, kardynalną różnicę. Przed laty większa część mebli spojona była ściśle z architekturą, wmurowana nieruchomo w ściany domu. Teraz ten system zarzucono, uznając trafnie, że krępuje on swobodę człowieka, tak jednostki, jak zwłaszcza liczniejszego towarzystwa. Pozostało tylko jedno, co zresztą nie jest nowym pomysłem, lecz odnowieniem starej tradycji: oto obok większej przestrzeni jest oddzielona od niej mniejsza, zwykle o jeden lub dwa stopnie wyżej położona, najczęściej przy oknie się znajdująca, a służąca za schronienie dla jednej lub dwóch osób, pragnących się od reszty oddzielić, czy to dla samotnej zadumy, czy dla swobodnej pogawędki. Główną cechą umeblowania jest wykwintna prostota, nieznosząca samego naśladownictwa przestarzałych stylów, jak szczególnie renesans, barok i rokoko,

stosunkowo najbliższa jeszcze *empire*'u, a raczej biedermajerowskiego stylu; jak oschłość i sztywność zmienia się w wytworną nastrojowość, tego już nakreślić nie można, bo wszystko zależy tu od indywidualnego smaku artysty. Ale jeden zarzut konieczny trzeba zrobić najnowszej fazie niemieckiej sztuki „wnętrza:“ oto jest ono nużąco bezbarwne, co najmniej przesadnie w barwach ulega złagodzeniu. Śmiałyśmy się przed chwilą z „poezyi“ opisu darmstadtzkiego pokoju, zwróconego ku zachodowi słońca — i słusznem było zapewne to szyderstwo. Niemniej jednak było — nie w opisie, lecz w rzeczy samej — jądro prawdy: to tęsknota nowożytnego człowieka za wyraźniejszymi barwami jako reakcja przeciw wczorajszej epoce wzorowania się na wyblakłych gobelinach. Oddziaływa to już na nasze — nietylko kobiet, gdzie reakcja mniej była potrzebną, lecz i mężczyzn — ubranie, oddziaływa na wygląd ulic (ukwiecione fasady, kwiaty na latarnianych słupach), nie zatrzyma się z pewnością u wrót mieszkań, ale je przekroczy, ożywi barwę tapet, dywanów, pokrycia mebli; dzisiaj jeszcze i tutaj kwiaty są jedyną przeciwwagą bladej monotonii. To zresztą jedyny zarzut, który można zrobić, bo po za tem widoczną jest stanowcza poprawa w stosunku do wczorajszej doby. Rodakom, dla których zbyt często niestety jeszcze, wiedeńska „secesya“ jest ostatniem słowem „sztuki mieszkaniowej,“ godzi się wyraźnie powiedzieć, że i w Monachium i w Stuttgarcie nie ma już ani śladów tego pseudooryginalnego dziwactwa: proste, łatwo przejrzyste i do praktycznego celu zastosowane linie zastąpiły wczorajsze zygżaki i łamańce — ewolucya, podobna do tej, która się dokonała i w drukarstwie: jak obecne drukowane pismo można znowu czytać bez bólu głowy, tak na dzisiejszych stołkach można znowu bez akrobatycznych sztuk usiąść i — o dziwo! — nawet siedzieć!

\*

\*

\*

Z miast niemieckich trzy corocznie w letnim sezonie urządzają wielkie wystawy sztuki: Drezno, Monachium i Berlin, te dwa ostatnie aż podwójne, bo i t. zw. Wielką wystawę

i „Secesyę.“ Nie widzieliśmy drezdeńskiej, oglądaliśmy za to obie w pruskiej i bawarskiej stolicy. Podstawa do sądu o obecnym stanie sztuki, szczególnie malarstwa i rzeźby, jest aż nadto dostateczną: wystarczy wspomnieć, że katalog Wielkiej wystawy berlińskiej wymienia 2,175 dzieł, tamtejszej Secesy — 343; katalog monachijskiej Wystawy corocznej w połączeniu z jubileuszową wystawą „Powszechnego niemieckiego stowarzyszenia sztuki“ ma ich 2,328, a „Międzynarodowej wystawy Secesy“ — 273, ogółem więc dochodzi się do olbrzymiej liczby przeszło pięciu tysięcy.

A jest to przeważnie sztuka niemiecka. Obcej bowiem jest bardzo niewiele. Polaków np. widzieliśmy bardzo mało: w Wielkiej berlińskiej wystawie znaleźliśmy dwa obrazy Józefa Brandta z Monachium (Polowanie na łące — Napad), Józefa Męciny-Krzyszka z Dębniak pod Krakowem „Sen Dzieciątka Jezus,“ Maryana Trzebińskiego z Warszawy „Starą synagogę w Polsce,“ wreszcie w wystawie Związku ilustratorów „Scenę z teatru Metropol“ Józefa Wodzińskiego, o którym jednak nie wiemy napewno, czy jest Polakiem; w Secesy berlińskiej nie ma ani jednego Polaka, również jak i w monachijskiej, gdzie polską ziemię lokalnie reprezentuje tylko Abraham Neumann z Zakopanego („Zima w lesie“): w siedemdziesięciu siedmiu (!) salach *Glas-palast*'u przedstawicielami polskiej sztuki są: Władysław Czachórski („Głowa dziewczęcia,“ reprodukowana w Katalogu), Roman Kochanowski („Las w jesieni“), Damazy Kotowski (olejne obrazy: „Dama z kotem,“ „Zmierzch w zimie,“ „Poranek zimowy“ oraz pastele „Dama w zielonym kapeluszu“ i „Indyki rano w jesieni“), wreszcie Kazimierz Pochwałski („Portret hr. Zamojskiego“) i Zygmunt Sucho-dolski z czterema rysunkami, ogółem więc reprezentacja ilościowo słaba, jakościowo niezbyt charakterystyczna, ograniczona przytem wyłącznie do malarstwa i rysunku; w rzeźbie świecąca zupełną nieobecnością. Ale ostatecznie nie mamy powodu wstydzić się zbytecznie tego ubóstwa, bo i inne nie-niemieckie narodowości ani w Berlinie, ani w Monachium nie wystąpiły o wiele pokaźniej. Być może, że w tym tłoku obrazów i rzeźb przeoczyliśmy jakie wybitne dzieło, ale pisząc te słowa mamy żywiej w wyobraźni i pamięci zaledwie trzech czy czterech artystów z po za Niemiec. Najwyraźniej widzimy Norwega Eryka Werenskiolda (z berlińskiej Secesy): jego cztery obrazy zupełnie dojrzałe w technice, w nastroju łączą znakomicie chmurną, północną zadumą ze świadomym sobie realizmem; wybornym jest zwłaszcza portret Björna Björnsona: siedzi on jakby w teatrze w krześle, z oczyma z uwagą naprzód patrzącymi, za nim w półmroku widoczna również sie-

dzająca kobieta: efekta światła i ciemności pochodzą od zapalanej lampki elektrycznej przed poetą—są w pełni wyzyskane, niemniej jednak w reprodukcji przez malarza podporządkowane są właściwemu celowi, którym było odtworzenie charakterystycznej postaci Björnsona, nie samej tylko jego twarzy, ale całej figury. Z północy także, lecz ze Szwecyi przychodzi Anders Zorn (w monachijskiej Secesyi), odmienny jednak zasadniczo od poprzedniego: kolorystyczna jasność i żywość daleko tu już większa, mniej nastroju głębokiego, a więcej plastyki, w malowaniu wiejskich dziewczuch sympatyczna dziarskość, przypominająca naszego Włodzimierza Tetmajera; artysta to zresztą widocznie o szerokiej skali, bo są na tej wystawie także jego prace rytownicze, z których portret Anatole'a France nie samym tylko przedmiotem zaciekawia. Ale w tej sztuce prawdziwym mistrzem jest dopiero jego rodak Karol Larsson (także w monachijskiej Secesyi): jego autoportret np. zamaszystością i wytwornie realistyczną fantazyą niewiele ma sobie równych dzieł. W końcu czwarty z tego szczupłego grona, o którym jednak dokładnie nie umiemy powiedzieć, czy jest Francuzem, czy tylko Niemcem, w Paryżu zamieszkałym: Henryk Spiro, reprezentowany zaledwie dwoma dziełami, ale jak doskonałemi! Jego leżąca „Kurtyzana,“ rozmawiająca z przybyłym gościem, jest stanowczo najlepszym aktem kobiecym obu tegorocznych wielkich wystaw niemieckich, a jeśli nie trudno dopatrzeć się związku pomiędzy nią a „Olimpią“ Manet'a, to piękny wzór wywołał tym razem także piękne echo; ten sam zaś *esprit* wykwinąłny i wysoce kulturalny ma jego: „Portret pisarza Dr. B.“

Ale i w Berlinie i w Monachium chodzi naturalnie przede wszystkim o sztukę niemiecką. Jakżeż się więc ona przedstawia? Ilościowo oczywiście ogromnie bogato: któryż inny naród zdołałby jednego roku w dwóch tylko miastach zgromadzić kilka tysięcy dzieł! Jakościowy rezultat jest bez porównania skromniejszy. Z całą stanowczością stwierdzić trzeba, że jest dzisiaj w Niemczech tylko jeden jedyny malarz, którego wykształcony Europejczyk koniecznie znać powinien; jest, a raczej był, bo Wilhelm Leibl zmarł w r. 1900, mając lat niespełna sześćdziesiąt. Berlińska Secesya wystawiła w osobnej sali kilkadziesiąt jego obrazów, studyów i szkiców, zdając sobie sprawę z tego, że, czcząc w ten sposób najznakomitszego swego członka, jego wielkiem imieniem osłania własne swe obecne braki i słabości. Przewodniczący Secesyi, Maks Liebermann, przy otwarciu wystawy wypowiedział mowę na cześć zmarłego, którą dzisiaj czytać można jako przed-

mowę do urzędowego katalogu. „Właśnie w dzisiejszych czasach kompromisów powinniśmy w Leiblu czcić obok wielkiego artysty wolnego człowieka, który nie dążył do żadnego innego celu, tylko do ideału, który sobie sam określił i nikomu praw nie pozwalał sobie dyktować, tylko swojej sztuce... Podziwiamy w nim malarza, który farbą olejną władał tak jak nikt od czasów van Eyka i Holbeina (?), lecz fałszywie rozumiałby go ten, kto by wobec tych tak świetnych jego zalet przemilczał jego wewnętrzną siłę. Bo właśnie jego pietyzm dla natury, jego koncentracja, jego prawdziwie artystyczny egoizm, wszystko poświęcający swojej sztuce, to są jego zalety, najbardziej podziwienia godne.“ Zestawienie z nieśmiertelnym twórcą gandawskiej „Adoracyi magów“ wyda się może komu bluźnierstwem, zrównanie z mistrzem darmstackiej Madonny przesadą, ale i bez tych retorycznych zwrotów sława Leibla ma zapewnioną długą trwałość. Dwie jego główne właściwości to sprawiają. Naprzód, jest on nawskroś niemieckim, chociaż przebywał jakiś czas w Paryżu, czuł zawsze po niemiecku i nie tylko niemieckich (bawarskich) chłopów malował, ale malował ich po niemiecku tak, jak niegdyś Albrecht Dürer, mimo włoskiej podróży, Niemcem do końca życia pozostał; lecz tak samo, jak ten najbardziej niemiecki z niemieckich artystów jest z nich wszystkich zarazem największym, tak i Leibl, mimo swego wybitnego narodowego charakteru, a raczej właśnie dla niego, w silniejszym stopniu, niż inni narodowi malarze, budzi u cudzoziemców i ciekawość, i podziw, i w historii nowoczesnej sztuki jest świetnym argumentem stwierdzającym, że każda wielka sztuka jest narodową, i że żadna wielka nie może być pozbawiona narodowej indywidualności. Drugą zaś, równie cenną właściwością Leibla, posiadającą podobnie zasadnicze znaczenie, jest przedziwne skojarzenie prostego, prawie chciałoby się rzec, powszedniego realizmu z najszczytniejszą ideą sztuki: weźmy np. jego „Starą wieśniaczkę w futrzanym czepku,“ albo „Powrót wiejskiego strzelca“ ze staruszką mielącą na młynku kawę, jak twardo trzymają się te dzieła ziemi, tej grubej chłopskiej ziemi, a jak łatwo przy nich myśl i uczucie obserwatora ulatuje w zaświaty ideału. Studium obrazów Leibla, to ożywcza kąpiel tak dla uczonych estetyków, jak i dla zwykłych śmiertelników; kto w niej się zanurzy, pozbędzie się wielu uprzedzeń i wielu złudzeń i przestanie uważać np. Böcklina za najznakomitszego europejskiego malarza dzisiejszych Niemiec.

Poza tym nieboszczykiem, lecz poraz pierwszy dopiero tak wszechstronnie pokazanym, cztery omawiane przez nas wystawy



nie dają żadnych nadzwyczajnych objawień artystycznych. Oczywiście jest kilkadziesiąt dzieł w tym chaosie wybitnych i kilku twórców w tej rzeszy znakomitych. Więc np. najbliższej Leibla stojący Wilhelm Trübner, w soczystości doskonale umiarkowany portrecista (świetny autoportret w mundurze jednorocznego ochotnika), jest Walter Leistikow, głęboki i brawurowy przytem pejzażysta, niemiecki Stanisławski; jest ogromnie wyrafinowany i subtelnie efektowny kolorysta Franciszek Stuck, na swą oryginalną paletę przenoszący motywy renesansowe (jego obraz: „W kostymie à la Velasquez“ da się zestawić ze świeżo wystawionym w krakowskim „Zerze“ portretem Ireny Solskiej, jako Infantki z „Cyda,“ pędzla Wojciecha Kossaka); jest niezrównany w oddawaniu kobiecego ciała, ale dziwaczny w treści swych obrazów Lovis Corinth; jest Liebermann, Slevogt, Uhde — ale to wszyscy dobrzy znajomi z innych wystaw, nie obcy także i polskim znawcom i miłośnikom sztuki. Dwaj zasługują bodaj na wzmiankę, bo bardzo ciekawi i szanowni, ale u nas, o ile wiemy, nawet z nazwiska nieznani: to portrecista Leon Samberger, głęboko wnikający w duszę portretowanych osobistości, lecz bez całkowitego przejrzytości techniki, to Charles Tobby, wskrzeszający w nowoczesnym duchu przetrawione najlepsze holenderskie tradycje malowania martwej natury, zwłaszcza zabitych zwierząt. Nagół jednak obecne malarstwo niemieckie pławi się w bezbarwnej, indywidualności pozbawionej, powszedniej przyzwoitości, w wahaniach swych uderzając raz o sztywną oficjalność urzędowych płócien, to znowu o dziwactwa oryginalności za wszelką cenę.

Dopełnijmy jeszcze obrazu słowami uznania dla niemieckiego rytownictwa i sztuki reprodukcyjnej, milczeniem lekceważenia dla niemieckiej rzeźby. Pierwsze, dzięki monachijskim czasopismom, jak *Jugend* i *Simplicissimus*, przodującym może wszystkim innym w Europie, dzięki rozwojowi ilustracji książkowej, nadąża szybkim krokiem i prawie że już dopędza Francuzów i Anglików; rzeźba natomiast, mimo szerzącej się dzisiaj w Niemczech manii stawiania pomników, jest bardzo nieudolna i w najlepszym razie znośnie przyzwoita; powyżej przeciętnego poziomu jest tam chyba tylko plastyka o ściśle określonym charakterze architektonicznym (np. Henryka Wadere reliefy, przeznaczone do ozdobienia gmachu Banku drezdeńskiego w Monachium) lub też o skromnych celach figury nagrobkowej albo studziennej. Jedyne znakomite dzieło rzeźbiarskie, które w tym roku można było już i w Berlinie i w Monachium razem oglądać, był „Krocący mężczyzna,“ lecz

jego niepodobna zapisać na rachunek niemieckiej sztuki, bo twórcą jego jest — Auguste Rodin.

\*

\*

\*

Już tylko jedną wystawę mam opisać. Bo przecież nie będę mówił o... „międzynarodowej wystawie psów,“ którą w Brużes najprzód... słyszałem, a potem dla dopełnienia obowiązków turysty i zwiedziłem. A raczej trzeba o niej wspomnieć. Nie dla niej samej, bo prócz tresury psów policyjnych doprawdy nic ciekawego nie pokazywała, ale dla nieznośnej dysharmonii pomiędzy tym hałaśliwym popisem zwierzęcym, a precudnem miastem belgijskiem, przez Jerzego Rodenbacha z zachwytem nazwanem: „Bruges la morte.“ Rozlegające się po całym „Wielkim placu“ — jednym z najpiękniejszych na świecie — szczekanie trzynanych na uwiezi psów było aż zbyt doniosłym głosem protestu, że nie powinno się urządzać wystaw o charakterze dyametralnie sprzecznym z zasadniczym nastrojem miasta.

Zostaje więc na końcu „Wystawa teatralna w Paryżu“ w miesiącach letnich w Luwrze (*aile de Marsan*) otwarta. Że zgodną ona była z charakterem miasta, to pewna: w Paryżu, tej bądź co bądź i dzisiaj jeszcze stolicy kultury całego świata, jest zupełnie na miejscu jakakolwiek wystawa artystyczna, a w siedzibie pierwszej europejskiej sceny nie razi chyba ta „Exposition théatrale.“ Ale jej osobliwy charakter odpowiadał dalej wybornie najwybitniejszym cechom paryskiego świata teatralnego, a zwłaszcza najcenniejszej jego ozdoby, przestawnej „Comédie Française.“ Jak „Dom Molière’a“ i w repertuarze, i w grze aktorskiej, i w zewnątrzem urządzeniu sceny jest przedewszystkiem uosobieniem tradycyi, tak i ta wystawa była pokłonem dla przeszłości, nie drogowskazem przyszłości. Zestawiając monachijskie wrażenia teatralne ze spostrzeżeniami na paryskiej wystawie, dojdziemy bez trudu do wniosku, że gdy niemiecki teatr, nawet ten najkonserwatywniejszy: dworski, szuka nerwowo nowych dróg, paryski stara się przedewszystkiem o dalsze prowadzenie dawniejszych tradycyj. Zarazem chodząc po obszernych salach marsańskiego skrzydła Luwru (nawiasem mówiąc bardzo nielicznie przez cudzo-

ziemców zwiedzanych), widzimy dokładnie, na czym polega i siła i słabość paryskiego teatru. Więc pierwszym momentem siły są sławni, przeważnie zasłużenie sławni, artyści komedii francuskiej. Ich portretów, biustów, nawet karykatur jest tu bez liku; prawda, że, jak w malarskich zbiorach Luwru obrazy, porozrzucane są i one bez ładu i porządku. Ale ułożywszy je sobie składnie w myśli, mamy przed sobą wspaniałą (niekiedy i ze względu na artystyczną wartość portretu) galerię artystów scenicznych francuskich od XVII do XX wieku, od Molière'a do Sary Bernhardt. Przeglądowi tych podobizn towarzyszy, niestety, jedna smutna refleksja: prawda, ma lub niedawno jeszcze miała dzisiejsza komedia francuska takich wielkich artystów, jak Mounet-Sully, Coquelin, panna Bartet i Silvain, ale czy nie były lepszymi czasy odleglejsze (XVIII w.), kiedy żyła Adryanna Lecouvreur, Lekain, lub bliższe (XIX w.) czasy panny Mars i Reichenberg i Rachel? Czy więc ten pierwszy moment siły francuskiego teatru nie podlega procesowi zmniejszania się? Jest na szczęście jeszcze i drugi, na tegorocznej wystawie równie wybitnie przedstawiony. To bogactwo, stylowość i piękność kostyumów komedii francuskiej. Widziałem tam w lecie *Cida* Corneille'a i wyznaję, że bardziej patrzałem, niż słuchałem, a gdym przyszedł do Luwru, to miałem przed sobą dowód, jak ta piękność, stylowość i wspaniałość kostyumów jest wynikiem świadomego dążenia. Szereg długi ubranych w stylu rozmaitych epok lalek i manekinów, całe szafy, zapełnione wzorowymi kolekcjami drobnych nieraz przedmiotów, jak np. buty wszystkich czasów, to w polskim teatromanie wzbudza zaiste bolesną zazdrość, a nawet i znawcę niemieckich teatrów, choćby najzasobniejszych i najstaranniejszych, przejmie podziwem.

Lecz gdzie jest światło, nie może zabraknąć i cienia. O jednostronności repertuaru niepodobna tu oczywiście mówić, bo dajemy nie ocenę paryskiego teatru w ogólności, tylko sprawozdanie z wystawy teatralnej. I na niej jednak widać jedną ważną ujemną stronę francuskiej sceny. To dekoracje teatralne. Wystawione małe reprodukcje i wzory kulis i dekoracyj są niewątpliwie piękne, jako dzieła malarskie, jako kombinacje linii i barw, ale ta ich piękność jest banalną i bez związku z wyższymi celami teatru, który ma dawać nie dzieła kilku sztuk poszczególnych oderwane, lecz syntezę ich ogólną we wszechsztuce. Charakterystycznym jest tutaj zresztą fakt, że podczas, gdy wszędzie niemal uważa się za jedyną, dozwoloną według dzisiejszych pojęć estetycznych, formę widowni: amfiteatr bez bocznych łóż, w Paryżu—o ile wiemy—myśl ta nawet kiełkować jeszcze nie zaczęła.

To są najważniejsze rezultaty Wystawy teatralnej. Dostarcza ona pozatem wiele materyałów do anegdotycznej historii teatru we Francyi i zagranicą, że wspomnimy np. sentymentalną myśl portretu sławnej swego czasu śpiewaczki, pani Malibran-Garcia w roli Desdemony, która trzyma w ręku bukiet kwiatów „camelia, amaranthe, rose, lupus, olea flagrans,“ bo początkowe litery ich nazw składają się na wyraz „Carlo,“ imię narzeczonego artystki. Ciekawszemi jeszcze są widoki teatru dla dzieci, „Théâtre enfantin,“ a zwłaszcza teatrów na wolnem powietrzu, jak np. w Arenie w Béziers. Te ostatnie teatry to specjalność nie francuska wprawdzie, ale ogólnie romańska i południo-europejska. Bardziej na północ surowszy klimat nie dopuszcza naśladownictwa.

D-R JÓZEF FLACH.

# Pragnienia i rzeczywistość.

## I.

„Wielki sezon“ w naszych teatrach rozpoczął się pod dobrą wróżbą: zainteresowano się twórczością dramatyczną dla sceny polskiej. Zainteresowano się z dwóch naraz stron — w dyrekcyi i w prasie, z czego niechaj nikt nie śpieszy się wyprowadzać daleko idących wniosków o przymierzu obu tych teatralnych potencji na wspólnym gruncie literatury i o zgodnem nadal dążeniu ku wyżynom poezyi i sztuki. Zapewne, że na ogłoszeniu konkursu dramatycznego przez dyrekcyę scena zyska prawdopodobnie niejedno dzieło, które zasili może, jeżeli nie wzbogaci, jej repertuar; ale omyliłby się niewątpliwie każdy, ktoby w tem chciał widzieć początek przewagi literatury w naczelnem kierownictwie dramatu i komedyi. Kierownictwo to, wcielone w pochłaniającej wszystko naokoło siebie ambicyi aktora, jest i pozostanie zapewne na długo wyłącznie aktorskiem, zaznaczywszy już wyraźnie swoje specjalne cechy, zarówno w repertuarze, jak w obsadzie ról, jak wreszcie w nieuniknionych na scenie wirtuozowskich popisach wszechwładnego aktorstwa. Konkurs zatem dramatyczny przy takiej dyrektywie jest poprostu aktem skrzącej, zapobiegliwej gospodarki, dbającej o obfity materiał repertuarowy i praktycznie obliczającej procenty od wyłożonego jednorazowo na nagrodę konkursową kapitału. Inny zgoła charakter może mieć konkurs redakcyi „Kuryera Warszawskiego.“ Jako jeden z momentów roku jubileuszowego Juliusza Słowackiego, nabiera ten turniej dostojności, które oddziałać musi i na twórców, powołanych do współzawodnictwa. Podniosłe hasło będzie obowiązywało. Poezya powinna tu mieć głos przemożny. Czy jednak głos ten zabrzmi

potężnie; czy się wogóle odezwie; i jaki będzie wynik dla literatury, dla sceny owego dwukrotnego wezwania dramaturgów do zmierzenia swych sił w twórczych zapasach?

Nikt zapewne nie podjąłby się odpowiedzieć na te pytania jakimś horoskopem. Nie dla tego, że konkurs dyrekcyjny, zatwierdzony podobno przez naczelne władze, nie przyoblekł się do chwili kiedy to piszemy w formę urzędowego oznajmienia i jest dotąd dziennikarską wiadomością; nie dla tego, że „Kuryer Warszawski,“ oprócz cyfry nagrody wyraźnie określonej (1000 rubli), z natury rzeczy, mógł w ogłoszeniu swego konkursu wyrazić tylko ogólnikowe dezyderaty; i nie dla tego także, iż konkursy wogóle, jako forma „popierania twórczości,“ przeżyły się i coraz wątpliwsze dają rezultaty. Ale dla tego, że nigdy może nie było trudniejszym stawianie jakichbądź przypuszczeń co do dróg, jakimi *spiritus*, który, jak wiadomo, *flat ubi vult*, podążać zechce, znalazłszy się na takim, jak współczesna doba, bezdrożu.

Jesteśmy w tej chwili świadkami i współtwórcami rewizyi wszelakich prądów, kierunków, dążeń i ideałów; terażniejszość jest taką gmatwaniną przeżytej przeszłości i wyczekiwanej przyszłości; to, co uchodzi za jutro, tyle ma w sobie wczorajszego; nurt, naprzód niby rwący, tak bywa podobny do powracającej fali, że nikt w tej chwili nie potrafi określić: co się skończyło, co trwa, a co się rozpocznie, i jaka z tego odmętu wynurzy się nowa fizyognomia literatury i sztuki. Mówi się nieustannie o „przewyciężeniu naturalizmu“ przez współczesną twórczość, a przecież w obłądnych jej erotycznych wizjach straszą dotąd strojne w przenicowaną szatę upiory pokonanego niby wroga; rozlegają się nakoło tryumfy uduchownionego symbolu, a wśród nich słychać zgrzytliwy śmiech dziejopisa Rougonów, dopominającego się o ojcostwo symbolizmu; ogłoszono upadłość romantyzmu, a neo-romantyzm dźwiga zbankrutowanych romantycznych indywidualistów na niedostępne wyżyny „nadczołowieka;“ z jednej strony poezya woła wielkim krzykiem o „wyzwolenie“ z więzów „historyzmu,“ z drugiej—odmładza oblicze historii blaskami odnalezionej duszy narodów; tu odzywają się głosy: „poeta niech ucieka od życia, jeżeli nie chce, żeby jego twórczość stała się karykaturą rzeczywistości;“ owdzie znów pokazują mu najpiękniejsze kwiaty poezyi, wykwitłe na gruncie realizmu. Mistycyzm celebrytuje; lecz zstępując do najgłębszych otchłani duszy, brata się z instynktami, przyczajonemi na samem jej dnie, tam, gdzie Huysmans podaje rękę Zoli. Wszędzie próby, szkice, intencje, wybiegające we wszystkich kierunkach, zawracające z drogi, cofające się w tył po przez

przestwory wieków, nie gardząc nawet staremi, ale wypróbowanymi sposobami.

Była chwila, kiedy się to z pewną słuszością nazywało anarchią przedstworzenną; ta chwila minęła, bo minęła nieodłączna od wszelkiej twórczości nieświadomość. Dziś o niej mówić nie można. Niestłuchane wyteżenie życia i towarzyszące mu przyśpieszenie wszelakiej ewolucji mnoży punkty styeczne, ułatwia porównania i zestawienia, zmusza do syntezy i nie potrzeba nawet zbyt długo żyć, aby być świadkiem ironicznych zwrotów, przygotowujących dzisiaj jutrzejszy piedestał dla strąconego wczoraj bożyszcza. Na to się patrzy, to się widzi i takie obudzenie się zmysłu krytycznego jest bodaj najdrażliwszym momentem dla twórczości, której grozi może paroksyzm obezwładniającej samokrytyki. Jak na nią wpłynie ta samokrytyka? Dokąd ją skieruje w chwili, kiedy trudno nawet, wraz z optymistami w rodzaju Doumicea, pocieszać się tem, że każdy prąd literacki, po zupełnem wyczerpaniu, ustępuje nowemu ideałowi — skoro naprawdę nie się nie wyczerpuje, wszystko się powtarza, a nowego ideału dotąd nie widać?

Ostatnie słowo w tem wszystkim wyrzeknie, jak zawsze, talent, który nie zna starych ani nowych ideałów i żywi raczej ukryte sympatyje dla nietzscheańskich „wieczystych nawrotów;“ tylko teatr nie ułatwi mu wypowiedzenia tego rozstrzygającego słowa, bo teatr sam, jako żywy ustrój, wchłaniający w siebie duszę literatury i sztuki, przebywa również ewolucyjne dreszcze. Gdyby tak na seryo brać wmawianą weń chorobę, wypadłoby dojść do wniosku, że dotychczasowy ulubieniec wszechświatowej publiczności stoi wobec hamletowego dylematu: „być, albo nie być;“ wszakże można już dziś usłyszeć, a nawet wyczytać, wyrok: *le théâtre a fait son temps*; ci zaś, którzy jeszcze nie grzebią teatru, snują dalej rozmyślanie królewicza duńskiego

. . . . . „Umrzeć — spać.  
Spać! może marzyć? Ha! tu cała trudność!

Tak! wcielać sny i marzenia — w tem cała trudność dla teatru, który nad duszą swoją rozmyśla; i z tym szkopułem liczyć się też musi poeta, strzegący duszy własnego dzieła. Powiedzmy odrazu, że domniemany i prawdopodobny charakter obu konkursów skieruje zapewne te rozmyślania na odmienne drogi.

Wezwanie dyrekcyi dąży, jak miemam, do wzmocnienia na siłach tego typu teatru, który nie myśli umierać, i nie tylko nie uważa się za nieboszczyka, ale w swoim namiętym kulcie dla życia radby wszystkie codzienne jego obrządki utrwalić w ich

tradycyjnej świątyni. Rzecz dziwna! przyjął nawet spokojnie śmierć, która mogła dlań mieć symboliczne niemal znaczenie, — śmierć Wiktoryna Sardou—jak gdyby i tu wierzył w jakieś „wieczyste nawroty!“

Kto wie zresztą, czy tę wiarę lekceważyć można. Każdy talent — a był to, bądź co bądź, talent niepośledni — kryje w sobie jakiś niezniszczalny pierwiastek, który, zapadłszy niepostrzeżenie w rozkołysaną nieskończonym odpływem i przypływem toń wszech-twórczości, może znów zawitać z powrotną falą, odbitą od nieznanych nam brzegów i przynoszącą z sobą stamtąd barwy i blaski nowych światów. Nic łatwiejszego jak w uproszczonej wielce definicyi zdecydować, że ze śmiercią Wiktoryna Sardou, umarła rozszerzona przezeń i przystosowana do wymagań czasu formuła Scribego. Zapewne, jeżeli w takim określeniu zamykać się ma jedynie pojęcie sztywnego mechanizmu scenicznego i sprawności w dopasowywaniu sprzężyn, zapewniających mechanizmowi dokładność ruchów, to owa formuła umarła jeszcze za życia Wiktoryna Sardou; przyspieszył jej kres sam autor „Toski,“ obniżywszy w ostatnich latach swoją pomysłowość techniczną do poziomu rzemiosła, które oddał na usługi industrializmu literackiego, fabrykując zamiast dramatów scenariusze dla zbankrutowanych teatrów i tworząc zamiast ludzi — role dla podstarzałych aktorek i aktorów. Jeżeli jednak na talent spojrzymy jako na pewną manifestację twórczych energii, niezależną od użytku, jaki z nich czyni ten lub ów „utalentowany,“ jeżeli przypomnimy sobie na przykład, że żaden najprzemysłniejszy nawet industrializm Duma-sa starszego nie zaćmił przedziwnego blasku trylogii „Muszkiet-rów,“ owej „królewskiej epopei,“ jak ją nazwał Zygmunt Krasiń-ski,—to mimowoli przyjdziemy do wniosku, że jednak musiało być w tej formule Wiktoryna Sardou coś więcej, prócz zmodernizowa-nego szablonu Scribego, może jakaś koncepcja życia, o którą nie dbał autor „Szkłanki wody,“ może jakaś troska o psychologię, której nie odczuwał twórca „Więzów.“ I był istotnie taki mo-ment w twórczości Wiktoryna Sardou, kiedy to wszystko wystę-powało w jego repertuarze, zasłaniając sobą akcentowaną już wte-dy a zdyskredytowaną później „robotę“ kunsztmistrza scenicznego.

Co do tej roboty zresztą należałoby się porozumieć. Jest taka, w której chodzi tylko o automatyczny ruch papierowych ma-ryonetek w katarynce, przerabiającej smutek i płacz na wodewi-łową muzykę—to robota Scribego. Znany i inna, wytężoną jedy-nie ku wytwarzaniu i zająbaniu na scenie takich sytuacji życio-nych, w których z pewnych konfliktów, czy też przeciwstawień



uczucie, namiętności, rysów moralnych i społecznych wynurzałyby się charaktery ludzkie. Pozwalam sobie twierdzić, że taką była „robota“ Wiktoryna Sardou w lepszych chwilach jego twórczości i nie waham się zaznaczyć, że miała pewne rozwojowe znaczenie w historii dramatu. Sposoby, używane w tej robocie, mogły być sztuczne; ale tam, gdzie płótno i tektura służą do budowy światów organicznych i nieorganicznych, gdzie czas i przestrzeń kondensują się w kilku godzinach i na kilkudziesięciu łokciach kwadratowych, może być obojętną jedna więcej konwencja. Jeżeli zaś, dzięki takiej konwencji, stanie przedemną człowiek; jeżeli w tem, co wtedy mówi i czyni, słyszę uderzenia jego serca, widzę odbłyski jego duszy—powinno mi być wszystko jedno którędy przyszedł i skąd się wzięło oświetlenie, w którym widzę blaski i cienie na jego fizyognomii. Tylko uprzedzone oczy nie chcą dostrzedz takiego człowieka w „Naszych najserdeczniejszych,“ w „Safandulach,“ w „Mieszczanach na prowincyi,“ w „Pocziwych wieśniakach,“ tylko uprzedzone oczy zamykają się uparcie na fakt niezbity, że robota, polegająca na grupowaniu w pewnym stosunku ludzi, rzeczy i wypadków, tak, aby z tego stosunku wytrysnęła na nizinach iskra życia, rozniecająca na wysokościach płomień poezyi; robota, zwana pospolicie „scenicznością,“ która w gruncie rzeczy jest, podobnie jak optyka, jak akustyka teatralna, perspektywicznym skrótem życia, soczewką, zbierającą jego promienie; taka robota weszła do tego stopnia w ciało i krew dzisiejszej sceny, że nie pogardza nią nawet taki rewolucyjny zwiastun ideowego teatru, jak twórca „Podpór społeczeństwa.“ I wobec tego faktu wydrwiona w łatwych conceptach formuła „wujaszka“ Sarceya: *c'est du théâtre*, staje się niemal charakterystyką całego teatru, wybiegającą daleko poza przypisywane jej ciasne granice, w których usiłowano zamknąć nietylko „robotę,“ ale nawet i materiały użyte do tej roboty.

Jakieś dziwne kojarzenie pojęć zespoliło określenie „sztuki dobrze zrobionej“ z definicyą „sztuki mieszczańskiej.“ Na organizacyjny czynnik w budowie dramatu przeniesiono nienawisć do ustalonego ładu „burżujskiej“ egzystencji; a ten paradoksalny pogląd na życie i na sztukę tak szerokie zatoczył kręgi, że pogardliwy termin „mieszczaństwa“ objął nietylko napiętnowaną nim warstwę społeczną, ale całą dziedzinę myśli, uczucie, idei, całą sferę cierpień i radości, niemal wszystko, co kocha, nienawidzi, walczy, poświęca się, ginie po prostu, bez „nadludzkiej“ pozy, bez prometejskiego gestu, co poezya snuje z dramatycznych pierwiastków życia. Gdy dodamy do tego wyszarzany ogólnik o „melo-

dramacie,“ pod który przytępiona wrażliwość dzisiejsza podciąga każdy prawie wybuchowy konflikt, nabierający w teatrze specjalnej barwy i plastyki; gdy spojrzymy na znużoną fizyognomię doby dzisiejszej, która zdaje się zapominać, że w gruncie rzeczy „Fausta,“ „Intrygę i miłość“ wypadłoby nazwać melodramatem mieszczańskim, że większość sztuk Ibsena powinnyby nosić tę samą etykietę; — zobaczymy do jakich rozmiarów urosła skromna formuła „sceniczności;“ jak się rozszerza, w miarę jej wzrostu, przedział między pojęciami o twórczości, „która robi teatr,“ i o twórczości, „która daje dzieła.“ Kategorie są fałszywe wobec każdego wielkiego talentu, czującego w sobie siłę przetopienia literatury i teatru w artystycznej syntezie; niemniej jednak istnieją i mogą rozstrzygać wśród piszących o wyborze jednego lub drugiego konkursu.

Różniczkowanie będzie ciekawe ze względu na psychologię twórczości polskiego dramaturga. Z historycznych przyczyn, tkwiących zwłaszcza w naszych dziejach porozbiorowych, brak jej przedmiotowego na świat wejrzenia, którem, przed tragedią narodu, ogarniała najchętniej konflikty, łatwe do rozwiązania w wybuchu śmiechu. Stąd niegdyś skłonność temperamentowa do komedii, rozgromiona później katastrofą Ojczyzny; stąd zanik stopniowy tego, co w stosunku do sceny, Dumas młodszy nazywał: *la vision nette du réel*, co w oczach urodzonego dramaturga kształtuje odrazu wszelkie sprawy życiowe w gotową teatralną plastykę, co zatem jest właśnie najgłębiej pojętą scenicznością. Z drugiej strony, te same przyczyny, skazując duszę polską na męczarnie biernego cierpienia, więząc ją przez sto kilkadziesiąt lat w krwawej samokontemplacji i zubożeniu na wszelki czyn, który nie był czynem samoofiarnym, przepoiły ją nawskroś rozlewającym liryzmem, zatapiającym dramat polski nawet w chwili, kiedy słyszymy naokoło o jego odrodzeniu. Zdawałoby się tedy, że aspiracje współczesnego pisarza skwapliwie podążą tam, kędy rojenia marzycieli budują we ingłach nowy, przekształcony teatr; gdzie realizować się mają liryczne wizye, sny i fantazyje poety. Cóż, kiedy i w tej krainie cudownej złydy jakieś błędne ogniki mylą mu co chwila drogę!

Co i jak tworzyć dla takiego teatru, jeżeli Stanisławski, realizując na nim Maeterlincka „Pogoń za ideałem“ (*L'oiseau bleu*), cały nakład natchnionej pracy wyteża ku właniu duszy w martwe, materialne przedmioty i o swoim nadzwyczajnym wysiłku wywołuje sąd: „że jestto czarodziejskie mauzoleum, w którym pochowano sztukę?“ Czy wolno z drugiej strony zwątpić o możliwości ucie-

leśnienia najzuchwalszych wizyj, jeżeli Solski nie cofnął się przed „Nocą Listopadową“ Wyspiańskiego i potrafił Olimp sprowadzić do Belwederu i do Łazienek? Jak sobie tedy ma poczynąć poeta wobec zapowiadanego przez Edwarda Schuré'go w idealnem uniesieniu „teatru duszy,“ skoro drugi kapłan ezoteryzmu, Sar Peladan, jakby w urągliwej odpowiedzi autorowi „Życia mistycznego,“ głosił niedawno: „Pisać dla teatru, to znaczy rysować twarze, kreślić wizerunki cielesne. To znaczy pod słowem widzieć gest i komponować jednocześnie fresk lub obraz... Gdyby chodziło o definicyę teatru, nie znam lepszej nad *naśladowanie życia*... Teatr imituje życie, ma więc punkty kulminacyjne w złudzeniu oka, w złudzeniu ucha, w złudzeniu wyobraźni.“<sup>1)</sup> Jeżeli teraz, wbrew jednemu mistykowi, który w teatrze chce widzieć „inicjatora, prowadzącego człowieka przez gęstwiny życia i mirażę snów ku wyżynom prawd najszczytniejszych,“ poeta usłyszy od Maga okultyzmu, że teatr, to tylko *trompe-l'oeil*, zależny od aktora i że „Edyp-król“ zniknie z repertuaru z chwilą wyjścia do emerytury p. Mounet Sully, — to gdzie dla swej twórczości ma szukać drogowskazu; dokąd uniesie go duch w twórczym wzlocie; gdzie się zatrzyma: czy na nizinach, czy na szczytach; skąd ozwie się doń to zaklęcie, które w dziele pięknem wyzwoli twórczą jego potęgę: czy z rozgwaru rzeczy przemijających, czy z pośród wiecznej ciszy prabytu? Tu nęcą go żywiołowe moce Życia z jego ciągłym „stawaniem się,“ z jego migotliwą falą przemian, płynącą między wybrzeżami czasu i przestrzeni ku niewidzialnym bezkresom; tam milczący Sfinks zagadkowym spojrzeniem obiecuje czuciom i myślom jego rozkosze twórczego z nieskończonością obcowania. Na obie drogi ma w konkursach zachęcających przewodników. Z którym pójdzie; który najgłębiej sięgnie do samej istoty jego twórczości; jak się ona objawi i czem pomnoży duchowy nasz dorobek w teatrze, w literaturze, w poezyi; czy będzie tylko symptomatem uzdrowienia, czy też wróżbą odmłodzenia teatru — to zobaczymy za rok. W tej chwili wypada nam od tego, co ma być, przejść po starym, polskim, rozklekotanym moście, do tego, co jest.

---

<sup>1)</sup> Revue Bleue № 20. *Les arts du théâtre.*

## II.

Jest niewiele—jeżeli życie repertuarowe dramatu i komedyi na naszych scenach zechcemy oceniać ze stanowiska trwałości jego objawów, to jest ustalenia się w repertuarze utworów, które treść jego mają stanowić. Oczywiście, że miarą tej trwałości, tego ustalenia nie zawsze może być powtarzający się mniej lub więcej często afisz. Afisz wtedy nawet, gdy przestał niezmiennością swoją wyrażać zaciekawienie publiczności, bywa bardzo poufnym i nader dyskretnym sprzymierzeńcem zarówno poważnego, jak sprytnego tylko kierownika. Poważny, potrafi nieraz naciskiem powracającego codzień afisza przełamać nieusprawiedliwioną niczem oporność widzów wobec utworu, o którego dodatniej wartości jest silnie przekonany; sprytny, usiłuje osłonić tym uparcie naklejanym strzępem papieru brak własnego w wyborze krytycyzmu i obojętność nieobecnej w teatrze publiczności. Rozstrzygającym więc będzie zawsze stosunek do danej sztuki widzów i krytyki — i pod tym względem rok ubiegły zakończył się zupełnem rozczarowaniem tych, którzy w nowej dyrektywie wielkie pokładali nadzieje. Nie należeliśmy ani na chwilę do rozentuzyazmowanych, więc z całym spokojem zauważyć możemy, że jak zapłał przyszedł za prędko, tak również z narzekaniem na zawód wypadłoby jeszcze poczekać; faktem jednak jest, że z dziewięciu sztuk oryginalnych i tłumaczonych, wystawionych w ciągu minionego kwartału (nie liczymy wznowień), dwie, trzy zaledwie żyją dotychczas życiem normalnem. Postarajmyż się określić pokrótce udział w tym fackie kierownictwa, publiczności i krytyki.

Z taką nicością, jak „Papla“ (*L'indiscret*), francuska, trzyaktowa komedia Edmunda See; z takim szablonem, jak Hartlebena sztuka w 4-ch aktach p. t. „Słowo honoru,“ załatwić się można krótko. Tracąc czas, marnując siły wykonawcze na podobne roboty bez wartości ani korzyści, reżyserya sama sobie wydała świadectwo ubóstwa artystycznego i administracyjnego. Powiedziała jej to krytyka, stwierdziła publiczność; pieniędzy nie zdobyto, afisz znikł, i śladu nie zostało w repertuarze po efemerydach, nad którymi mozolili się niewiedomo po co najwybitniejsi artyści z pośród naszego personelu dramatycznego.

Oczywiście, że w sprawach teatralnych, kiedy nie można żadną miarą zrozumieć, dlaczego się coś stało, wypadnie zawsze zatrzymać się na jednym, decydującym w takich razach czynniku, na motywie aktorskim. Ale gdyby nawet tym motywym miały

być role, dla których wszystko inne postanowiono poświęcić, to i tak ukazanie się w teatrze Roznaitości „Papli“ i „Słowa honoru“ nie tłumaczyłoby się dostatecznie, bo zarówno p. See, jak D. E. Hartleben nie dali postaciom swoich bohaterów tych wyrazistych, z rozmachem kreślonych konturów, w jakich lubuje się zwykle aktor, chętnie wypełniający takie rysy gotową a łatwą plastyką. I ten brak wyrazistości nie jest bynajmniej w obu sztukach wynikiem jakichś zawikłań psychologicznych, jakiegoś nadmiaru odcieni. Jestto poprostu rysunek niepewny, chwiejny, prowadzony u Francuza z lekceważącą dezynwolturą felietonisty, który notuje „impresye;“—u Niemca ciężką ręką filozofa społecznego, który, sam stanąwszy w niezdecydowanym stosunku do własnego tematu, przeniósł swoje wahania na scenę, żyjącą tylko stanowczemi sytuacyami i dwuznaczne światło rzucił na wszystkich w swoim dramacie działaczy. Może „niedyskretny“ Lucyan Rivolet, kompromitujący ustawicznie swoją kochankę, panią Teresę Valentię, wywarłby wrażenie naiwnego młodzika, który tak pochłaniająco kocha i takby rad szczęście swoje głosić światu całemu, że sobie nie umie zdać sprawy z nieznośnej sytuacji, jaką ciągłemi niedyskrecyami wytwarza ubóstwianej kobiecie; możeby mu nawet trochę sympatyj zjednała ostatnia scena, kiedy Teresa Valentin, po walnej rozprawie z mężem, którego po paryżku zapewniła o niezłomnem postanowieniu zachowania małżeńskiego decorum, odprawia z kwitkiem zgnębnego „papelę,“ gdyby nie atmosfera tego salonu, gdzie nic nie wydaje się szczerem; gdzie wszyscy żyją niedyskrecyami, rzucającemi naokoło migotliwe błyski konwencyonalnego fałszu; gdzie jedni o drugich wszystko wiedzą i okłamują się świadomie; gdzie powietrze przeładowane jest nie satyrycznemi gromami, ale bulwarową plotką, ukochanemi w Paryżu *potins*, które, przenosząc się do teatru wprost z kawiarni, inscenizują tam dla rozpróżnionzonej gawiedzi skandaliki mieszczańskie. Nie mieli więc ani pan Brydziński (bohater tytułowy), ani pp. Frenkiel i Śliwicki pola do popisu; jednej pani Siennickiej wdzięczniejsze przypadło zadanie; ale i talent subtelnej artystki nie zdołał uratować tego niedbałego felietonu.

W „Słowie honoru“ mamy do czynienia z tezą, sformułowaną w ten sposób, że ludzie, wprowadzeni dla jej obrony w charakterze argumentów, słowem i czynem sprzeniewierzają się dowodzącemu i wywróciwszy na opak samo założenie, sympatyę i antypatyę widza dla osób działających przesuwają w strony zgoła przez autora nieprzewidziane. Hugo Gotter dopuścił się był niegdyś, jako student, szacherki pieniężnej. Koledzy, nie chcąc

gubić chłopca, pragnąc dać mu możność rehabilitacji w dalszem życiu, załatwili sprawę między sobą i związali się słowem honoru, że ten brud nigdy na jaw nie wyjdzie. Tymczasem zdarza się, że po latach Gotter konkuruje o Elzę Thomann, pannę z rodziny, której przyjacielem był jeden z wybawców Gottera, dawny jego kolega, Jerzy Burkhardt. To małżeństwo nie może przyjść do skutku; Elza nie powinna poślubić człowieka z taką, jak Hugo Gotter, przeszłością. Ale jakże temu przeszkodzić, skoro konkurenta strzeże niemożliwe do przełamania „słowo honoru“? Zbytecznym byłoby zapewniać czytelnika, że Hartleben ani na chwilę nie znajdzie się z tego powodu w kłopotcie i nie mam też zamiaru odsłaniać mu sprężyn, które w końcu za drzwi Gottera wypychają. Nie o to przecież idzie, ani nawet o uroczystą tezę: czy w podobnie nadzwyczajnych wypadkach słowo honoru niezachwianie obowiązywać może, lecz o spełniające się na scenie, wbrew woli autora, przszacowanie wartości motywów moralnych, pod których wpływem walczą z sobą obaj bohaterowie. Gotter jest skończonym szubrawcem, o tem mówi się, jak o czemś, co nieulega żadnej wątpliwości; ale ten szubrawiec w danym razie ma słuszność—co jest zabójczem dla jego przeciwnika, człowieka niewątpliwie najuczciwszego, ale w danym wypadku nie mającego racyi. Bo fatalna opinia o Gotterze nie poparta jest żadnemi faktami, któreby grzech młodzieńczy wskazywały jako pierwszą plamę psującego się coraz głębiej charakteru; natomiast na rzucaną Burkhardowi w twarz przez owego grzesznika insynuację, że walka jego nie jest bezinteresowną, że działa nie jako obrońca honoru, ale poprostu jako zakochany i zazdrosny rywal, Burkhardt protestuje słabo, a w tej słabości czuć odruch sumienia, szepcącego, że nicpoń prawdę powiedział. Tego wszystkiego zapewne nie chciał Hartleben, ale to wszystko tak, a nie inaczej, wygląda. Chociaż więc czystość swoich intencji stwierdził Burkhardt krwawym z Gotterem pojedyńkiem; choć prawdopodobieństwo nagrody, w postaci umiłowanej Izoldy, za przestrzeloną pierś, odsunięto w dalszą przyszłość, przystoniętą ostatniem zapadnięciem kurtyny; to jednak widz wychodzi z wrażeniem, że w tej dość pospolitej awanturze, ważono w jego oczach „piękne“ i „brzydkie“ czyny na jakiejś fałszywej wadze i opuszcza teatr machnąwszy ręką na całą tę filisterską kompanię, która, w gruncie rzeczy, nie go nie obchodzi i której banalność usiłowali zatrzeć, z rzetelnem chwilami powodzeniem, pani Tekla Trapszo, pp. Nowicki i Śliwicki.

Niedługo również zatrzymaliśmy się „U wrót królewskich;“ lecz z innych zgoła powodów trzeba było się tam rozstać z kan-

dydatem filozofii Iwarem Kareno. Kandydatowi nie brakowało zapewne danych na „bohatera myśli“, zdobywał się nawet na psychologiczne gesty heroizmu; ale wyglądał z niemi, jak nudziarz, i chwilami trudno było doprawdy opędnąć się domysłowi, że w zaznajomieniu publiczności z tym nużącym „nosicielem idei“ tkwiła złośliwie utajona intencja reżysera głównego. Nudny literat! (bohater pisze studia filozoficzne) — jakaż to ponętna gratka dla aktora! I nie tylko nudny literat, ale nudna literatura (długi, bardzo długi dramat Skandynawczyka, Knuta Hamsuna) — cóż to za *Schadenfreude* dla aktora-kierownika! Nie chcę przypuszczać, że tego rodzaju pobudka zadecydowała o wystawieniu sztuki „U królewskich wrót“ w każdym razie wyszedł znów na jaw aktorski pogląd: że literatura jest w repertuarze uciążliwym serwitutem, który załatwia się najwygodniej przy pomocy głośnych nazwisk.

Wymownem jest niewątpliwie nazwisko Knuta Hamsuna; niektórzy twierdzą nawet, że jest jednoznacznikiem wielomówno-ści, zwłaszcza na scenie, przy zainstalowanem bez ceremonii laboratoryum analizy powieściowej, wtajemniczającej słuchacza w najdrobniejsze szczegóły doświadczeń psychologicznych. Słuchacza, powtarzam, nie widza — bo widz niewiele ma do zobaczenia w tym dramacie duszy, odgrywającym się na tak nikłym tle życia zewnętrznego, że tak zwaną „treść sztuki“ w kilku słowach zanknąć można. Iwar Kareno wykończył dzieło, w którym, głosząc tęsknotę do absolutnych nad ludzkością rządów nietzscheańskiego imperializmu ducha, miążdży, unicestwia płytki, płaski liberalizm „filistrów inteligencji“ i oburza na siebie te przedewszystkiem sfery „uczone“ swego miasteczka, gdzie się ogniskują wpływy, stanowiące o wydaniu buntowniczej książki. Dzieło może pójść w świat pod tym tylko warunkiem, że autor przeprowadzi w niem odpowiednią „rewizję“, słowem, że zniknie ze stronic książki to właśnie, co duszę jej miało stanowić. Walka o tę duszę, prowadzona rozpaczliwie z zadrażnionym bezwzględna krytyką uniwersyteckim cechem, z gospodarską filozofią ograniczonej żony, wreszcie z czającym się już po kątach niezapłaconej siedziby głodem, jest ideową osią dramatu, którego najtragiczniejszy moment, odrzucenie przez Karena pomocy kolegi, ofiarującego mu pieniądze, uzyskane za zaprzecanie wspólnych między nimi przekonań, — przyspiesza ostateczne katastrofy: utratę przyjaciela, ucieczkę żony z kochankiem, w końcu najście tradujących pachołków.

Dla czego te katastrofy zostawiają widza obojętnym; dla czego nie interesowała go ta walka, podjęta o niezawisłość ducha przez „samotnego człowieka?“ Nasunęła mi się tu pod pióro de-

finicya bohatera, a z nią mimowoli narzuciło się porównanie, nie talentów oczywiście — tego rodzaju łatwe zestawienia niczego zwykle nie dowodzą — ale poprostu tematów. Tak, jest niewątpliwie pewne pokrewieństwo ideowe między „samotnością“ bohaterów Hamsuna i Hauptmanna; obaj należą do typu „nastrojowców“ bezwolnych, którzy za wiele ze swoim „ja“ metafizykują, często z lubością rozkochanych w sobie Narcyzów przegładają się we własnej duszy, a tchórzliwie cofając się przed czynem, padają pokonani w zapasach z wrogiem dla siebie środowiskiem; tylko jakże odmiennie to zmaganie się wygląda u twórcy „Samotnych“ i u autora „Wrót Królewskich!“ Hauptmann dźwiga odrazu na szczyty dramat, bardzo w gruncie rzeczy codzienny, a cały swój wysubtelniony realizm na to tylko zużywa, żeby w dotykalne kształty wcielić dwa szamocące się z sobą światy, z dziwną bezstronnością ujmując każdy w kontury czystej, artystycznie pięknej psychiki. Momenty walki, toczącej się między samymi dodatnimi charakterami (zadanie godne wielkiego poety) utrzymują uwagę widza w nieustannem, ciągle rosnącym napięciu; tragizm na jednakowych wyżynach stawia zwycięzców i zwyciężonych, których narówni ogarnia Arystotelesowe współczucie. Hamsun tymczasem usunął nam z przed oczu tę widomą w „Samotnych“ walkę, która nas przedewszystkiem zainteresować mogła. Jego reprezentant filisterskiego liberalizmu, profesor Gylling, ukazawszy się raz tylko na krótko w samym początku sztuki, uzbroidł potem przeciw rewolucyjnemu duchowi nieobecnego na scenie wydawcę i zredukował tym sposobem ideowy pojedynek do prostego targu na księgarskim rynku... za kulisami; bohatera zaś, wprost od progu „królewskich wrót,“ wiodących do świątyni myśli niepodległej, wprowadził w atmosferę kuchni, gdzie bój o ideę przybiera ton matrymonialnej kłótni, odtworzonej ze Strindbergowską mizogynią. Nieubłagany realista nie oszczędza nam ani jednego ukłócia szpilki tępej kobieciny, nie daruje ani jednego stęknienia bezradnego mężczyzny; zamiast więc krzyków spętanego Prometeusza, słuchać musimy jękliwych skarg udręczonego małżonka, a protest myśli, branej w niewolę przez urzędową filozofię, rozprasa się w nieskończonem gadulstwie na zdawkowe wyrzekania, notowane z drobiazgowym naturalizmem, którego natarczywość w ciągu czterech śmiertelnie rozwlekłych aktów staje się nieznośną i wprost przeraża perspektywą dalszych eksperymentów w pozostałych częściach trylogii. To też sztuka „U królewskich wrót“ nie zachęciła nikogo do śledzenia późniejszych losów Iwara Karo; i nikt nie chciał uwierzyć, żeby poza temi wrotami spotkać



się mógł z prawdziwym, wstrząsającym dramatem. Taki sceptycyzm nie jest bez podstawy, opiera się bowiem na samej naturze twórczości Hamsuna. Autor „Głodu,” pierwszorzędny powieściopisarz, nie ma w sobie nic z tego, co Francuzi zamknęli w określeniu *homme de théâtre*. I tu dopiero wychodzi na jaw cała rozległość tej definicyi, w której jest miejsce nawet na wielki talent Hauptmanna; tu dopiero niedoceniana zazwyczaj „sceniczność” przemawia do nas językiem sztuki, wydobywającej duszę człowieka ze zwartej syntezy jego myśli, uczuć, namiętności z jego zamierzeń i czynów. Przypomnijmy sobie, choćby z niedawnych dobrych przedstawień w teatrze M. Gawalewicza, jak mało, jak niechętnie prawie mówi o sobie bohater „Samotnych,” choć i on pisze także dzieło, które ma stanowić epokę; jak indywidualność jego wyziera nie z rozwlekłych egotycznych wynurzeń, ale ze stosunku do otoczenia, uwydatniającego się stopniowo i coraz wyraziściej w dyalogach, gdzie kombinuje się z rozproszonych rysów przedziwna charakterystyka; przypomnijmy sobie, jak prostemi, prawie codziennymi zwrotami broni wierzeń swoich zakwestyonowane „wczoraj;” z jaką mocą dopomina się o prawo do życia świtające „jutro;” jak nieuzbrojone w siły do walki, ginie mdłe, chwiejne, targane między przeszłością i przyszłością „dzisiaj;” przypomnijmy sobie, jaka w tem wszystkim harmonia, jaka artystyczna miara i powściągliwość, jakie piękno, nie skąpiące nikomu i niczemu swoich poetycznych promieni. A po takim przypomnieniu Hauptmanna, może przyjąć tylko zapomnienie Hamsuna — co się też stało po kilku przedstawieniach „U wrót królewskich,” ze szkodą wprawdzie dla pani Tekli Trapszo i dla pana Brydzińskiego, których grze doskonałej zawdzięczały życie postaci Elizy Kareno i Carstena Jerwena, ale z korzyścią dla p. Knake-Zawadzkiego, który jednostajnością dykcyi, opartej na paru powtarzających się tonach, jeszcze nudniejszym uczynił głównego bohatera i niepotrzebnie zdolności wybitnego aktora w mniej korzystnym przedstawił świetle.

„Aspazyja” Aleksandra Świętochowskiego ukazała się na scenie naszej w specjalnej, jubileuszowej atmosferze; był to wyraz uznania dla czterdziestoletniej pracy pisarza, którego działalność silne piętno wycisnęła na duszy współczesnego mu pokolenia. Nie tu miejsce na rozbiór i ocenę tej działalności; w tej chwili wypada nam tylko wyjaśnić, w jaki sposób odbiła się ona w tworze scenicznym i jaki znalazła oddźwięk w duszy dzisiejszego widza.

Na dramat Świętochowskiego spojrzeć można z dwojakiej odległości i dozna się wtedy takiego wrażenia, jak gdyby się go

śledziło najprzód przez większą, potem przez mniejszą soczewkę lornetki teatralnej; tanta oddala wizję twórcy o tysiące lat, ta zbliża ją do nas tak bezpośrednio, że między sceną i widzem ni knie nawet drobny, ćwierćwiekowy przedział, wyrażający datę narodzin „Aspazyi.“ Tam, w perspektywie dziejowej, spotykamy się z najwytworniejszym towarzystwem ateńskim z czasów Peryklesa, obcujemy z Sofoklesem, Eurypidesem, Protogorasem, Fidyaszem, Anaksagorasem, Peryklosem, Sokratesem, Aspazją, rozprawiającymi w wyszukanim, olśniewającym stylu; tu dochodzą nas echa znanych na współczesnej, społecznej agorze zapasów demokracji z arystokracją, postępowców z zachowawcami, rozlegają się odgłosy haseł, proklamujących „uczłowieczenie“ kobiety. Czy to drugie widzenie szkodzi pierwszemu; czy nie cierpi na tem „dusza grecka,“ o której niewątpliwie marzył Świętochowski, zamierzysz z oddali stuleci wyczarować świat klasyczny?

Odpowiedź na to pytanie wypaść może rozmaicie; rozstrzygnię w niej przedewszystkiem kierunek unysłowości odpowiadających. Nie zbraknie oczywiście takich, którzy w tej odrodzonej po dziesiątkach lat aktualności dopatrzą się tryumfu autora „Aspazyi“ i ogłoszą go pionierem idei, osłoniętej powagą najpotężniejszych duchów starożytności; znajdą się naturalnie i inni, protestujący w imię sztuki przeciw takiemu tendencyjnemu modernizowaniu Hellady. Piszącemu te słowa niechaj wolno będzie nie przyłączać się ani do jednych, ani do drugich i stanąć na uboczu z indywidualnymi wrażeniami.

Owe echa aktualne nie rażą mnie, przyznaję; cofają tylko o jakieś lat czterdzieści w sam rozgwar walki, na którą własnymi patrzyło się oczami. I perspektywa czasu robi swoje, opada pył, osłaniający skłębioną chmurą zmaganie się roznamiętnionych szermierzy; milknie łoskot pękających fajerwerkowo frazesów; w przeczoczach oczyszczonej atmosfery z poza „młodych i starych,“ których młodość i starość określały nie metryki, lecz poglądy na życie i jego zadania, wynurzają się aspiracje, ogarniające rozległe widnokreśli, gdzie ginie bojowa przeciwstawność hasła „my i wy;“ osobiste kontury zapaśników, wykrzywione grymasem chwili przełomowej, rozplývają się gdzieś bez śladu— i z tego wszystkiego pozostaje czysto ideowe wspomnienie nurtowania prądów, które towarzyszyć musi wszelkiemu „stawaniu się“ w dziejach społeczeństw i narodów. Życie, literatura i sztuka odbijały w sobie później wartki bieg tych prądów, strącając gdzieś na dno wszystkie męty, któremi je ówczesna burza umysłów zanieczyściła; wyszlachetniona fizygnomia ścierających się idei na-

biera wyrazu dziwnego spokoju, którym tchnie wszystko co przeszło do historii i co było w tej historii jednym z twórczych czynników; i myśl, wyswobodziwszy się z ciasnoty polemicznego krótkowidztwa, rada szerszym i wyższym lotem wzbija się na wyżyny, dokąd poezya lubi sięgać po twórczą dziejów ducha syntezę. Może dlatego ta uskrzydłona myśl tak chętnie przegląda się w czystej krynicy sztuki; może dlatego, obejmując okiem duszy czary greckiego krajobrazu, przyjaźnie wita posagowe wcielenia swoich ideałów; może dlatego tendencya w dramacie Świętochowskiego ma w sobie niezwykłą jakąś dostojność.

A dusza grecka? Ile razy o niej mowa, prześladowają mnie uparcie oryginalne zapatrywania p. Ludwika Bertranda w studyum jego p. t. *Paysages de Grèce*.<sup>1)</sup> „Nie ludźmy się—pisze sceptyczny pielgrzym, wędrując wśród dzisiejszej natury śladami sztuki starożytnej—nasza Grecya, to Grecya Luwru i British Museum. Parę dziesiątków posągów i płaskorzeźb, trochę malowanych naczyń, nieuniknione figurki z Tanagry, a ponad wszystkim nieśmiertelny fryz Panateneów. Mamy przed sobą Grecyę teatralną, Grecyę z tragedyi lub z opery... Jakże więc tchnąć życie w tę dekoracyę? Jak wywołać na jej tle wizerunek ludzkości pierwotnej, oddalonej, a jednak niezupełnie nam obcej? Opera najłatwiej sobie z tem radzi: muzyka, z natury swojej upraszcza wszystko, zacierając różnice czasów i miejsca. Co innego w tragedyi; tam, bez psychologii ściśle scharakteryzowanej dzieło wyrodnieje w alegoryach i w pustym symbolizmie. Mówią nam, że możemy wskrzesić duszę grecką z dokumentów z pierwszej ręki, że mamy na usługę całą bibliotekę starożytnych pisarzy. Ale któż jest pewnym, że umie wczytać się w tekst i wyczuć tam to, co wyczuwali współcześni? Właśnie trudność wniknięcia w dusze, od których oddziela nas całe nasze wychowanie i warunki naszego życia, czyni prawie niezrozumiałym dramat Eschylosa lub Sofoklesa. Literaci nasi nie znają nawet ludu, który ich otacza i wyrabiają sobie o nim najfałszywsze, najbardziej *literackie* pojęcie; jakże mogliby domyślać się, czem był pierwotny grecki bohater, Achilles, Agamemnon? “

W zwątpieniu p. Bertranda tkwi może sporo prawdy; ostrze jej jednak nie może dotknąć Świętochowskiego, któremu nie o Achillesów lub Agamemnonów, nie o bohaterstwo czynu, lecz o heroizm bojującego ducha chodziło. Do tej walki na arenie

<sup>1)</sup> *Revue des deux mondes*. Sierpień, 1908.

umysłowości greckiej autor „Aspazji“ uzbroił świetnie swoich herosów z własnego, stylowego arsenału; potykają się tam zapasnicy, namaszczeni mądrością starej Hellady, z orężem w rękę, z pod którego ciosów sypią się iskry polemicznej swady Świętochowskiego. I jeżeli ta filozofia Peryklesa, Aspazji, Anaksagorasa, Protogorasa jego argumentami wojuje; jeżeli wskrzeszeni przezeń mędrzy w mowie swego czasu wypowiadają filozofię swego wskrzesiciela; jeżeli odbłyski stylu Świętochowskiego, padające z jednakową siłą na wszystkie postacie, odsłaniają chwilami brak na ich obliczu indywidualnego wyrazu, to przyczynia się tylko do zbliżenia ich ku posagowym kształtom greckiej rzeźby, do utrzymania w całym dziele pogodnego piękna antyku. Może takiej właśnie psychologii utworu zawdzięczała u nas „Aspazja“ udatną stosunkowo realizację. Forma grecka, o ile mogła się wyrazić w dekoracyjności widowiska, była bez zarzutu. Treść, dlatego zapewne, że ją twórca zabarwił nowożytnie, miała sumiennych wykonawców w paniach Marczello-Palińskiej i Lüdowej; w panach: Knake-Zawadzkiem, Rapackim, Kotarbińskim i Bednarczyku.

Wyłączywszy z niniejszych uwag wznowienia, powinienbym tę eliminację rozciągnąć do „Wesela Figara,“ bo przecie bywały takie szczęśliwe czasy, kiedy klasyczna komedia Beaumarchais'go należała do podstawowego repertuaru naszej sceny. Czasy te jednak minęły tak dawno, że nietylko repertuar podstawowy stał się u nas mytem, ale zdażyły wyrosnąć całe pokolenia widzów i aktorów, dla których „Wesele Figara“ jest zupełną nowością. Nie mam w tej chwili zamiaru zastanawiać się nad stosunkiem jednych i drugich do historii literatury; ale trudno mi oprzeć się wrażeniu, wyniesionemu z przedstawienia „Wesela:“ że komedia Beaumarchais'go była widocznie nowością i dla głównego reżysera. Nowością nie teatralną oczywiście i nie sceniczną; jako aktor, znał ją zapewne p. Kamiński z krakowskich reprezentacyj; ale sposób, w jaki arcydzieło Beaumarchais'go grano na scenie warszawskiej pod kierunkiem głównego reżysera, świadczy jak mało, powiedzmy szczerze, jak zupełnie ten kierunek nie liczył się z literacką istotą dzieła. Pomijam styl czasu, koloryt miejsca, wiek XVIII i Hiszpanię, zredukowane do wątpliwych pomysłów malarzkich, do lepiej lub gorzej przystosowanych kombinacyj krawieckich; pomijam absolutny brak niezbędnych wskazówek, bez których Figaro w grze p. Rolanda nie mógł mieć owej zręcznej giętkości wszechobecnego, psutego w pańskich pałacach i mieszczkańskich domostwach faktora; panna Pichorówna w roli Zuzanny potrafiła dać nam tylko jeden więcej okaz nowoczesnej pokojówki,

zamiast sprytnej molierowskiej subretki, uświadomionej w zetknięciu ze stuleciem racjonalizmu; małżonkowie Almaguira, przedstawieni przez p. Pawińską i p. Janusza, wyglądali jak para młodych, dzisiejszych „burżujów,” przebranych w hiszpańskie kostiumy do zwykłej komedii kłamstw matrymonialnych, a Cherubinek, w interpretacji panny Sarnowskiej, był niezgrabnym wyrostkiem bez odrobiny wdzięku. Pomijam to wszystko; co jednak nie da się zgoła wytłómaczyć, to nieświadomość czy też zapomnienie reżyserów, że „Wesele Figara,” jest środkowym ciągiem trylogii, stanowiącym wraz z początkowym ogniwem („Cyrulik Sewilski”) i końcowym obrazem tryptyku („Matka występna”), organicznie zespoloną całość; że zatem bohaterowie „Wesela,” którzy przedtem żyli i potem żyć będą, muszą w duszy nosić psychologiczne ślady i zapowiedzi swojej przeszłości i przyszłości. Otóż nic podobnego nie spotkaliśmy w grze naszych artystów. Niktby się nie domyślił, że ten nerwowy, patetyzujący nawet wśród wesołości Figaro,—to ów balwierz przebiegły, niegdyś tak niewyczerpane pomysły w ułatwianiu hrabiemu schadzek z czarującą Rozyną; niktby nie poznał w tej bezbarwnej, bezmyślnej hrabinie owej ognistej pupilki doktora Bartola, która rozkoszną kokieterią zakochanego dziewczęcia tyle krwi napsuła swemu opiekunowi. A ocieżyły, nieruchawy Almaguira w czemże podobny jest do owego młodzieńca z piekielnym temperamentem, który tak wszystkich na okołota potrafił zawojować? Albo dzisiejszy Don Basilio. Gdzie w tej wodewilowej figurze kryje się owa demoniczna prawie groteskowość zrnory, duszącej Hiszpanię przez tyle wieków? Ci ludzie nie mieli młodości; ci ludzie nie będą mieli starości; przyszli niewiadomo skąd, znikną niewiadomo gdzie; a jeżeli mimo to, przejściu ich przez naszą scenę towarzyszył śmiech nieprzepartej wesołości, to dlatego, że dziś jeszcze można zrozumieć uniesienia współczesnych, kiedy poraz pierwszy zobaczyli tę bachanalię dramatyczną, w której jest wszystko: pamflet i baśń, filozofia i deklamacja, cynizm i wdzięk, bufonada i tkliwość; w której postacie na poły rzeczywiste, na poły fantastyczne: wielcy panowie i lokaje, sędziowie i duenny, labusiowie i gitarzyści, zmieszani w waryackiej maskaradzie, ukazują się w jakimś rozchwianem świetle dogorywającego balu.

Najmniej może przemówiły do publiczności satyryczne akcenty w tyradach Figara—i nam, cośmy tak niedawno widzieli i słyszeli coś innego, trudno pogodzić się z historyzofią, głoszącą, że cyrulik Sewilski w wolnych chwilach od umizgów do Zuzanny przygotowywał wielką rewolucję francuską. Paweł Saint-Victor,

wyznaczając Beaumarchais'mu miejsce w dziejach literatury, czyni go wraz z Diderotem i Sedain'em orędownikiem mieszczaństwa i nie waha się zastosować do wprowadzonej przez nich nowej formuły dramatu znanego aforyzmu Sieyèsa o stanie trzecim. Obecnie to może nie wystarczy i może inne o nasze uszy obiją się pytania i odpowiedzi: „Czem jest dziś stan czwarty w teatrze?— Niczem.— Czem ma być?— Wszystkiem.“ Tylko, że do głoszenia takich haseł nie zdał się już Figaro, golibroda, strofujący swoje stulecie po lokajsku z przedpokojowej ławeczki. Inny też zapewne odezwie się przywódca.

I w tem może tkwi połowa powodzenia sztuki p. Stefana Krzywoszewskiego. O wyborze tematu i momentu, w którym go na scenę wprowadzić wypadło, rozstrzygnęła natura talentu Krzywoszewskiego. „Przywódca“ zjawił się ani za wcześnie, ani za późno; zjawił się w chwili, kiedy jeszcze nie przestał być aktualnością, a już zaczyna oddalać się w perspektywę historyczną; kiedy myśl do refleksyj podnieca, a nie jątrzy już ran serdecznych; kiedy może jeszcze nie pora na głęboki, do trzewiów społecznych sięgający dramat, ale już czas na plastyczną barwną ilustrację. Na charakter ilustracyjny twórczości p. Krzywoszewskiego zwracałem już w „Bibliotece“ uwagę czytelników. Mało kto u nas wśród piszących dla teatru sztuki teatralne potrafi z taką sprawnością ręki wywoływać charakterystycznymi konturami zewnętrzności ludzkiej złudzenia psychologiczne; nie wiele komu uda się nadać tak dotykalnie wyraz sytuacyom, uzmysławiającym w dramatycznym przebiegu spraw życiowych najefektowniejsze napięcia teatralne. Człowiek występuje odrazu z fizyognomią zdecydowaną w rysunku, wyznaczającym mu z góry miejsce w pewnym określonym momencie akcji; kolizya, w którą został wplątany, jest widomą sumą gotowych, niewidzialnych, dokonanych już poza naszym okiem procesów w umysłach, w sercach, w duszach; o żadne „dlaczego?“ troszczyć się nie potrzeba; to nie jest zadaniem tej literatury, która do życia dorabia udatne, zgrabne, niekiedy artystyczne obrazki. Oczywiście, że obrazki o tyle są wymowniejsze, o ile życie samo świeższych, niewyblakłych jeszcze barw im użycza, a pod tym względem, tworząc „Przywódcę“, p. Krzywoszewski nie mógł się chyba uskarżać; były raczej wszelkie powody do obawy, żeby kolory zbyt jaskrawo nie rozłożyły się na ilustracyi. Ale tu właśnie p. Krzywoszewski wykazał w poczuciu miary niewątpliwy instynkt artystyczny.

Może to zresztą była cnota z potrzeby; zupełna bowiem szczerłość w postawieniu tematu z dwóch stron narażała „Przy-

wódcę;“ mógł, jako utwór literacki, podobnie do bohatera w dramacie i w życiu, zginąć od nieswoich i od swoich. Dość mu było o jeden szczebel wyżej wspiąć się w górę ku majakom socjalizmu wującego; dość mu też było o jeden szczebel w dół zstąpić ku nizinom realnych stosunków życiowych. Pan Krzywoszewski starał się przestrzegać złotego środka i trzeba przyznać, że w tej, trudnej bądź co bądź, ekwilibryście potrafił zręcznie utrzymać równowagę.

Przywódcą fabrycznej rzeszy robotniczej jest ideolog, wierzący w ostateczne zwycięstwo proletariatu w walce klasowej. Ta wiara szczerą, podsycana gorączkowym nastrojem chwili, wybuchająca (za kulisami) w gorących przemówieniach, jedna Łomęckiemu przygotowane agitacją tłumy (zawsze za kulisami), dopóki przywódca nie spostrzegł się, że go te same tłumy pchają po pochyłości teroru w otchłań zbrodniczej akcji. Ale opamiętanie przyszło zapóźno, wtedy, gdy zmieniły się role, kiedy przywódcą stał się fanatyzm zbiorowej rozpaczy. Nie czas w takim momencie opierać się; a jeżeli nawet starczy opornemu siły na protest, zbraknie mu życia na wprowadzenie go w czyn. Łomęcki pada martwy. Od jakiej kuli? Trudno zgadnąć w piekielnym zamęcie, gdzie jednocześnie rozhisteryzowany bezrobociem tłum grozi przywódcy brauningami za jego „zdradę“, a do fabryki szturmują wojsko. Obojętny to zresztą szczegół wobec psychologii samej sytuacji, z której jedynym dla przywódcy wyjściem mogła być tylko—śmierć, ilustrująca w obrazie, nie pozbawionym grozy, wynikły za sceną i ujawniony na scenie konflikt społeczny.

Obraz wyrwany z życia mógł być może dźwignąć się ponad życie, na wyżyny ideowe, gdyby dusza bohatera dorosła do tych szczytów. Ale p. Krzywoszewski skurczył ją dobrowolnie, obniżywszy w niej poniekąd motywy zwrotu w poglądach na sprawę robotniczą do poziomu prawie filisterskiego. Reakcja w pojęciach Łomęckiego nie jest rezultatem moralnej ewolucji; źródłem jej—sentyment dla kobiety. Zapewne, że z tego uczucia, uwieńczonego małżeństwem, wykwitnąć może cała etyka, rzucająca światło miłości na wszystkie czyny ludzkie; ale zaimponować tłumom tężyzną charakteru może nie ten, kto dopiero w objęciach kochającej żony poznał, że „burzuje“ mają jednak czego bronić, lecz ten, kto bezinteresowną pracą wyszlachetnionej myśli przewyciężył siebie samego i doszedł do potępienia gwałtu, skądkolwiekby pochodził. Bo inaczej jakąż będzie różnica między rewolucjonistą Łomęckim a filistrem Bruką, który uprawia konserwatyzm, jak p. Jourdan prozę, sam o tem nie wiedząc? Jest wprawdzie jedna—

duży artyzm w wykończeniu tej doskonałej figury urzędnika fabrycznego, napróżno silącego się zrozumieć, dlaczego „rewolucya“ pozbawiła go kawałka chleba i zabiła mu bombą jedenastoletnią ukochaną córeczkę. Ale właśnie w odbłyaskach tego artyzmu jeszcze chwajniejszym wydaje się rysunek „Przywódcy,“ a może nawet zaciera się idea utworu, o ile autor zamierzył wogóle dać w nim coś więcej, prócz ilustracyi i zająć względem tej idei określone stanowisko: po stronie Brukwy lub Łomęckiego. Wobec widza utrudnił p. Krzywoszewskiemu to zadanie p. Frenkiel, jako przedziwny przedstawiciel Brukwy. W grze znakomitego artysty, pełnej prostoty i dyskretnego uczucia, poczciwy a nieszczęśliwy „burżuj“ przysłonił swoją osobą całe otoczenie. Oświetlony łuną socjalistycznego pożaru, niepozorny Brukwa rzuca cień wielki na uwijających się koło niego bohaterów robotniczej tragedyi, a w tym cieniu, jakże nikle wygląda, mimo inteligentną i szczerze odczuta interpretacyę p. Śliwickiego, „przywódca,“ w którego siłę sugestywną trudno nam uwierzyć; jakże mdłą wydaje się jego sielanka miłosna, wypełniająca prawie cały akt, zakończony (za kulisami!) terorystycznym wybuchem. I trzeba było całego wdzięku, całej zniewalającej prostoty pani Tekli Trapszo, jako narzeczonej, a później małżonki przywódcy; trzeba było całej energii i pasyi w grze panny Barszczewskiej, przedstawiającej namiętną strajkową agitatorkę, potajemnie w Łomęckim zakochaną, żeby przystać na zredukowanie, choćby w ciągu paru godzin, krwawego konfliktu społecznego do zatargu miłosno-zazdrosnego dwóch kobiet o jednego mężczyznę. Prawda, że z drobnych przyczyn doniosłe niekiedy wynikają skutki,—i to jest właśnie temat do ilustracyi, której reżyserya wyborną nadała plastykę sceniczną.

Pozostając jeszcze w dziedzinie „ruchów wolnościowych,“ wypadłoby zaznaczyć, jak się one odbiły na scenie w sprawie kobiecej, której ruchliwa fizyognomia kanciastych nabrała rysów w „Wyzwaniu“ p. Bolesława Gorczyńskiego. Nie wyczerpawszy jednak całkowicie materiału repertuarowego z ubiegłych trzech miesięcy,—na co już nie wiele pozostało mi miejsca—zmuszony jestem, ograniczając się tymczasową wzmianką, odłożyć do następnego artykułu ocenę tej sztuki, która zresztą datą przedstawienia (2 stycznia r. b.) wkracza już w ramy przyszedłego sprawozdania. Postawił tedy p. Gorczyński tezę równouprawnienia kobiety w sferze swobód erotycznych, nie wyłączając nawet inicjatywy jej w miłosnym z mężczyzną stosunku; ale dał temu zagadnieniu, prócz czysto fizyologicznego, społeczne podłoże, połączywszy je z kwestyą macierzyństwa, które oczyszczać ma atmosferę, zatruta



zarazkami obłudy moralnej w różnych dwuznacznych, podejrzanych, chwilami wstrętnych formach, jak: sofizmaty etyczne, wyłamywanie się z pod następstw małżeństwa, deprawacja pódziewictwa, a nawet powracające na falach wieków dreszcze lesbijskiego zwyrodnienia. Teza występuje szczerze aż do drastyczności; śmiało aż do zuchwalstwa; bezwzględnie aż do wyzwania i w tem może najslabsza jej strona, że „wyzwanie,“ streszczające temat w tytule, ciska częściej p. Gorczyński, niż jego bohaterka, obarczona całym ciężarem swego rzekomo samoistnego czynu; że życie jest tu nietyle ową katownią, skąd wyjść miała, jak to sobie zapewne dramaturg zamierzył, delikwentka okaleczona, krwią brocząca, ale nieustraszona wobec perspektywy dalszych męczarni, ile raczej usłużnym laborantem, dostarczającym autorowi ze swej pracowni najwyszukańszych kombinacyj do przeprowadzenia w reforcie myślowej z góry założonego eksperymentu. Że doświadczenie powiodło się w oczach widzów,— to nie ulegało wątpliwości na piewsem przedstawieniu sztuki, mimo, a może z powodu właśnie rozpraw, dzielących w międzyaktach publiczność na roznamiętnione obozy. Czy udawać się będzie dalej i co ostatecznie rozstrzygnie o aprobachie lub odporze publiczności,—o tem jeszcze nie jedno wypadnie powiedzieć i może lepiej się stanie, jeżeli krytyka wypowie to wtedy, gdy zamilkną spory, a wywody jej nabiorą w spokoju rzeczowej wagi. Poprzestańmy więc w tej chwili na zaznaczeniu, że „Wyzwanie“ przedstawione było wybornie i że na tle doskonałego zespołu wyróżniła się świetnie grą, pełną delikatnych, subtelných odcieni, pani Przybyłko-Potocka.

Pragnąłbym podobną charakterystyką objąć szczupłe i dobre grono artystów, którzy nas zapoznali z ostatnią komedią Gabrieli Zapolskiej, p. t. „Skiz;“ ale muszę być szczerym i krótkotrwałość tej wytwornej igraszki scenicznej przypisać twardemu dotknięciu rąk, zbyt często mających do czynienia z realistycznym, nawet naturalistycznym materiałem. Może w tem nawyknięciu naszych aktorów jest też trochę winy autorki „Żabusi,“ „Ahaswera,“ „Nieporozumienia,“ „Ich czworga;“ może zbyt łatwo ich przyzwyczaiła do obchodzenia się bez ceremonii z codzienną treścią życiową; dość, że w „Skizie“ tę tylko codzienność wyczuli grający a obojętnymi pozostali na stylową formę utworu, która potrzebowała ostrożnego, delikatnego ujęcia. I stało się, że ta czwórka, złożona z dwóch par małżeńskich, próbujących wśród pługów życiowych wiarolomnego *chassez-croisez*, upoiwszy się perlistym, musującym trunkiem beztroskiego wesela, wypuściła z rąk napełnioną nim czarę, mieniającą się tęczowemi barwami weneckiego szkła.

I z rozbitej czary został im się w rękę tylko lśniący, o złamanych liniach okruh, z którym, coby należało począć, nie dobrze wiedzieli. Weszło to już bowiem w tradycję na naszej scenie, że styl utworu kończy się zawsze na dekoracyi, rekwizytach i strojach. Więc kiedy przyszło dwom rozbawionym mężątkom popisać się z tańcem XVIII wieku w odpowiednich kostiumach, panie Natalia Siennicka i Tekla Trapszo oczarowały wdziękiem wytwornym widzów, którzy jednak, nie szczędząc artystkom oklasków, pragnęli dowiedzieć się, jaki jest istotny związek tego tańca z akcją komedyi, i na to pytanie w grze nie znajdowali odpowiedzi. Miały ją dać wprawdzie portrety prababek (mówiąc nawiasem świeżutko, jakby wczoraj malowane i powieszzone na ścianach równie połyskujących nowością); ale to zakradanie się z kątów staro-podolskiego dworu duszy tańczącego na grobach XVIII stulecia, do dusz jego uśmiechniętych radośnie prawnuczek, wtedy tylko mogło być odczuciem, gdyby cała pajęczynowa przędza intrygi rozsnuwała się leciutko w rozigranych kolorach i błyskach; gdyby dykcya finezyą i subtelnymi zwrotami przypominała rozkoszne *marivaudage*; gdyby w tym geście tanecznym streścił się atawistycznie lekkomyślny sentymentalizm wieku i odbiła się wytworność zabiegów słodko-grzesznej miłości. Tego właśnie nie było; cóż więc dziwnego, że publiczność patrzyła na ową zabawkę małżeńską, jak na zwykły rysunek czworokąta, dzielonego na dwa trójkąty; że nie interesowała się zbyt żywo nawet teorią solidniejszej i sprytniejszej mężatki, o karcie, zapewniającej żonie wygraną w grze matrymonialnej, o mocy przyzwyczajenia u męża, które, jak „skiz“ w taroku, zabija nawet damę atutową przeciwnika; co dziwnego, że przyklasnąwszy rozchwianiu się zdrady małżeńskiej, konkluduje po zapadnięciu zasłony: „wszystko to dobrze—ale skąd im się wzięło tańczyć?“

Rzecz osobliwsza! Na tym samym teatrze, gdzie nie udało się artystom podsłuchać wabnych ech XVIII wieku, odezwały się donośnym krzykiem odgłosy XVII stulecia. Coś w tem jest charakterystycznego. Zdawałoby się prawie, że chaos z przed trzydziestu lat łatwiejszy znajduje oddźwięk w naszym wczorajszym odmiecie, aniżeli elegancki rozkład o cały wiek późniejszy; że anarchia *sans phrase*, jaką przebywaliśmy niedawno, ma jakieś tajemnicze pokrewieństwo z anarchią bez harcapów, którą w „Smoczem gnieździe“ wskrzesił Adolf Nowaczyński.

Niezwykła jest siła tego wskrzeszenia, a ozwały się w niej wszystkie składowe czynniki temperamentu Nowaczyńskiego. Wiemy już, że to temperament satyryka; wiemy też, jak w jego

oświeceniu wygląda satyra, chwytająca z impetem wraźniowca przeciwieństwa między tem, co naokoło widzi, a impresyonistycznymi postulatami historyka, filozofa, socjologa, psychologa i artysty. Kipi w tem wydobywaniu kontrastów gniew zawzięty, wylewający się z furią w stylu naprzemian gwałtownym i zjadliwym, któremu oburzenie podsuwa kojarzenia myśli, metaforyczne kombinacje, często zdumiewające swoją niespodziewaną oryginalnością. Jest to raczej tak zwana przez Niemców *Entrüstungslitteratur*, aniżeli właściwa przedmiotowa satyra; to zaś oburzenie ma jeszcze jedną znamioną cechę, że szuka sobie wszędzie: w filozofii, w literaturze, w sztuce, nie zawsze przebierając, sprzymierzeńców do wszelakiego protestu. Miałem już sposobność zaznaczyć na tem miejscu, jak się to szukanie Nowaczyńskiego wyraziło w różnych mniej lub więcej szczęśliwych „rehabilitacjach;“ w „Smoczem gnieździe“ stosunek autora do dziejów zarysował się szerzej, kąś bowiem patrzenia na „czasy Zygmuntowe“ wykreśliły mu subiektywne koncepcje historyzoficzne i polityczne, z których czerpał na malarską paletę barwy, jaskrawością swoją najposępniejsze. Lubuje się Nowaczyński w takich barwach, ilekroć nienawidzi i potępia; że zaś nienawidzi często, a potępia chętnie, więc go nęcić musiał „świat ciemny, dziki, morderczy... świat bez władzy, bez rządu, bez ładu... świat, w którym cnotliwym być zawsze trudno, a często niepodobna.“ Nęcił go tak nieprzeparcie, że z lekkim sercem pominął zastrzeżenie Władysława Łozińskiego, którego książka „Prawem i lewem“ była mu źródłem natchnienia i który przypomina, iż „poza tymi ludźmi, co się zaciekle pieniali, zajeżdżali zbrojno sąsiadów, srożyli się okrutnie nad słabszymi, rozbijali i zabijali, istniała przecież większość spokojna, poczciwa, szanująca prawa boskie i ludzkie.“ Mogłoby się natomiast wydawać, że co innego autorowi przy tworzeniu „Smoczego gniazda“ przyświecało, że miał raczej w pamięci konkludujące słowa Łozińskiego: „Miarą wysokich przymiotów polskiego społeczeństwa są jego przywary; miarą jego żywotności jest jego anarchia; miarą jego światła są jego cienie;“ możnaby tak mniemać,—gdyby nie bohaterowie, na których obliczach Nowaczyński zdaje się z tych cieniów to światło wydobywać. I tu powraca znów we wzmożonych objawach skłonność studyowania protestu dla protestu, zgłębiania go z równą ciekawością w buncie myśli, jak w rozpasaniu czynu.

Spojrzymy tylko na ów odłam zygmuntowskiej Polski w pierwszej połowie XVII wieku; popatrzmy na to, co się tam dzieje, posłuchajmy tego, co się tam mówi. Z jakim rozmachem, jak pewnemi rysami rzucone jest to tło dziejowe, na którym pry-

wata, swawola, gwałt nabierają zbiorowej jakiejś fizygnomii o rysach tak przerażająco żywych, że się na niej czyta, jak w otwartej księdze wyroczone słowa „Polska nierządem stoi.“ Wyrzeknie je w pewnym decydującym momencie główny działacz dramatu; a tymczasem życie codzienne naokoło niego utwierdza nas w tem, że znajdujemy się tam, gdzie „krew tańsza od wina, człowiek tańszy od konia, gdzie łatwo zabić a trudno nie być zabitym, bo kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go—sąsiad.“ Wszystko to w ruchu żywiołowym narzuca się obrazami o drgającej grozą plastyce; wszystko to: najazdy, odwety, grabieże, podpalania, lochy, katownie, morderstwa, kłębi się epizodycznymi splotami w akcyi, której bezimiennym, symbolicznym bohaterem jest wyuzdana w bezprawiu i bezkarności — szlachta. Nie oszczędzał jej Nowaczyński w konturach i w kolorze; wysilił nawet do tej charakterystyki cały swój tęgi, męski talent. Ale oto stało się przytem coś niespodzianego. Satyryk, który nie znosi szlachty, jako stanu, ma pewne ciekawe słabości do szlachci-ców, jako jednostek.

Bo któż to są ci, którzy zostali wywyższeni ponad ten poziom pospolitych najeźdźców, łupieżców, podpalaczy i morderców. Herburt Jan Szczęsny, wypędzony od Zamojskiego domownik, uczeńnik rokoshu Zebrzydowskiego, rebeliant walczący przeciw Żółkiewskiemu, spiskowiec schwytyany na konszachtach z Gabrielem Batorym i na wieżę osadzony. A drugi? Stadnicki Stanisław, słynny na całą ówczesną Polskę „dyabeł Łańcucki,“ aliant Herburtu w Zebrzydowszczyźnie, wywołaniec, naznaczony piętnem wszelakiej zbrodni, natura zbójcka, podszyta obłudnem kręctwem palestranta, awanturnik, z potworną fantazyą gwałci-cieła, *omnis divini et humani juris contemptor*.

Cóż zatem w dramacie wysunęło obu na naczelne plany? Czy jakaś tragiczna kolizya? Bynajmniej. Zatarg zbrojny Stadnickiego z Opalińskimi wydaje się tu wplątany prawie anegdotycznie; o nadanie mu w dramacie zasadniczego znaczenia tak dalece nie dbał Nowaczyński, że w Opalińskim nie przeciwstawił nawet Stadnickiemu godnego przeciwnika, a Herburt nie figuruje zgoła w tym rozboju. Więc może złudzenia renesansowego demonizmu? I to trudno przypuścić w barbarzyńskiej atmosferze, otaczającej bohaterów. A jednak te figury, wydarte z psychologii wieku targnięciem bezwzględnem, bolesnem, zdają się imponować autorowi. I ten socyal-arystokrata w satyrze kładzie Stadnickiemu w usta wyrazy Nietzscheańskiej pogardy dla „trzodowego głupstwa,“ a później skazanemu przez trybunał lubelski „dyabłu“ każe rzucić w niena-

wistne tłumy Ibsenowski wykrzyknik „ten mocny, który stoi sam;“ wreszcie, parafrazując nad martwym ciałem starosty Zygwulskiego Herbutowe epitafium, wtrąca mu do mowy pogrzebowej słowa „z życia swego poema wolności ulepił.“

Skąd tedy wzięła się ta specjalna perspektywa, w której rosną postacie krwawych wichrzycieli? Można jeszcze jako tako zrozumieć stosunek autora do Herburta, do jego literackich w Dobromilu praktyk, do autora „Herkulesa,“ do wizyonera, celebrującego obrządki stworzonego przez się kultu; ale Stadnicki, ale *patriae parricida, hostis omnium*. jak go inne epitafium charakteryzuje? Byłaby to naprawdę historyzoficzna intencja w zaakcentowaniu tego osobliwego sojuszu: rozigranej w myślowym *veto* inteligencji — z pięścią, protestującą gwałtami przeciw wszelkim hamulcom? I co takie przymierze miałoby właściwie oznaczać, rozważane w czasie: czy charakterystykę danej chwili, czy piętno całych dziejów?

Józef Kotarbiński napisał niedawno, że „Smocze gniazdo“ było na scenie rewelacją zupełnie *nowego* wskrzeszania dziejowej przeszłości. Szkoda, że utalentowany krytyk nie określił bliżej na czemby właściwie ta nowość polegać miała i na jaką stronę się przechyla: czy ku Bernardowi Shawowi, którego śladem w „Bogu wojny“ pomniejsza Napoleona; czy też ku Nietzschemu, za którego sprawą dostrzega w Stadnickim zarodki „nadczłowieka;“ czy wreszcie, jak się wyraża Łoziński, mówiąc o znaczeniu materiałów w swej książce, „rozbiwszy syntezę wielkiej historii w życie, w ruch, w zjawiska, w pierwiastki, w przykłady, dokumenty,“ jednocześnie zebrać ją na nowo próbuje w paru typowych postaciach?

Zdaje mi się, że jeżeli może być mowa o rewelacji to tylko w tym ostatnim kierunku, i że kapitalnym takiego kierunku wyrazem jest nietyle „Smocze gniazdo,“ produkt silnego, ale fermentującego jeszcze talentu — ile „Car Dymitr,“ w którym twórczość Nowaczyńskiego, dojrzawszy zupełnie, zdobyła się na piękne, w szerokim stylu dzieło. Przyjdzie może chwila, kiedy to dzieło zjawia się na naszej scenie; tymczasem zanotujmy, że w „Smoczem gnieździe“ bardzo starannie wystawionem, odznaczyli się wybitnie p. Kotarbiński w roli Stadnickiego, granej z życiem i z dużą plastyką w charakterystyce zewnętrznej i psychologicznej, oraz p. Sliwicki, jako reżyser, na którym dziś opiera się każda praco-witsza i o szerszych ramach inscenizacya.

Kotarbiński i Sliwicki,—literat z różnostronną kulturą i aktor z poczuciem sceny—któż to mówił, że tak trudno w teatrze naszym o kombinację kierowniczą?

# PIŚMIENNICTWO.

WŁADYSŁAW MICKIEWICZ. *Emigracja polska (1860—1890)*. Kraków, 1908.  
Księgarnia Spółki wydawniczej polskiej. 8-o, str. 172.

W dziejach naszego narodu, poczynając od drugiej połowy XVIII-go wieku, emigracye były zjawiskiem niemal stałym, raz po raz się powtarzającym. Jeszcze za istnienia Rzplitej trzykrotnie emigrowano z kraju: po upadku konfederacyi barskiej, po zniweczeniu przez Targowicę Ustawy Majowej, wreszcie po zdobyciu Warszawy w 1794 r. i ostatnim rozbiorze. Wszystkie te trzy emigracye trwały niedługo, wychodźcy wrychle po opuszczeniu ziemi rodzinnej wracali bądź do okrojonej przez rozbiory jeszcze jednak wolnej Rzplitej, bądź też, jak w r. 1807, do Księstwa Warszawskiego, zbudowanego w znacznej części krwią i trudem tułaczy-legionistów.

Inaczej rzecz się ma z następnem, masowem wychodźstwem polskiem po roku 1831. Nie wróciło ono już do kraju, oprócz nielicznych zaledwie jednostek. Poniosło swój ból i skargę do wszystkich niemal stolic Europy. Samo w sobie rozdarte, pełne wzajemnych niechęci i rozdźwięków, uważało siebie, a właściwie każdy z poszczególnych jego odłamów, za reprezentacyę narodu wobec świata, za widomy rząd, dyktujący z poza granic kraju prawa i obowiązki dla rodaków w ojczyźnie pozostałych. Emigracya z r. 1831, skupiająca w sobie najlepsze siły duchowe narodu, nie znalazła wszakże dość mocy na wytworzenie w swem łonie jakiejś poważniejszej koncepcyi czy to politycznej, czy nawet myślowej. Nie zapewniła w sobie skutecznego czucia z krajem, nie posiadała wpływu na politykę mocarstw, w ten czy ów sposób zainteresowanych sprawą polską. Znękanemu społeczeństwu własnemu dała jedynie wspaniałe twory fantazyi i natchnień poetyckich, owia-

ne potężnym żarem uczucia, pełne bolesnych skarg i prometeuszowych wzlotów. Imię Polski uchroniła od zagłady—w literaturze. Społeczne programy i hasła, wytworzone w tak nadmiernej ilości na emigracyi, że dziś prawie niepodobieństwem jest wszystkie je sprecyzować, powstały pod bezpośrednim wpływem istniejących podówczas doktryn zachodnio-europejskich myślicieli i reformatorów i były ich, częstokroć nieudolnym, naśladownictwem. Wprawdzie przez niektórych naszych publicystów, ostatniej doby zwłaszcza, czynione są usiłowania w celu okazania źródła „rodzimego, polskiego socjalizmu“ na emigracyi; tego rodzaju jednak odkrycia nie będą się mogły ostać wobec ścisłej analizy porównawczej.

Nie można winić emigracyi za to, że nie „zbawiła“ kraju, lub choćby nie ulżyła jego doli—taki zarzut byłby absurdem. Należy przykładać sprawiedliwą miarę do wyników jej działalności. Wychodźtwa było złem koniecznem, nie dało się uniknąć. Historia oceni jego poświęcenie, nie jedną kartę zapełni jego bólem, co z najczystszej patriotyzmu wytryskał; zarazem jednak musi odrzucić niezasłużony wawrzyn wielkości, którym zbyt pochopnie wieńczono niezasłużone czoła, z drugiej zaś strony zmasać niejedną potwarczy lub potępieńczy wyrok, ferowany z krańcową nieraz bezwzględnością.

Emigracya z r. 1831 wątpiała z każdym rokiem, przeredzały się jej szeregi, nie doczekawszy upragnionego powrotu do kraju. Składały się na to przeróżne czynniki. Nieopatrzone, zgoła szkodziwe i zbyteczne porwy partyzanckie; bezpłodne, choć w istocie swej wysoce ofiarne przedsięwzięcie Szymona Konarskiego osłabiło nikię wpływy wychodźtwa w kraju; rok 1848, pełen wiosennych nadziei, minął, jak burza majowa, nie przynosząc bardziej realnych korzyści dla Polski—jeszcze jedno złudzenie zostało rozwiane. I znów rok 1860 ożywił przygasłe marzenia resztek emigracyi polistopadowej. Traktat paryski warował pewne drobne ulgi dla Polaków pod berłem rosyjskiem; objawy przebudzenia się kraju przyspieszały puls emigracyjnego życia.

Od tej daty rozpoczyna swą opowieść Władysław Mickiewicz. Jego książka, to raczej pamiętnik, niżeli pragmatyczna historia emigracyi. Zwłaszcza w swej części pierwszej. Autor, występujący na szerszą arenę życia publicznego od r. 1859 jako redaktor genewskiego czasopisma *l'Espérance*, następnie jako współpracownik dziennika *Opinion*, miał możność przyjrzenia się zbliska życiu politycznemu ówczesnej Francyi; a nadto, jako syn genialnego wieszczka, przez świat cały znanego, miał łatwość na-

wiązania stosunków z najwybitniejszymi obrońcami sprawy wolności. Spotyka się z Garibaldim, gen. Klapką, Mazzinin, Herce-nem, Bakuninem. Dom Mickiewiczów zna całą emigracja polska. Gorący patriota, oddany całym sercem sprawie służenia krajowi, bierze czynny udział w pracach komitetów emigracyjnych, powstających jak grzyby po deszczu, pod wpływem gorączkowych wieści z kraju. Zbliżał się rok 1863-ci. Odżyły nanowo czynności organizacyj wychodźczych, zasilanych przez emisaryuszy przybywających z Polski. „Urok emigracji był tak wielki — pisze p. W. M. — że każde stronnictwo w kraju udawało się pokornie o wskazówki, jedni do Czartoryskiego, drudzy do Mierosławskiego. Tułacze uważali się za reprezentację zagraniczną Polski, a Polska miała wysokie o nich wyobrażenie; przypuszczała po pierwszych manifestacjach warszawskich, że wychodźstwo oświeci dalszą jej drogę.“

Dn. 15 lipca 1861 r. zmarł książę Adam Czartoryski, przekazując synowi Władysławowi prowadzenie dalej dzieła, któremu poświęcił trzydzieści lat tułaczego żywota. Ponieważ „kraj wziął na siebie ster sprawy,“ emigracji należało, według brzmienia ostatniej odezwy księcia Adama do współtowarzyszy tułactwa, „tłumaczyć czynności kraju, bronić praw narodowych przed opinią i rządami Europy, oraz zawiązywać i rozwijać te z obcymi państwami stosunki, które Polsce dopomóżdź mogą.“

Najbardziej wpływowym w przeciwnym obozie był nieprzejednany wróg polityki Czartoryskich, generał Mierosławski. W przemówieniach swych, nacechowanych jaskrawą błyskotliwością stylu, przesadną aż do śmieszności napuszystością i tonem rewolucyjnego klubowca, nawoływał do najnieopatrniejszych czynów i najzgubniejszych przedsięwzięć.

Działania obu tych obozów na emigracji podczas powstania styczniowego, szczególnie zaś zabiegi dyplomatyczne Czartoryskiego u dworu francuskiego, angielskiego i innych, przedstawia autor omawianej książki ze strony mniej dotychczas znanej, opierając się zarówno na materyale drukowanym, jak na osobistych wspomnieniach i posiadanych przez siebie rękopisach. Jako uczestnik niefortunnej wyprawy morskiej, organizowanej przez agenta Rządu Narodowego, Józefa Ćwierczakiewicza, w celu wywołania ruchawki na Litwie, opisuje Wł. Mickiewicz losy tego przedsięwzięcia, zwichniętego przez nieudolność i złą wolę niektórych jego kierowników.

Działalność emigracji, trawionej wewnątrzniemi rozterkami, nie wpływała dodatnio na akcyę powstańczą w kraju. Rząd Na-



rodowy nie dawał wyraźnej dyrektywy; powołując do pomocy najsprzeczniesze żywioły, utrudniał akcyę polityczną zarówno jednego jak i drugiego obozu. Reprezentantem Polski za granicą mianował Władysława Czartoryskiego, a jednocześnie ofiarowywał dyktaturę Mierosławskiemu. Takie wybory wyłączały wszelką możność skutecznego działania.

Po bezowocnych paroletnich zabiegach, na samym już schyłku dogorywającego ruchu zbrojnego, książę Władysław Czartoryski usunął się ze stanowiska pełnomocnika Rządu.

Członkowie Rządu Narodowego zginęli, nieudatne próby wskrzeszenia tego rządu zagranicą powtarzały się prawie do wybuchu wojny prusko-francuskiej.

Przegrana wyrzuca na bruki europejskie nowe zastępy tułactwa. Pomocą dla wygnańców zajęły się komitety emigracyjne francuskie i polskie; ofiarność Francyi na rzecz Polaków była wprawdzie o wiele słabszą w latach 1863 — 1865, aniżeli po roku 1831, bądźco bądź jednak złożono paraset tysięcy franków, które rozdano najbardziej potrzebującym.

Myśl powrotu do kraju i nadzieja pomyślnych konjunktur dla Polski nie wygasła wśród emigrantów. Wyglądano cudu, snuto w dalszym ciągu fantastyczne projekty, układano nieziszczalne plany. Wielu wychodźców, znużonych bezowocnemi politycznemi próbami, zamierzało powędrować do Ameryki. W lutym 1865 r. zawiązuje się w Paryżu, za inicjatywą generała Waligórskiego, komitet kolonizacji polskiej w Ameryce środkowej. Atoli projekt „zbiorowego usadowienia się“ i „swobodnego w duchu narodowym rozwijania“ za oceanem nie znalazł posłuchu.

Emigracya nie rezygnuje jeszcze z odegrania roli politycznej. Hotel Lambert zakłada agencyę informacyjną, podobną do głośnej *Agence Havas*, w celu dostarczania prasie europejskiej wiadomości o Polsce.

W okresie 1865—1870 dwa wydarzenia silnie poruszyły całą emigracyę: kongres wszechsłowiański w Moskwie w r. 1867 i w tymże roku zamach na przebywającego podczas wystawy paryskiej cesarza Aleksandra II, dokonany przez Berezowskiego.

Wybucho wojna prusko-francuska, a z nią odżywiają marzenia. Pierwszą myślą emigracyi było utworzenie legionu polskiego. Ksawery Branicki ofiarował ponieść koszty uzbrojenia i umundurowania. Powstaje reprezentacya wychodźstwa na czas wojny. Usługi Polaków zostały jednak odrzucone przez rząd francuski. Dopiero komuna przyjęła do swych szeregów tułaczy polskich. Jarosław Dąbrowski obejmuje naczelne dowództwo, po jego śmier-

ci na barykadach, wysuwa się Walery Wróblewski. Tem okrutniej mszczą się Wersalczycy po wzięciu Paryża. Tajne rozkazy Thiersa zalecały szczególnie srogi obchodzenie się z Polakami, których rozstrzeliwano bez sądu. Dzienniki francuskie z niesłychaną przesadą rozpisywały się o udziale Polaków w komunie, oszczercze ataki zajadłe miotane na emigrację polską musiano odierać w memoryale do Zgromadzenia Narodowego, opatrzonym podpisami najpoważniejszych członków wychodźstwa. Pomału namiętności uspokoiły się, ustały oskarżenia i prześladowania policyjne naszych tułaczy.

W r. 1871 powstaje pod przewodnictwem Władysława Zamoyckiego „Komisya pośrednicząca między krajem i wychodźstwem polskiem we Francyi,“ która proponuje powrót do kraju. Część emigracyi udaje się do Galicyi, większość zostaje we Francyi.

Pokój europejski zakłócony został znów dopiero w 1877 r. Żadnych widoków nie było, aby z wojny mogło wynikać coś pomyślnego dla Polski i tym razem stronnictwa arystokratyczne i demokratyczne odradzały powstanie w kraju, a nawet tworzenie legii polskiej w Turcyi.

Rola polityczna emigracyi była skończona. Przerzedzają się jej szeregi, oprócz garstki niedobitków zostaje parę tylko instytucyj polskich w Paryżu, biblioteka rapperswilska, szkoła bati-gnolska, kilka czasopism.

Wychodźstwo polskie wiele popełniło błędów i zboczeń, jednej wszakże cechy dominującej nad inne nie można mu odmówić—szczerzej, gorącej, ofiarnej miłości ojczyzny.

Książka Mickiewicza, jak to wyżej zaznaczyliśmy, nie jest historią we właściwym znaczeniu. Jest to raczej pamiętnik, osnuty na tle osobistych przeżyć i wspomnień autora; obejmuje nadto jedynie część emigracyi polskiej,—wprawdzie najpoważniejszą pod względem liczebnym i moralnym,—część rzuconą na bruk paryski, rozsianą po całej Francyi; o życiu tułaczy naszych w Anglii, Szwajcaryi, Włoszech, na Wschodzie znajdujemy tu wiadomości niewiele. Niepoślednią natomiast zaletę pracy Mickiewicza stanowi zgromadzenie w niej cennego materiału do dziejów piśmiennictwa emigracyjnego, oraz do historii instytucyj i stowarzyszeń.

Zakreślone z góry szczupłe rozmiary książki nie pozwoliły autorowi na omówienie wszystkich czasopism emigracyjnych, wyszczególnienie drugo i trzeciorzędnych instytucyj oraz na przytoczenie *in extenso* wielu dokumentów. Pan Mickiewicz łaskawie zakomunikował niżej podpisanemu spis czasopism, wydawanych na emigracyi w 1860—1890 r., a o których dla braku miejsca

w pracy swej nie wspominał. Są to wydawnictwa następujące: „Rzemieślnik polski“ wyd. w r. 1869 w Londynie, ukazały się trzy numery; „Bulletin dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego dla zbawienia opuszczonych dusz czyśćcowych“ wyd. od 1869 r. do r. b. w Chapelle-Montligeon; „Przedświt“—Genewa r. 1881—1905; „Walka klas“ — Genewa 1884 — 1888; „La Fédération, organe de la démocratie polonaise et internationale“—Genewa 1869 r., ukazał się tylko prospekt; „Praca“ — Londyn 1873 r., wyszło sześć numerów.

Przyszły historyk wychodźstwa polskiego znajdzie w sumiennem dziele Wł. M. obfite źródło pierwszorzędných informacji, tem większej przytem wartości, że pochodzących od bezpośredniego a wiarogodnego świadka i uczestnika działań emigracyi w okresie 1860—1890 r.

H. MOŚCICKI.

---

FR. BUJAK. *Z dziejów wsi polskiej*. Osobne odbicie ze studyów historycznych, wydanych ku czci prof. Zakrzewskiego. 8-o, str. 27. Kraków, 1908.

Profesor Fr. Bujak dał nowe studjum z dziejów wsi polskiej, a mianowicie, na zasadzie ówczesnych inwentarzy, odtworzył położenie włości zamku oświęcimskiego w początku XVI-go wieku. Treściwa ta praca zawiera cały szereg myśli pierwszorzędnego znaczenia, które stanowią dalszy ciąg idei, opublikowanych już poprzednio przez pana Bujaka, idei, które często stoją w sprzeczności z naszymi dotychczasowymi poglądami.

Zasadnicze znaczenie mają przedewszystkiem dwie hipotezy, rzucone przez naszego uczonego, a mianowicie: 1) iż kolonizacya niemiecka nie zdążyła i nie miała sił przetworzyć z gruntu naszych stosunków wiejskich, że zatem rozpoczynający się w wieku XVI okres gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej nie był czemś nowem, wręcz przeciwnem temu, co było normą w XIV, XV wiekach w całej Polsce, ale tylko kontynuacją, częściej zapewne stopniowem nateżaniem poprzedniego stanu rzeczy, że wreszcie we wzajemnem na siebie oddziaływaniu wieś na prawie polkiem silniej upodobniała do siebie wieś niemiecką, nie zaś odwrotnie; 2) iż kryzys, jaki dosięgnął chłopca polskiego, wyprzedził rozwój folwarków i zwiększenie wywozu zboża.

Pierwsza z tych hipotez jest, jak widzimy, w ścisłym związku z poglądami autora, wyrażonemi w „Studyach nad osadnictwem

Małopolski.“ W tej już kapitalnej pracy d-r Bujak ostrzegał przed zbyt niemiernym przecenianiem ekonomicznego znaczenia kolonizacji niemieckiej. Tak na przykład uchodziło przedtem za pewnik niewzruszony, że uprawa roli przed kolonizacją stała na niesłychanie niskim stopniu kultury, że dopiero „kolonizacja stała się zbawczym słońcem, rozświetlającym pomroki barbarzyństwa, zalegającego ogromne obszary naszej ojczyzny.“ Przed kolonizacją rolnik polski miał nie znać zupełnie żelaznego pługa, lecz orać jedynie mało praktycznym pługiem: dr. Bujakowi udało się wykazać, że radło nie było znów tak bardzo złe, a z drugiej strony, że nie ma żadnych bezpośrednich wskazówek na to, żeby dopiero koloniści niemieccy przywieźli z sobą pług do Polski.“ Pozbawiwszy uprzednio niemieckich kolonistów uroku jedynych naszych nauczycieli rolnictwa, w obecnej pracy ostrzega d-r Bujak przed przecenianiem wpływu kolonizacji na stosunek osadników pana do wsi. Właśnie wsi oświęcimskie w pierwszych latach wieku XVI-go dostarczają dr. Bujakowi bogatego materiału dla dowiedzenia swej tezy. Mianowicie, w ustroju tych wsi uczony badacz zaobserwował cały szereg cech, mogących uchodzić za przeżytki jeszcze grodowego ustroju. Do takich przeżytków należy przedewszystkiem istnienie naówczas w tym zakątku kraju nieokreślonych ściśle roboczn i chłopi muszą robić „quociens mandatur,“ a zatem znajdują się w położeniu, przypominającym dolę naszych średniowiecznych „seril“ „homines illiberi,“ a dodamy od siebie także chłopów ruskich przed wprowadzeniem prawa polskiego, „którzy robili, ile im każa, ponieważ byli na prawie ruskim.“ <sup>1)</sup>

Podobnie za zabytki ustroju grodowego uchodzić mogą powinności, związane ze stróżą grodową i z polowaniem, wreszcie za jedną z najcharakterystyczniejszych cech archaicznych, przechowanych w tym zakątku Polski, uważa d-r Bujak stosowanie do włościan nazwy dziedziców. Zachowanie tych wszystkich cech doprowadza d-ra Bujaka do najzupełniej słusznego wniosku, że lokacja wsi na prawie niemieckim nie oddziaływała na wsi pozostałe na prawie polskim w takim stopniu, jak dotychczas sądzono. A wszakże jeszcze niezapomniany prof. Potkański wyraził zdanie, „że kmieć na prawie polskim był bardzo zbliżony swem stanowiskiem prawnem do kmiecia, osadzonego na rzeczywistym niemieckim prawie, a w każdym razie daleki od dawnego niewolnego chłopca.“ Jak mało kolonizacja na prawie niemieckim wpły-

<sup>1)</sup> Lubomirski: Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku.

wała na położenie wsi na prawie polskiem, świadczą najlepiej stosunki, panujące na Mazowszu jeszcze przez cały wiek szesnasty. Tam właśnie kipiała wprost praca kolonizacyjna, a jednak dziesiątki wsi po dawnemu robi „gdzie i co im każą.“<sup>1)</sup> Pozwolimy sobie jeszcze przytoczyć jeden przykład na poparcie tezy prof. Bujaka o oddziaływaniu wsi polskiej na wsi na prawie niemieckiem: otóż na Podhalu znajdują się wsie Szaflary i Waksmund, których powstanie przypisuje się ludom niemieckim, rozchodzącym się ze Śpiżu<sup>2)</sup> i lokowanym na niemieckiem prawie. W roku 1564 wsi te robią „kiedy im każą,“ pomimo n. b. ci odkupują się od robocizn pieniędzmi. Czyż można objaśnić to zjawisko inaczej, jak oddziaływaniem wsi siedzących na prawie polskiem?

Uzasadniając drugą swą główną hipotezę, zwraca d-r Bujak uwagę na ten szczegół, że w początku wieku szesnastego było w oświęcimskim 44 pustek na 89<sup>3)</sup> gospodarstw zajętych i przychodzi do przekonania, że naówczas dla chłopca polskiego musiały być warunki bardzo ciężkie, skoro zmuszały go do opuszczenia rodzinnego gniazda. Oczywiście pustki oświęcimskie mogły być rezultatem warunków czysto miejscowych; zdarzało się i później jeszcze w wieku XVIII np. na Mazowszu, że całe wsi pustoszały jedynie z tego powodu, że po wytrzebieniu lasów, lotne piaski zasypywały grunta orne i robiły je niemożliwemi do uprawy. Zresztą i sam prof. Bujak uważa swój pogląd za hipotezę, którą zamierza dopiero uzasadnić przy pomocy innych faktów.

Dla dobra polskiej nauki, dla rozwoju dziejów naszego włościanstwa życzymy prof. Bujakowi, by jaknajprędzej dał nam zapowiedzianą pracę.

D-R IGNACY BARANOWSKI.

WIERZBOWSKI T. *Protokóły posiedzeń Towarzystwa do ksiąg elementarnych 1775—1792.* 8-o, str. 118. Warszawa, 1908. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

Profesor Wierzbowski prowadzi od lat kilku wydawnictwo zakreślone na szeroką skalę, które ma objąć materiały, dotyczące się Komisji Edukacyi Narodowej i jej szkół w Koronie. Po ra-

<sup>1)</sup> Rękopis ks. ks. Czartoryskich w Krakowie № 3067.

<sup>2)</sup> Zakrzewski: Dzieje klasztoru Cystersów w Szczyrzecu, str. 54.

<sup>3)</sup> Rękopis Archiwum Skarbowego w Warszawie.

portach generalnych wizytatorów, paru szkół wydziałowych i kilku podwydziałowych, przystąpił teraz wydawca do opublikowania dokumentów, mających donioślejsze jeszcze znaczenie, a mianowicie „Protokółów posiedzeń Towarzystwa do ksiąg elementarnych.“ Powołane do życia 10 lutego 1775 roku, prowadzone umiejętnie przez Ignacego Potockiego i Grzegorza Piramowicza, Towarzystwo do ksiąg elementarnych w czasie swej 17-letniej działalności było jakby duszą całej Komisji Edukacyjnej. Na jego barkach leżało staranie o dostarczenie młodzieży dobrych książek szkolnych, stojących na poziomie współczesnej nauki. Towarzystwo więc na swych posiedzeniach roztrząsa nadesłane sobie projekty zamówionych dzieł, czyta i krytykuje gotowe już prace, dozoruje tłumaczenia książek, ułożonych przez cudzoziemców. Ale na tem nie koniec: na sesjach Towarzystwa układa się instrukcja dla wizytatorów szkół, redaguje się znakomity zbiór ustaw szkolnych. Rzecz można, że wszystko, co było w ówczesnej Polsce najlepszego, najzdolniejszego, brało udział w pracach Towarzystwa do ksiąg elementarnych: w liczbie jej członków błyszczą imiona Albertrandiego, Kołłątaja, Wybickiego, Popławskiego, Zabłockiego, Niemcewicza, Kopczyńskiego, to też każdy protokół z 631 posiedzeń Towarzystwa, to najwymowniejsze świadectwo tego, jak się zapatrywali na naukę i na nauczanie, na jakim stopniu kultury stali naówczas najwykształceńsi i najczynniejsi synowie narodu.

I tak ważny materiał źródłowy był dotąd prawie że niedostępny. Historyk szkoły polskiej, prof. Karbowski, znał protokoły zaledwie z niedokładnych wyciągów, w oryginale czytał je p. St. Krzemiński i zużytkował w r. 1907 w swym odczycie, poświęconym Komisji Edukacyjnej. Teraz, dzięki prof. Wierzbowskiemu, „Protokoły Towarzystwa do ksiąg elementarnych“ stały się dostępnymi ogółowi i niewątpliwie posuną naprzód studia nad dziejami polskiej nauki i polskiego szkolnictwa. Wydane są Protokoły nadzwyczaj starannie i zaopatrzone w doskonały wykaz, jednego tylko czytelnik szuka w nich napróżno, a mianowicie wskazania, jaka instytucja przechowuje rękopis, który posłużył prof. Wierzbowskiemu do jego wydawnictwa. Wobec rozproszenia po archiwach i bibliotekach, jakiemu uległy dokumenty Komisji Edukacyjnej, każdorazowe zaznaczenie, skąd dany materiał pochodzi, będzie z wdzięcznością przyjęte przez czytelników.

I. B.

TADEUSZ GRUŻEWSKI. *Kryzys państwowy Rosyi*. Wydawnictwo: Literatura polityczna № 1. Czcionkami drukarni warszawskiej. Petersburg, 1908 r.

Okres rewolucyi, który tak rozkołysał umysły w całym państwie rosyjskiem, uważać można za skończony. Czas więc rzucić okiem krytycznym wstecz i z możliwą bezstronnością ocenić przełomowe wypadki, względem których rządził się dotychczas przeważnie uczuciem tylko. Czyni to właśnie autor w omawianej tu broszurze.

P. Grużewski nie uważa bynajmniej, jakoby na czas dłuższy zapewniony został spokojny rozwój państwa na podstawie istniejących instytucyj. Przeciwnie: zaznacza, że wszystkie niemal obiektywne przyczyny minionych zaburzeń pozostały w organizmie państwowym, a złamaniu i zniszczeniu uległy tylko siły rewolucyjne, które kryzys poruszył.

Przypisując ten ostatni głównie klęsce zewnętrznej, autor nie ignoruje jednak samodzielnych objawów ruchu opozycyjnego w Rosyi przed wojną. Manifest 26 lutego otwarcie stwierdził istnienie w państwie „smuty.“

Wybuch wojny, budzący patryotyzm rosyjski, narazie nie tylko nie podniecił, lecz nawet przytłumił objawy rewolucyjne. Zabójstwo Plewego pozostało faktem odosobnionym. Dopiero pod wpływem klęski pod Laojanem rząd zdecydował się na ustępstwa. Wzywając naród do wypowiedzenia się, ks. Światopełk Mirski sam właściwie zainaugorował kryzys rewolucyjny. Gdy już opinia dostatecznie była podniecona i wypowiedziała się na zjeździe „ziemców“, dopiero wówczas zdecydował się rząd na jakiś krok i na żądania społeczeństwa dał odpowiedź kategorycznie odmowną w słynnym ukazie z d. 12 (25) grudnia.

Wykazując niemoc i nieudolność rządu, autor jednocześnie charakteryzuje wielką słabość ruchu konstytucyjnego, a za zasadniczą cechę rewolucyi rosyjskiej uważa jej bierność. Krwawy dzień 22 stycznia nie był wcale wybuchem rewolucyjnym, tylko jego podobizną, podobnież cała rewolucya rosyjska była tylko podobizną przewrotu. Świadoma akcja żywiołów, dążących do reformy państwa, przedstawiała się bardzo słabo. Dla nadania sobie pozorów mocy musiały żywioły te rozpętać czynniki anarchiczne, przypominające te, które swego czasu wywołały bunty Stieńki Razina i Pugaczowa. Do poruszenia takich czynników najlepiej się nadawały hasła ekonomiczne i dlatego warstwa średnia w Rosyi przyłączała się do klasowych postulatów partyj skraj-

nych. W środowisku jednak niekulturalnem walka prędko zwyrodniała w zwykłą grabież i rozbój. Gdy doszła do tego, stała się najsilniejszą podporą reakcyi, pozwalając, by biurokracya występowała we wdzięcznej roli wybawicielki społeczeństwa od bandytyzmu i anarchii.

Krok za krokiem śledzi autor przebieg wypadków. Zupełne rozprzężenie machiny państwowej i wywołana przez to beczynność rządu, pozwalają się rozwijać rewolucyi. Z chwilą jednak, gdy rząd zdobył się na stanowczość, prysły wnet pozory potęgi rewolucyjnej, której w istocie ruch rosyjski nie posiadał. Manifest październikowy był punktem kulminacyjnym zwycięstwa rewolucyi, powstanie w Moskwie jej największym czynem. Od chwili stłumienia tego ostatniego, rząd z całą bezwzględnością zaczyna przywracać porządek i ruch rewolucyjny wszędzie gaśnie.

Po tej ocenie kryzysu rosyjskiego przechodzi autor do określenia charakteru i zakresu reformy państwowej, jaką ten sprowadził. Na pytanie, czy Rosya ma konstytucyę, odpowiada p. Grużewski, że Rosya ma tylko Dumę. Innemi słowy konstytucyi jeszcze nie ma, lecz są tylko pewne nowe warunki, z których może się konstytucya rozwinąć.

W rosyjskiej ustawie odnowionego ustroju pozostała nietylko nazwa władzy samowładnej, ale i niektóre realne jej atrybucye. Prawa zasadnicze wyjęte są z pod kompetencyi Dumy. Cała dziedzina wojskowości i marynarki pozostała wyłączną prerogatywą korony. Monarcha poddaje różne miejscowości państwa pod rygor stanu wojennego lub wyjątkowego. Monarcha zawiera traktaty nietylko polityczne, ale i handlowe. Prawa budżetowe Dumy redukują się właściwie do zatwierdzania lub odrzucania nowych pozycyí, stare bowiem są silniej lub słabiej „opancerzone.“ Ministrowie są zupełnie nieodpowiedzialni przed izbą.

Ten fakt ostatni wystarczy już, by Dumy rosyjskiej nie uznać za parlament. Wywody swe potwierdza autor cytatami z dzieła znanego prawnika rosyjskiego, profesora Iwanowskiego. „Dopóki w Rosyi—mówi prof. Iwanowski—nie będzie wprowadzona konstytucyjna odpowiedzialność ministrów, t. j. prawo izb pociągania ich do odpowiedzialności sądowej, dopóty nie można będzie mówić o ustroju konstytucyjnym w rzeczywistem znaczeniu tego słowa.“

Jeżeli ordynacya wyborcza pierwszych dwóch Izb daje się jako tako pogodzić z zasadami konstytucyjnymi, to po reformie z d. 16 czerwca rozchodzi się z niemi wyraźnie. Na znacznej przestrzeni państwa administracya tworzy według swego uznania ku-



rye narodowe, a więc reguluje okręgi wyborcze. Zmiana okręgów wyborczych uważana jest na Zachodzie za zmianę poważną konstytucyi.

Duma rozporządza tylko władzą negatywną i może przeszkodzić wydaniu wszelkiego prawa, które uważa za szkodliwe. Nie posiada jednak mocy prawodawczej do zreformowania wszystkich dziedzin zarządu państwowego. Nie może znieść dawnych praw, na których biurokracya może się opierać w swej dowolności.

Autor wyprowadza stąd ogólny wniosek, że obecna reforma państwowa nie stwarza istotnych warunków do zdrowego i szybkiego rozwoju całego organizmu. Duch biurokratyczny przekroczył ową granicę, która oddzielać miała starą i nową Rosyę. Duma nie oddziaływała na biurokracyę, lecz sama się zbiurokratyzowała i obecnie pokrywa tylko wszystkie błędy rządu biurokratycznego. Żadnej przepaści, oddzielającej nową Rosyę od starej, niema.

Surową jest ta ocena kryzysu rosyjskiego i jego rezultatów, we wszystkich jednak swych wywodach autor opiera się ściśle na faktach.

WACŁAW DUNIN.

---

D-R MICHAŁ WYROSTEK. *Urządzenia polityczne Szwajcaryi* Kraków. Spółka nakładowa „Książka.“ Str. 215 + XXIV.

Książka ta jest popularnym wykładem o ustroju polityczno-prawnym Szwajcaryi.

We wstępie daje autor ogólny rzut oka na dziejowy rozwój urzędzeń politycznych Szwajcaryi, słusznie sądząc, że dla należytego zrozumienia dzisiejszego stanu rzeczy koniecznem jest przedstawienie stopniowego rozwoju podstaw, na których oparł się obecny ustrój. Praca cała podzielona jest na 3 części: w pierwszej jest mowa o urządzeniach politycznych ogólnych państwa związkowego, druga przedstawia w ogólnych zarysach urządzenia polityczne w oddzielnych kantorach, trzecia wreszcie zawiera krótki szkic szkolnictwa w Szwajcaryi, jej wojskowości, oraz rozwoju ruchu socyalistycznego.

Mając na widoku przeciętnego czytelnika i chcąc dać mu możliwie najjaśniejsze i najpełniejsze wyobrażenie o tle, na którym działają dzisiejsze instytucye szwajcarskie, bardzo dobrze czyni

autor, poprzedzając swój wykład ogólnymi danymi o kraju i ludności. Zwięźle i przystępnie określa p. Wyrostek istotę państwa szwajcarskiego, wyjaśniając przytem niezbędne pojęcia naukowe z dziedziny prawa państwowego. Oryginalne cechy ustroju szwajcarskiego występują dość wypukle. W poszczególnych rozdziałach przedstawia autor organizację władzy prawodawczej, wykonawczej i sądowej. Dużo uwagi poświęca prawom politycznym obywateli. Bardzo szczegółowo mówi o prawie *veto*, prawie *referendum* i inicjatywy prawodawczej. Podaje rozwój historyczny tych praw, maluje stan obecny i sposób ich wykonywania, zastanawia się nad ich znaczeniem dla życia politycznego Szwajcaryi. Dalej omawia bardzo szeroko wolnościowe prawa obywateli: równość wobec prawa, wolność handlu i przemysłu, wolność przesiedlania się, wolność wyznań i sumienia, wolność prasy, wolność zgromadzeń i stowarzyszeń, prawo petycji. Inne rozdziały traktują o stosunku kantonów do całego związku, o wzajemnych stosunkach kantonów pomiędzy sobą i o sprawach zewnętrznych.

W części drugiej, znacznie krótszej od pierwszej, stara się autor dać ogólne wyobrażenie o oddzielnych typach w organizacji kantonów. Podkreśla charakter urzędników szwajcarskich, którzy nie stanowią wcale zwartej klasy biurokracyi, lecz ściśle są związani z ludnością i jej interesami. Wskazuje znaczenie gminy szwajcarskiej, cieszącej się szeroką autonomią, nawet pod względem ustawodawstwa, i stanowiącej wskutek tego doskonałą szkołę polityczną dla ludności. Wreszcie zastanawia się dość szczegółowo nad stosunkiem kościoła do państwa, jak się on przedstawia w oddzielnych kantonach. Tu zanadto jaskrawo daje folgę swym osobistym poglądom, a będąc namiętym zwolennikiem oddzielenia kościoła od państwa, nie traktuje sprawy obiektywnie.

Stanowisko autora zaznacza się też i w trzeciej części, gdzie zamiast dać charakterystykę rozmaitych stronnictw w życiu politycznym Szwajcaryi, ogranicza się tylko do jednej partii socjalistycznej, której rozwój zato bardzo szczegółowo przedstawia. Jest stronnym w ocenie ruchu socjalistycznego w Szwajcaryi, przesadzając jego wpływ i znaczenie w sprawach całego państwa. Pewne zabarwienie stronnictwa przebija też i w niektórych uwagach autora w innych częściach książki, np. tam, gdzie mówi o stosunkach narodowościowych w Szwajcaryi. Mimo to, naogół biorąc, książka nie nosi charakteru broszury agitacyjnej.

Ujęcie rzeczy jest jasne. Umiejętnie zostały wskazane strony najważniejsze przedmiotu. Wykład zwięzły i treściwy, a przytem dość popularny. Autor wszędzie zaznajamia najprzód czytelnika

nika z ogólnymi pojęciami prawnymi, poczem przechodzi do odpowiednich instytucyj szwajcarskich.

D-r Wyrostek czerpie swe wiadomości nietylko z książek, lecz studyował urządzenia szwajcarskie na miejscu. Dzięki temu uniknął w pracy swej suchości, wiążąc teorię z życiem że wspomnę tu np. o barwnym opisie zebrań kantonalnych w Glarus i Appenzell, na których autor sam był obecnym.

WACŁAW DUNIN.

La ab idubstony unozoy, jopozony imozozoy imozozoy z zozoy  
zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy  
zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy  
zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy  
zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy  
zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy zozoy

## Kronika miesięczna.

Młodzież a polityka. — Rok Słowackiego. — Zamknięcie „Izraelity.“ — Odezwa Towarzystwa kursów naukowych. — Projekt Instytutu higieny krajowej.

Faktem jaskrawym i dla naszego życia zbiorowego znamienym był dotychczas zbyt żywy udział młodzieży we wszelkich robotach politycznych. Wczesnemu rozpolitykowaniu młodzieży gimnazyalnej i uniwersyteckiej zawdzięczamy też niejeden z charakterystycznych objawów owej *pajdokracji*, która rozmaitemi czasami rwała się do komendy nad społeczeństwem, nie umiejącem wskutek swego bezwładności i apolityczności ani rozwiązać tych przedwczesnych ambicji, ani wyłamać się z pod narzuconej sobie niemal dyktatury.

Złożyły się na to rozmaite przyczyny, naprzód i przede wszystkim jednak ogólne położenie polityczne kraju, długoletni ucisk rusyfikacyjny, wkraczający we wszystkie dziedziny naszego życia i wnoszący do nich w tej lub w innej formie pierwiastki walki politycznej, potem dopiero wszystkie następstwa tego.

Szkoła rosyjska ma na swoim sumieniu także i ten grzech ciężki, że wprowadziła dzieci polskie przedwcześnie w świat polityki, zmuszając je do konspiracyjnej obrony przed zamachami władz na język ojczysty i uczucia narodowe.

Konspiracyja ostatnich lat dwudziestu wieku ubiegłego nie znalazła jeszcze swego historyka, nie możemy też mówić o niej na podstawie danych, oświetlonych krytycznie. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że natrafiając na pewien odpór wśród poważniejszych warstw społeczeństwa, przejętych obawą o byt i wolność osobistą, a mających jeszcze w pamięci bądź własne doświadczenie, wyniesione z lat młodych, bądź smutne tradycje ro-

dzinne—atakowała ona tem silniej młodzież, która pod wpływem uczuć szlachetnych i zrozumiałych, szła w jej objęcia, poświęcając polityce cały swój czas, a nieraz i wszystkie swoje siły.

Sprawy polityczne, z jakimi miały w tym okresie do czynienia władze administracyjne Królestwa Polskiego, były przeważnie sprawami młodzieży.

Poza masowymi aresztowaniami studentów Uniwersytetu warszawskiego w latach 1891 i 1894, we wszystkich niemal sprawach narodowych i socjalistycznych figurowała młodzież w charakterze oskarżonych.

Aresztowanie studenta w okresie studyów, krótszy lub dłuższy pobyt jego w więzieniu, zakończony w niejednym wypadku deportacją w głąb Rosyi lub na Syberyę, stały się tak powszednimi rzeczami, że społeczeństwo przyzwyczało się już do tego i patrzyło na „powinność więzienną“ młodzieży niemal tak, jak patrzy się na powszechną służbę wojskową.

Tak było przez całe lata. Niepodobna przeczyć, że był to „porządek rzeczy“ bardzo oryginalny i w żadnym innem społeczeństwie zachodnio-europejskiem nieznanym; a jeżeli jednak, jak chcą niektórzy, płynęła z tego ta korzyść, że napięcie uczuć narodowych w zetknięciu z tem rosło, to jednak szkody przewyższały znacznie ów pożytek.

Bo oto do czego dochodziliśmy, jako społeczeństwo. Pominając już to, że młodzież nasza niejednokrotnie wykolejała się i traciła możność prawidłowego ukończenia studyów uniwersyteckich—w wieku, który gdzieindziej jest wiekiem najbardziej wytężonej pracy obywatelskiej, mieliśmy przeważnie ludzi wyczerpanych, zmęczonych i zniechęconych do poważnej pracy politycznej i kulturalnej, nadto zaś wnoszących w każdą jej dziedzinę *nałogi konspiracyjne*.

Podkreślamy ostatnie wyrazy, malują one bowiem bardzo wymownie stan rzeczy. Przyzwyczajeni do konspiracyi w okresie gimnazyjalnym i uniwersyteckim, bagatelizowaliśmy zupełnie pracę jawną, wyzyskującą to, co do wyzyskania było, liczącą się z warunkami realnymi i nie zdawaliśmy sobie zupełnie sprawy z tego, że oddając się jednemu, zaniedbujemy całkowicie drugie.

Tak było do dni październikowych 1905 r., kiedy nagle podniosły się śluzi i życie innem uderzyło tętnem.

Gdy zaszła wówczas potrzeba obsadzenia najważniejszych posterunków pracy publicznej wogóle, a politycznej w szczególności, przez ludzi poważnych, wyrobionych i przygotowanych odpowiednio do roli, jakiej wymagał od nich czas, okazało się, że ludzi

tych nie mamy pod dostatkiem, że na każdym kroku brak ich krzyczący, że należy ich dopiero kształcić i wychowywać.

Zywioły, przyzwyczajone do działań konspiracyjnych i tylko na terenach tych działań umiejące się obracać, z chwilą, gdy zaszła potrzeba wystąpienia jawnego na szerszą arenę, uczuły, że tracą grunt pod nogami, że nie są zdolne do udźwignięcia nowych obowiązków, tudzież, że przyjmując je, wnoszą do dziedzin pozytywnej pracy twórczej dawne przyzwyczajenia, których niepodobna było pozbyć się z dziś na jutro.

Jednocześnie społeczeństwo zrozumiało, że warunki zmieniły się o tyle, iż niepodobna steru polityki narodowej zostawić w rękach uczuciowej i rządzącej się odruchami młodzieży, że stan, jaki wytworzył się w okresie poprzednim wskutek wyjątkowych warunków, był stanem anormalnym i że na przyszłość musi być inaczej.

I oto korespondent paryski „Głosu Warszawskiego,” zdając sprawę z ostatniego zjazdu Zjednoczenia stowarzyszeń młodzieży polskiej za granicą, mówi już, co następuje:

„Młodzież czuje się obecnie zwolnioną od obowiązku podejmowania w takich rozmiarach, jak dawniej, różnych prac publicznych i nie pragnie ani zabierać głosu, ani też brać na siebie odpowiedzialności za bieżącą, codzienną politykę i świadomie, jako taka, przez swe stowarzyszenia i związki, *od polityki usunąć się pragnie*, pozostawiając jednostkom zupełną wolność, co do działania w ich własnym imieniu i na ich własną odpowiedzialność.“

Doświadczenia lat ostatnich, jak okazuje się teraz, oddziaływały także i na młodzież w kierunku bardzo pożądanym, otwierając jej oczy na to, że właściwa jej rola i właściwe jej obowiązki są inne. Dlatego zacytowane wyżej poglądy, wypowiedziane na paryskim zjeździe Zjednoczenia, nabierają wagi szczególnej i powinny być uznane za objaw bardzo znamiennego zwrotu w zapatrywaniach społeczeństwa na układ sił politycznych i podział pracy politycznej na przyszłość najbliższą.

Młodzież, jako taka, jest niewątpliwie bardzo ważnym czynnikiem życia publicznego, nie może jednak być ani czynnikiem rozstrzygającym, ani podejmującym na własną rękę jukąkolwiek szerszą działalność polityczną.

Rozglądając się w stosunkach zachodnio-europejskich, stwierdzić możemy, że wszędzie w społeczeństwach o wyższej kulturze, młodzież szkolna i uniwersytecka zajęta jest przedewszystkiem nauką, a dopiero po ukończeniu studyów wstępuje w szranki życia politycznego, wnosząc tam z sobą świeży zasób sił i nowe prądy myśli.

U nas tymczasem było wręcz przeciwnie. Młodzież już na ławie gimnazjalnej rwała się do polityki, na uniwersytecie oddana była w ogromnej swojej większości na usługi partyj i stronnictw, a po ukończeniu studyów traciła całkowicie swój impet polityczny, zaciągając się pod sztandary spokojnego filisterstwa, graniczącego z apatyą i zgnuśnieniem.

Warszawa, która była centrem życia politycznego kraju, potrafiła jeszcze wciągać od czasu do czasu takich młodych filistrów do pracy; prowincya jednak, gdzie na konspiracyę było mniej miejsca, a gdzie otwierały się natomiast przed lekarzem, adwokatem, inżynierem i t. d. pola jawnej pracy obywatelskiej, cierpiała chronicznie na brak ludzi z inicjatywą i z jaką taką zdolnością organizacyjną.

Przyczyna tego jest dość jasna. Przyzwyczajony w okresie życia studenckiego do całego aparatu kółek i zebrań—młody obywatel, pozbawiony tego wszystkiego, czuł się wysadzonym z siodła, a nie miał w sobie tyle sił twórczych, któreby mu ułatwiły torowanie sobie własnej drogi wśród obojętności i bezwładu myślowego współobywateli—raczej więc sam poddawał się usypiającej atmosferze otoczenia.

Pozatem każdy niemal uczuwał w mniejszym lub większym stopniu brak przygotowania do życia praktycznego, zupełną nieznamość stosunków, niemożność oryentowania się w zakresie potrzeb, które mogłyby być zaspokojone w granicach warunków istniejących.

I stała się rzecz na pozór dziwna. Młodzież, która poświęcała się polityce w okresie studyów, w zetknięciu z życiem wykazywała brak *wykształcenia politycznego*. Pochopna do roztrzygania najzawilszych zagadnień społecznych, politycznych i ekonomicznych, zapatrzona w zorze dalekiej przyszłości, gotowa do przebudowania świata na nowych podstawach z dziś na jutro, nie miała należytego pojęcia o takiej komórce samorządu, jak gmina, nie znała obowiązujących ustaw i przepisów, nie umiała wyzyskać ich dla chwili bieżącej, nie wiedziała, na czem się oprzeć i jak protestować przeciw samowoli powiatowych i gubernialnych władz administracyjnych.

Tak było z małymi wyjątkami na całym obszarze Królestwa wśród szerokich warstw obywatelskich, które kształciły się przeważnie na literaturze ulotnej, na nielegalnych broszurach, na wydawnictwach namiętnych i często zaprawnych doktrynerstwem, nieliczącym się z prawdą naukową, a mało natomiast miały do

czynienia z istotną wiedzą, która wymagała czasu i głębszych, poważnych studyów.

I tu właśnie wychodzi na jaw zła strona przedwczesnego politykowania.

Młodzież, która ma aspiracje obywatelskie, która uważa się za przyszłość narodu, która pragnie żyć, działać, tworzyć i przekształcać, powinna przede wszystkim zużytkować swój wiek młody na to, aby się jak najpoważniej do przyszłej roli swojej w społeczeństwie przygotować, aby poznać życie społeczne w całym zakresie jego różnorodnych i złożonych zjawisk, umieć się oryentować wśród kół i sprzężyn wielkiej jego maszyny.

Jest to rzecz niezmiernej wagi, tak bowiem przygotowany obywatel wnosi z sobą do życia nie tylko negację, nie tylko krytykę istniejących urządzeń, ale zarazem plan rozumnego działania na przyszłość, budowania i tworzenia.

Najsłabszą stroną naszych działań politycznych ostatniego trzylecia — i dziś nikt temu przeczyć nie będzie — było to właśnie, że motorem zasadniczym wszystkich naszych akcji była negacja, był protest; brakło nam natomiast sił twórczych, umiejętności niezwłocznego zakładania fundamentów pod nowe życie tam, gdzie tylko zjawiła się możliwość po temu.

Nie myślimy tu nikogo sądzić ani potępiać za to. Tak było, bo warunki, w jakich rozwijało się społeczeństwo, wychowały takich a nie innych obywateli.

Niepodobna jednak nie widzieć złych stron tego, jak niepodobna nie wypowiedzieć życzenia, aby inaczej było na przyszłość. I niewątpliwie będzie inaczej, jeżeli młodzież polska istotnie wytrwa w swoich zamierzeniach, wycofa się z życia politycznego, wyrzeknie się swoich ambicji w tym kierunku, przestanie konspirować na własną rękę, a poświęci się przede wszystkim poważnej pracy naukowej, mającej na celu nie tylko dobre przygotowanie zawodowe, ale nadto wszechstronne wykształcenie w zakresie nauk obywatelskich.

Kraj nasz jest w przededniu samorządu. Samorząd ten nie będzie tem, czem być miał i czem pragnęlibyśmy go widzieć. Tak czy inaczej otworzy on jednak przed pokoleniem dzisiejszem teren nowej, jawnej, legalnej pracy, która nie może być zaniechana. Do pracy tej musi stanąć cały zastęp ludzi, wykształconych nie na agitacyjnej literaturze broszurowej, ale posiadających gruntowne przygotowanie teoretyczne do działalności praktycznej. I takich ludzi powinno dostarczyć społeczeństwu w dostatecznej



ilości dojrzewające obecnie pokolenie, rozumiejące, że treścią polityki narodowej nie jest negacya, ale twórcza praca obywatelska.

\*

\*

\*

Rok bieżący, rok setnej rocznicy urodzin Słowackiego, zasta-  
je nas w warunkach, utrudniających oddanie hołdu pamięci poety  
w zakresie, w jakim to było zamierzone pierwotnie.

Warszawski Komitet jubileuszowy nie istnieje, a z nim ra-  
zem przestała istnieć możliwość jakiegokolwiek szerszej, publicznej  
akcyi, dostrojonej do powagi i wielkości chwili.

Poza inicjatywą prywatną, poza tem, co jednostki będą mo-  
gły uczynić na własną rękę, pozostaje nam jednak do wykonania  
jedno zadanie zbiorowe wagi ogromnej i znaczenia niepospolitego  
dla podniesienia uczuć i ducha w narodzie — to blizkie, istotne  
obcowanie ze Słowackim.

Pisma jego, wskutek rozmaitych przyczyn wewnętrznej i zew-  
nętrznego natury, nie zdobyły sobie jeszcze popularności. Entu-  
zyazm, z jakim mówi się dzisiaj powszechnie o Słowackim, nie  
jest entuzjazmem, wypływającym ze szczerego i głębokiego prze-  
jęcia się puścizną twórczą nieśmiertelnego autora „Kordyana,” to  
raczej moda, która pod fałdami swojego pozornie bogatego płasz-  
cza kryje przerażająco powierzchowną znajomość istotnych dróg,  
którymi chodziła natchniona myśl poety.

Nie można i nie należy taić, że stosunek nasz do Słowackie-  
go nie określił się dotychczas, że nie możemy nadażyć za nim,  
że trudno nam od nizin i bagien naszego życia podnosić się ku  
tym wysokościom, na których duch jego przebywał.

Nie mówiąc już o szerokich kołach czytelnicych, które ży-  
ją i muszą żyć przy ziemi, nawet stosunek krytyki współczesnej  
do Słowackiego pozostawia wiele do życzenia. Nie potrafiła ona  
dotychczas wdążyć się w te głębokie pokłady jaźni artystycznej  
poety, gdzie odbywały się najtajniejsze procesy twórcze; nie zna-  
łała środków, któreby jej ułatwiły wzniesienie się na poziom  
właściwy i wciąż jeszcze trwa w dawnych swoich nałogach, ule-  
ga dawnym przyzwyczajeniom, błądzi po manowcach i nie potrafi  
wyłuskać prawdy, zakłętej w słowo.

Kiedy Szczęsny Feliński, późniejszy arcybiskup warszawski, świadek ostatnich lat życia i jeden z najbliższych Słowackiemu przedzgonnych przyjaciół paryskich, stropiony zawilością *Króla Ducha*, prosił poetę o wyjaśnienie mu niektórych ustępów, otrzymał odpowiedź: „Czytaj prosto, jak dziecko, a zrozumiesz wszystko.“

W tej odpowiedzi tkwi wskazówka i dla krytyki i dla nas wszystkich, którzy pragniemy obcować ze Słowackim.

Czytajmy prosto, jak dzieci...

Niestety, jednak tak właśnie czytać nie potrafimy i oto przychodzi, dla której musimy się dopiero *uczyć czytać*.

A nie przyjdzie nam to łatwo. Życie współczesne wogóle poezji nie sprzyja. Nie mieszkamy w pałacu sztuki, ale w mrowisku drobnych, codziennych trosk, które pochłaniają nas całkowicie, zabierają nam wszystek czas, zatruwają dusze, podcinają skrzydła wyobraźni. Nadto ulegliśmy prądom materialistycznym, które podbiły świat i wystawiły na nim nie po raz pierwszy już w dziejach ludzkości posąg złotego cielca, dookoła którego tańczą tłumy w dzikiej, barbarzyńskiej sarabandzie.

W takich warunkach trudno mówić o skupionem życiu duchowem, o tej nieustannej pracy wewnętrznej, która cechowała Słowackiego, a przez którą musi przejść każdy, kto chce go naprawdę zrozumieć, kto chce się podnieść ku niemu.

A jednak mimo wszystko, jeżeli chcemy spłacić mu kiedykolwiek dług, musimy raz zacząć pracę nad własnem udoskonaleniem.

Rok Słowackiego, rok zbożnego kultu jego pamięci, powinien być tej pracy początkiem.

Niech dzieła jego, które zaledwie w urywkach znane są dotychczas szerokiemu ogółowi, znajdą się w każdym domu polskim, w ręku każdego Polaka, niech nie leżą w bibliotece, zamknięte i niedostępne, ale niech staną się istotnie towarzyszami naszego życia. Sięgajmy po nie w każdej chwili poważniejszego nastroju, w każdym momencie uspokojenia duchowego, kiedy gwar i zamęt życia nie przeszkodzą nam skupić się i zastanowić głębiej, kiedy uczujemy potrzebę ucieczki od świata, a obudzi się w nas pragnienie wykąpania duszy w czystych krynicach.

Czytajmy prosto, jak dzieci... Nic łatwiejszego i zarazem nic bardziej trudnego.

Umysłowość współczesna zdobywa się na wszystko, nie umie tylko zdobyć się na prostotę, na tę gorącą, szczerą wiarę, która płynie z nieskalanej czystości ducha.

Taką czystość posiadał Słowacki w wysokim stopniu, a zdobył ją drogą nieustannego pogłębiania swojego życia wewnętrznego, drogą bezprzykładnego wyrzeczenia się ziemi. Mocą swoich jasnowidzeń twórczych oglądał on życie narodu w jego kolebce, widział nawskroś tę duszę zbiorową, która kształtowała się pod młotem losu, nabierała swoistych, odrębnych cech, walczyła o siebie dla swojej własnej przyszłości i szła drogą, wykreśloną jej przez dzieje, coraz większa, mocniejsza i potężniejsza. Razem z duszą narodu przeżył poeta wszystkie jej tryumfy i wszystkie upadki, a w chwili najcięższej dźwigał jej krzyż i szedł szlakiem Anhellicznym ku gwiazdom nadziei, krzepiąc siebie i innych wiarą w odrodzenie, wiarą w to, że jest posłannikiem tej siły, która ludzi „w aniołów przerabia.“

I siła ta istotnie została po nim. I nie masz nikogo, kto by, obcując ze Słowackim, nie czuł się wzniesionym ponad popolitość dnia, ponad szarzyznę i poziomość zabiegów materyalnych, kto nie poczułby, że tuż, poza granicą naszych zwykłych działań, leżą ogromne włości ducha, nieogarnięte przestrzenią życia, bijącego swojemi falami w Nieskończoność.

\*

\*

\*

Niektóre organy prasy polskiej przypisały wielkie znaczenie zamknięciu *Izraelity*, znanego pisma, służącego oddawna sprawie asymilacji, upatrując w tem upadek i koniec samej idei asymilacyjnej.

Specjalne podkreślanie tego momentu nie wydaje nam się rzeczą słuszną. Idea asymilacji, jako taka, oddawna już nie stała u nas silnie, pomimo, że *Izraelita* wychodził i miał garść życzliwych sobie czytelników.

Powolne podcinanie jej zrębów zaczęło się mniej więcej z chwilą, gdy do Królestwa, a zwłaszcza do Warszawy, napłynęły masy Żydów z Litwy i z Rosyi. Ci nowi obywatele wnieśli z sobą odrazu ferment do stosunków polsko-żydowskich i wpłynęli na przekształcenie się tych stosunków w duchu, asymilacji nie sprzyjającym. Wpływ przybyszów na Żydów polskich nie był dodatni pod żadnym względem, a dla polskich interesów narodowych okazał się niebawem wprost szkodliwym, przybysze bowiem określili się wkrótce zupełnie wyraźnie, jako element rusyfikacyjny, ciężą-

cy bardzo wyraźnie ku wschodowi, z którym wiązały go interesy handlowe, związki rodzinne i tradycje dnia wczorajszego.

Spółeczeństwo polskie, dla Żydów miejscowych, oddawna w Królestwie zamieszkałych, przychylnie, z konieczności musiało zająć stanowisko odmienne wobec Żydów litewskich i rosyjskich, posługujących się na wyższych szczeblach kultury językiem rosyjskim w mowie i na piśmie.

Było to zupełnie zrozumiałe i znalazło całkowitą sankcję ze strony tych sfer żydowskich, które miały kulturę polską i ceniły swój związek z ziemią polską. Już wówczas jednak obie strony rozumiały, że sprawa asymilacji, postawiona dość mocno w okresie przed i popowstaniowym, zachwiała się poważnie i wytrącona została z normalnej swojej kolei.

Wkrótce jednak zjawily się nowe czynniki, które musiały podać zapatrywania na asymilację jeszcze gruntowniejszej rewizji.

Zjawił się ruch syonistyczny, pod którego wpływem wśród Żydów poczęła dojrzewać zwolna idea narodowa. Uważając dotychczas religię za łącznik zasadniczy pomiędzy sobą, Żydzi mogli dowolnie określać swoją narodowość, mogli być równie dobrze Żydami polskimi i rosyjskimi, jak francuskimi, niemieckimi i węgierskimi. Z chwilą jednak, gdy zaczęli się cementować na podstawach narodowych, gdy doszli do przekonania, że mimo wszystkich kolei losu, mimo tysiącoletniego tułactwa, braku właściwej ojczyzny i utraty języka, nie przestali być narodem — wszystko uległo zmianie radykalnej. Musiał powstać i rozkrzewić się nacyonalizm żydowski, przybierający coraz ostrzejsze formy zarówno u syonistów, jak i u terytoryalistów.

Nacyonalizm ten, początkowo nieśmiały i żyjący nierealnymi aspiracyami na daleką przyszłość, zaostrzył i wzmocnił ruch rewolucyjny lat ostatnich. Biorąc w tym ruchu żywy udział, Żydzi wystawiali jednocześnie coraz dalej idące postulaty, coraz silniej zaznaczali swoją odrębność, coraz wyraźniej przeciwstawiali się interesom polskim.

Sprawa asymilacji była właściwie już wówczas zakończona. To, co mogło być asymilowane, zostało już oddawna przez społeczeństwo polskie wchłonięte, a więc pewna część inteligencji żydowskiej, wychowanej po polsku i karmionej szlachetnymi tradycjami. Wszystko jednak, co tej asymilacji uniknęło, było już dla niej niedostępne w nowych, tworzących się warunkach.

Można też powiedzieć, że *Izraelita* na długo jeszcze przed zamknięciem odśpiewał swoją pieśń łabędział, a chociaż trwał na posterunku, to jednak żadnej roli odgrywać już nie mógł. Teorya

została teorią, a życie przeszło ponad nią i nowych dla siebie zaczęło szukać form.

Stały naprzeciw siebie dwa *narody*, z których jeden czuł się odwiecznym gospodarzem na tej ziemi, drugi zaczął sobie rościć pretensje do podziału z nim tych praw. Takie postawienie sprawy uwolniło społeczeństwo polskie od wszelkiego sentymentu dla podkreślających swoją odrębność narodową Żydów.

„Polacy wyznania mojżeszowego“ zniknęli też z widowni i tylko bardzo naiwni marzyciele mogli jeszcze na seryo o nich myśleć. Natomiast coraz głośniej dawali o sobie znać Żydzi nacjonalisci, rozwijający coraz jaskrawsze sztandary, na których w chwili największego napięcia nadziei nie zabrakło nawet takiego hasła, jak uznanie *żargonu za drugi język krajowy*.

Nic dziwnego, że pod wpływem tych wypadków kwestya żydowska weszła u nas na drogi zupełnie inne, zaogniła się i nabrała cech politycznych.

Z tej fazy zaostrzenia nie wyszła ona dotąd. Przeciwnie, każdy dzień zdaje się wnosić do niej nowe fermenty.

Ruch syoński i ruch nacjonalistyczny opanował całkowicie masy żydowskie przy pomocy dzienników żargonowych, które zdobyły sobie szeroki wpływ, wychodząc w takiej ilości egzemplarzy, jakiej nie osiągnęła jeszcze nigdy prasa polska.

Dla kogoż więc miał istnieć *Izraelita*? Nie czytywały go warstwy inteligentne, które szukały pokarmu dla siebie i orientacyi zupełnie gdzieindziej. Grupowała się dokoła niego tylko nieliczna publiczność polska, pochodzenia żydowskiego, i ta nie mogła go dostatecznie podtrzymać.

A jednak pismo polskie, poświęcone sprawom żydowskim, było i jest potrzebne. Sądźmy bowiem, że niezależnie od tego, czy przed nami jest porozumienie, oparte na trwałych podstawach, czy przeciwieństwo dróg i celów, zapowiadające się na długo i rodzące coraz to nowe sprzeczności interesów—obie strony powinny więcej wiedzieć o sobie.

Prasa żargonowa wie o prasie polskiej wszystko. Czyta ją i zwalcza. Prasa natomiast polska, patrząc na ten olbrzymi ruch publicystyczny żydowski, jaki rozwinął się w ostatnich czasach, nie zdaje sobie nawet dobrze sprawy z tego, dokąd ten ruch zmierza.

Wobec tego dla społeczeństwa polskiego jest wprost konieczną rzeczą posiadanie takiego organu polsko-żydowskiego, któryby wziął na siebie rolę informatora.

\*

\*

\*

Towarzystwo kursów naukowych zwróciło się w ostatnich czasach do społeczeństwa z odezwą, w której prosi o poparcie dla instytucji, liczącej obecnie około 1,200 słuchaczy i słuchaczek, przybyłych z rozmaitych stron kraju w celu uzupełnienia swego wykształcenia.

Wnoszona przez słuchaczy opłata—mówi odezwa—wystarcza zaledwie na bardzo skromne wynagrodzenie wykładających, których obecnie na wszystkich wydziałach jest 58, inne zaś wydatki, jak utrzymanie kancelaryi, wynajem odpowiednich lokali, urządzenie i utrzymanie bibliotek i pracowni naukowych pokrywane są ze składek członków Towarzystwa, jak dotąd bardzo niedostatecznych.

Wobec wielkich i coraz bardziej rosnących potrzeb z tej strony, dalszy rozwój, a nawet samo istnienie kursów naukowych zależne jest w zupełności od poparcia, jakiego im zechce udzielić społeczeństwo polskie.

Kursy naukowe z jednej strony gromadzą z całego kraju młodzież, pragnącą kształcić się w języku ojczystym, a nie posiadającą środków na wyjazd do wyższych szkół polskich w Galicyi, oraz umożliwiają kształcenie się tym osobom, dla których wskutek wieku lub innych okoliczności wszystkie zakłady naukowe są i będą zamknięte, z drugiej zaś strony dają możność publicznego wypowiedzania się przedstawicielom myśli naukowej polskiej, którzy — przy zmianie warunków — mogliby stanowić gotowe kadry profesorskie dla polskiego uniwersytetu i politechniki w Warszawie.

Należy też oczekiwać, że jeżeli w chwilach zamętu i rozpolitykowania, kiedy zawiązywało się Towarzystwo i rozpoczynało działalność swoją, liczba jego członków nie mogła odpowiedzieć potrzebom instytucji, to obecnie, gdy prace kulturalne z konieczności wysunęły się na czoło zadań bieżących, zainteresowanie ogółu sprawami Towarzystwa wzrośnie, a liczba jego członków powiększy się znacznie, grupując dookoła instytucji wszystkich ludzi, zainteresowanych poważniej sprawami nauki, niezależnie od ich przekonań politycznych i różnic w zapatrywaniach.

Opłakane położenie nauki w głównym ośrodku polskiego życia umysłowego, w Warszawie, jest aż nadto dobrze znane. Wiemy i odczuwamy to wszyscy, że przestaliśmy iść naprzód, że zaczyna grozić nam coraz poważniej cofanie się, że stoimy już poza obrębem ruchu zachodnio-europejskiego w kierunku zdobywania nowych prawd. Posiłkujemy się jeszcze w rozmaitych dziedzinach dorobkiem obcych, ale sami wytwarzamy niezmiernie mało, prawie nic.

I dlatego musimy pilnie baczyć i wyteńczyć siły w celu podtrzymania usiłowań, jakie zostały podjęte dla stworzenia placówek naukowych, tak zresztą nielicznych i tak słabo zaopatrzonych w środki do walki. Jesteśmy pozostawieni sami sobie i sami dbać musimy o to, abyśmy, zdając przed przyszłością rachunek, otrzymali od niej przynajmniej potwierdzenie tego, że uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, że nie zaniedbaliśmy żadnego środka ratunkowego, żadnego kroku, zmierzającego do obrony zagrożonych naszych stanowisk cywilizacyjnych, zdobytych drogą wielowiekowego rozwoju i najwspanialszych tradycji kulturalnych narodu.

\*

\*

\*

Troskliwy zawsze o wszystko, co dotyczy postępu naszego na polu higieny, dr. Józef Polak, poruszył świeżo sprawę założenia w Warszawie instytucji, mogącej mieć doniosłe znaczenie dla rozwoju higieny publicznej. Taką instytucją powinien być *Instytut higieny krajowej*.

Instytut taki, zdaniem projektodawcy, powinien się składać z trzech oddziałów:

1-o. Z pracowni higienicznej, w której dokonywać się winny rozbiory wody dla miast, gmin, zakładów dobroczynnych i t. d.; rozbiory produktów spożywczych, badania bakteriologiczno-epidemiologiczne, badania, popierające przemysł w zakresie zdrowotności i t. p.

2-o. Z muzeum higienicznego, w którym znaleźć się muszą modele wszystkich urządzeń zdrowotnych, oraz okazy w naturze. Tu zarówno właściciel domu, jak filantrop, urządzający zakład dobroczynny, nauczyciel, fabrykant lub rzemieślnik znaleźć winni takie wzory, jakie higiena przyjęła. Muzeum więc zawierać musi modele domów higienicznie budowanych, modele urządzeń kanalizacyjnych, wzory bruków dla miast i wsi, najlepsze piece, wentylatory, lampy, filtry, śmietniki, narzędzia kuchenne, odzież i obuwie higieniczne i t. d.

3-o. Trzeci wreszcie oddział Instytutu poświęcony być powinien sprawie propagandy higieny, a więc posiadać musi przede wszystkim salę wykładową z urządzeniami do demonstracji.

Sali tego rodzaju brak u nas, a opłata wysoka za wynajęcie sal odpowiednich utrudnia Towarzystwu higienicznemu propagandę w wielkim stylu.

„Potrzeby te są tak jasne i zrozumiałe — pisze dr. Polak w artykule, popierającym ten projekt (Kur. Warsz. № 14) — znaczenie instytucji w naszych warunkach tak wielkie, że liczyć na ofiary w tej mierze chyba możemy. Towarzystwo higieniczne posiada plac, na którym zbudować mogłoby zakład, mogący stanowić istotną chlubę kraju, lecz na budowę posiada zaledwie kilka tysięcy rubli, gdy na zbudowanie gmachu potrzeba mieć kilkadziesiąt tysięcy. Sprawa tymczasem jest bardzo pilna, albowiem w razie niezbudowania domu w ciągu lat kilku, plac, stosownie do umowy z miastem zawartej, zwrócony być musi magistratowi.“

Wszystko to oczywiście trafia nam do przekonania. I placu szkoda stracić i projekt instytutu higieny krajowej istotnie zasługuje na uwagę i poparcie. Zachodzi tylko pytanie, czy społeczeństwo w tej ciężkiej chwili będzie mogło podołać nowemu zadaniu, do którego je nawołują?

Niesłychana to wprost rzecz w stosunkach normalnych, aby tego rodzaju instytucja powstać miała drogą ofiar prywatnych, bez żadnego udziału ze strony rządu lub przynajmniej miasta. Wszędzie organy samorządu lub administracji mają o tem pieczę i starają się obracać na takie cele część ogólnych dochodów kraju lub miasta. To samo powinno być—choćby w minimalnych granicach—i u nas w niedalekiej przyszłości i na tę przyszłość trzeba czekać.

Ofiarność Warszawy i ofiarność społeczeństwa polskiego na cele publiczne są niewątpliwie większe, niż gdziekolwiekbądź. W chwili obecnej jednak, wobec tylu potrzeb, jakie już istnieją i jakie wyłaniają się niemal codziennie, trudno przypuścić, aby akcja, rozpoczęta w kierunku zbierania funduszków na cel, wskazany przez d-ra Polaka, mogła przynieść rychłe i pożądane owoce.

Stosunki ekonomiczne kraju, na ogół biorąc nie są pomyślne, a widoków ich polepszenia niema. Przeciętne zarobki i dochody warstw inteligentnych, które dźwigają na sobie przedewszystkiem obowiązek popierania wszelkich przedsięwzięć i zamierzeń kulturalnych, obniżyły się w porównaniu z latami dawniejszemi, a koszty utrzymania domu, w granicach zaspokojenia najkonieczniejszych tylko potrzeb, wzrosły znacznie. Warszawa materialnie zaczyna się wyczerpywać, zaczyna ubożeć i to znać na każdym kroku.



W takim momencie przełomowym może być mowa tylko o zaspokajaniu braków dnia dzisiejszego, trudno natomiast mówić o zdobywaniu się na fundacye pomnikowe, a przecież instytut, projektowany przez d-ra Polaka, taką właśnie musiałby mieć cechę.

Nie może to być domek, odpowiedni dla miasta prowincjonalnego, ale gmach, posiadający nie tylko dostatecznie obszerne pomieszczenia, ale i urządzenia, zgodne z wymaganiami nauki, a tego niepodobna opędzić nawet kilkudziesięcioma tysiącami rubli.

Z tego też względu, uważając projekt w zasadzie za bardzo doniosły, a samą instytucję za potrzebną dla kraju, mniemamy jednak, że przedwcześnie jest mówić w danej chwili o rychłej a pozytywnej realizacji pięknego pomysłu.

# WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Adam Bełcikowski.

W Krakowie zmarł dn. 13 stycznia r. b. ś. p. Adam Bełcikowski, zasłużony badacz przeszłości naszego piśmiennictwa i wybitnego talentu pisarz.

Urodzony w r. 1839 w Krakowie, kształcił się w gimnazjum św. Anny, po którego ukończeniu wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu Jagiellońskiego. Jako młody d-r filozofii, wezwany został w r. 1866 do Warszawy, gdzie ofiarowano mu w ówczesnej Szkole Głównej docenturę historii literatury polskiej. W r. 1868 zgłosił się do habilitacji na docenturę tego samego przedmiotu w Krakowie. Nie mając jednak, wskutek zamianowania profesorem Stanisława hr. Tarnowskiego, widoków na katedrę, przyjął w r. 1870 ofiarowane sobie miejsce pomocnika bibliotekarza w bibliotece jagiellońskiej, poświęcając się jednocześnie wszechstronnej i owocnej pracy literackiej.

Z pod pióra jego wyszedł cały szereg pierwszorzędnej wartości prac krytycznych, jak „O satyrykach polskich wieku XVII,“ „O narodowym znaczeniu literatury w. XVIII,“ „Kazimierz Brodziński,“ „Wacław Potocki,“ „Elżbieta Drużbacka“ i t. d.

Zbiorowe wydanie jego pism krytycznych wyszło w Warszawie w r. 1886. Poza tem wystąpił Bełcikowski jednocześnie z Szujskim na pole dramatu historycznego. Dorobek jego w tym kierunku jest cenny, aczkolwiek historyk i kronikarz górował w autorze zawsze nad poetą, przez co utworom tym brak szer-

szego polotu i górnieszego natchnienia, mimo że mają styl piękny, wiersz potoczysty i budowę nieskazitelną.

Do wybitniejszych tragedyj, dramatów i komedyj Bełcikowskiego należą: „Adam Tarło,“ „Król Don Juan,“ „Hunyady,“ „Dwaj Radziwiłłowie,“ „Protegujący i protegowani,“ „Kmita i Bonarówna,“ „Francesca di Rimini,“ „Król Mieczysław II“ (dramat, uwiecznony pierwszą nagrodą na konkursie krakowskim), „Władysław Warneńczyk,“ „Bolesław Śmiały“ i „Przysięga.“

Oprócz tego napisał Bełcikowski kilka powieści i nowel, jak „Dług honorowy,“ „Patryarcha,“ „Stary kawaler,“ „Ognisko domowe“ i inne.

Zmarł na przełomie wieku męzkiego ze starością, pozostawiając po sobie pamięć wybitnego, kulturalnego i sumiennego pracownika na niwie literatury ojczystej, którą kochał głąboko i szczerze.

## ś. p. Władysław Nehring.

Dnia 20 stycznia r. b. zmarł w Wrocławiu profesor uniwersytetu tamtejszego, ś. p. Władysław Nehring.

Mimo obco brzmiącego nazwiska i profesury na uniwersytecie niemieckim, Nehring, jak to już samo imię jego wskazuje, był Polakiem z urodzenia.

Przyszedł na świat w Klecku pod Gniezmem w r. 1830, do szkół uczęszczał w Poznaniu, a ukończywszy tam gimnazjum, wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu we Wrocławiu.

Uzyskawszy stopień doktora filozofii, powrócił do kraju i poświęcił się zawodowi pedagogicznemu, naprzód jako nauczyciel gimnazjalny w Trzemesznie, potem w Poznaniu.

W r. 1868 uniwersytet wrocławski powołał go na katedrę języków słowiańskich. Na tem stanowisku zmarły zdobył sobie uznanie powszechne zarówno wśród młodzieży, jak i wśród kolegów profesorów, którzy dwukrotnie w latach 1876 i 1888 ofiarowali mu godność dziekana wydziału filozoficznego, a w r. 1893 powołali go z wyboru na rektora wszechnicy.

Z licznych prac naukowych ś. p. Nehringa wymieniamy następujące: „O Janie Dymitrze Solikowskim,“ „O Joachimie Bielskim,“ „Kurs literatury polskiej,“ „Psałterz Floryański,“ „Studya

literackie, „Dokumenty do historii klasztoru w Łędzie,“ „Powieść kronikarza polskiego o Walterze i Helgundzie,“ „Kazania gnieźnieńskie,“ „O życiu i pismach Jana Kochanowskiego,“ „Gramatyka języka polskiego“ i w. in.

Nauka polska poniosła przez śmierć prof. Nehringa stratę dotkliwą, tem dotkliwszą, że posterunek, jaki zajmował zmarły, należał do bardzo ważnych.

Z. D.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMII I INNYCH INSTYTUCYI NAUKOWYCH.

-- TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dn. 15 stycznia b. r. odbyło się posiedzenie II Wydziału Towarzystwa przy następującym porządku dziennym: 1. Sprawa ukonstytuowania się komisji antropologicznej, archeologicznej i etnograficznej. 2. Sprawy bieżące. 3. Wniosek p. K. Stołyhwy w sprawie ujednostajnienia metod badania i wypracowywania instrukcyi.

Dn. 20 stycznia odbyło się posiedzenie I wydziału Towarzystwa z następującym porządkiem dziennym: 1. Michał Rowiński: O budowie wiersza u Słowackiego. 2. Franciszek Pułaski: Uzupełnienie poprzedniego referatu wiadomością o źródle dialogu z początku XVI wieku (Palinura z Charonem). 3. Karol Appel: W imię jedności pisowni.

-- BIBLIOTEKA ORD. HR. KRASIŃSKICH. Posiedzenie Rady ku uczczeniu pamięci Adama hr. Krasińskiego.

Dn. 20 stycznia b. r. J. E. ks. biskup Kazimierz Ruszkiewicz, jako senior, zwołał Radę biblioteczną Biblioteki ord. hr. Krasińskich, w posiedzeniu wzięli udział pp.: prof. Szymon Askenazy, Ignacy Chrzanowski, Feliks hr. Czacki, prof. Władysław Hołewiński, Aleksander Jabłonowski, Stanisław Kętrzyński, Jan Kochanowski, Edward hr. Krasiński, Franciszek Pułaski i Stanisław Ligenza Świdziński, jako reprezentant rodziny ś. p. Konstantego Świdzińskiego. Przedmiotem narady, która się odbyła pod przewodnictwem J. E. ks. biskupa było obmyślenie sposobów uczczenia zasług ś. p. Adama hr. Krasińskiego, które ten dla Biblioteki położył. J. E. ks. biskup w ciepłych słowach uczcił pamięć zmarłego, a na prośby obecnych obiecał odprawić

mszę żalobną we wtorek 27 b. m. Następnie prof. S. Askenazy zabrał głos, przedstawiając zasługi ś. p. ordynata Adama hr. Krasińskiego, jako opiekuna Biblioteki ordynackiej. Aby uprzytomnić sobie te zasługi zmarłego dla Biblioteki, jako instytucji użyteczności publicznej, należy przypomnieć, czem ta instytucja jest dla kraju i nauki polskiej. Wiadome są wszystkim poważne i pożyteczne dzieje tego znakomitego zbioru. Ufundowany z ofiarnej inicjatywy dzielnego obywatela kraju, ś. p. Konstantego Świdzińskiego, mocą jego testamentu z d. 14 listopada 1855 r., a w duchu kodycylowego „Rysu ustawy dla Muzeum Polskiego im. Świdzińskich.“ Miał na widoku Świdziński „za nadejściem pomysłniejszej chwili... uczynić (Muzeum) publicznym zakładem,“ a mianowicie na wzór Zakładu nar. im. Ossolińskich we Lwowie, miał na myśli „obowiązek zabezpieczenia na zawsze... utrzymanią (Muzeum), ze względu na zawsze niepewną przyszłość każdego żyjącego i na niepewność skłonności i usposobień następców naszych.“ Po licznych kolejach, w których tak żywy udział wzięło całe społeczeństwo, nareszcie los tej instytucji został zabezpieczony przez kompanację sukcesorów K. Świdzińskiego z domem ordynackim Krasińskich, 3 lipca 1860 r., którą życzliwie zatwierdziła Władza Najwyższa mocą ukazu Najjaśniejszego Pana Aleksandra II do b. Rady Administracyjnej 10 grudnia 1861 r. Jednomysłny był aplauz opinii publicznej, z powodu fortunnego tego aktu. „Sprawa – pisała z tego powodu „Gazeta codzienna“ (4 sierpnia 1862 r.) – rozwiązana najpomysłniej i najszlachetniej... Z obu stron i oddających (Świdzińskich) i przyjmującego (Krasińskiego) najczystsze (rządziły) widoki ogólnego pożytku.“ Takie też przeświadczenie ogółu nie zostało zawiedzione. Już w I t. wydawnictwa Biblioteki, ówczesny ordynat, a ojciec zmarłego Adama, Władysław hr. Krasiński, wskazał w swej przedmowie na trzy obowiązki swego domu względem Biblioteki: „istnienie zbiorów, przystępność ich dla świata uczonego, wydawnictwo nagromadzonych materyałów.“ W duchu tego skaznika pomażały się odtąd bez przerwy i przeszkody zbiory, korzystał z nich świat uczony. Wzrastały objętością i wartością wydawnictwa Biblioteki. Biblioteka pod opieką ordynackiego domu hr. Krasińskich była tem, czem w myśl założyciela być powinna, prawdziwą instytucją użyteczności publicznej. Ocenilo to też i społeczeństwo: liczne skarby naukowe zaczęły napływać pod opiekuńcze skrzydła ordynackiego domu. W ten sposób Bibliotekę zbogacili szacowne dary, których część choćby wymienić należy: zbiory po Leonie hr. Łubieńskim, Karolu hr. Krasińskim, po Wilhelmie Kolbergu, Józefie Wolffie, archiwum hr. Wielhorskich, archiwum buttlerskie i sterdyńskie daru ś. p. Ludwika Górskiego, zbiory po Felicyanie Faleńskim, Władysławie Górskim, Józefie Drège'u, oraz z darów ś. p. ordynata Adama hr. Krasińskiego, archiwum po Stanisławie Małachowskim, marszałku Sejmu wielkiego i wojskowe po generale Wincentym Krasińskim. Ś. p. Adam hr. Krasiński, najwyborniej uświadamiając sobie doniosłość Biblioteki, jako kulturalnej instytucji użytku publicznego, najżywiej też pamiętał o odziedziczonych względem niej obowiązkach, troskał się serdecznie o jej rozwój i nie szczędził ani starań, ani należnych nakładów materyalnych. Umożliwił jej zarządowi intensywną pracę około porządkowania zbiorów i ich urządzenia i udostępnienia, umożliwił podejmowanie wydawnictw naukowych tak wysokiej wartości,

jak np. „Źródła do pułku lekkokonnego,“ które się cieszą nie tylko jednomyślnem uznaniem krytyki polskiej, lecz budzą podziw wśród uczonych obcych, jak Fryderyk Marson, lub generał Kwadri.

Tak przedstawivszy dzieje Biblioteki i zasługi zgasłego ordynata, prof. S. Askenazy postawił dwa wnioski, a mianowicie: „Rada biblioteczna stwierdzając, iż dom ordynacki hr. Krasińskich w okresie dotychczasowej swej opieki nad Biblioteką ordynacką wraz z Muzeum Świdzińskich, wywiązał się w całej pełni z wziętych na siebie w tym względzie obowiązków obywatelskich, w szczególności zaś niespożyte dla niej położył zasługi ś. p. ordynat Adam hr. Krasiński, a) wyraża życzenie, aby Zarząd Biblioteki zechciał zająć się opracowaniem i ogłoszeniem w najbliższym tomie wydawnictwa Biblioteki rysu historycznego dotychczasowej działalności i rozwoju Biblioteki pod opieką domu ordynackiego hr. Krasińskich pod względem rozwoju samej biblioteki, jej zbogacenia w drodze nabytków, uporządkowania, katalogowania, frekwencji, jakoteż działalności edytorskiej, ze szczególnem uwzględnieniem zasług w tym kierunku przez ś. p. Adama hr. Krasińskiego położonych; b) wyraża przekonanie, że instytucja użyteczności publicznej, jaką jest Biblioteka ordynacka wraz z Muzeum Świdzińskich pod troskliwą opieką i auspicjami obecnie mającej wstąpić młodszej linii ordynackiej równie pomyślnie jak i dotychczas na użytek kraju i nauki polskiej rozwijać się będzie.“ Oba te wnioski przyjęto jednomyślnie.

Następnie zabrał głos p. Franciszek Pułaski i przedstawivszy kulturalne znaczenie bibliotek, podniósł wysokie zasługi ś. p. ordynata dla Biblioteki ord. hr. Krasińskich, której był on zawsze najgorliwszym opiekunem, zarówno gdy chodziło o pozyskanie nowych zbiorów, jak zawiązanie stosunków z instytucjami naukowymi, zaprowadzenie w niej urządzeń nowoczesnych, lub podniesienie jej żywotności przez rozszerzenie działalności wydawniczej. W tych wszystkich wypadkach zarząd Biblioteki znajdował w nim najgorliwszego opiekuna, światłego kierownika i ponad wszelki wyraz ofiarnego obywatela. A jak wysoko cenił sobie ś. p. ordynat przewodnictwo w tej instytucyi, świadczyć mogą jego własne słowa, wypowiedziane przed kilku miesiącami, że obok zaszczytnej dlań spuścizny po Zygmuncie, za najcenniejszy klejnot odziedziczony po przodkach uważa tę Bibliotekę. I uważał ją nie tylko za klejnot, zdobiący dom jego rodzinny,—ale podobnie, jak ową spuściznę duchową po Zgumencie, otoczoną aureolą świętości narodowej, uważał Bibliotekę za własność narodu, za źródło wiedzy, za cząstkę naszej przeszłości, którą dom Krasińskich zaszczytnie ochraniać się zobowiązał. Powiedziawszy to, p. Franciszek Pułaski postawił dwa wnioski, a mianowicie: a) aby Rada biblioteczna w uznaniu zasług ś. p. Adama hr. Krasińskiego dla Biblioteki ord. hr. Krasińskich położonych, popiersie jego własnym Rady sumptem sporządzić i w sali bibliotecznej postawić uchwaliła, powierzając wykonanie tej sprawy Zarządowi Biblioteki; b) aby Rada wydelegowała jednego ze swych członków i poleciła przemówić na pogrzebie ś. p. Adama hr. Krasińskiego w imieniu Rady. Oba te wnioski przeszły jednogłośnie, przyczem uproszono na mówcę członka Rady p. Ignacego Chirzanowskiego, jako stojącego studjami najbliższej tych kręgów myśli, w których szybował duch zmarłego.

Następnie zebrani przyjęli do wiadomości sprawozdanie p. Stanisława Kętrzyńskiego nad postępowaniem pracy około wydania nowego tomu „Biblioteki,” która obejmie „Rewizję zamków i miast ziemi pruskiej z r. 1565” i p. Franciszka Pułaskiego o zainicyowanym przez ś. p. ordynata wydawnictwie „Collectaneów Biblioteki ord. hr. Krasieńskich,” których t. I, zawierający „Katechizm brzeski 1553/4” właśnie się ukazał, a t. II, mieszczący dyalog Charona i Palinura Biernata z Lublina, zabytek języka polskiego z początku XVI w., ukaże się niedługo. P. Ignacy Chrzanowski gorąco podnosił znaczenie tej nowej seryi wydawnictw Biblioteki dla literatury i dziejów, polecając jej energiczne prowadzenie.

#### WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— MUZEUM. Wrzesień. W sprawie uniwersytetu lwowskiego;—Kulczyński L. dr.: Pogląd na ustrój dzisiejszych szkół średnich w rozmaitych krajach;—Romer E. dr.: W sprawie metod kartograficznych. Z powodu wydania Atlasu do II-go wydania Geografii dla kl. I;—Oceny i sprawozdania przez d-ra M. Reitera, d-ra B. Janowskiego, M. Odrzywolskiego, H. Parasiewicza, A. Wilka, A. Radeckiego, d-ra M. Janika, St. Matzkego, d-ra W. Friedberga;—Kronika szkolna i pedagogiczna;—Wiadomości bibliograficzne;—Sprawy Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

— PAŹDZIERNIK. U początku roku szkolnego;—W sprawie zastępców nauczycieli;—Kulczyński L. dr.: Pogląd na ustrój dzisiejszych szkół średnich w rozmaitych krajach (dok.);—Kopia H.: Z niwy administracyjno-szkolnej. I. (Opłata szkolna);—Oceny i sprawozdania przez d-ra A. Ryniewicza, d-ra M. Reitera, St. Pszona, M. Brandstättera, W. Sokołowskiego, A. Makowskiego, d-ra F. Krócka, d-ra W. Lenkiewicza, d-ra W. Hahna;—Kronika szkolna i pedagogiczna;—Wiadomości bibliograficzne;—Sprawy Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

— PRZEGLĄD POLSKI. Październik. Jan Popiel: O językach;—dr. August Sokołowski: Ze wspomnień pruskiego oficera (1863—1865);—Maurycy Komorowicz: Notatki z podróży do Islandyi;—Ottonówna: Podlaskie „Hospody pomyśluj” 1872—1905 (c. d.);—Juliana Klaczki: Listy włoskie (dok.) wydał dr. Ferdynand Hoesick;—Sprawy krajowe, LVI;—Władysław Gniewosz: Znaczenie i potrzeby ogrodnictwa w Galicyi;—Kronika literacka;—Teatr krakowski przez A. E. Balickiego: Przegląd polityczny przez \*;—Stanisław Tarnowski: Deotyma (Jadwiga Łuszczewska). Wspomnienie pośmiertne.

— PRZEGLĄD Powszechny: Wrzesień. Ks. J. Pawelski T. J.: ks. Stanisław Załęski T. J. \*1843†1908. Wspomnienie pośmiertne;—ks. X. T. J.: Dwa zjazdy katolickie i stosunek ich do katolicyzmu;—ks. K. Czaykowski T. J.: Prośba o nieruchomą Wielkanoc;—Andrzej Tretiak: Typ literacki Browninga i Hauptmanna;—Lucyan Rydel: Po zwycięskiej wojnie. Wielkie Dionysya (dok.);—dr. Leopold Caro: Nasi wychodźcy zamorscy (dok.);—ks. K. Felis T. J.: Ro-



cznicze męczenników; — Przegląd piśmiennictwa przez ks. W. Wieckiego T. J., ks. Jana Urbana T. J. i ks. Władysława Szczepańskiego T. J.; — Zapiski bibliograficzne przez E. M. T. J., Bi, B., ks. W. W. T. J., S.; — Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego przez ks. Wiktora Wieckiego T. J., ks. M. Czerwińskiego T. J., T. M. Dobrowolskiego, ks. Jana Urbana T. J. i Maryę Harsdorf.

— Październik. J. E. hr. Wojciech Dzieduszycki: Prusy a sprawa polska; — Eliza Orzeszkowa: Z myśli wieczornych. V. Ze raz jeszcze... VI. Zmija się nad nami; — ks. J. Pawelski T. J.: Nowy problem w naszej belletrystyce; — Fryderyk Klimke T. J.: Nowa filozofia; — Czesław Pieniążek: Z pogadanek starego pedagoga; — Walery Gostomski: Pod kopułą św. Piotra; — ks. K. Czaykowski T. J.: Prośba o nieruchomą Wielkanoc (c. d.); — ks. K. Feliś T. J.: Starochrześcijańskie pielgrzymki; — Przegląd piśmiennictwa przez Antoniego Mazanowskiego, d-ra K. Krotoskiego, Adama Stodora, ks. Władysława Szczepańskiego T. J., Adolfa Chybińskiego, ks. Ernesta Matzla T. J., T. Wodzicką; — Zapiski bibliograficzne przez ks. E. M. T. J., ks. W. W. T. J., d-ra A. B., Cz. p., E. M., W.; — Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego przez ks. W. Wieckiego T. J., ks. J. Urbana T. J., ks. X. T. J. i T. Jeske-Chońskiego.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Wrzesień. Antoni Prochaska: Województwo ruskie wobec rokoszu Zebrzydowskiego; — Fr. Rawita-Gawroński: Materiały do historii polskiej XIX wieku. Działalność emigracji z roku 1831 na terenie Turcji do pokoju paryskiego; — Adolf Chybiński: Stosunek muzyki polskiej do zachodniej w XV i XVI wieku; — Antoni Karbownik: Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie; — Z życia Kajetana Węgierskiego. Pamiętniki i listy. Wydał dr. Stanisław Kossowski; — dr. Stanisław Kłobukowski: Wycieczka do Parany (Stanu rzeczyposp. Brazylii). Dziennik podróży; — Adam Śtodor: Ostatnie dramaty Ibsena; — Karo-Kwieciński: „Ostatni“ Z. Krasieńskiego.

— ROCZNIK AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Rok 1907/8. 8-o, str. 20+10 tabl. Kraków, 1908. Nakł. Akad. Um. Spółka Wydaw. Pol. Str. 123—141. Bronisław Dembiński: Szujski i jego synteza dziejów.

— ROZPRAWY WYDZIAŁU MATEMATYCZNO-PRZYRODNICZEGO AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Ser. III, t. 8, dział A (ogólnego zbioru t. 48. Dział A). Nauki matematyczno-fizyczne. Zeszyt drugi. Kraków, nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. M. Dziurzyński: O międzycząsteczkowej przemianie dwufenyl-hydrazofenyłu pod wpływem chlorowodoru w roztworze benzolowym (dok.); — K. Olaszewski: Skraplanie gazów. Szkic historyczny (z tablicami II, III i IV); — Z. Klemensiewicz: Chlorek antymonowy jako roztwórnik jonizujący (z 5 rys.); — K. Jabłczyński: Kinetyka reakcji następujących; redukcja kwasu chromowego przez kwas szczawiowy; — F. Kamieński: Nowe uławienienie w badaniach mikroskopowych i mikrografii stereoskopowej (stolik wahający się) (z 2 rysunkami); — A. Korczyński: O solach anormalnych (z 1 rys.); — J. Buraczewski i T. Koźniewski: Jodowe pochodzenie strychniny i brucyny; — K. Kling: O alkoholach totylo-ctylowych; — K. Jabłczyński: Zależność pomiędzy szybkością mie-

szania a szybkością reakcyi w układach niejednorodnych; — St. Bądryński i W. Humnicki: Badania ilościowe nad zachowaniem się w ustroju salolu oraz glicerydu dwustearylu-salicylowego.

— SFINKS. Październik. Wł. B.: Deotyma; — Deotyma: Z poezyi i improwizacyi (Modlitwa, Z sonetów do oblubieńca, Odpowiedź, Piosnka w Karpatach, Nieśmiertelnik, Dwa pokolenia, Pieśniom na odlocie);—Deotyma: Z „Sobieskiego pod Wiedniem“ (zakończenie śpiewu trzeciego);—C. Norwid: Odczyty o Juliuszu Słowackim (V i VI); — Z. Rygier-Nałkowska: Równieśnice (powieść, c. d.); — Savitri (fragment, pieśń I—IV), z sanskrytu przełożył i objaśnieniami opatrzył A. Lange; — J. Kleczyński: Rzeźba współczesna (ciąg dal.);—A. Wolfowa: Pełnia (fantazya księżycowa);—A. Chybiński: Śpiewacy—mistrzynie norymberscy;—Na fali (Jubileusz Świętochowskiego);—Oceny i sprawozdania.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Październik. Dr. Feliks Koneczny: Sprawa słowiańska a sprawa polska; — Walka o uniwersytet, okazana na przykładzie czeskim (Jaroslav Goll, Rozżeleni prazské university roku 1882); — G. Smólski: Odgłosy ze Słowaczyny;—Przegląd prasy słowiańskiej;—Kronika.

— WSZECHŚWIAT I CZŁOWIEK. Zeszyt 90. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcyą H. Kremera. Przekład polski pod redakcyą F. Wermińskiego. 2,000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1908. Wyd. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. od 226 do 248.

## BIBLIOGRAFIA.

### PRAWO I NAUKI PRAWNO-POLITYCZNE.

CATHREIN WIKTOR, T. J.: Socjalizm, badanie jego podstaw i możliwości. W przekładzie Walerego Gostomskiego. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.“ Zt. 86, 87.

DICEY A. V.: Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnym. Tłómaczył W. H. Warszawa, 1908. Red. „Prawdy.“ 8-o, str. 410.

HALBAN ALFRED V.: Das römische Recht in den germanischen Volksstaaten. Dritter Teil. Breslau, 1907. M. & H. Marcus. 8-o, form. duży, str. XX+420.

MICHALSKI JERZY, PROF.: Projekt reformy podatków domowych. Kraków, 1908. Księg. L. Frommera. 8-o, str. 97.

ORPISZEWSKI WŁ., KS. C. R.: Kilka myśli o walce społecznej. Kraków, 1908. Nakł. autora. Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 43.

POGODIN A. L.: Główne prądy polskiej myśli politycznej 1863 — 1907. (Głównyja ticzienija polskoj političeskoj myśli). (W języku rosyjskim). Petersburg, 1908. Nakł. Tow. „Proswieszczenje.“ 8-o, str. XVII+662.

WYROSTEK MICHAŁ, DR.: Urządzenia polityczne w Szwajcaryi. Kraków, 1908. Spółka nakł. „Książka.“ Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. Lwów, H. Altenberg. 8-o, str. XXXI+215+1 nlb.

### POWIEŚĆ. — POEZJA.

ANDRZEJEW LEONIDAS: Siedem szubienic. (Opowiadanie). Warszawa, 1909. Nakładem J. Fiszera. 8-o, str. 119.

CASANOVA ZOFIA: Więcej niż miłość. Powieść współczesna. Kraków, 1908. G. Gebethner i Sp., Warszawa, Ludwik Biernacki i Sp. 8-o, str. 276.

DROGOMIR H.: Noc z 6 na 7 października (23—24 września) 1620 roku. Kijów, 1908. Księg. Maniszewskiego i Meinharta we Lwowie. 8-o, str. 55.

GRUSZECKI ARTUR: Światłodawcy. Powieść współczesna. Warszawa, 1909. Nakł. L. Biernackiego i Sp. 8-o, str. 197.

JÓZEFOWICZ FELIKS LELIWA, KS.: Z krainy Faraonów. Wrażenia z podróży, odbytej we wrześniu r. 1907. Lwów, 1908. Odbitka ze sprawozdania szkolnego c. k. II gimnazjum. 8-o, str. 27.

LIGOCKI EDWARD: Poezye. Serya druga. Kraków, 1908. D. E. Friedlein. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 44.

MOSTOWSKI WIKTOR: W zmierzchu porę. Napisał... Warszawa, 1908. Nakł. autora. Skł. głów. w Księg. Powszechnej. 8-o, str. 33.

OPPMAN ARTUR (OR-OT): Wybór poezyi. Wydanie nowe, zmienione i powiększone. Z portretem autora. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 299.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Rupiecie. Nowele. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, format mały, str. 223+2 nlb.

SAFO: Fragmenty... w przekładzie polskim Jana Pietrzyckiego. Lwów, 1908. 8-o, str. 15.

SCHIFMAN ARNOLD: Pankracy August I. Powieść. Warszawa, 1908. Ludwik Biernacki i Sp. Kraków, G. Gebethner i Wolff. 8-o, format mały, str. 155.

SIEDLECKI GRZYMAŁA A.: Teatr Norwida. Kraków, 1908. 8-o, str. 8.

SIENKIEWICZ HENRYK: Pisma. T. XXXI—XXXIV. Krzyżacy, t. I—IV. Wyd. III. Warszawa, 1908. Nakład i własność wydawców. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 338, 268, 339, 358.

SIEROSZEWSKI WACŁAW: Małżeństwo. Być albo nie być. Tułacze. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, Gebethner i Sp. 8-o, str. 410.

SŁOWACKI J.: *Balladyna. Tragedya w 5 aktach.* Opracował D-r Wiktor Hahn. Brody, 1908. Nakł. F. Westa. 8-o, str. 207.

— *Dzieła. Pierwsze krytyczne wydanie zbiorowe.* Lwów, 1909. Nakł. W. Gubrynowicza. T. II. Powieści poetyckie. Wydał D-r Bronisław Gubrynowicz. 8-o, str. 398 + 2 nlb. i podobizna autografu. T. V—VIII. Dramaty. Wydał D-r Wiktor Hahn. T. V, str. 398, z podobizną autografu. T. VI, str. 473 + 2 nlb. z 4 podobiznami autografu. T. VII, str. 409 + 1 nlb. z 6 podob. autografu. T. VIII, str. 409 + 1 nlb. z 5 podob. autografu.

— *Kordyan. Część pierwsza trylogii. Spisek koronacyjny.* Opracował Prof. Kazimierz Zimmermann. Brody, 1908. Nakł. F. Westa. 8-o, str. 157.

— *Lilla Weneda, tragedia w 5 aktach, i Grób Agamemnona. Ze wstępem i objaśnieniami Bronisława Chlebowskiego.* Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 132.

SZCZEPAŃSKI WŁADYSŁAW, Ks. T. J.: *Na Synaju. Na podstawie podróży z r. 1906. Treść objaśnia 60 rycin i 2 mapki.* Kraków, 1908. Nakł. „Przeł. Powszechn.” 8-o, str. XV + 375.

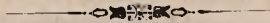
ŚNIADECKI JĘDRZEJ: *Pisma satyryczne. Do druku przygotował i przedmową opatrzył D-r Adam Wrzosek. Część II.* Warszawa, 1908. Bibl. Dzieł Wybor. № 560. 8-o, str. 165.

TOŁSTOJ LEW, Hr.: *Nie mogę milczeć! Przełożył z rosyjskiego Feliks Kon.* Lwów, 1909. Nakł. ks. H. Altenberga. 8-o, str. 31.

WEYSENHOFF JÓZEF: *Dni polityczne. Serya II. (R. 1905—1906). W ogniu.* Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 179 + 8.

ZABOJECKA MARYA: *Gromnice. Powieść.* Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, form. mały, str. 333.

ŻEROMSKI STEFAN: *Duma o Hetmanie.* Warszawa, 1908. Nakładem Kasy Przejrzności i Pomocy Warszawskich Pomocników Księgarskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 217.



# „BIBLIOTEKA WARSZAWSKA“

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym,

rozpoczyna z rokiem 1909-ym

sześćdziesiąty dziewiąty rok swojej działalności naukowo-literackiej

i wychodzi

w zeszytach najmniej dwunasto-arkuszowych.

## PROGRAM „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“

zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych
- II. **Historia.** Dzieje powszechne i własne.
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego.—  
Przegląd literatury belletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne,** oceny dzieł sztuki.
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym, artystycznym, społecznym i ekonomicznym.
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości naukowe i bibliograficzne.**

## WARUNKI PRENUMERATY.

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie . . . . .	rb. 10 kop. —
Półrocznie . . . . .	„ 5 „ —

W Warszawie zaś:

Rocznie . . . . .	rb. 9 kop. —
Półrocznie . . . . .	„ 4 „ 50
Kwartalnie . . . . .	„ 2 „ 25

Cena pojedynczego zeszytu rb. 1.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do **Administracji „Biblioteki Warszawskiej,“ ulica Krakowskie Przedmieście Nr. 5,** gdyż to zapewnia najlepiej akuratną ekspedycję pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

Opłata za ogłoszenia w „BIBLIOTECE WARSZAWSKIEJ“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronicę formatu „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“ rubli 5. Za ogłoszenie zapelniające pół stronicę, rubli 3, i za ogłoszenie zapelniające ¼ formatu, rubli 2.

# KOMITET ZARZĄDZAJĄCY

Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym,  
imienia J. Mianowskiego,

podaje do wiadomości, że z zapisu *Jakóba Natansona*, przyznane zostaną w r. 1909 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1905, 1906, 1907 i 1908; druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych. Zgodnie z Ustawą Kasy Pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet, zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie, prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu lub na ręce jednego z Członków Komitetu.

Prezes Komitetu: *Konrad Dobrski.*

Członek Komitetu Sekretarz: *Feliks Kucharzewski.*